

# Przerwany Lot

Desmond Bagley



calibre 0.9.27

DESMOND

BAGLEY

PRZERWANY

LOT

Przełożył Andrzej Gostomski

AiB Warszawa 1992

Desmond Bagley urodził się w 1923 roku w Kendal w Anglii. Od czternastego roku życia pracował zarobkowo, początkowo w drukarni, by po spróbowaniu sił

w wielu zawodach, zatrudnić się w fabryce samolotów.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej postanowił wybrać się do Afryki Południowej przemierzając przy okazji cały kontynent.

W Johannesburgu rozpoczął pracę dziennikarską, nie związał się jednak na stałe z żadną gazetą. Pierwszą powieść opublikował w 1962 roku. Trzy lata później wrócił do Anglii, gdzie 12 lat mieszkał w Totnes. Potem, wraz z żoną, przeniósł się na Guernsey (Wyspy Normandzkie), gdzie znalazł idealne miejsce na połączenie pasji pisarskiej z zainteresowaniami takimi jak: komputery, matematyka, historia wojska i... dostarczanie rozrywek przyjaciołom z całego świata.

Desmond Bagley zmarł w 1983 roku. Opublikował 16 powieści, z których

wszystkie dotarły na czołowe miejsca list bestsellerów.

Polskiemu czytelnikowi jest on znany z takich powieści jak „Cytadela w Andach”, „Odwet”, „Na oślepie”, „Listy Viviero”.

Wydawnictwo „AiB” prezentuje jego twórczość w szerokim wyborze.

Dla Lecji i Petera Fostonów

Tytuł oryginału

Flayaway

Copyright © Brockhurst Productions 1978

Redaktor

Jan D. Bronisławski

Ilustracja

Jerzy Kurczak

Opracowanie graficzne serii

Studio Q

For the Polish edition

Copyright © 1992

by Wydawnictwo Adamski i Bieliński s.j.

Wydanie I

ISBN 83—85593—04—7

Wydawnictwo Adamski i Bieliński s.j.

Warszawa 1992

ark. wyd. 15,5, ark. druk. 16

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 6154/92

Peter i Paul siedzą na murze;

Dwa małe wróbelki, ptaszyny nieduże.

Z łopotem skrzydełek odleciały w górę.

Wróćcie me wróbelki, skończcie swe podróże.

Żaden człowiek nie może żyć na pustyni

i wrócić z niej niezmieniony. Będzie już

w sobie nosił, choćby słaby, ślad pustyni —

piętno którym naznaczeni są nomadowie.

Wilfred Thesiger

Żyjemy w epoce natychmiastowego zaspokajania potrzeb. Sprytni chemicy wynaleźli błyskawicznie rozpuszczającą się kawę. Demonstrujący studenci krzyczą infantylnymi głosami: „Chcemy świata, chcemy go już”. Staffordowie natomiast wymyślili błyskawiczną, płomienną awanturę, gwałtowną kłótnię bez początku ani przyczyny.

Nasze małżeństwo rozpadało się i oboje o tym wiedzieliśmy. Temperatura wywołana tarciami szybko stawała się nie do zniesienia. Kiedy w ów

poniedziałkowy ranek delikatnie zapytałem Glorię o jej poczynania w czasie minionego weekendu, zostało to niesłusznie zinterpretowane jako wścibskie mieszanie się do jej spraw osobistych. Po nitce do kłębka i efekt był taki, że do biura przybyłem raczej wyprowadzony z równowagi.

Joyce Godwin, moja sekretarka, uniosła głowę, gdy wszedłem i pogodnie powiedziała.

— Dzień dobry, panie Stafford.

— Dobry — odparłem szorstko i zatrzasnąłem drzwi swojego gabinetu.

Znalazłszy się wewnątrz, poczułem się nieco zawstydzony. Kiepski to szef, który wyładowuje swoje humory na personelu, a Joyce na to nie zasłużyła.

Nacisnąłem przycisk interkomu.

— Czy można cię prosić, Joyce?

Weszła uzbrojona w broń sekretarki — blok do stenografowania i zaostrzony ołówek.

— Przepraszam, nie czuję się dziś najlepiej — powiedziałem.

Jej usta wykrzywił słaby uśmiech.

— Kac?

— Coś w tym rodzaju — zgodziłem się. Siedmioletni kac. — Co jest dziś rano na tapecie?

— Pan Malleson chce się z panem zobaczyć w sprawie popołudniowego zebrania zarządu.

Skinąłem głową. Doroczne zebranie rady nadzorczej Stafford Security

Consultants Ltd. stanowiło prawną formalność. Trzech mężczyzn siedzących w biurówcu w City i dzielących między siebie zyski. Finansowy żart.

— Coś jeszcze?

— Dzwonił pan Hoyland. Chce z panem rozmawiać.

— Hoyland? Kto to jest?

— Główny agent ochrony w Franklin Engineering w Luton.

Był taki czas, że znałem każdego pracownika po imieniu. Teraz nie mogłem zapamiętać nazwisk personelu terenowego. Zły objaw, powinienem o tym

pomyśleć w wolnej chwili.

— Dlaczego ze mną?

— Szukał pana Ellisa, ale on jest aż do środy w Manchesterze, a pan Daniels jest wciąż nieobecny z powodu grypy.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

— A więc załapałem się jako trzeci gatunek. Czy chodziło o coś ważnego?

Wyraz twarzy Joyce powiedział mi, że według niej kac dokuczał mi coraz bardziej. Główny agent ochrony sam powinien sobie radzić z robotą, a jeśli dzwoni do szefa, to lepiej, żeby sprawa dotyczyła czegoś rzeczywiście ważnego.

— Powiedział, że jeszcze zadzwoni—odparła oschle.

— Coś jeszcze?

Bez słowa wskazała na stertę korespondencji. Spojrzałem na nią z

niesmakiem.

— Jesteś poganiaczem niewolników. Gdyby dzwonił Hoyland, to jestem w biurze pana Mallesona.

— Ale pan Fergus chce, żeby dzisiaj podpisano kontrakt z Electronics —

jęknęła.

— Pan Fergus jest starym marudą — odparłem. — Chcę o tym kontrakcie

porozmawiać z panem Mallesonem. Electronics nic się nie stanie, jeśli poczeka jeszcze pół godziny. — Wziąłem akta Electronics i wyszedłem, czując pełne dezaprobaty spojrzenie Joyce wwiercające mi się w plecy.

Charlie Malleson miał najwyraźniej więcej zapału do pracy niż ja, przejrzał

już połowę swojej porannej poczty. Przysiadłem na skraju jego biurka i rzuciłem mu akta pod nos.

— Nie podoba mi się to.

Podniósł wzrok i westchnął.

— O co ci chodzi, Max?

— Chcą mieć psy spuszczone bez opieki. To wbrew przepisom.

Uniósł brwi.

— Nie zwróciłem na to uwagi.

— Fergus też, a powinien. Wiesz co o tym myślę. Możesz wokół fabryki wybudować fortyfikacje jak mur berliński, a nocą jakiś sprytny dzieciak wejdzie dla draki do środka. Wtedy natknie się na puszczonego samopas psa i zostanie pogryziony lub zagryziony. — Charlie otworzył akta. — Zobacz punkt 28.

Sprawdził.

— Tego nie było w kontrakcie, który przeglądałem. Zapewne zostało dodane, w ostatniej chwili.

— Więc niech szybko zostanie odjęte, albo Electronomics może załatwiać interes z kim innym. Chciałeś się ze mną widzieć w sprawie posiedzenia zarządu?

— Jego Lordowska Mość będzie w domu dziś o szesnastej. Odnosiło się to do lorda Brintona, właściciela dwudziestu pięciu procent Stafford Security Consultants Ltd. Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem na legowisko Brintona — wieżę Intern-City Building. Z nadbudówki na dachu miał widok na City, gdzie pojawiał się od czasu do czasu, aby pożreć jakąś firmę, a czasami zaaranżować korzystną fuzję.

— Szesnasta mi odpowiada. Powiem Joyce. Czy wszystko jest w porządku?

— W idealnym. — Charlie rzucił mi taksujące spojrzenie. — Nie wyglądasz zbyt dobrze. Czy nie łapie cię grypa?

— Coś w tym stylu. Podano mi dziś nazwisko człowieka, a ja nawet nie wiedziałem, że dla nas pracuje. Niedobrze.

Uśmiechnął się.

— Ten interes zaczyna nas obu przerastać. Kara za sukces.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

— Na osiem godzin pracy, siedem spędzam przykuty do tego przekłętego biurka. Czasami chciałbym, byśmy znów wrócili do starych złych czasów, kiedy sami musieliśmy za wszystkim chodzić. Teraz grzebię się tylko w jakichś cholernych papierzyskach.

— Ale wiele z nich to świeże, szeleszczące piątki. — Obszernym gestem wskazał majestatyczny widok londyńskiego City. — Nie dziw się sukcesowi w tym uświęconym miejscu, to niemoralne. — Zadzwoił telefon, odebrał go i po chwili wręczył mi słuchawkę.

To była Joyce.

— Pan Hoyland chce z panem mówić.

— Przełącz go. — Zakryłem słuchawkę i powiedziałem do Charliego: —

Mógłbyś tego posłuchać. Już czas, byście w administracji wiedzieli, co dzieje się na pierwszej linii.

W słuchawce zachrobotąło.

— Pan Stafford?

— Mówi Max Stafford.

— Tu Hoyland z...

— Wiem kim pan jest, panie Hoyland — powiedziałem czując się jak oszust.

— Co pana trapi?

— Natknąłem się na coś dziwnego, sir. Tydzień temu zniknął człowiek nazwiskiem Billson i nie bardzo wiem, co z tym począć.

— Na ile ważny jest Billson?

— Nie zajmuje się stroną techniczną, pracuje w księgowości. Ale...

— Sprawdził pan księgi?

— Zbilansowane co do pensa — powiedział Hoyland. — Nie w tym rzecz, sir. Chodzi o stanowisko spółki. Nie otrzymuję z ich strony kompletnie żadnej pomocy.

— Proszę to rozwinąć.

— Billson nie jest zbyt rozgarnięty, a płacą mu o wiele więcej niż jest wart.

Dostaje 8.000 funtów rocznie, a wykonuje pracę chłopca na posyłki. Kiedy spytałem Isaacsona dlaczego, otrzymałem strasznie mętłą odpowiedź.

Powiedział, że struktura płac nie jest sprawą ochrony.

Hoyland był poirytowany i miał słuszość. Sam się zirytowałem, bo kiedy podpisywaliśmy kontrakt,

zostało zastrzeżone, że ochrona zajmuje się

wszystkim.

— Naprawdę tak powiedział? Kim jest Isaacson?

— Głównym księgowym — odparł Hoyland. — Czy może pan przywołać do porządku tego mądrałę? Mną się specjalnie nie przejmuję.

— Już ja go podkręcę — odparłem ponuro. — Wróćmy jednak do Billsona.

Co miał pan na myśli, mówiąc, że zniknął?

— Nie pokazał się w ubiegłym tygodniu i nie przesłał żadnej wiadomości.

Kiedy przeprowadziliśmy wywiad, okazało się, że bez żadnego wyjaśnienia opuścił mieszkanie. — Hoyland zamilkł. — To jeszcze nie jest przestępstwo, panie Stafford.

— O ile nie zabrał czegoś ze sobą. Mówi pan, że nie jest dla nas istotny?

— Stanowczo nie. Przez piętnaście lat był przywiązany do działu

księgowości. Nie miał dostępu do czegokolwiek mającego znaczenie.

— A przynajmniej my nic o tym nie wiemy. — Zastanawiałem się nad tym przez kilka chwil. — W porządku panie Hoyland, pogadam z Isaacsonem. W

międzyczasie proszę sprawdzić przeszłość Billsona. Nigdy nie wiadomo, na co się człowiek może natknąć.

— Zrobione, panie Stafford — Hoylandowi wyraźnie ulżyło. Osobiście wolał

nie wdawać się w pogawędki z kierownictwem.

Odłożyłem słuchawkę i posłałem Charliemu szeroki uśmiech.

— Widzisz o co mi chodzi. Jak byś załatwił taką sprawę?

— Franklin Engineering — powiedział w zamyśleniu. — Są kontrahentami ministerstwa obrony, prawda?

— Robią co nieco dla wojska. Układy zawieszenia do czołgów, nic

poważnego.

— Co masz zamiar z tym zrobić?



— Temu dowcipnisiowi, Isaacsonowi, pogonię trochę kota. Żaden groszorb nie będzie mówił moim agentom, co dotyczy ochrony, a co nie.

Charlie odchylił się w tył na swoim krześle i przyglądał mi się z namysłem.

— Czemu nie zrobisz tego osobiście? Twarzą w twarz. Uskarżasz się, że jesteś przykuty do biurka, czemu więc nie skoczysz do Luton i nie połazisz trochę? Spokojnie zdążysz wrócić na zebranie zarządu. Wynoś się z biura, Max, może to zdejmie ci z twarzy ten zgorzkniały wyraz.

— Czy jest aż tak źle? — Niemniej pomysł był atrakcyjny. — W porządku, Charlie, do diabła z biurkiem! — Zadzwoń do Joyce. — Połącz się z Hoylandem we Franklin Engineering, powiedz mu, że jestem w drodze do Luton i żeby był pod ręką. — Uciąłem jęk protestu, który wyrwał się z jej ust. — Tak, wiem w jakim stanie jest taca z korespondencją, zrobi się to jutro.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Charlie powiedział:

— Nie wydaje mi się, aby to było coś ważnego.

— Też tak uważam. Facetowi albo pomieszało się w głowie, albo przejechał

go samochód, czy coś w tym rodzaju. Nie, Charlie, to są całodzienne wakacje, koszty pokrywa firma.

Powiniennem pamiętać nazwisko Hoylanda, bo kiedy go ujrzałem,

przypomniałem sobie jego kompetentną, poważną twarz. Jak wielu naszych agentów ochrony był ex-policjantem, człowiekiem do którego można mieć zaufanie. Mój widok zaskoczył go, nieczęsto zdarzało się bowiem, aby ktoś z

„góry” Stafford Security zjawiał się na pierwszej linii. A szkoda.

Prócz zaskoczenia wyczuwało się w nim zdenerwowanie, gdy próbował wybadać dlaczego fatygowałem się osobiście.

— Nie ma się czym przejmować — uspokoilem go. — Z przyjemnością oderwałem się od biurka. Niech mi pan opowie o tym Billsonie.

Hoyland potarł dłonią policzek.

— Niewiele o nim wiem. Wie pan, jestem tu dopiero od trzech miesięcy.

Przeniesiono mnie, kiedy Laird przeszedł na emeryturę.

Nie miałem o tym pojęcia. Do licha, nie wiedziałem o zbyt wielu sprawach związanych z własną firmą. Stała się zbyt wielka i bezosobowa.

— Tak — powiedziałem.

— Przejąłem akta Lairda i sprawdziłem jak zakwalifikowano Billsona. Został

uznany za całkowicie nieszkodliwego. Znajdował się na szarym końcu moich zainteresowań.

— Ale sprawdził go pan ponownie, kiedy okazało się, że zniknął?

Skinął głową.

— Ma czterdzieści cztery lata, tutaj pracował piętnaście. Osobowość

wykastrowanego królika. Wynajmuje mieszkanie u jakiejś wdowy Harrison.

— Może łączy ich coś więcej?

Hoyland uśmiechnął się promiennie.

— Ona ma siedemdziesiąt lat.

To jeszcze nic nie znaczyło. Ninon de L'Enclos była dziwką mając osiemdziesiąt lat.

— Miał jakieś dziewczyny?

— Nie Billson. Z tego co słyszałem dziewczyny nie leciały na niego.

— No dobra, a chłopcy?

— Też nie. To nie ten typ.

— Nie wydaje się być jakimkolwiek typem — zauważyłem zjadliwie.

— Fakt — odparł Hoyland. — Jest tak niepozorny, że ledwie istnieje. Można przejść obok i nawet go nie zauważyć.

— Istny niewidzialny człowiek — skomentowałem. — Ma wszelkie kwalifikacje na tajniaka.

— Czy piętnaście lat na jednym stanowisku to nie za długo? — zapytał

Hoyland. — Poza tym wszystko zostawił w najlepszym porządku.

— Z tego co nam dotychczas wiadomo. Czy chłopcy z kontrwywiadu wiedzą o tym?

— Węszyli tutaj, ale doszli do takich samych wniosków jak ja.

— Tak — powiedziałem. — Najprawdopodobniej Billson leży bez

świadomości w jakimś szpitalu. Tkwi w tym jednak jakaś tajemnica. Dlaczego otrzymywał zbyt wysokie zarobki i dlaczego zarząd tak skąpi informacji na ten temat?

Hoyland skinął głową.

— Najpierw rozmawiałem o tym ze Stewartem, jego bezpośrednim szefem, ten odesłał mnie do Isaacsona, a od niego nic nie wyciągnąłem.

— Zobaczę, co mogę zrobić — powiedziałem i udałem się na poszukiwanie Stewarta. Okazał się rudowłosym Szkotem, jednym z tych księgowych nowej generacji, dla których nic nie znaczą zakurzone rejestry, istotne są natomiast cyferki tańczące we wnętrzu komputera.

Nie, nie miał pojęcia dokąd Billson mógł się udać. Właściwie nic o Billsonie nie wie i kropka.

— Czy nie jest to dziwne jak na szefa działu? Z pewnością wie pan co nieco o swoich podwładnych.

— To bardzo dziwny człowiek — odparł Stewart. — Zazwyczaj pełen

rezerwy, czasami zdolny jednak do niepohamowanych wybuchów. Niekiedy

trudno z nim dojść do ładu. — Wzruszył ramionami. — Awanturuje się o

niesprawiedliwe traktowanie ludzi, niedocenianie ich osiągnięć. Jest przy tym bardzo zgorzkniały.

— Ma na myśli siebie?

— Nie, zawsze chodziło o innych, których represjonowano lub oszukano.

— Mą to jakieś podłoże polityczne?

— Skądże — stanowczo zaprzeczył Stewart. — Polityka zupełnie go nie obchodzi.

— Czy dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków?

Stewart obdarzył mnie znużonym spojrzeniem i ze zbytnią ostrożnością powiedział:

— Nasze polecenia wykonywał w sposób zadowalający.

— Czy określiłby go pan jako karierowicza? — uśmiechnąłem się. — Może szykował mu się awans, czy coś w tym rodzaju?

— Nic z tych rzeczy — w tym momencie Stewart zorientował się, że powiedział to zbyt szybko i zdecydowanie. — Brakowało mu dynamiki.

— Od jak dawna pracuje pan w firmie, panie Stewart?

— Od czterech lat. Ściągnięto mnie z Glasgow, kiedy biuro zostało skomputeryzowane.

— Czy w tym czasie występował pan może o zwolnienie Billsona, lub przeniesienie go do innego działu?

Stewart drgnął.

— Ja... no... tak, proponowałem coś takiego, zdecydowano jednak, by go zatrzymać.

— Zakładam, że decyzję tę podjął pan Isaacson.

— Tak. Będzie pan musiał jego o to zapytać. — Odetchnął z wyraźną ulgą.

Tak też zrobiłem. Isaacson okazał się bardziej wyrafinowanym typem

księgowego. Stewart wiedział jak sprawić, by cyferki skakały przez przeszkody, zaś Isaacson wybierał przeszkody, przez które miały skakać. Był ekspertem prawnym spółki, szczególnie w sprawach dotyczących opodatkowania.

— Billson! — powiedział z uśmiechem. — W języku jidisz jest słowo świetnie charakteryzujące ludzi jego pokroju. Nebbish.

— Co to znaczy?

— To ktoś mniej niż nic nie znaczący. Mówiąc obrazowo: jeśli jakiś

człowiek wychodzi z pokoju, a ma się wrażenie, jakby ktoś właśnie wszedł, to taka osoba jest nebbish.

Rozsiadłem się wygodniej na krześle i spojrzałem uważnie na Isaacsona.

— A więc mamy tu nebbisha, który wyciąga 8.000 funtów rocznie za pracę wartą najwyżej 2.000. Czym pan to wytłumaczy?

— Wcale nie muszę — odparł lekko. — Może pan o tym pomówić z naszym dyrektorem, panem Graysonem.

— A gdzie mogę znaleźć pana Graysona?

— Przykro mi, ale to będzie chyba trudne — odpowiedział bez odrobiny żalu w głosie. — Jest w Szwajcarii, na nartach.

Sprawiał wrażenie tak cholernie zadowolonego z siebie, że najchętniej bym mu przyłożył. Opanowałem się jednak i wycedziłem przez zęby:

— Panie Isaacson, moja firma ponosi wyłączną odpowiedzialność za bezpieczeństwo Franklin Engineering. Zniknął tu człowiek i ten brak

współpracy z waszej strony wydaje mi się bardzo dziwny. Czy nie uważa pan, że jest to bardzo osobliwe?

Bezradnie rozłożył ręce.

— Powtarzam, panie Stafford, że wszelkich wyjaśnień dotyczących osoby pana Billsona może udzielić wyłącznie dyrektor.

— Który właśnie zjeżdża z górki na parze desek. — Nasze spojrzenia

skrzyżowały się. — Stewart chciał zwolnić Billsona, jednak pan się temu sprzeciwił. Dlaczego?

— Nie ja, tylko pan Grayson. Stwierdził, że Billson musi zostać.

— Z pewnością spytał go pan o powody.

— Oczywiście. — Issacson pokręcił głową. — Nie podał żadnych. —

Zamilkł na chwilę. — Panie Stafford, zupełnie nic nie wiem o Billsonie, poza tym, że był powiedzmy... protegowany.

Zastanowiłem się. Dlaczego Grayson miałby traktować Billsona jak dobrego wujaszka?

— Czy wiedział pan, że Billson był protegowany, wtedy gdy Stewart chciał go zwolnić?

— O tak — smutno uśmiechnął się Isaacson. — Sam chciałem go zwolnić

dziesięć lat temu. Kiedy Stewart wysunął tę propozycję, pomyślałem, że jeszcze raz spróbuję u pana Graysona. Niestety, sytuacja nie uległa zmianie.

— Chyba poruszę tę sprawę na wyższym szczeblu, może z waszym prezesem zarządu.

— Jak pan sobie życzy — chłodno rzucił Isaacson.

Zdecydowałem się jeszcze bardziej obniżyć temperaturę.

— I jeszcze jedna sprawa, panie Isaacson. Kiedy pan Hoyland zwraca się do pana po informacje, proszę nie mówić, powtarzam: nie mówić mu, że

informacje, których żąda nie są związane z ochroną. Przekaze mu pan wszelkie posiadane informacje, tak jak mnie. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno?

— Nad wyraz. — Usta Isaacsona zacisnęły się w wąską kreskę.

— Bardzo dobrze. Udostępni pan Hoylandowi wszystkie materiały dotyczące Billsona. W szczególności wykaz jego zarobków. Pomówię z nim jeszcze przed odjazdem. — Wstałem. — Do widzenia panie Isaacson.

Zajrzałem do Hoylanda i poleciłem, aby sprawdził interesujące mnie dane, a następnie wyruszyłem na poszukiwanie wdowy Harrison. Okazała się

dobroduszną, pełną macierzyńskich uczuć staruszką, wynajmującą pokoje, by dorzucić parę pensów do niewielkiej renty. Według niej Billson był bardzo miłym dżentelmenem. Nie przysparzał żadnych kłopotów w domu, ani nie

dręczył jej sumienia upodobaniem do kobiet. Nie miała pojęcia, dlaczego odszedł i martwiła się, nie wiedząc co zrobić z jego pokojem, w którym wciąż znajdowało się sporo jego rzeczy.

— Przecież muszę z czegoś żyć — powiedziała. — W dzisiejszych czasach renta nie starcza na wiele.

Opłaciłem pokój za miesiąc z góry i obciążylem tym konto Franklin

Engineering. Gdyby Isaacson to kwestionował, powiedziałbym mu coś do słuchu.

Przed odejściem Billsona nie zauważyła w jego zachowaniu niczego szczególnego.

— Nie, nic się nie zmienił. Owszem zdarzało się, że bywał czasami bardzo zdenerwowany, ale taką już miał naturę. Pozwalałam mu się wtedy wygadać i nie zwracałam na to specjalnej uwagi.

— W poniedziałek miał zjawić się w pracy, ale nie zrobił tego. Pani

Harrison, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— W poniedziałek w nocy. Sądziłam, że był normalnie w biurze, nic mi nie powiedział.

— Czy nie wydawał się pani wówczas czymś rozdrażniony?

— Tak, trochę. Mówił coś o braku sprawiedliwości nawet w sądach. Mówił, że bogate gazety stać na drogich adwokatów, więc taki biedak jak on nie ma żadnych szans. — Roześmiała się. — Tak się zdenerwował, że przewrócił słoik z klejem. Ale on właśnie taki był, panie Stafford.

— O! A cóż on robił ze słoikiem kleju?

— Wklejał coś do swojego albumu z wycinkami. Tego, w którym zbierał

wszystko o swoim ojcu. Stale o nim wspominał, choć nie sądzę, żeby go pamiętał. To zresztą zrozumiałe, prawda? Był małym chłopcem, kiedy zginął

jego ojciec.

— Czy kiedykolwiek pokazywał pani ten album?

— O tak, to jedna z pierwszych rzeczy jakie zrobił, kiedy wprowadził się tu osiem lat temu. W rok po śmierci mojego świętej pamięci męża. W albumie pełno było zdjęć wyciętych z gazet i czasopism, wszystkie dotyczyły jego ojca.

Mnóstwo aeroplanów, takich staromodnych, jakie mieli w czasie pierwszej wojny światowej.

— Dwupłatówców?

— Miały dużo skrzydeł — odrzekła wymijająco. — Nie znam się specjalnie na samolotach. Ale nie przypominały odrzutowców, jakie mamy teraz. Wiele razy opowiadał mi o swoim ojcu, jakby był jakimś bohaterem. Po jakimś czasie przestałam słuchać i puszczałam to mimo uszu. Zdaje się uważał, że jego ojca oszukano, czy coś takiego.

— Czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, abym zobaczył jego pokój?

Chciałbym rzucić okiem na ten album.

Zmarszczyła brwi.

— Ależ proszę, chociaż jak się nad tym zastanawiam, to nie wydaje mi się, żeby ten album tam był. Zawsze leżał na toalecie, a nie widziałam go tam przy sprzątaniu.

— Mimo to chciałbym zobaczyć pokój.

Do zamieszkania było to raczej kiepskie miejsce. Nie tyle pozbawione

wygód, co bardzo ponure. Meble były masywne, „edwardiańskie” oraz kanciaste z lat trzydziestych i czysty, choć wytarty, dywan. Sprężyny jękliwie

zaprotestowały, gdy usiadłem na łóżku. Przyglądając się krzykliwej reprodukcji

„Światła świata” Holmana Hunta, zastanawiałem się, dlaczego człowiek

zarabiający osiem tysięcy funtów rocznie miałby mieszkać w takiej norze.

— Ten album — powiedziałem.

— Zniknął. Widocznie zabrał go ze sobą.

— Czy jeszcze czegoś brakuje?

— Zabrał brzytwę i pędzel do golenia — powiedziała pani Harrison. — I szczoteczkę do zębów. Parę koszul, kilka par skarpet i innych rzeczy. Nie więcej niż zmieściłoby się w małej walizce. Policja zrobiła już listę. .

— Czy policja wie o albumie?

— Nigdy nie przyszło mi to do głowy. — Nagle zdenerwowała się. — Myśli pan, że powinnam im była powiedzieć?

— Proszę się nie martwić — odparłem. — Ja im powiem.

— Mam nadzieję, że uda się panu odnaleźć pana Billsona — zawahała się. —



Nie chciałabym, żeby przytrafiło mu się coś złego. Doprawdy powinien już dawno ożenić się z kimś, kto by o niego dbał. Siostra przychodziła do niego co miesiąc, ale to przecież nie wystarczało.

— On ma siostrę?

— Nie taką prawdziwą, myślę, że to przyrodnia siostra. Ma inne nazwisko, a nie jest mężatką. Jakieś dziwne cudzoziemskie nazwisko, nigdy nie mogę go zapamiętać. Przychodzi i dotrzymuje mu towarzystwa wieczorem gdzieś ze dwa razy w miesiącu.

— Czy ona wie, że zniknął?

— Nie mam pojęcia skąd miałyby wiedzieć, chyba że policja jej powiedziała.

Nie znam jej adresu, ale wiem, że mieszka w Londynie.

— Zapytam ich — powiedziałem. — Czy pan Billson miał jakieś

przyjaciółki?

— Ależ skąd, proszę pana. — Przecząco pokręciła głową. — Rozumie pan, problem w tym, która chciałyby go poślubić. Nie żeby coś z nim było nie w porządku — dodała pośpiesznie. — Ale on w ogóle nie zabiegał o względy kobiet.

Idąc na posterunek policji, zastanawiałem się jeszcze raz nad tym wszystkim, co usłyszałem. Przypominało to epitafium.

Sierżant Kaye nie był zbyt przejęty.

— To żadne przestępstwo, jeżeli człowiek postanawia odejść — powiedział.

— Gdyby chodziło o sześciolatnie dziecko, wtedy poruszylibyśmy niebo i ziemię, ale Billson jest dorosłym człowiekiem. — Gwałtownie szukał jakiegoś porównania. — To tak, jakby powiedział pan, że mu współczuje, bo jest sierotą, no, wie pan co mam na myśli.

— Może i jest dorosły, ale z tego co słyszę, to niezbyt rozgarnięty.

— Czyja wiem? — odparł Kaye. — Miał dobrą posadę we Franklin

Engineering i niezłą pensję. Do tego trzeba czegoś więcej niż półgłówka. Poza tym dobrze dbał o swoje pieniądze przed i po zniknięciu.

— Proszę powiedzieć mi coś więcej na ten temat.

— No cóż, sporo zaoszczędził. Swój rachunek bieżący utrzymywał stale na wysokości mniej więcej miesięcznej pensji, ale w depozycie miał blisko dwanaście tysięcy funtów. W ubiegły wtorek rano, zaraz po otwarciu banku, podjął wszystko.

— A niech mnie kule biją! Ale chwileczkę, sierzancie, depozyty można podejmować tylko z siedmiodniowym uprzedzeniem.

Kaye uśmiechnął się.

— Chyba, że przez ponad tuzin lat jest się solidnym, nie sprawiającym kłopotów klientem, a później poprosi się dyrektora banku o przysługę —

otworzył przede mną krynice swej mądrości. — Ludzie rzucają wszystko z różnych powodów. Jedni próbują uciec od kobiety, drudzy lecą za nią. Inni mają po prostu dosyć swego dotychczasowego stylu życia i odcinają się od niego bez hałasu. Gdybyśmy w każdym przypadku mieli wszczynać dochodzenie na pełną skalę, to brakłoby nam czasu na inne sprawy, a nicponie, których mamy gonić, mieliby niezły ubaw. On chyba nie popełnił żadnego przestępstwa, prawda?

— Nic mi o tym nie wiadomo. A co na to kontrwywiad?

— Chłopcy od płaszcza i szpady? — w głosie Kaya brzmiała nutka pogardy.

— Uważają, że jest czysty, a ja uważam, że mają rację.

— Przypuszczam, że sprawdził pan szpitale?

— W obrębie dzielnicy. To działanie rutynowe.

— On ma siostrę, czy ona już wie?

— Przyrodnią siostrę — poprawił. — Była tu w ubiegłym tygodniu.

Sprawiała wrażenie zrównoważonej kobiety, nie okazała żadnego zdenerwowania.

— Mógłbym dostać jej adres?

Zapisał go w notatniku i wyrwał kartkę. Gdy chowałem ją do portfela, spytałem:

— A nie zapomni pan o albumie?

— Wpiszę to do akt — odparł Kaye cierpliwie. Widziałem jednak, że nie przywiązywał do tego wielkiej wagi.

Zjadłem spóźniony lunch, po czym zadzwoniłem do Joyce, do biura.

— Dzisiaj już nie przyjdę — powiedziałem. — Czy masz tam coś dla mnie?

— Pani Stafford prosiła o przekazanie, że nie będzie jej dziś wieczorem w domu. — Głos Joyce

brzmiał podejrzenie chłodno i beznamiętnie.

Miałem nadzieję, że udało mi się nie okazać irytacji. Powroty do pustego domu coraz bardziej mnie męczyły.

— W porządku. Mam dla ciebie robotę. Przejrzyj wszystkie niedzielne

gazety z 2 listopada. Wybierz wszystko, co dotyczy człowieka nazwiskiem Billson. Najpierw spróbuj w prasie ogólnokrajowej, a jeśli Luton ma wydanie niedzielne, to też sprawdź. Jeśli nic nie znajdziesz, przeszukaj wszystkie dzienniki z ubiegłego tygodnia. Jutro rano chcę to mieć na swoim biurku.

— To chyba jakieś ćwiczenia karne.

— Jeśli musisz, to weź sobie kogoś do pomocy. I powiedz panu

Mallesonowi, że spotkam się z nim o czwartej w Intern-City Building na zebraniu zarządu.

Nie wiem, czy lubiłem Brintona, czy nie. Trudno się było czegoś o nim dowiedzieć. Minimalnie udzielał się towarzysko i, patrząc obiektywnie, był

jedynie niezwykle efektywną maszyną do robienia pieniędzy. Zdawał się rozumować inaczej niż reszta ludzi. Słuchał argumentów wysuwanych za i przeciw jakiemuś projektowi, które przedstawiał cały regiment zatrudnianych przez niego księgowych i prawników. Następnie podejmował decyzję. Często nie miała ona nic wspólnego z tym, co mu powiedziano, a może umiał dostrzec możliwości, których nikt inny nie widział. W każdym razie, niektóre z jego wyczynów zdumiewały tak samo, jak wyciągnięcie przez sztukmistrza królika z kapelusza. Wraz z upływem czasu okazywało się, że to co zrobił miało logiczne uzasadnienie, lecz tylko on miał ten dar przewidywania. Dlatego też stał się bogaty.

Kiedy wraz z Charlie Mallesonem założyliśmy organizację, która później przekształciła się w Stafford Security Consultants Ltd., popadliśmy w normalne kłopoty dotyczące małe firmy z wysokimi aspiracjami. Pojawiła się masa różnych możliwości przechodzących koło nosa z powodu braku finansów. Lord Brinton przybył na pomoc ze sporym zastrzykiem kapitału, za który wziął dwadzieścia pięć procent naszych akcji. My natomiast przejęliśmy ochronę imperium Brintona.

Niepokoiliśmy się trochę, kiedy dokonywaliśmy tej transakcji, gdyż Brinton miał opinię spekulanta dokonującego podejrzanych interesów. Oświadczyłem mu stanowczo, że będziemy pracować zgodnie z prawem i zajmujemy się

wyłącznie ochroną, a nie drugą stroną medalu — szpiegostwem przemysłowym.

Nieznacznie uśmiechnął się, odparł, że szanuje moją uczciwość i że mogę prowadzić firmę według własnego uznania.

Dotrzymał też słowa i nigdy się nie wtrącał, chociaż jego bystrzy, wspaniali chłopcy sugerowali czasami, abyśmy poszli przez przepisy na skróty. Nie wrócili już, kiedy odesłałem ich do Brintona.

Szpiegostwo przemysłowe jest chorobą społeczną, czymś zbliżonym do

choroby wenerycznej. Nikt nie zaprzeczy, że się przed nim zabezpiecza, lecz nikt nie przyzna się, że się nim zajmuje. Zawsze podejrzewałem, że Brinton, jak każdy bezwzględny, finansowy sukinsyn, tkwił w nim po szyję. Wykorzystałem więc możliwości płynące z charakteru firmy, aby trochę powęszyc. Miałem rację. Zatrudniał kilka firm, które od czasu do czasu szperały dla niego. Jeśli o mnie chodzi, to nie miałem nic przeciwko temu tak długo, dopóki mnie o to nie prosił. Jednak wcześniej, czy później musiał spróbować tego na którymś z naszych klientów, a wówczas wybiłbym mu to młotkiem z głowy, nie oglądając się na to, czy ma dwadzieścia pięć procent naszych akcji, czy nie. Jak dotąd jednak do tego nie doszło.

Na spotkanie przybyłem nieco wcześniej i zastałem go w jego biurze

mieszczącym się wysoko ponad City. Rozmiarami gabinet tylko nieznacznie przewyższał salę balową, a jedna ze ścian została w całości przeszklona tak, że mógł spoglądać na swoje pole działania. Nie udało mi się dostrzec żadnego biurka, ale do siedzenia za biurkiem zatrudniał innych ludzi.

Ze skrzypieniem uniósł się z fotela.

— Miło mi cię widzieć, Max. Patrz co sobie sprawiłem.

Miał nową zabawkę, ogień wesoło palący się w kominku wystarczająco dużym, by upiec wołu.

— Nie mam nic przeciwko centralnemu ogrzewaniu — powiedział. — Nie ma to jednak, jak dobry ogień do ogrzania takich starych kości, jak moje.

Zupełnie jakby coś żywego było w pokoju, dotrzymuje mi towarzystwa i nie odpyskuje.

Spojrzałem na kominek wypełniony węglem bitumicznym.

— Czy nie naruszasz w ten sposób przepisów o strefie bezdymnej?

Przecząco pokręcił głową.

— W komin jest wbudowany filtr elektrostatyczny. Nie ulatuje żaden dym.

Musiałem się uśmiechnąć. Kiedy Brinton robił cokolwiek, to robił to z klasą.

Jednocześnie stanowiło to kolejny przykład jego sposobu myślenia. Chcesz mieć ogień bez dymu? W porządku, zainstaluj zabawkę za kilkanaście tysięcy funtów, aby go zlikwidowała. I nie kosztowało go to zbyt drogo. Był właścicielem fabryki produkującej te rzeczy i przypuszczam, że w księgach firmy znalazło się to pod hasłem „Badania i rozwój — testowanie wyrobu.”

— Drinka? — zapytał.

— Tak — odparłem. — Dzień roboczy chyba już się skończył. Nacisnął

guzik obok kominka i nie wiadomo skąd pojawił się barek. Pokrytą bliznami twarz Brintona wykrzywił łobuzerski uśmiech.

— Posiedzenia zarządu nie uważasz za pracę?

— To raczej zabawa.

Nalał do szklanki miarkę Taliskera, dodał taką samą ilość wody Malverna i podał mi.

— Tak, nigdy nie żałowałem pieniędzy, które włożyłem w twoją firmę.

— Miło mi to słyszeć. — Pociągnąłem whisky.

— Osiągnąłeś w tym roku jakiś zysk?

Uśmiechnąłem się szeroko.

— Musisz o to zapytać Charliego. On żongluje cyframi i pichci w księgach.

— Wiedziałem co do pensa ile zarobiliśmy, ale stary Brinton lubił chyba szczyptę figlarności dodaną do interesów.

Spojrzał nad moim ramieniem.

— Oto i on. Wkrótce dowiem się, czy mam coś na uzupełnienie mojej emerytury.

Zabraliśmy się do roboty. Charlie przyjął drinka i zaczął wypluwać z siebie terminy: amortyzacja, przepływ gotówki, zysk i cały ten żargon, który można wyczytać na ostatnich stronach gazet. Jako sekretarz firmy i księgowy, zdwoił

działania mające na celu utrzymanie kosztów własnych na niskim poziomie.

Posiadał na własność taki skrawek firmy, który czynił go odpowiednio skąpym i niechętnym tworzeniu administracyjnego imperium, które nie przynosiło zysku.

Można powiedzieć, że mieliśmy dobry rok i mogliśmy się opędzić od głodu kawiozem i szampanem. Omawialiśmy plany dalszego rozwoju i możliwość

wejścia na rynki Europy według przepisów EWG. W końcu doszliśmy do

punktu „Inne sprawy” i zacząłem myśleć o pójściu do domu.

Brinton trzymał ręce na stole, pochłonięty studiowaniem plam wątrobowych.

— Panowie, jest jedna chmura na błękitnym niebie — powiedział. — Mam kłopoty z Andrew McGovernem.

— Z Whensley Group? — spytał Charlie unosząc brwi.

— Właśnie — odparł Brinton. — Z sir Andrew McGovernem, prezesem

Whensley Group.

Grupa towarzystw Whensley’a stanowiła spory skrawek aktywów Brintona.

Jednak w tej chwili nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy posiadał udział

umożliwiający ich kontrolowanie, czy też nie.

— O co chodzi? — spytałem.

— Andrew McGovern twierdzi, że system zabezpieczenia kosztuje go zbyt drogo. Mówi, że sam może to zrobić taniej.

Gorzko uśmiechnąłem się do Charliego.

— Jeżeli zrobi go taniej, to będzie do bani. W tych sprawach nie chodzi się na skróty i jest to robota dla ekspertów, którzy wiedzą, co robią. Jeżeli spróbuje zrobić to sam, to padnie na nos.

— Wszystko to wiem — powiedział Brinton wciąż spoglądając na swoje ręce. — Ale jestem pod pewną presją.

— To pięć procent naszego interesu — odezwał się Charlie. — Nie chciałbym ich stracić.

Brinton uniósł wzrok.

— Nie sądzę, abyś je stracił, a przynajmniej nie na stałe.

— Czy to znaczy, że pozwolisz McGovernowi zrobić to, co chce? — zapytał Charlie.

Brinton uśmiechnął się, lecz nie był to szczery uśmiech.

— Zamierzam dać mu sznur, którego tak pragnie, ale szybciej niż się tego spodziewa. Z końcem tego miesiąca może przejąć odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo.

— Słuchaj! — powiedziałem. — To już za dziesięć dni.

— Dokładnie. — Brinton stuknął palcem w stół. — Przekonamy się, jak

dobrą robotę wykona w tak krótkim terminie. A w jakiś czas później szarpnę za sznur i zobaczę, czy wsadził szyję w pętlę.

— Jeżeli zabezpieczenie ma pozostać na dotychczasowym poziomie, to

będzie musiał zapłacić więcej. To pole działania dla specjalistów, a dobrych ludzi nie ma na pęczki. Jeżeli uda mu się ich znaleźć, to będzie musiał dobrze zapłacić. Ale nie znajdzie ich. Sam natknąłem się na ten problem w trakcie opracowywania programu rozwojowego, a przecież ja wiem czego szukam, a on nie. Ucierpi więc na tym poziom zabezpieczenia. Powstaną w nim dziury wystarczająco duże, by przeszedł przez nie cały batalion szpiegów

przemysłowych.

— No właśnie — zgodził się Brinton. — Wiem, że od czasu do czasu wypróbujesz sprawność własnego zabezpieczenia.

— To niezbędne — odparłem. — Zawsze robimy próbne biegi, żeby sprawdzić obronę.

— Wiem. — Brinton uśmiechnął się złośliwie. — Za trzy miesiące zaangażuję firmę zabezpieczeniową, nie waszą, celem przeprowadzenia operacji przeciwko ochronie McGoverna i zobaczymy, czy wystawił już głowę na tyle, aby można mu było ją uciąć.

— Masz więc zamiar nie tylko powiesić go, ale i ściąć — zakończył bez uśmiechu Charlie.

— Możemy też dorzucić do tego łamanie kołem i ćwiartowanie. Jestem już nieco zmęczony Andrew McGovernem. Dostaniecie ten interes z powrotem, a może i coś więcej.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedział Charlie. — Whensley

Group to tylko pięć procent naszego interesu, lecz o wiele większa część dochodów. Wiesz, że nie uda się nam zmniejszyć aż tak kosztów własnych.

Może to zaszkodzić naszym planom rozwojowym.

— Nic się wam nie stanie — odparł Brinton. — Obiecuję.

I tym musieliśmy się zadowolić. Jeżeli klient nie chce robić z tobą interesów, to nie możesz mu tego narzucać siłą.

Charlie przeprosił i opuścił nas, mnie Brinton zatrzymał jeszcze na chwilę.

Wziął mnie pod ramię i podprowadził do kominka, gdzie stanął grzejąc sobie ręce.

— Jak się ma Gloria?

— Dobrze — powiedziałem.

Być może nie zadałem sobie trudu, aby zabrzmiało to dość przekonująco, gdyż zachnął się i spojrzał na mnie ostro.

— Jestem człowiekiem sukcesu — powiedział. — A to dlatego, że wycofuję się bez względu na koszty, gdy interes się psuje. Czy nie masz nic przeciwko tej drobnej radzie starego człowieka?

Uśmiechnąłem się.



— Najlepsze w radach jest to, że nie trzeba z nich korzystać.

Zjechałem jego prywatną windą na zatłoczoną ulicę, gdzie włączyłem się w tłum ludzi pośpiesznie zdążających do domu po całodziennej pracy. Ja osobiście nie spieszyłem się specjalnie, bo nie miałem domu, tylko kilka ścian i dach.

Zamiast tego poszedłem więc do klubu.

Następnego ranka, po przybyciu do biura czułem się nieco lepiej. Po dłuższej przerwie odwiedziłem klub szermierczy. Dwie godziny ciężkiej pracy uwolniły mnie od frustracji. Podziały też na lekkie zgrubienie w pasie — skutek zbyt długiego przesiadywania za biurkiem.

Biurko jednak nie zniknęło, usiadłem więc za nim i rozejrzałem się za informacją dotyczącą Billsona, którą miała wyszukać Joyce. Nic nie znalazłszy poprosiłem ją do siebie.

— Nie dowiedziałaś się niczego o Billsonie?

Zatrzepotała niewinnie rzęsami.

— Niech pan zajrzy do korespondencji.

Kopertę z napisem „Billson” znalazłem na samym dnie. Szeroko

uśmiechnąłem się do Joyce.

— Niezła próba, Joyce, ale sam ustalę sobie kolejność prac.

Z chwilą, gdy Brinton dał firmie zastrzyk gotówki, rozrosła się ona z niemal wybuchową siłą. Postanowiłem wówczas, że przynajmniej raz na pół roku poprowadzę jedną akcję w terenie, aby nie stracić kontaktu z ludźmi. Nawał

pracy sprawił jednak, że wszystkie dobre postanowienia wzięły w łeb, skutkiem czego nie byłem już w akcji od piętnastu miesięcy. Może sprawa Billsona stanowiła okazję do sprawdzenia, czy ostrze nie uległo jeszcze stępieniu.

— Część mojej pracy przekażę panu Ellisowi — powiedziałem nagle.

— Nie będzie tym zachwycony — odparła Joyce.

— Gdyby potrafił mnie samochód i miałbym złamaną nogę, musiałby ją

przejąć w całości. Dobrze mu to robi. Przypomnij, abym z nim porozmawiał, gdy wróci z Manchesteru.

Joyce wyszła, a ja otworzyłem kopertę i wyjąłem czterostronicowy artykuł

zawierający skrótowo naszkicowaną historię życia i epoki Petera Billsona, pioniera awiacji. A wszystko to w dodatku niedzielnym — natychmiastowa wiedza bez żadnego zachodu. Tytuł brzmiał: „Dziwna historia «Odlatującego Petera»„. Całość zilustrowano niegdyś czarno—białymi fotografiami,

zabarwionymi teraz osobliwymi odcieniami błękitu i żółci, żeby ożywić strony tego ponoć kolorowego pisma.

W skrócie przedstawiało się to następująco. Kanadyjczyk Billson urodził się w odpowiedniej chwili, bo w tym samym 1903 roku pierwszy aeroplan wzniósł

się w niebo. Zbyt młody, aby odbyć służbę w czasie pierwszej wojny światowej, został wykarmiony opowieściami o walkach powietrznych na froncie

zachodnim. Tak silnie podziały one na jego wyobraźnię, że oszalał na punkcie latania. Zapalił się też do konstruowania i w wieku 21 lat zbudował nawet własny samolot. Jednak niezbyt dobry, bo się roztrzaskał.

Nie miał szczęścia. Trwała już złota epoka awiacji i wybierano mu wszystkie rodzyнки z ciasta. Pionierskie lata wymagały pieniędzy lub sponsora z pieniędzmi, a on nie miał ani jednego, ani drugiego. Pod koniec lat

dwudziestych Alan Cobham latał na Daleki Wschód, do Australii i Południowej Afryki. W 1927 Lindbergh przeleciał samotnie Atlantyk, a Byrd szczęśliwie zaliczył dublet nad Biegunem Północnym i Południowym. Przyszły wczesne lata trzydzieste, Amy Johnson, Jim Mollison, Amelia Earhart i Wiley Post hurtem bili rekordy, a Billson nie miał szans, aby wziąć w tym udział i odnieść sukces.

Udało mu się to jednak w następnym etapie. Bicie rekordów to piękna

sprawa, nadszedł już jednak czas sprawdzania tras, co miało poprzedzić fazę trzecią, to jest regularne loty komercyjne. Gazety wykorzystywały

zainteresowanie społeczne, organizując długodystansowe wyścigi, takie jak Wyścig Powietrzny Anglia—Australia z 1934 roku, wygrany przez Scotta i Campbella-Blacka. Billson przyleciał jako drugi w wyścigu z Vancouveru na Hawaje i jako pierwszy w próbnym przewozie poczty na trasie Vancouver—

Montreal. Stał się tam wreszcie bohaterskim, nieustraszonym lotnikiem. Wprost trudno uwierzyć, jakim nimbem otaczano tych pierwszych pilotów. Nawet współczesnym astronautom nie poświęca się tyle uwagi.

W tym mniej więcej czasie jakiś bystry dziennikarz nadał mu przydomek

„Odlatujący Peter”, nawiązujący do dziecięcej wyliczanki. Była to niezła reklama i Billson poszedł na ten żart do tego stopnia, że swemu nowo

narodzonemu synowi dał na imię Paul, a w 1936, kiedy zgłosił się do wyścigu Londyn—Kapsztad, swój samolot Northrop Gamma nazwał „Flyaway”. Jako

jeden z pierwszych został on w całości zbudowany z metalu.

Wyścig zorganizowała gazeta, która z entuzjazmem waliła w bęben,

oznajmiała, że wszyscy uczestnicy wyścigu będą ubezpieczeni od

nieszczęśliwych wypadków na sumę ni mniej, ni więcej, tylko 100.000 funtów.

Wyścig rozpoczął się. Billson wylądował w Algierze dla nabrania paliwa i ponownie wystartował kierując się na południe. Jego samolotu nigdy już nie widziano.

Helen — żona Billsona przeżyła naturalnie szok i upłynęło kilka tygodni, zanim wystąpiła do gazety o odszkodowanie. Gazeta skierowała ją do

towarzystwa ubezpieczeniowego, które zwlekało i wahało się. W 1936 roku sto tysięcy funtów to była kupa pieniędzy. W końcu wyraźnie oświadczyło, że nie wypłaci żadnych pieniędzy i pani Billson wniosła sprawę do sądu.

Salę rozpraw ożywił świadek obrony — Południowoafrykańczyk nazwiskiem Hendrik van Niekirk, który zeznał pod przysięgą, że widział Billsona całego i zdrowego w Durbanie w cztery tygodnie po zakończeniu wyścigu. Wywołało to sensację i sprzedaż tej gazety niewątpliwie znacznie wzrosła. Oskarżyciel starał

się zbić zeznania van Niekirka, lecz ten nie ugiął się. Spotkał Billsona w czasie pobytu w Kanadzie i był pewien, że go rozpoznał. Czy rozmawiał z Billsonem w Durbanie? Nie, nie rozmawiał.

Wszystko to bardzo niepewne.

Sędzia zsumował wypadki i sprawę oddano ławie przysięgłych, która po

długotrwałych naradach oddaliła żądanie powódki. A więc żadnych stu tysięcy funtów dla pani Billson, która w związku z tym niezwłocznie złożyła apelację.

Sąd apelacyjny obalił wyrok ze względów formalnych, mianowicie wskazówki sędziego głównego dla ławy przysięgłych były zbyt precyzyjne. Towarzystwo ubezpieczeniowe odwołało się do Izby Lordów, która nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego. Tak więc pani Billson otrzymała swoje sto tysięcy funtów. Czy żyła odtąd długo i szczęśliwie, tego autor artykułu nie napisał.

Tyle, jeżeli chodzi o treść; ton artykułu to zupełnie inna sprawa. Napisany przez zręcznego dziennikarza, bardzo efektywnie podcinał reputację człowieka, który żywy, lub martwy, nie mógł się bronić. Zalatywało od niego zawiścią samolubnego człowieka, któremu sprawiało przyjemność szkodenie ludziom lepszym od siebie. Jeśli ten właśnie artykuł przeczytał Paul Billson, to trudno się dziwić, że szlag go trafił.

Artykuł kończył się spekulatywną nutą. Zwróciwszy uwagę, że towarzystwo ubezpieczeniowe straciło na formalnościach prawnych, autor pisał:

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Billson przeżył katastrofę, jeśli taka miała w ogóle miejsce, i że Hendrik van Niekirk widział go w Durbanie.

Jeśli to prawda, a tak właśnie uważam, to popełniono oszustwo. Sto

tysięcy zawsze i wszędzie jest sporą kwotą. A sto tysięcy w 1936 roku, to równowartość ponad

350.000 w naszej obecnej, zdeprecjonowanej

walucie.

Jeżeli Peter Billson nie zginął, to ma obecnie 75 lat i spędził życie w luksusie. Ludzie bogaci są długowieczni i nie jest wykluczone, że on

istotnie wciąż żyje. Być może przeczyta te słowa. Może nawet uznać je za oszczercze. Jestem gotów to zaryzykować.

Odlatujący Peterze Billsonie, wracaj! Wracaj!

Rozmyślałem nad tym paskudztwem, kiedy Charlie Malleson wszedł do

biura.

— Przeprowadziłem wstępną analizę konsekwencji utraty Whensley Group — uśmiechnął się kwaśno. — Przeżyjemy to.

— Brinton — powiedziałem i odchyliłem krzesło do tyłu — jest

właścicielem jednej czwartej naszych akcji. Zbyt wiele stawiamy na jedną kartę.

Chciałbym wiedzieć, czy bardzo by nas zabolalo, gdyby zupełnie się od nas odseparował. — Zawiesiłem głos, po czym dodałem: — Albo gdybyśmy sami odseparowali się od niego.

Charlie wpadł w popłoch.

— Chryste Panie! To tak, jak amputacja nogi bez znieczulenia.

— To może się zdarzyć.

— Ale dlaczego miałbyś się odseparowywać? Pieniądze, które wpompował

w firmę, sprawiły, że osiągnęliśmy sukces.

— Wiem — odparłem. — Ale Brinton jest rekinem finansowym. Uzyskanie

korzyści jest dla niego równie naturalnym odruchem, jak dla prawdziwego rekina pochwycenie smakowitego kąska. Uważam Charlie, że jesteśmy narażeni na atak.

— Nie wiem co cię tak nagle przypiliło — rzekł płacząco.

— Nie wiesz? — nachyliłem się do przodu, a nogi krzesła opadły z głuchym stukotem na gruby dywan. — Ubiegłej nocy w trakcie rozmowy trwającej nie dłużej niż cztery minuty straciliśmy piętnaście procent interesu Brintona. A dlaczego? Aby mógł sobie pożyczyć Andrew McGoverna, który najwyraźniej wyłamuje się z szeregu. Tak przynajmniej twierdzi Brinton.

— Nie wierzysz mu?

— Nie w tym rzecz, czy mówi prawdę. Chodzi o to, że nasz interes cierpi na prywatnych intrygach Brintona, nie mających z nami nic wspólnego.

— Tak, rozumiem co masz na myśli — wolno powiedział Charlie.

Spojrzałem na niego uważnie.

— Doprawdy, Charlie? Nie sądzę. Dobrze się jeszcze raz zastanów nad tym, co zaszło wczoraj. Manipulował nami akcjonariusz nie posiadający większości udziałów i okręcił nas sobie dookoła małego palca.

— Na miłość boską, Max! Jeśli McGovern nas nie chce, to nic na to nie poradzimy.

— Wiem o tym. Mogliśmy jednak zrobić coś, czego nie zrobiliśmy. Można było utrzymać Whensley Group zgodnie z kontraktem, który obowiązuje jeszcze przez prawie rok. Zamiast tego wszyscy zgodziliśmy się na posiedzeniu zarządu, aby wycofać się w ciągu dziesięciu dni. Zostaliśmy w to wrobieni, Charlie.

Tańczyliśmy tak, jak nam Brinton zagrał.

Charlie milczał.

— A wiesz dlaczego na to pozwoliliśmy? Bo zbyt baliśmy się stracić pieniądze Brintona. Mogliśmy go przegłosować pojedynczo, lub wspólnie, jednak nie zrobiliśmy tego.

— Nie — ostro powiedział Charlie. — Twój głos mógł go usadzić, masz 51 procent. Ale ja mam tylko 24, przy jego 25.

Westchnąłem.

— W porządku Charlie, moja wina. Ale kiedy ubiegłej nocy leżałem w łóżku, bałem się. Bałem się tego, czego nie zrobiłem. A największą obawą

przejmowała mnie myśl o tym, jakim człowiekiem się stałem. Nie

uruchamiałem tego interesu, żeby stać się czyjąś marionetką i dlatego właśnie twierdzę, że powinniśmy odciąć się od Brintona, jeśli to możliwe. Dlatego chcę, żebyś rozejrzał się za jakimiś innymi źródłami finansów. Jesteśmy teraz na tyle mocni, żeby je zdobyć.

— W tym, co mówisz, może coś być — powiedział Charlie. — Wciąż jednak uważam, że wściekasz się bez należytego powodu. Przesadzasz Max —

wzruszył ramionami. — Mimo to poszukam pieniędzy na zewnątrz, chociażby po to, aby uchronić cię przed szaleństwem. — Zerknął na wycinek z czasopisma leżący na moim biurku. — Co to takiego?

— Historia ojca Paula Billsona. Wiesz, tego księgowego z Franklin

Engineering, który zniknął.

— Jak ta sprawa wygląda?

Pokręciłem głową.

— Nie wiem. Najpierw uznałem Paula Billsona za osobę, u której dewaluacja umysłu osiąga jakieś osiemdziesiąt pensów na funt. Jest jednak kilka rzeczy, które do tego nie pasują.

— No, teraz możesz się już przestać przejmować. Franklin jest częścią Whensley Group.

Zaskoczony uniosłem wzrok.

— Faktycznie — nie przyszło mi to do głowy.

— To, co masz, przekazałbym sir Andrew McGovernowi z najlepszymi

zyczeniami. Widziałeś go ostatnio?

Zastanowiłem się chwilę, po czym przecząco pokręciłem głową.

— Nie, Billson zniknął, kiedy wciąż jeszcze zajmowaliśmy się ochroną, a do końca miesiąca zostało jeszcze kilka dni.

— Masz stanowczo zbyt silnie rozwinięte poczucie etyki.

— Sądzę, że osobiście poprowadzę dalej tę sprawę — powiedziałem. —

Rozpocząłem ją, więc równie dobrze mogę też skończyć. Jack Ellis może mnie zastąpić. Czas już, aby został obarczony większą odpowiedzialnością.

Charlie z aprobatą skinął głową.

— Czy uważasz, że coś kryje się za zniknięciem Billsona? Oczywiście, patrząc z punktu widzenia ochrony Franklin.

Uśmiechnąłem się szeroko.

— Najprawdopodobniej okaże się, że uciekł z czyjąś żoną. Mam nadzieję, że Andrew McGoverna.

Poszedłem na Fleet Street odszukać Michaela Englisha, dziennikarza, który napisał artykuł o Peterze Billsonie. W redakcji myśleli, że jest w klubie prasowym, tam z kolei poradzono mi, abym spróbował w El Vino. W końcu dopadłem go w pubie obok Strandu.

Był wysokim, smukłym, jasnowłosym mężczyzną, który już od pierwszego

wejrzenia nie przypadł mi do gustu. Chociaż na moje uczucia mogło mieć wpływ to, co napisał o Billsonie. Grał kośćmi w pokera z parą innych

dziennikarzy. Kiedy podałem mu wizytówkę, aby wzmóc jego ciekawość,

spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

— Ochrona! — powiedział. W tonie jego głosu dało się wyczuć pewną nerwowość.

Uśmiechnąłem się uspokajająco.

— Chciałbym z panem porozmawiać o Billsonie.

— Ten osiołek! Dlaczego napuścił pana na mnie? — Obawa otulała Englisha jak mgła.

— Widział go pan ostatnio?

— Oczywiście, że widziałem. Przyszedł do redakcji i narozrabiał. Groził

wytoczeniem procesu. — English roześmiał się ponuro. — Nasz prawnik sprytnie go od tego odwiódł.

Celowo udawałem tępego.

— Jestem zaskoczony, że zawracał wam głowę. Jeśli pański artykuł jest zgodny z prawdą, to ma duże szansę zarobić wyrok. Chociaż sądzę, że siwe włosy mogą go uratować.

English spojrział na mnie zaskoczony.

— To nie był stary, tylko ktoś podający się za jego syna. Twierdził, że nazywa się Paul Billson. Urządził niezłe przedstawienie.

Rozejrzałem się i dostrzegłem wolny stolik w rogu.

— Chciałbym z panem porozmawiać na ten temat. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. Co panu zamówić?



English zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

— Nie mam nic przeciwko temu. Dla mnie podwójną szkocką. Kiedy zamówiłem drinki powiedział:

— Przypuszczam, że bada pan tę sprawę dla towarzystwa

ubezpieczeniowego. — Mruknąłem coś niezrozumiale, a English ciągnął dalej.

— Sądziłem, że zrezygnowali już wiele lat temu. Czy tego typu przestępstwa nie ulegają po jakimś czasie przedawnieniu?

Gdy niedbale dolewał wody sodowej do szklanki, uśmiechnąłem się.

— Akta wciąż są otwarte.

Następnego dnia po ukazaniu się artykułu, a dzień przed zniknięciem

Billsona, English został wezwany do biura redaktora naczelnego. Zastał go próbującego uporać się z jakimś człowiekiem, który miotał się po pokoju, rzucając groźby bez związku. Gaydon, redaktor naczelny, powiedział głośno:

— Oto pan English, który napisał ten artykuł. Usiądź Mike, zobaczymy, czy uda się nam jakoś z tym uporać. — Nacisnął przełącznik interkomu. — Proszę zapytać pana Harcourta, czy może przyjść do mojego biura.

English dostrzegł piętrzące się przed nim kłopoty. Harcourt był etatowym radcą prawnym redakcji i jego obecność nie wróżyła niczego dobrego.

Chrząknął i zapytał:

— O co chodzi?

— To jest pan Paul Billson — odparł Gaydon. — Jest wzburzony artykułem o jego ojcu, który ukazał się we wczorajszym numerze.

English spojrział na Billsona. Ujrzał raczej trudnego do określenia mężczyznę, poruszonego obecnie w najwyższym stopniu. Twarz mu pobladła, a na

policzkach wykwitły ciemnoczerwone placki, gdy powiedział:

— To nic innego, jak wyraźne zniesławienie. Domagam się odwołania tego i publicznych przeprosin.

Uspokajającym głosem Gaydon powiedział:

— Jestem pewien, że pan English napisał prawdę taką, jaką ją widział. Co ty na to, Mike?

— Oczywiście masz rację — odparł English. — Każdy fakt został

sprawdzony z oryginalnymi aktami sądowymi i sprawozdaniami prasowymi z tamtego okresu.

— Nie o fakty mi chodzi — odparł Billson. — Tylko o te cholerne wywody dotyczące mojego ojca. W życiu nie czytałem czegoś równie grubiańskiego.

Jeśli nie zostanę publicznie przeproszony, to wniosę pozew do sądu.

Gaydon zerknął na Englisha i gładko rzucił:

— Nie powinno do tego dojść, panie Billson. Jestem pewien, że możemy dojść do jakiejś ugody, lub porozumienia satysfakcjonującego obie strony. —

Uniósł wzrok, gdy Harcourt wszedł do biura i z ulgą w głosie powiedział: — To pan Harcourt z naszego działu prawnego.

Pospiesznie przedstawił mu przedmiot dyskusji, a Harcourt powiedział:

— Czy ma pan kopię tego artykułu?

Usadowił się, aby przeczytać tę dodatkową porcję informacji dostarczoną przez Gaydona. Dopóki nie skończył, w biurze panowała niezręczna cisza.

Gaydon niecierpliwie bębnił palcem wskazującym. English siedział cichutko, mając nadzieję, że nikt nie zauważy kropli potu perlących się na jego czole.

Natomiast Billson wiercił się niespokojnie, w miarę jak rosło w nim napięcie.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Harcourt odłożył czasopismo.

— Panie Billson, o co ma pan właściwie pretensje?

— Czy to nie jest oczywiste? — natarł na niego Billson. — Mój ojciec został

przez to pismo obrzucony wyzwiskami. Domagam się natychmiastowych

przeprosin, albo wniosę pozew. — Wskazał palcem Englisha. — Zaskarżę jego i pismo.

— Rozumiem — odparł Harcourt w zamyśleniu. Pochylił się do przodu. —

Co pana zdaniem przytrafiło się pańskiemu ojcu?

— Uważam, że jego samolot się rozbił — powiedział Billson. — A on

zginął. — Walnął ręką w czasopismo. — To jest zwykły paszkwil.

— Uważam, że nie będzie pan mógł wnieść pozwu — rzekł Harcourt. —

Może pan kogoś zaskarżyć jedynie wówczas, gdy chodzi o pańską reputację.

Rozumie pan? To zasada prawna, że zmarłych nie można znieśliwić.

Przez moment panowała cisza, po czym Billson odparł niepewnie:

— Ale ten człowiek twierdzi, że mój ojciec nie zginął.

— Ale pan wierzy, że tak się stało i to pan wnosiłby sprawę do sądu. Nic by z tego nie wyszło, panie Billson. Oczywiście nie musi pan wierzyć w tej sprawie mojemu słowu. Może pan zasięgnąć rady u swojego adwokata. W zasadzie, gorąco to panu doradzam.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że każdy tandetny pismak może wytarzać w błocie nazwisko mojego ojca i ujdzie mu to na sucho? — Billson trząśł się ze złości.

Harcourt odparł poważnie:

— Uważałbym na słowa, panie Billson, bo role mogą się odwrócić. Taki niepowściągliwy język może przysporzyć panu kłopotów.

Billson wstając przewrócił krzesło.

— Niewątpliwie zasięgnę porady prawnej — krzyknął i wlepił wzrok w

Englisha. — Dobiorę ci się do skóry, ty draniu!

Drzwi zatrasnęły się za nim.

Harcourt wziął czasopismo i otworzył na artykule Englisha. Starając się nie patrzeć wprost na jego autora powiedział do Gaydona.

— Jeśli w przyszłości będziecie chcieli opublikować tego rodzaju materiał, to proponuję, byście skontaktowali się z działem prawnym przed jego opublikowaniem, a nie po.

— Czy wyszliśmy na czysto? — spytał Gaydon.

— Pod względem prawnym najzupełniej — odparł Harcourt i dodał z

niesmakiem: — Nie do mnie należy osądzanie tego pod względem moralnym.

— Zamilkł na chwilę. — Oczywiście sprawa będzie wyglądała inaczej, jeśli działania podejmie wdowa. Jest oczywistą implikacją, że współdziałała z mężem w oszustwie na szkodę towarzystwa ubezpieczeniowego. Czy Peter Billson zyskałby coś na tym bez jej cichego poparcia?

— A co z wdową? — zwrócił się Gaydon do Englisha.

— Wszystko w porządku — powiedział English. — Zmarła ponad rok temu.

Helen Billson wyszła w czasie wojny za Norwega i zmieniła nazwisko na Aarvik. Dopiero kiedy się o tym dowiedziałem, zdecydowałem się napisać historię Billsona.

Harcourt zachnął się i wyszedł, a Gaydon uśmiechnął się do Englisha.

— No Mike, robiło się już ciepło — wziął do ręki pióro. — Bądź tak dobry i podnieś to krzesło, nim wyjdiesz.

Postawiłem Englishowi jeszcze jednego drinka.

— A więc to, co mówił Paul Billson nie miało podstaw.

— Najmniejszych — roześmiał się English. Widzi pan, nie zaatakowałem jego reputacji. Boże, zapomniałem, że ten człowiek w ogóle istnieje.

— W zasadzie nie interesuje mnie Paul Billson — skłamałem. — Czy

naprawdę uważa pan, że Peter Billson sfingował swoją śmierć, aby oszukać towarzystwo ubezpieczeniowe?

— Mógł — odpowiedział English. — To dobry materiał na artykuł.

— Ale czy pan w to wierzy?

— Czy to ma jakieś znaczenie? — Pociągnął łyk szkockiej. — Nie,

oczywiście, że nie wierzę. Myślę, że Billson rzeczywiście zginął.

— A więc nic pan nie ryzykował drukując te zarzuty.

— Lubię stawiać na pewniaki — powiedział English i uśmiechnął się. —

Gdyby rzeczywiście oszukał towarzystwo ubezpieczeniowe, to mało

prawdopodobne, aby dał się złapać na tę przynętę, prawda? Dopóki nie

wyskoczyła sprawa z jego synem, stałem na pewnym gruncie.

— A co do tego ubezpieczenia — powiedziałem. — Sto tysięcy funtów to cholernie dużo pieniędzy. Ta składka ubezpieczeniowa musiała być piekielnie wysoka.

— Nie bardzo. Trzeba pamiętać, że w 1936 samoloty nie przypominały już rachitycznych maszyn z lat dwudziestych. Nie miano już większych

wątpliwości, że samolot może dolecieć do celu. Pytanie brzmiało tylko: jak szybko? A były to czasy wojen prasowych i dzienniki podrzynały sobie gardła, aby zdobyć czytelników. Każde ubezpieczenie

to kropla w morzu, jeśli

porównać je z tym, co wydawali gdzie indziej. Poza tym 100.000 funtów, to liczba dobrze wypełniająca nagłówek.

— Czy Billson miał szansę w tym wyścigu?

— Jasne, powszechnie uchodził za faworyta. Ten jego Northrop, „Flyaway”, to jeden z najlepszych samolotów tamtego okresu, a Billson był dobrym pilotem.

— Kto wygrał wyścig?

— Niemiec, Helmut Steiner. Myślę, że Billson wygrałby, gdyby ocalał.

Steiner wygrał tylko dlatego, że wielokrotnie cholernie ryzykował.

— Oo! W jakim sensie?

English wzruszył ramionami.

— Sam nie pamiętam tych czasów. Tak stary nie jestem, ale naczytałem się o nich. Miało to miejsce w czasach nazistowskich. Trwała olimpiada w Berlinie i

„Rasa Panów” udawiała swoje racje. Niemieckie samochody wyścigowe

wygrywały na wszystkich trasach, bo rząd dotował Auto-Union. Niemieccy alpinisci dokonywali idiotycznych wyczynów na każdym alpejskim zboczu.

Zdaje się, że kilku z nich spadło wówczas z Eiger. Nie dowiodło to, że byli dobrymi alpinistami, tylko że byli dobrymi nazistami. Niemcy musieli pobić wszystkich we wszystkim, bez względu na koszt.

— A Steiner?

— Subsydiował go, oczywiście, reżim Hitlera. Dano mu rozbrojony samolot wojskowy i świetną obsługę techniczną, oddelegowaną z Luftwaffe.

Oczywiście, nieźle radził sobie jako pilot, ale chyba miał świadomość, że Billson jest lepszy. Dlatego sporo ryzykował i udało mu się. Wycisnął ze swojej maszyny wszystko co się dało i silnik rozleciał się, kiedy lądował w

Kapsztadzie. Miał szczęście, że nie stało się to wcześniej.

Przemyślałem to sobie.

— Czy jest możliwe, że Billson padł ofiarą sabotażu?

English wpatrywał się we mnie.

— Nikt przedtem nie wpadł na taki pomysł. To rzeczywiście pierwsza klasa.

— No więc jak?

— Mój Boże, do czego nie posuną się te towarzystwa ubezpieczeniowe! No i co zrobicie, jeśli Billson rzeczywiście padł ofiarą sabotażu? Zaskarżycie rząd niemiecki o sto tysięcy funtów? Wątpię, czy Bonn da się na to wziąć. —

Wzruszył ramionami. — Samolot Billsona nigdy nie został odnaleziony.

Beznadziejna sprawa.

Dopiłem drinka. Niewiele więcej mogłem wydobyć z Englisha,

przygotowałem więc ostry nóż, aby go dziabnąć.

— A zatem, nie sądzi pan, aby Paul Billson przysporzył wam jeszcze jakichś kłopotów?

— Nie ma szans — zakpił. — Harcourt jest może pobożny i świętoszkowaty, ale zawiązał Billsona na supełki. Nie można zniesławić nieboszczyka, a Billson przysięga, że jego ojciec nie żyje.

Uśmiechnąłem się łagodnie.

— Pewien człowiek nazwiskiem Wright napisał kiedyś o Williamie Ewarcie Gladstone'ie, zarzucając mu, że był hipokrytą, szczególnie w sprawach seksualnych. Miało to miejsce w 1927 roku i Gladstone dawno już nie żył. Jego syn, wówczas lord Gladstone, przyjął to jednak jako obrazę i zasięgnął porady prawnej. Tak samo jak Paul Billson dowiedział się, że zmarły nie może zostać zniesławiony. Mimo wszystko przybił jednak Wrighta do krzyża.

English spojrział na mnie szklanym wzrokiem.

— Co zrobił?

— Przy każdej okazji rzucał na Wrighta potwarze. Publicznie nazywał go kłamcą, głupcem i tchórzem. Spowodował, że Wrighta wyrzucono z klubu. Aby bronić swej reputacji, Wright był w końcu zmuszony podać Gladstone'a do sądu.

Gladstone'a reprezentował Norman Birkett, który podczas rozprawy zdarł z Wrighta skórę. Sprawa się skończyła, a wraz z nią Wright. Jego reputacja zawodowa została rozbita w proch. — Wbiłem nóż. — Panu też może się to przytrafić.

English pokręcił przecząco głową.

— Billson tego nie zrobi, nie jest człowiekiem tego pokroju.

— Mógłby — powiedziałem. — Z czyjąś pomocą. — Wykonałem obrót

nożem. — Świadczenie przed sądem dla niego sprawi mi wielką przyjemność.

Zeznam pod przysięgą, że mimo tego co napisałeś w swoim parszywym artykuliku, uważasz, że jego ojciec nie żyje.

Wstałem i zostawiłem go. W drzwiach przystanąłem i odwróciłem się.

Siedział w rogu wyglądając, jakby ktoś kopnął go w brzuch i pozbawił oddechu.

Wcześniej zjadłem lunch i poniewczasie przyszła mi do głowy myśl, aby

zadzwoić do przyrodniej siostry Paula Billsona. Nie spodziewałem się zastać jej w domu w godzinach pracy, ale po trzecim dzwonku podniesiono słuchawkę i miły głos powiedział:

— Alix Aarvik, słucham.

Przedstawiłem się jej, a następnie dodałem:

— Sądzę, że nie miała pani żadnych wiadomości od brata, panno Aarvik.

— Nie, nie miałam, panie Stafford.

— Chciałbym z panią porozmawiać na jego temat. Czy mogę panią odwiedzić?

— Teraz? — W jej głosie brzmiała niepewność.

— W takich sprawach czas odgrywa zasadniczą rolę, panno Aarvik. — Jest to banał, ale uważam, że uspokaja ludzi.

— Dobrze — powiedziała. — Będę na pana czekała.

— Przyjadę za jakieś pół godziny. — Odłożyłem słuchawkę i pojechałem taksówką do Kensington.

Sądząc po nazwisku, spodziewałem się zobaczyć wysoką kobietę o

skandynawskim typie urody. Okazała się jednak niską brunetką, nieco po trzydziestce. Mieszkanie miała wygodne, choć skromnie urządzone. Z

zainteresowaniem spostrzegłem, że najwyraźniej wyprowadzała się. Dwie walizki stały w przedpokoju, inna, na wpół zapakowana, leżała otwarta na stole.

Spostrzegła, że się rozglądam i powiedziała:

— Zastał mnie pan w trakcie pakowania.

Uśmiechnąłem się.

— Znalazła pani inne mieszkanie?

Pokręciła głową.

— Wyjeżdżam do Kanady. Zaproponowała mi to moja firma. Odlatuję jutro po południu. —



Żalonym gestem wyraziła swą bezsilność. — Nie wiem, czy dobrze robię, skoro Paul wciąż się nie odnalazł. Muszę jednak brać pod uwagę swoją pracę.

— Rozumiem — powiedziałem nie rozumiejąc cholernie wielu rzeczy. Jej matce trafiła się gratka w postaci stu tysięcy funtów. Nic jednak nie wskazywało, aby coś z tego przyłgnęło do Paula Billsona, lub Alix Aarvik.

Prowadząc bląhą rozmowę, bacznie ją obserwowałem. Nie była zbyt dobrze ubrana, potrafiła jednak doskonale wykorzystać to, co miała i nie przesadzała z makijażem. Na ulicach mogłeś zobaczyć tysiące takich jak ona, typowych okazów *Stenographica londiniensis*, londyńskiej maszynistki.

Kiedy poślubiłem Glorię, nie miałem grosza przy duszy. Jednak w trakcie swojego wlotu na zawrotne wyżyny sukcesu, nauczyłem się dostrzegać

wszystkie subtelne wariacje kobiecych fatalaszków, od taniej, seryjnej sukienki, do jedynych egzemplarzy kreacji z Paryża. Nie znaczy to, że Gloria spędzała wiele czasu w zasięgu odchudzającego portfela zwierciadła mody. Rozwinęła w sobie talent do szybszego wydawania pieniędzy, niż je zarabiałem, co stanowiło jeden z przedmiotów sporu między nami. Orientowałem się więc na tyle, aby wiedzieć, że Alix Aarvik nie ubierała się jak dziedziczka fortuny.

Usiadłem na wskazanym mi krześle i powiedziałem:

— Proszę mi teraz opowiedzieć o Paulu.

— A co chce pan wiedzieć?

— Na początek może mi pani opowiedzieć o jego stosunku do ojca.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Zaszedł pan już tak daleko?

— Nie było to trudne.

— Czczył ojca jak bohatera — powiedziała. — Nie oznacza to wcale, że znał go na tyle, aby zapamiętać... Peter Billson zginął, kiedy Paul miał dwa lata.

Słyszał pan już o katastrofie lotniczej?

— Chyba są co do tego pewne wątpliwości.

W jej oczach dostrzegłem ból.

— Pan również? — Pokręciła głową. — To właśnie ta niepewność trawiła umysł Paula. Pragnął, aby ojciec nie żył. Wolał raczej martwego bohatera, niż żywego oszusta. Czy pan rozumie, co to znaczy, panie Stafford?

— Proszę mi powiedzieć.

— Załatwiłam Paulowi leczenie psychiatryczne. Lekarz powiedział mi, że właśnie ta dręcząca niepewność jest przyczyną załamania Paula. To straszne, czuć kogoś jak bohatera; w dodatku ojca; a jednocześnie pragnąć, aby nie żył.

— A więc miał nerwicę. Jaką formę ona przybrała?

— Generalnie rzecz biorąc, do pasji doprowadzała go niesprawiedliwość.

Zwłaszcza takie cwaniactwo, kiedy ktoś przypisuje sobie zasługi za osiągnięcia innych. Kolekcjonował niesprawiedliwości. Chyba była taka książka

„Kolekcjoner niesprawiedliwości”, prawda? To właśnie Paul.

— Powiedziała pani „generalnie”, a jak wyglądały szczegóły?

— W odniesieniu do ojca uważał, że Peter Billson został potraktowany niesprawiedliwie, że pośmiertnie oczerniono go. Wie pan o rozprawie sądowej?

— Skinąłem głową, a ona powiedziała: — Chciał oczyścić imię ojca.

— Dlaczego mówi pani o Paulu w czasie przeszłym? — zapytałem ostrożnie.

Ponownie spojrzała ze zdumieniem i zbladła.

— Nie... nie wiedziałam... — Splotła ręce i wyszeptała: — Chyba myślę, że nie żyje.

— Dlaczego miałyby pani tak myśleć?

— Nie wiem. Ale nie znam też żadnego powodu, dla którego miałyby zniknąć.

— A jeśli chodzi o tę nerwicę związaną z niesprawiedliwością, czy odnosił ją również do siebie? Czy uważał, że jego potraktowano niesprawiedliwie?

Spojrzała wprost na mnie i zaprzeczyła stanowczo:

— Nigdy! Zawsze troszczył się o innych. Panie Stafford, powiem wprost, że Paul nie był... — zreflektowała się. — Nie jest zbyt rozgarnięty. Skoro pracuje pan w ochronie Franklin Engineering, to powiem panu, że Paul nie jest złodziejem, ani kimś w tym rodzaju. Może nie jest zupełnie zrównoważony, ale uczciwy.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panno Aarvik — odparłem. —

Prowadzę to dochodzenie zarówno w interesie Paula, jak i Franklin Engineering.

Zarząd Franklin bardzo interesuje się losami swoich pracowników.

Miałem nadzieję, że przełknie tę wypowiedzianą w zbożnym celu bzdurę. Ani Stewart, ani Isaacson nie okazali krzty zainteresowania.

— Paul wiedział... wie, że nigdy nie będzie mu się dobrze powodziło na tym świecie, ale nigdy sienie uskarżał. Wiedziała, że miał trudności, żeby utrzymać się za te dwieście funtów miesięcznie, ale nigdy się nie skarżył.

Otworzyłem już usta, aby jej zaprzeczyć, ale zamknąłem je ponownie.

Odczekałem przez dziesięć uderzeń serca zanim powiedziałem:

— Czy tylko tyle miał?

— Dwa tysiące czterysta funtów rocznie, tyle był wart — odparła z lekkim smutkiem. — Ale z pewnością już pan to sprawdził.

— Tak — powiedziałem oszołomiony. — Dokładna cyfra wyszła mi z głowy.

A więc Paul oszukiwał siostrę. Mówił jej, że zarabia 2.400 funtów rocznie, chociaż dostawał ponad trzy razy tyle. Jednak najpierw Hoyland, a teraz siostra Billsona twierdzili, że najprawdopodobniej tyle właśnie był wart. Myślisz, że poznałeś kogoś gruntownie, że jego życie rozpościera się przed tobą, jak motyl przyszpilony w gablocie, a on zaskakuje cię nagłym brakiem konsekwencji.

— Czy kiedyś wspomagała go pani finansowo?

Zawahała się.

— Nie bezpośrednio.

Powoli wyciągnąłem z niej tę historię. Utrzymywała ich matkę w ostatniej chorobie. Pani Aarvik boleśnie i przewlekłe umierała na raka. Alix opłacała pielęgniarkę i prywatną opiekę szpitalną, a pod koniec usługi specjalistów.

Wszystko to wykraczało poza absolutną konieczność określoną przez Narodową Służbę Zdrowia. Koszty były bardzo wysokie i wyczerpała całe swoje

oszczędności.

— Później Paul potrzebował opieki — ciągnęła. — Tego psychiatry, o którym panu mówiłam.

Psychiatra miał także prywatną praktykę i też był drogi. Bankier panny Aarvik okazał się jednak bardzo wyrozumiały i pozwolił jej na spore

przekroczenia konta, mimo powszechnych utrudnień kredytowych.

— Spłacam to tak szybko, jak potrafię. — Uśmiechnęła się smutno. —

Dlatego tak cieszę się z tej pracy w Kanadzie. Płaca jest dużo wyższa.

Paul Billson nic nie dołożył.

— Wiedziałaś, że nie udałoby mu się nic zaoszczędzić. Cóż więc innego mogłam zrobić?

Rzeczywiście, coś innego? Pomyślałem o 12.000 funtów zgromadzonych na rachunku oszczędnościowym Paula i zdumiałem się osobliwymi

wynaturzeniami rodzaju ludzkiego. Oto człowiek, którego wszyscy uważają za zero — bezkręgowca, pozbawione twarzy stworzenie, ledwie dające się

odróżnić od meduzy — udowadniał, że mimo wszystko jest istotą ludzką, tak jak reszta z nas. Na tyle ludzką, aby pilnować własnych interesów i bezlitośnie zerować na własnej siostrze. Ukazywało to jedynie, że moje spojrzenie na ludzką naturę jest, łagodnie mówiąc, pełne uprzedzeń.

Tak czy owak, tłumaczyło to przyczynę skromnego urządzenia mieszkania panny Aarvik i gustowny, choć nieco przestarzały strój. Jeżeli spłacała duże przekroczenie konta bankowego, to nie wydawała na luksusowe fatałaszkę. A szkoda, bo zasługiwała na więcej.

— Czy leczenie pomogło coś Paulowi? — zapytałem.

— Sądzę, że tak. Ostatnio był dużo spokojniejszy, do czasu kiedy... Do czasu, kiedy English napisał swój jadowity artykuł i Paul wybuchnął. Odważył

się dobrać do skóry redaktorowi, a potem zniknął.

— Proszę się dobrze zastanowić — powiedziałem. — Zna pani swojego

brata lepiej niż ktokolwiek. Jeżeli z jakiegoś powodu pomieszało mu się w głowie, to co mógłby, pani zdaniem, zrobić?

— Nic mi nie przychodzi na myśl. Chyba, że... — pokręciła głową. — Nie, to głupie.

— Może się okazać, że nie — powiedziałem zachęcająco.

— No więc, jako chłopiec marzył, aby oczyścić imię swego ojca odnajdując ten samolot, nawet jadąc do Afryki na poszukiwania. Wie pan, nigdy go nie odnaleziono. Obawiam się, że nie jest to zbyt realne marzenie, ale Paul nigdy nie był praktycznym człowiekiem.

Zastanowiłem się nad tym. Gdzieś na południe od Morza Śródziemnego i na północ od Konga. Sahara. Zupełnie nierealne.

— Oczywiście, dawno temu zrezygnował z tego pomysłu — powiedziała. —

Nawet Paul zdawał sobie sprawę, że to daremne. Widzi pan, to wymagałoby dużych pieniędzy, a on ich nigdy nie miał.

Mówienie jej, że brat miał kieszenie wypchane forszą, byłoby zbędnym okrucieństwem. Teraz jednak miałem ślad, dla którego to wszystko się opłacało.

— 1936 rok to dawno temu — zauważyłem. — Wątpię, aby dało się tam cokolwiek odnaleźć. Co pani rodzice myśleli na temat obsesji Paula?

— Matka zawsze mówiła, że wyrośnie z tego, ale tak się nie stało. Mieszkała ze mną i nie widywała go zbyt często. Nie lubiła, kiedy mówił zbyt dużo o swoim ojcu, uważała, że to niezdrowe. Przypuszczam, że tak było. Widzi pan, on nigdy nie znał swojego ojca.

— A pani ojciec, co on myślał? Uśmiechnęła się z przymusem.

— Zapewne uważa pan, że jesteśmy dziwną rodziną. Ja też nigdy nie znałam swojego ojca. Zginął zanim się urodziłam. Matka wyszła za niego w czasie wojny, a on został zabity w czasie akcji. Wie pan, on był Norwegiem.

— Pani matka miała ciężkie życie — powiedziałem. — Dwóch mężów zginęło, pozostawiając dwójkę małych dzieci na wychowanie, nie tak wyobrażałem sobie życie usłane różami.

— Och, ona zawsze była pogodna, aż do samego końca.

— Jedna rzecz mnie zdumiewa — powiedziałem. — Sąd przyznał pani matce 100.000 funtów odszkodowania. Co się z nimi stało? Przecież musiało coś zostać, aby zapewnić jej spokojną starość.

— Nie wiem — powiedziała panna Aarvik przygnębiona. — Sama się nad tym zastanawiałam, ale matka nigdy nic nie mówiła. Musi pan zdać sobie sprawę, że dowiedziałam się o tym wiele lat później, gdy miałam jakieś trzynaście lat. Nie miało to wówczas większego znaczenia. Dzieci nie myślą o rzeczach, które zdarzyły się nim przyszły na świat. Teraźniejszość jest o wiele bardziej absorbująca.

— A później, czy nie pytała jej pani?

— Próbowałam, ale nigdy nie chciała o tym mówić — spojrzała mi prosto w twarz. — Myślę, że jestem podobna do mojego ojca Torsteina Aarvika.

Oczywiście nigdy go nie znałam, więc nie mogę mieć pewności. Ale Paul przypomina matkę. Są podobni do siebie pod wieloma względami. Czasami potrafiła być bardzo nierozsądna i bezmyślna. Nieświadomie, rozumie pan, ale robiła rzeczy nie myśląc o tym, co będzie kiedyś. Może stało się coś, o czym wstydziła się mówić. Nie była zbyt bystra, ale bardzo ją kochałam.

A więc Paul był niezbyt rozgarniętym synem niezbyt rozgarniętej matki.

Niewiele mi to dało. Wstałam.

— Dziękuję panno Aarvik za wszystkie informacje. Była pani bardzo szczerą.

Uniosła się razem ze mną.

— Muszę podziękować za pańskie zainteresowanie, panie Stafford. —

Uśmiechnęła się słabo. — Z pewnością zbierał pan informacje dokładniej, niż policja. Czy sądzi pan, że uda się odnaleźć Paula?

Postawiło mnie to przed problemem moralnym. Jeśli chodzi o Franklin

Engineering, sprawa została zamknięta. Billson nie zdefraudował żadnych pieniędzy ani, — z tego co wiedziałem, nie naruszył tajemnic służbowych. Nie mogłem więc obciążać kosztami dalszego dochodzenia konta Franklin. Nie mogłem też wpakować tych kosztów Stafford Security Consultants Ltd., to nie byłoby fair wobec Charliego Mallesona, czy Brintona, którzy nie weszli do interesu z miłości do bliźniego.

Ja zresztą też. Jeżeli o mnie chodzi, to Paul Billson był niezrównoważonym, pozbawionym skrupułów człowiekiem i bez niego Alix Aarvik powodziłoby się znacznie lepiej. Zdecydowałem, że to, co mam, oddam policji i na tym

poprzestaną. Odparłem więc dyplomatycznie:

— Pani informacje uczynią to bardziej prawdopodobnym.

— Czy jeśli dam panu kanadyjski adres, to napisze pan do mnie? — zapytała.

— Zastanawiałam się, czy w ogóle powinnam jechać, skoro Paula wciąż nie odnaleziono.

Odniosłem wrażenie, że Kanada była dla niej najlepszym miejscem, czymś, co oddalało ją od brata — pijawki.

— Nic pani nie robi, pozostając tutaj — uspokoiłem ją. — Z pewnością dam pani znać.

Pospiesznie napisała adres na kartce z bloku do stenografowania. — Nie mam jeszcze adresu domowego, ale to jest firma, dla której mam pracować.

Zerknąłem na kartkę. Najwyraźniej miała pracować w Kisko Nickel

Corporation w Vancouver. Nigdy o tej firmie nie słyszałem. Złożyłem papier i starannie wsunąłem go do portfela, kiedy odprowadzała mnie do drzwi. Światła uliczne już się paliły, jako że zapadł zmrok. Pomyślałem o spokojnym męstwie, z jakim Alix Aarvik stawiała czoła niezbyt szczęśliwemu życiu. Nie afiszowała się przede mną swoimi kłopotami. Prawdę mówiąc, wydostanie od niej wielu szczegółów kosztowało mnie sporo mojej skromnej wprawy. Miałem nadzieję, że będzie szczęśliwa w Kanadzie, zasługiwała na to.

Zastanawiałem się, gdzie najlepiej znaleźć taksówkę i skierowałem się w stronę Kensington High Street. Kiedy ruszyłem, jakiś mężczyzna wysiadł z samochodu zaparkowanego przy krawężniku tuż przede mną. Zaczekał dopóki nie zrównałem się z nim, po czym odezwał się.

— Nazywasz się Stafford? — mówił prostą, londyńską gwarą. Po drugiej stronie samochodu trzasnęły drzwi, gdy ktoś jeszcze wysiadł.

— Tak, nazywam się Stafford.

— Mam dla ciebie wiadomość, koleś. Trzymaj swój pieprzony nos z dala od spraw, co cię nie dotyczą. To ci pomoże zapamiętać.

Nagle wpakował mi pięść w przeponę tuż pod mostkiem. Stęknąłem i zgiąłem się wpół, próbując złapać oddech. Potem nie miałem już większych szans. Było ich trzech, a kiedy upadłem, zabrali się do roboty butami. Nie trwało długo nim zemdlałem, jednak wystarczająco, abym poczuł ból.

Wielu ludzi odwiedziło mnie w szpitalu, niektórzy z nich zaskoczyli mnie nawet swoim przybyciem. Oczywiście zjawiała się policja, a po niej człowiek z kontrwywiadu sprawdzający Billsona ze względu na prace dla armii

wykonywane we Franklin Engineering. Moja żona nie pokazała się, ale zadała sobie trud spędzenia dwóch minut przy telefonie, zamawiając przesłanie kwiatów do szpitala, co trochę mnie zaskoczyło.

Przybył lord Brinton z rękami splecionymi na plecach.

— Nie chcę pić tej londyńskiej wody — powiedział i postawił butelkę wody Malverna na stoliku obok łóżka. — Psuje smak szkockiej. — Do wody

Malverna dołączyła butelka Taliskera.

Uśmiechnąłem się, co było wówczas dosyć bolesne.

— Lekarz może tego nie pochwalać.

— To lepsze niż przynoszenie cholernych winogron. — Przysunął sobie

krzesło i usiadł grzejąc swoje sędziwe i kosztowne kości przy ściennym kaloryferze. — To nie to, co prawdziwy ogień — mruknął.

— W szpitalach nie przepadają za otwartym ogniem.

— No dobra — powiedział. — Co się u diabła stało, Max?

— Zostałem pobity — odparłem cierpliwie.

— To widzę — powiedział z powagą. — Dlaczego?

— Nie wiem. Zdaje się „wścibiałem swój nos w sprawy, co mnie nie dotyczą”, że zacytuję mówcę komitetu napadowego. Zapomniał wyrazić się ściślej.

— Wzięto cię za kogoś innego?

Zacząłem kręcić głową i pospiesznie zrezygnowałem, z obawy, że mi odpadnie.

— Najpierw upewnił się kim jestem.

— Co robiłeś w Kensington?



— Prowadziłem pewną sprawę. — Opowiedziałem mu o Billsonie i o tym co zrobiłem. — Panna Aarvik będzie teraz w Kanadzie — dodałem.

— Dobry kraj — zauważył Brinton. — Urodziłem się tam — powiedział to tak, jakby akt jego narodzin przydawał znaczenia Kanadzie. — Nie rozumiem w jaki sposób wiąże się to z faktem, że zostałeś pobity.

— Ja też nie, ani policja, ani kontrwywiad.

Jego oczy nabrały bystrości.

— Czemu ich to interesuje?

— Franklin Engineering robi drobne części do czołgów.

— I ścigają Billsona?

— Tak można by sądzić, ale nie naciskają zbyt mocno. Z tego co znaleziono wynika, że nie popełnił przestępstwa, jeszcze.

— Myślisz, że mógł?

— Kto wie, co taki człowiek jak Billson mógł, a czego nie mógł zrobić.

Przez co najmniej piętnaście lat wegetował jak roślina, a teraz poszarżował Bóg wie dokąd. Może zrobić cokolwiek.

— W każdym razie, ty jesteś z tego wyłączony — oświadczył Brinton. — Do czasu kiedy stąd wyjdiesz, Andrew McGovern przejmie już odpowiedzialność za bezpieczeństwo Franklin Engineering.

— Jaki udział masz w Whensley Group? — zapytałem.

— Około trzydziestu procent. Dlaczego?

— W takim razie jesteś dość mocnym akcjonariuszem, aby zapytać dlaczego Billsonowi płacono trzy razy więcej niż był wart i dlaczego robiono z tego tajemnicę.

— Zbadam to — powiedział Brinton. — Nie można tak cyganić

akcjonariuszy. No dobrze, jeśli nie pobito cię z powodu Billsona, to cóż takiego robiłeś ostatnio, że mógłbyś się wpędzić w kłopoty?

— Wiodłem życie bez skazy.

Brinton chrząknął znacząco.

— Nie próbuj nabierać starego grzesznika. Nikt nie żyje bez skazy. Jesteś pewien, że sypiałeś we właściwych łóżkach? — Spojrzałem tylko na niego, a on dodał: — W tej sytuacji nie miałbym ci tego za złe.

Wkrótce potem wyszedł.

Odwiedził mnie Charlie Malleson. Przyjrzał się memu asortymentowi siniaków i poradził:

— Lepiej nie wychodzić jeszcze na ulicę. Mógłby cię dorwać ktoś z Ministerstwa Stosunków Rasowych za próbę zmiany barwy skóry.

Westchnąłem.

— Stać cię na coś lepszego, Charlie. Jeśli masz sobie stroić żarty, to lepiej, żeby były dobre. Jak tam interesy?

— Jakoś sobie radzimy. Jak myślisz, długo będziesz leżał?

— Nikt mi niczego nie mówi, wiesz jak to jest w szpitalach. Według tego, jak się teraz czuję, to jakieś sześć miesięcy, ale najprawdopodobniej wrócę za kilka tygodni.

— Nie spiesz się — doradził Charlie. — Jack Ellis przymierza twoje buty i sprawdza czy mu pasują.

— Dobrze, ale to mnie oduczy prorokowania. — Charlie uniósł brwi, więc wyjaśniłem: — Powiedziałem Joyce, że Jack ma mnie trochę odciążyć w pracy.

Kiedy to kwestionowała powiedziałem, że gdybym się przewrócił na ulicy, to musiałby wziąć wszystko. Ale nie o takim przewracaniu się myślałem. —

Pomyślałem przez chwilę o Jacku Ellisie, a następnie dodałem: — Tak, czy inaczej, czas już chyba, byśmy zrobili go dyrektorem. Wyrobił się, a przecież nie chcemy go stracić.

— Zgadza się — powiedział Charlie — i myślę, że stary Brinton też. Max, kiedy ostatni raz brałeś urlop?

Uśmiechnąłem się szeroko.

— To słowo brzmi zabawnie. Może dwa lata temu.

— Cztery lata — powiedział zdecydowanie. — Sam się nokautowałeś. Radzę ci, weź zaraz trochę wolnego, dopóki masz dobrą wymówkę, żeby oszukać swoją podświadomość. Wybierz się na Karaiby i pogrzej w słońcu przez parę miesięcy.

Spojrzałem przez okno na zacinający deszcz.

— Brzmi nieźle.

Charlie uśmiechnął się.

— Prawda jest taka, że nie chcę, byś kręcił się w pobliżu, kiedy Jack będzie nabierał doświadczenia w pracy na górze. Czasami potrafisz być zatrwazającym draniem, a to mogłoby go nieco hamować.

Miało to sens, a im więcej nad tym myślałem, tym nabierało go więcej.

Mogliśmy wyjechać z Glorią i może udałoby się nam posklejać niektóre

pęknięcia w naszym małżeństwie. Wiedziałem, że jeśli małżeństwo jest w stanie rozpadu, to rzadko wina leży po jednej stronie. W dodatku mój pęd do założenia firmy z pewnością był czynnikiem, który się do tego przyczynił. Może mógłbym coś zrobić, aby je znów pozlepić.

— Zastanowię się nad tym — powiedziałem. — Jednak lepiej, żebym

zobaczył się z Jackiem. Jest parę rzeczy, które powinien wiedzieć, zanim przemoczy sobie nogi.

Twarz Charliego wykrzywił uśmiech zadowolenia, który zniknął kiedy

zapytał:

— Max, kto na ciebie napadł?

Przez chwilę roztrząsaliśmy sprawę Billsona i nie doszliśmy do niczego.

Więc Charlie pożegnał się, obiecując przysłać do mnie Jacka Ellisa.

Naprawdę niespodziewanym gościem okazała się Alix Aarvik. Gapiłem się z rozdziawionymi ustami, kiedy weszła, po czym powiedziałem:

— Proszę siadać, panno Aarvik, proszę wybaczyć, że nie wstanę. Myślałem, że jest pani w Kanadzie.

Usiadła w skórzanym fotelu klubowym, który Brinton zainstalował dla

własnej wygody.

— Zmieniłam zdanie — powiedziała. — Odrzuciłam tę ofertę.

— Oo! Dlaczego?

Przyglądała mi się.

— Przykro mi z powodu tego co się stało, panie Stafford.

Roześmiałem się. Wówczas mogłem się już śmiać tak, aby zebra nie

zgrzytały o siebie.

— Ryzyko zawodowe.

Twarz miała poważną.

— Czy to z powodu pańskiego dochodzenia w sprawie Paula?

— Nie widzę powodu, aby tak było.

— Znów odwiedziła mnie policja. Oraz paru innych, którzy... nie byli zwykłą policją.

— Kontrwywiad. Paul pracował w przemyśle obronnym.

— Nie wiedziałam co o tym sądzić. Byli tak mało komunikatywni.

Skinąłem głową.

— Ich praca polega na stawianiu pytań, a nie udzielaniu odpowiedzi. Poza tym rozkoszują się aurą tajemniczości. Czy mogę zapytać dlaczego odrzuciła pani tę pracę w Kanadzie?

Zawahała się.

— W jakiś kwadrans po pana wyjściu z mieszkania, poszłam wrzucić list.

Nie opodal drzwi od ulicy stała karetka i właśnie pana do niej wnoszono —

zwilżyła usta. — Myślałam, że pan nie żyje.

— Z pewnością przeżyła pani szok. Przykro mi.

Czułem w niej sztywność, zdradzającą wielkie napięcie. Otworzyła usta i przełknęła ślinę, jak gdyby słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Uczyniła jeszcze jedną próbę i zapytała:

— Czy widział pan napastnika?

Wyszło szydło z worka.

— To nie był pani brat, jeśli o to pani chodziło.

Odetchnęła głęboko i wyraźnie się odprężyła.

— Musiałam wiedzieć — powiedziała. — Nie mogłabym pojechać nie wiedząc, a policja nic by mi nie powiedziała.

Spojrzałem na nią w zamyśleniu.

— Jeśli uważała pani, że brat może zaatakować kogoś z zamiarem zabójstwa, to mogła mnie pani ostrzec.

— Ale ja tak nie myślałam — zawołała. — Nie wówczas, gdy rozmawialiśmy. Przyszło mi to do głowy dopiero później, gdy zobaczyłam pana w karetce.

— Chcę prawdy — powiedziałem. — Czy widziała pani Paula od czasu kiedy zniknął?

— Nie, nie widziałam, nie widziałam. — Jej twarz płonęła.

— Wierzę pani — uspokoiłem ją łagodnie.

Nagle zalała się łzami.

— Panie Stafford, co się stało z Paulem? Co on robi?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. — Trochę czasu zajęło mi uspokojenie jej, a to, że leżałem na plecach wcale mi nie pomogło. — Została pani

przeniesiona do Kanady — zmieniłem temat. — Czy fakt, że odrzuciła pani tę ofertę wpłynie na pani obecną pracę?

— Nie sądzę — odparła. — Sir Andrew okazał się bardzo dobry w tej sprawie.

Dreszcz przeszedł mi po plecach.

— Sir Andrew?

— Sir Andrew McGovern. Jestem jego sekretarką.

— Ma pani na myśli prezesa Whensley Group?

— Tak. Zna go pan?

— Nie miałem tej przyjemności. Jak to się stało, że zaczęła pani dla niego pracować, panno Aarvik?

— Zaczęłam pracować we Franklin Engineering osiem lat temu. —

Uśmiechnęła się. — W hali maszyn. Chciałabym uważać, że jestem dobra w mojej pracy. Tak czy inaczej, nie zostałam długo w hali maszyn. Cztery lata temu przeniesiono mnie do głównego biura, do Whensley Holdings Ltd.

— Wiem — powiedziałem. — Zajmujemy się ich ochroną. — Ale już

niedługo, dodałem w myślach.

— Oo! To znaczy, że zatrudnia pan człowieka, który przychodzi i sprawdza, czy zniszczyłam taśmy z maszyny prezesa?

— Coś w tym rodzaju. Co spowodowało, że zaczęła pani pracować dla

Franklin Engineering. W jaki sposób otrzymała pani tę pracę?

— Pracowałam w firmie, która zbankrutowała — odparła. — Potrzebowałam innej pracy, no a Paul zasugerował Franklina. Pracował tam od dłuższego czasu i powiedział, że to dobra firma.

Bo była — dla Paula Billsona. Widząc, że zacząłem otwierać puszkę z

robakami, uznałem za niezły pomysł zupełne zdjęcie pokrywki. Na przykład, czy pensja panny Aarvik była równie wyśrubowana jak jej brata?

— Czy mogłaby mi pani podać wysokość swojej obecnej pensji, panno

Aarvik?

Spojrzała na mnie nieco zaskoczona.

— Proszę bardzo. Zarabiam 4200 funtów rocznie minus podatek.

Westchnąłem. Stanowiło to zupełnie przeciętną pensję dyrektorskiej

sekretarki. Z całą pewnością nic niezwykłego. I było rzeczą najnaturalniejszą w świecie, że to Paul wprowadził ją do firmy.

— Skąd ten transfer do Kanady? — zapytałem. — Czy nie jest nieco dziwne, aby sekretarce szefa proponować przeniesienie do innego kraju? Czy może miała pani jechać z Sir Andrew?

Pokręciła głową.

— Tak jak przedstawił to Sir Andrew, wyświadczałam mu przysługę. Firma do której jechałam — Kisko Nickel — przechodzi reorganizację. Ja miałam za zadanie zorganizowanie prac biurowych, ale tylko na zasadzie rocznego oddelegowania.

— Musiała pani być z tego zadowolona. Czyż nie jest to krok w górę? Od sekretarki do samodzielnego pracownika?

— Pochlebiało mi to — przyznała. — Ale potem Paul... — zamilkła.

— Kiedy zaproponowano pani tę pracę?

— Stało się to raczej nieoczekiwanie, w ubiegły poniedziałek.

Zmarszczyłem brwi. Tego właśnie dnia zadzwonił Hoyland, aby powiadomić mnie o zniknięciu Billsona. Działo się coś cholernie dziwnego, ale za nic w świecie nie potrafiłem dojść, jak się to ze sobą wiązało.

Uśmiechnąłem się do niej.

— Tak, a więc widzi pani, że jestem jak najbardziej żywy. W opinii policji i moich współpracowników ze Stafford Security, atak na mnie nie miał nic wspólnego z pani bratem.

Spojrzała mi prosto w oczy.

— A co z pańską opinią?

— Jestem tego samego zdania — skłamałem. — Jeśli mogę coś radzić, to proszę pójść wprost do Sir Andrew McGoverna i powiedzieć mu, że jeszcze raz rozważyła to pani i mimo wszystko weźmie tę pracę w Kanadzie.

— A Paul?

— Tak jak już powiedziałem, nic nie może pani zrobić w sprawie Paula.

Zostanie odnaleziony, lepiej jednak, aby zostawiła to pani zawodowcom.

Napiszę do pani do Kanady.

Skinęła głową

— Może to najlepsze wyjście.

— Z tym, że nie wspominałbym Sir Andrew, że to moja rada, lub że mnie pani w ogóle widziała. Moja firma i Sir Andrew nie pozostają obecnie w zbyt dobrych stosunkach. Wywalił Stafford Security i zakłada własną organizację ochronną dla Whensley Group. Uważam więc, że wzmianka o mnie byłaby,

łagodnie rzecz ujmując, nietaktowna.

Jej oczy rozszerzyły się.

— Czy to z powodu Paula?

— Ależ skąd, to stało się... — urwałem. To nie stało się zanim otrzymałem wiadomość o Billsonie. Brinton wyskoczył z tym na posiedzeniu zarządu tego popołudnia, kiedy właśnie wróciłem z Franklin Engineering. Szybko podjąłem:

— Nie ma to zupełnie nic wspólnego z pani bratem, panno Aarvik.

Kiedy odeszła, długo wpatrywałem się w sufit. Następnie otworzyłem szafkę przy łóżku, zdarłem ołowiany kapsel z butelki szkockiej Brintona i nalałem sobie na trzy palce. Może Brinton miał rację, że smakowała lepiej z wodą Malverna, ale czysta była jeszcze lepsza. Nagle odczułem potrzebę napicia się.



Wkrótce miałem serdecznie dosyć tego szpitala, a szczególnie jedzenia.

Właśnie podano mi tak zwany lunch, który rozpoczynała wodnista zupa

wyglądająca jak stare pomyje, a kończył równie wodnisty krem nie

przypominający niczego na tym bożym świecie, kiedy wszedł mój lekarz pełen tej sztucznej dobroduszości, wykładanej w szkołach medycznych jako element przyłóżkowych manier.

Podsunałem mu tacę pod nos.

— Czy zjadłby pan to?

Przyglądał się, krzywiąc nos z niesmakiem.

— A co jest nie w porządku?

— Nie o to pytałem — warknąłem.

Zamrugnął oczami.

— No, być może nie — przyznał.

— To mi wystarczy — powiedziałem. — Wypisuję się.

— Ale nie jest pan jeszcze gotów.

— I nigdy się nie wykuruję, jeśli nadal będę musiał jadać te pomyje. Idę do domu najeść się czegoś przyzwoitego. — Mimo wszystkich swoich wad, Gloria jeśli tylko chciała, potrafiła zupełnie nieźle gotować.

— Chyba z tym jedzeniem nie jest aż tak źle, skoro znów pan zaczyna

brykać. — Posłałem mu piorunujące spojrzenie, a on wzruszył ramionami. — No dobrze, ale zalecam jeszcze tydzień odpoczynku, a potem proszę się zgłosić do kontroli.

— Gdzie są moje przeklęte spodnie? — zapytałem.

Wróciłem więc do domu taksówką i zastałem Glorię w łóżku z jakimś

mężczyzną. Oboje byli nadzy, a jego nie znałem. Nie przypominam sobie, abym go kiedykolwiek przedtem widział, ale Gloria miała wielu dziwnych przyjaciół.

Obyło się bez jakichś fajerwerków. Wskazałem tylko kciukiem drzwi sypialni i powiedziałem:

— Wynocha! — Chwycił swoje ubranie i zniknął, przypominając obdartego ze skóry królika.

W milczeniu wpatrywałem się w stertę skołtunionej pościeli, w której

zniknęła Gloria. Po chwili trzasnęły drzwi frontowe i Gloria wyłoniła się wyglądając na zasmuconą i nieco przestraszoną.

— Ale w szpitalu powiedzieli...

— Zamknij się!

Była na tyle głupia, aby to zignorować. Obszernie poinformowała mnie, jakim to mężczyzną byłem, lub raczej jakim nie byłem. Upiększyła tę diatrybę wszystkimi wadami, jakich mogła się u mnie doszukać, uzbieranymi przez siedem lat życia małżeńskiego. Następnie poinformowała mnie, że jej przyjaciel z łóżka nie był bynajmniej pierwszym. A czyja to wina? Krótko mówiąc

próbowała wywołać znajomą, błyskawiczną awanturę Staffordów do n—tej potęgi.

Nie sprzeczałem się z nią, po prostu uderzyłem. Pierwszy raz w życiu

uderzyłem kobietę. Otwartą dłonią w policzek, wkładając w to sporo siły. Cios wyrzucił ją z łóżka, tak że zwała się rozciągnięta w splątanej pościeli obok toaletki. Przez chwilę leżała nieruchomo. Następnie wsparła się ręką o podłogę, próbując się podnieść i otepiała potrzęsniętą głową. Otworzyła usta i znów je zamknęła, gdy dostrzegła mój wzrok. Przesunęła palcami po ciemnoczerwonej plamie na swojej twarzy i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

Nie zwracałem na nią uwagi. Podeszedłem do szafy, z górnej półki zjąłem walizkę i zacząłem się pakować. Po chwili przerwałem milczenie.

— Mój adwokat skontaktuje się z tobą. Do tego czasu możesz mieć dom.

— Dokąd idziesz? — Jej głos był łagodny i cichy.

— Obchodzi cię to?

Nic nie odpowiedziała, więc wziąłem walizkę i wyszedłem z sypialni.

Zszedłem na dół, do swojego gabinetu i otworzyłem biurko. Kiedy wyjąłem paszport, zdałem sobie sprawę, że Gloria stoi przy drzwiach.

— Nie możesz mnie opuścić — powiedziała żałośnie.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na nią.

— Na miłość boską idź i nałóż coś na siebie — powiedziałem. — Umrzesz na zapalenie płuc.

Kiedy włożyłem do kieszeni paszport oraz kilka innych dokumentów i

wszedłem do holu, pełna rozpacz z trudem wdrapywała się na schody. Gdy podszedłem do drzwi wyjściowych krzyknęła:

— Wróc Max!

W odpowiedzi delikatnie zatrzasnąłem drzwi, zamykając jakiś okres w moim życiu. Sic transit Gloria mundi . Nędzny kalambur, ale prawdziwy.

Przypuszczam, że gdybym nie odszedł od Glorii, to nie prowadziłbym dalej sprawy Billsona. Sam Billson przestał interesować ochronę, okazał się jedynie nieco stuknięty na punkcie przodka. Nikogo nie obchodził poza nim samym i być może Alix Aarvik.

Ale odszedłem od Glorii, co postawiło mnie w nieco niejasnej sytuacji.

Zostało już uzgodnione, że wezmę urlop. Częściowo ze względu na siebie samego, a częściowo, aby popuścić cugli Jackowi Ellisowi. Kłopot tkwił w tym, że nie miałem ochoty na urlop. Nie widziałem siebie przypiekającego się na piaskach Montego Bay, jak sugerował to Charlie. I tak diabeł znalazł pracę dla beczynnych rąk.

Poza tym napadnięto mnie, i jeśli już nic innego nie wymagało jakiegoś działania, to polityka firmy tak.

Poprosiłem więc Jacka Ellisa, aby spotkał się ze mną w moim klubie. Ellis zatrudnił się u nas przed czterema laty. Młody, inteligentny i spragniony wiedzy.

Wciąż był młody, ale to mnie nie martwiło. Napoleon został generałem armii Włoch mając tylko dwadzieścia sześć lat i sprawił diabelne lanie Austriakom.

Jack Ellis miał dwadzieścia siedem, co mogło przeszkadzać mu w rozmowach z prezesami niektórych firm o bardziej przestarzałych poglądach, ale to czas zaleczy. Tymczasem był bardzo dobry i stawał się coraz lepszy.

Wziąłem go na bok do pokoju karcianego, pustego w godzinach

popołudniowych. Przez chwilę rozmawialiśmy o jego pracy, a następnie

opowiedziałem mu o Billsonie od początku, aż do chwili obecnej. Cała sprawa zaskoczyła go w równym stopniu jak innych.

— Jack — powiedziałem. — Chcę, abyś znalazł Billsona.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

— Ale to już teraz nie nasza sprawa. Pomijając fakt, że w Whensley rządzą się teraz sami, to Billsona już tam nie ma.

— Kiedy firma została założona, ustalono pewne reguły — powiedziałem. —

Czy pamiętasz Westlake'a, tego strażnika w Clennel Enterprises?

Twarz Ellisa spoważniała.

— Pamiętam. To stało się wkrótce po moim przystąpieniu do firmy. Postrzał

w nogę przy kradzieży wypłaty. Musiano mu ją amputować.

— A czy pamiętasz co stało się z człowiekiem, który go postrzelił?

Złapaliśmy go szybciej niż policja. Nietknięty został przekazany w ręce stróżów prawa, chociaż z miłą chęcią złamałbym mu nogę. Zadbaliśmy też, aby sprawa nabrała rozgłosu. Taka jest reguła, Jack, dbamy o nasze dobre imię. Jeżeli jakiś chętny do strzelania bandyta zrani któregoś z naszych ludzi, wie, że ma do czynienia z policją i z naszymi chłopakami. Rozumiesz o co chodzi?

Uśmiechnął się lekko i skinął głową.

— W tym interesie ma to sens — przyznał.

— Gliniarze na wyższych stanowiskach nie są z tego zbyt zadowoleni —

powiedziałem. — Bo nie lubią prywatnych armii. Ale ze średnimi rangą

współzjemy zupełnie nieźle. W każdym razie członek Stafford Security Consultants Ltd. został napadnięty, a fakt że był to szef, jest dla tej zasady bez znaczenia. Nie chodzi mi o prywatną vendettę, ale chcę tych chłopców

przyszpilić.

— W porządku, a Billson?

— On musi mieć z tym jakiś związek, więc wgryź się w niego. Policja

niewiele robi, bo porzucenie pracy nie jest przestępstwem. Wciągnęli go na listę i jeśli się gdzieś na niego natkną, zadadzą mu parę uprzejmych pytań. Tak długo nie mogą czekać. Wszystkie łotry w Londynie wiedzą, że mnie przerobiono i zaśmiewają się do rozpuku.

— Powinniśmy dowiedzieć się czegoś o Billsonie — powiedział Jack. —

Niełatwo jakiemuś człowiekowi rozplynać się w powietrzu.

— I jeszcze jedno. Nikt o tym nie może wiedzieć oprócz mnie, ciebie i człowieka, któremu dasz tę robotę.

— Nawet Charlie Malleson?

— Nawet on. Podejrzewam jakieś cygaństwo na wysokich szczeblach. —

Zobaczyłem minę Ellisa i dodałem rozdrażniony: — Na miłość boską, nie chodzi o Charliego! Ale chcę wykluczyć choćby możliwość przecieku.

Niektórzy nasi czołowi przemysłowcy robią nieco dziwne rzeczy, ot choćby Sir Andrew McGovern. Chcę, aby został dokładnie sprawdzony, a w szczególności jego ewentualne powiązania z Paulem

Billsonem i jego sekretarką Alix Aarvik.

— W porządku — powiedział Jack. — Zaraz się do tego zabiorę.

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Załóż tej sprawie zwykłe akta. Twoimi klientami są Michelmore, Veasey i Templeton. Przedstaw im sprawę na piśmie i wyślij normalną drogą. — A gdy uniósł brwi, powiedziałem krótko: — Są moimi agentami firmowymi.

— Dobrze.

— I powodzenia w nowej pracy. — Nie byłoby fair w stosunku do Jacka, gdyby w głowie zaświtała mu myśl, że po moim powrocie wszystko zostanie po staremu. — Jeśli czegoś nie zawalisz, masz ją na stałe. Ja jestem przeznaczony do wyższych celów, takich jak wejście do Europy.

Odchodząc był bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Niełatwo człowiekowi rozpląnąć się w powietrzu.

Ci czcigodni obywatele, którzy tworzą stowarzyszenia poświęcające się walce o zachowanie swobód obywatelskich i wstępują do nich, mają całkowitą rację w swojej trosce o „komputerowe” społeczeństwo. W Stafford Security ani trochę nie troszczyliśmy się o swobody obywatelskie, my chroniliśmy tajemnice przemysłowe naszych klientów, co wcale nie wychodzi na jedno. Skutkiem tego, że chroniliśmy przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy, znaleźliśmy się na tym i gdyby przyszła nam ochota, też mogliśmy to zrobić.

Psy gończe puszczono za Paulem Billsonem. Żaden człowiek żyjący w tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie nie uniknie zaszufadkowania. Jego nazwisko, a czasem numer przywiązany do jego nazwiska, jest bez końca nanoszone na różne druki — prawo jazdy, książeczka radiowo—telewizyjna, świadectwo szczepienia psa, zwrot podatku dochodowego, deklaracje

ubezpieczeniowe, rachunki telefoniczne, rachunki za gaz i energię, podania paszportowe, podania wizowe, umowy sprzedaży ratalnej, akt urodzenia, akt małżeństwa, akt zgonu. Można by sądzić, że połowa ludzkości pilnie zajmuje się rozprowadzaniem papierków dotyczących drugiej połowy i vice versa.

Aby wyszperać ślad innego człowieka z tej gmatwaniny, potrzebny jest

przeszkolony człowiek mający mgliste pojęcie o etyce. Można to jednak zrobić, mając czas i pieniądze. Im krótszy czas, tym więcej trzeba pieniędzy, to wszystko. Jack Ellis podniósł uposażenie Michelmore'a, Veaseya i Templetona o kilka stopni i informacje zaczęły napływać.

W dzień po zniknięciu Paul Billson wystąpił z wnioskiem o paszport. Zjawił

się osobiście w londyńskim biurze paszportowym, aby wypełnić druki. Tego samego dnia wystąpił o międzynarodowe prawo jazdy. Następnego dnia kupił

Land—Rovera prosto z półki w największym salonie samochodowym Londynu, zapłacił na pniu gotówką i odjechał nim.

Na kilka tygodni zgubiliśmy go, do czasu kiedy odebrał swój paszport.

Szybka przejażdżka po konsulatach pełnego słodczy pracownika ujawniła, że przyznano mu wizy do Nigru, Czadu i Libii. Prowadziło to do pytania, co robił z tym Land—Roverem. Otrzymał zieloną kartę ubezpieczeniową do podróży

zagranicznych, ale obejście morskich firm spedycyjnych nic nie dało. Wówczas nasz człowiek na Heathrow odkrył list przewozowy mówiący, że pan Billson wyekspediował Land—Rover drogą powietrzną do Algieru.

Cokolwiek stało się Paulowi, rozwarło go na oścież. Po życiu stanowiącym jedno pasmo biernego czepiania się niesprawiedliwości, chłodnego

wewnętrznego gniewu, nieudolnego mamrotania, nagle wybuchnął i wydawał pieniądze, jak gdyby miał prywatną kopalnię złota. Fracht lotniczy nie jest tani.

To, czego Jack dokopał się o finansach Billsona, było fantastyczne. Te 12.000

funtów na rachunku oszczędnościowym Paula stanowiło zaledwie szczyt góry lodowej. Miał bowiem do rozpuszczenia prawie 65.000 funtów.

— Nie wiem skąd je u diabła wziął — przyznał się Jack.

— Ja wiem — odpowiedziałem. — Zaoszczędził je. Kiedy zniknął miał

stawkę 8.000 funtów rocznie, a wydawał 2.500. Rób tak przez kilka lat, ostrożnie inwestując, a wkrótce dociągniesz do 65.000 funtów.

— Coś ci powiem Max, ktoś jeszcze szuka Billsona. Trafiliśmy na ich ślady.

— Policja?

— Nie sądzę. Nie ich styl.

— To może kontrwywiad?

— Możliwe. Chodzą tajemnymi drogami, dokonując cudów.

Sięgnąłem ręką po telefon.

— Zapytam.

Ponieważ niektórzy z naszych klientów, tak jak Franklin Engineering,

pracowali dla przemysłu obronnego, kontakt z kontrwywiadem był dla Stafford Security nieunikniony. Był to krępujący związek i tolerowano nas tylko dlatego, że mogliśmy ich częściowo wyręczyć w pracy. Jeśli na przykład zauważyliśmy oznaki działalności wywrotowej, to dawaliśmy im znać i w nagrodę zostawiano nas w spokoju. Oczywiście związek ten miał charakter ściśle poufny. Związki zawodowe zrobiłyby piekło, gdyby się o nim dowiedziały.

Telefon wywołał u mojego rozmówcy uprzejme rozbawienie.

— Billson nas nie interesuje. Sprawdziliśmy przekazane przez was

informacje. Przesłuchaliśmy nawet tego przeklętego dziennikarza, to ci dopiero obleśne stworzenie. Z tego co nam wiadomo Billson jest półparanoikiem, któremu nieco odbiło. Mógłby zainteresować psychiatrę, ale nie nas.

— Dziękuję. — Odłożyłem słuchawkę i popatrzyłem na Jacka. — Mówi, że

nie są zainteresowani, ale czy powiedziałałby mi prawdę? — Zmarszczyłem brwi przewracając strony raportu. — Algier! Dlaczego Billson nie wystąpił o algierską wizę?

— Nie musiał. Obywatele brytyjscy nie potrzebują algierskiej wizy. — Jack wyciągnął jeszcze jedną cienką teczkę. — Odnośnie Sir Andrew McGoverna.

Związek z Billsonem, poza faktem, że są słabo powiązani poprzez Franklin Engineering, zerowy. Związek z Alix Aarvik zerowy. To uczciwy układ szef—

podwładny, nie są nawet Jedyne dobrymi przyjaciółmi”. Kisko Nickel

Corporation przechodzi wewnętrzną reorganizację spowodowaną fuzją przeprowadzoną przez McGoverna. Alix Aarvik nie pojechała jednak do

Kanady, nadal pracuje jako sekretarka McGoverna.

Wzruszyłem ramionami.

— Jak już kiedyś powiedziałem Brintonowi, najlepsze w radach jest to, że nie trzeba ich słuchać. — Uśmiechnąłem się kwaśno. — Okazało się, że dobrze mi radził, ale to nie powód dla Alix Aarvik, aby mnie słuchać.

— Pomijając fakt, że nie ma się do czego przyczepić u McGoverna —

powiedział Jack — to można by sądzić, że żyje w kieszeni Brintona.

— Niezupełnie — powiedziałem z roztargnieniem. — Brinton miał z nim

kłopoty. Dlatego straciliśmy konto Whensley. — Myślałem o Saharze, o tym jaka była wielka i pusta.



Jack pociągnął nosem.

— Jeżeli się pokłócili, to nikt by tego nie zauważył. Dwa dni temu

McGovern gościł Brintona u siebie w domu.

— Jeśli Brinton poklepuje McGoverna po plecach — zauważyłem — to

tylko po to, aby znaleźć dobre miejsce na wbicie noża. Dziękuję Jack. Dobrze się spisałeś. Teraz już ja przejmę sprawę.

Kiedy wyszedł, zadzwoniłem do Whensley Holdings i poprosiłem o

połączenie z panną Aarvik.

— Mówi Max Stafford. A więc mimo wszystko nie pojechała pani do

Kanady.

— Sir Andrew zmienił zdanie.

— Doprawdy? Panno Aarvik, mam kilka informacji o pani bracie, które jak sądzę powinna pani poznać. Czy dzisiaj wieczorem zjadłaby pani ze mną kolację?

Zawahała się, po czym odrzekła.

— Dobrze. Dziękuję za pańskie niesłabnące zainteresowanie moim bratem, panie Stafford.

— Przyjdę po panią o siódmej trzydzieści — powiedziałem. Następnie

zszedłem na dół do biblioteki klubowej, wziąłem „The Times Atlas” i długo studiowałem mapę Sahary. O wiele mniej czasu zajęło mi dojście do wniosku, że pomysł kiełkujący mi w głowie jest zupełnie fantastyczny, kompletnie nieodpowiedzialny i zapewne niewykonalny jak wszyscy diabli.

Tego wieczoru pojechałem po Alix Aarvik i zabrałem ją do francuskiej restauracji, jakiegoś skromnego miejsca z dobrą kuchnią. Dopiero kiedy wybraliśmy menu, poruszyłem ten temat przy kieliszku sherry. Powiedziałem jej gdzie znajdował się Paul Billson.

— A więc jednak próbuje odnaleźć samolot — powiedziała. — Ale to jest zupełnie niemożliwe. Nie jest człowiekiem, który mógłby... — nagle zamilkła.

— Jakim sposobem stać go na to?

Westchnąłem. Alix Aarvik czekał szok.

— Nie był w stosunku do pani uczciwy. Prawdopodobnie od dłuższego czasu, sądząc po ilości pieniędzy, które zachomikował.

— Od Franklin Engineering otrzymywał 8.000 funtów rocznie.

Chwilę trwało, zanim to do niej dotarło, a kiedy to się stało, twarz jej pobladła, a na policzkach wystąpiły różowe plamy.

— Potrafiłby zrobić coś takiego! — wyszeptała. — Potrafiłby dać mi płacić swoje rachunki i nie dołożyć ani pensa na utrzymanie matki.

Ogarniała ją coraz większa złość. Podobało mi się to. Nadszedł już czas, aby ktoś wściekł się na Paula Billsona. Sam nie byłem zbyt chłodny w stosunku do niego.

— Przykro mi, że spowodowałem ten wstrząs, ale sądziłem, że powinna pani wiedzieć.

Przez jakiś czas milczała, spoglądając w kieliszek i bez celu obracając nóżkę między palcami.

— Po prostu go nie rozumiem — powiedziała w końcu.

— Zdaje się nie porzucił swego chłopięcego marzenia. Oszczędzał pieniądze, aby je spełnić.

— Na mój koszt—powiedziała ostro. Niepewnie się roześmiała. —Ale

musiał się pan pomylić, panie Stafford. Wiem co Paul robił we Franklin Engineering. Nie płaciliby mu aż tyle.

— To jest kolejna tajemnica. Najwyraźniej płacili. Do licha, pani brat miał

niemal 60.000 funtów na koncie, kiedy zwiął, a wszystko to zamienił na żywą gotówkę. Jeśli zabrał ją ze sobą do Algieru, to piekielnie pogwałcił przepisy walutowe. Myślę, że w świetle prawa Paul jest obecnie przestępcą.

— Ależ to śmiechu warte.

— Zgadzam się, lecz również prawdziwe. Paul pojechał szukać samolotu ojca. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałby popędzić do Algieru z Land—Roverem. Szuka samolotu, który rozbił się ponad czterdzieści lat temu, a to cholernie dużo czasu. Dzisiaj po południu przyglądałem się mapie. Wie pani jak wielka jest Sahara? — Pokręciła

przecząco głową, a ja odparłem ponuro: — Trzy miliony mil kwadratowych, mniej więcej tej wielkości co Stany Zjednoczone, lecz o wiele bardziej pusta. To szukanie przysłowiowej igły, w stogu siana, z tą różnicą, że igły może w nim nie być.

— Co pan przez to rozumie?

— Przypuśćmy, że Hendrik van Niekirk naprawdę widział Petera Billsona w Durbanie po jego domniemanej katastrofie. Może pani postawić dziesięć do jednego, że Billson nie zostawiłby tam porzuconego samolotu, aby ktokolwiek go znalazł. Jeżeli był oszustem, któremu chodziło o ubezpieczenie, to sądzę, że raczej wodowałby na Morzu Śródziemnym niedaleko brzegu. Dopłynąłby do brzegu na wiosłach w składanym pontonie, jak sprawdziłem mieli je już w 1936, i ulotnił się. Więc Paul może szukać na pustyni czegoś, czego tam nie ma.

— Nie podoba mi się to — powiedziała chłodno. — Zakłada pan, że moja matka brała udział w oszustwie.

— Przykro mi — odparłem. — Mnie też się to nie podoba, ale i taką

możliwość należy wziąć pod uwagę. W mojej pracy robię to przez cały czas, panno Aarvik.

Kelner przerwał nam, przynosząc pierwsze danie. Przy zupie cebulowej

powiedziałem:

— W każdym razie, tam właśnie przebywa teraz pani brat. — Gdzieś w

Algierii, jeśli nie jest już w Nigrze, lub w Czadzie, czy jeszcze innym równie nieprawdopodobnym miejscu.

— Trzeba go sprowadzić z powrotem — powiedziała. — Panie Stafford, nie mam zbyt wielu pieniędzy, ale czy jest w ogóle możliwe, aby pańska agencja detektywistyczna odszukała go?

— Nie prowadzę agencji detektywistycznej — odparłem. — Prowadzę

organizację zabezpieczającą. Wielu ludzi myli te dwie rzeczy. Szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego chce pani aby wrócił. Przed chwilą usłyszała pani, jak przez całe lata oszukiwał panią. Myślę, że bez niego lepiej się pani powodzi.

— Jest moim bratem — powiedziała po prostu. — Nie mam innej rodziny na świecie.

Wyglądała na tak załamana duchowo, że zrobiło mi się jej żal. Przypuszczam, że właśnie wówczas podjąłem decyzję. Oczywiście obwarowałem ją różnymi „jeśli”, oraz „być może”, jako wymówką dla swojego sumienia na wypadek gdybym się wycofał, ale decyzja została podjęta.

Ostrożnie powiedziałem:

— Istnieje możliwość, proszę zauważyć, jedynie możliwość, że w niedalekiej przyszłości pojadę do Afryki Północnej. Jeśli pojadę, popytam się i zobaczę, czy potrafię go odnaleźć.

Ożywiła się, jakbym dał jej klucz do Bank of England.

— Ta bardzo uprzejmie z pana strony — powiedziała gorąco.

— Proszę się tym tak bardzo nie ekscytować — ostrzegłem. — Nawet jeśli go odnajdę, pani kłopoty się nie skończą. Przypuśćmy, że nie będzie chciał wrócić.

Co mam wówczas zrobić? Porwać go? Jest przecież wolnym człowiekiem.

— Jeśli go pan odnajdzie, proszę mi wysłać telegram, wówczas przylecę tam.

Gdybym mogła porozmawiać z Paulem, to potrafiłabym nakłonić go, aby wrócił.

— Nie wątpię, ale pierwszym problemem jest odnalezienie go. Jest jednak kilka spraw korzystnych dla nas. Po pierwsze, są wielkie obszary Sahary, gdzie nie będzie szukał samolotu. — Zamilkłem na chwilę, po czym powiedziałem cierpko: — Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, w co pozwolę sobie wątpić.

— Oo! Jakie to obszary?

— Obszary zamieszkane. Sahara nie jest w całości przeklętym pustkowiem.

Prócz tego jest kurs, po którym miał lecieć Peter Billson. Powinno nam to dać ogólną wskazówkę o tym, gdzie samolot może się znajdować. Czy można

znaleźć kogoś, kto miałby tak osobliwe wiadomości po czterdziestu latach?

Przygnębiona pokręciła głową, a następnie wolno odpowiedziała:

— Jest taki człowiek w dziale lotniczym muzeum techniki. Paul sporo z nim rozmawiał. Jest kimś w rodzaju historyka lotnictwa. W swoim archiwum ma najróżniejsze szczegóły. Ale nie pamiętam jego nazwiska.

— Sprawdzę — obiecałem. — Kolejną rzeczą przemawiającą na naszą

korzyść jest fakt, że w tym stosunkowo pustym kraju obcy rzuca się w oczy.

Jeśli Paul pęta się Land—Roverem po tych odległych terenach, to zostawi bardzo wyraźny ślad.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Sprawia pan, że już czuję się lepiej.

— Niech się pani nie daje ponosić nadziei. Kiedy... jeśli pojedę do Afryki Północnej, prześlę pani adres pod którym może się pani ze mną kontaktować.

Skinęła tylko głową i ponownie zajęliśmy się kolacją.

Odwiozłem ją do domu wcześniej, a potem wróciłem do klubu i nadziałem się na wchodzącego właśnie Charlie Mallesona.

— Już myślałem, że cię nie zastanę — powiedział. — Właśnie przejeżdżałem i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć się z tobą.

Zerknąłem na zegarek.

— Bar jest jeszcze otwarty. Drinka?

— Dobra.

Wzięliśmy nasze szklanki do stojącego na uboczu stolika, a Charlie powiedział:

— Dzwoniłem do ciebie do domu, ale nikt nie odbierał, więc spróbowałem znaleźć cię tutaj. — Skinąłem jedynie głową, a on chrząknął zakłopotany. —

Czy to prawda, co słyszałem o tobie i Glorii?

— To zależy co słyszałeś, ale mogę się domyślić. Złe wieści szybko się rozchodzą. Tak, to prawda. Gdzie to słyszałeś?

— Brinton mówił coś wczoraj. Gloria z nim rozmawiała.

— Niewątpliwie najpierw podając swoją wersję. Nie zrobi wrażenia na Brintonie.

— Doprawdy mi przykro, że tak się stało. Wnosisz o rozwód?

— Sprawa jest teraz w rękach mojego adwokata.

— Rozumiem — powiedział wolno. Nie wiem, co rozumiał i doprawdy nie

dbałem o to. — A tak poza tym, jak się czujesz? — zapytał. — Niedawno wyszedłeś ze szpitala.

Spojrzałem na niego ponad brzegiem szklanki.

— Charlie, czy zostałeś kiedyś pobity? Dostałeś porządne manto od ekspertów?

— Nie zdarzyło mi się.

— Jest to najbardziej upadająca rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi

— powiedziałem stanowczo. — Chodzi nie tyle o to, co robią z twoim ciałem.

Ono może wytrzymać spore cięgi, ale o poczucie zupełnej bezsilności.

Przestajesz być niezależny, znajdujesz się w rękach innych, którzy mogą z tobą zrobić co zechcą. A ty mnie pytasz, jak się czuję.

— Przykro ci z tego powodu, co Max? Wiesz, nie spodziewałem się tego po tobie.

— Dlaczego?

— No wiesz, masz raczej opinię zimnego jak ryba. Swoje interesy prowadzisz jak komputer.

— Cóż w tym złego, jeśli ktoś myśli i działa logicznie — powiedziałem.

— Nie. — Na chwilę zapadła cisza, po czym Charlie powiedział: —

Przypuszczam, że rozwód zatrzyma cię w Anglii.

Opróżniłem szklankę.

— Nie widzę powodu dlaczego. Mam zamiar przyjąć twoją radę i wygrzać się trochę na słońcu. Z przyjemnością wyniosę się na jakiś czas z Londynu.

Charlie wyglądał na zadowolonego.

— Dobrze ci to zrobi, wrócisz jak nie ten sam człowiek.

— Jak tam zdomawia się Jack Ellis?

— Bardzo dobrze. Cieszę się, że powiedziałeś mi o pracy. Dzięki temu oczyściła się atmosfera i wiele spraw stało się łatwiejszych. Jak długo może cię nie być?

— Naprawdę nie wiem. Trzymaj się dzielnie, podwój zyski, a dochody składaj do banku. Wróć, kiedy mnie zobaczysz.

Przez kilka minut rozmawialiśmy jeszcze o błahych sprawach, po czym

Charlie pożegnał się. Miałem niejasne przeczucie, że nie „wpadł przejeżdżając obok”, ale przyszedł uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Na temat rozwodu?

Mojego zdrowia? Jeszcze raz przypomniałem sobie całą rozmowę,

zastanawiając się, czy uzyskał odpowiedź.

Miałem niespokojną noc. Myślałem o sobie widzianym oczyma innych —

Max Stafford, zimna ryba. Nie wiedziałem, że Charlie uważał mnie za kogoś takiego. Na stopie prywatnej zawsze byliśmy przyjaciółmi, a w interesach też nam się dobrze pracowało razem. Taki snop światła rzucony na siebie

widzianego oczami innych, może czasami okazać się wstrząsem.

Dręczyły mnie sny o jakiejś nieokreślonej nadciągającej zgubie, więc

zasypiałem i ponownie budziłem się. Przez długi czas leżałem z otwartymi oczami, a potem nie mogąc zasnąć, włączyłem lampkę nocną i zapaliłem

papierosa.

Szczyciłem się tym, że myślę i działam logicznie, ale gdzie była u diabła logika w tej beznadziejnej wyprawie do Algieru? Może seksualny odskok od Glorii, do Alix Aarvik, pragnienie, by zostać szlachetnym rycerzem na białym rumaku, który udaje się na poszukiwania, aby zrobić wrażenie na swej

bogdance? Odrzuciłem to. Alix Aarvik mogła się podobać, ale z pewnością nie mogło być mowy o pociągu seksualnym. Może Max Stafford był mimo

wszystko zimną rybą.

Co wówczas?

Może sprawiało to uczucie, że mną manipulowano. Pomyślałem o Andrew

McGovernie. Próbował wysłać Alix do Kanady. Dlaczego? W rezultacie nie wysłał jej. Dlaczego? Czy dlatego, że okazałem się nieco za szybki, że złapałem ją i rozmawiałem na dzień przed jej planowanym wyjazdem? Jeśli było już po szkodzie, to nie miało sensu wysyłanie jej. Zostałem pobity bezpośrednio po spotkaniu z nią. Jeśli odpowiedzialność za to ponosił McGovern, to powinienem wymyślić jakąś nową i oryginalną karę dla niego.

Czy McGovern celowo wywierał na mnie nacisk przez Brintona? Tego dnia, kiedy odbyło się spotkanie rady, Brinton powiedział, że McGovern wywiera na niego presję. Jakiego rodzaju władzę mógł mieć McGovern nad takim rekinem jak Brinton? A jeśli McGovern wywierał nacisk, to

dla czego to robił?

Dochodził jeszcze Paul Billson. Zanim pojawił się w moim życiu, byłem umiarkowanie szczęśliwy. Ale od chwili, kiedy zadzwonił Hoyland, żeby potrzymać go za rączkę, zaczęły się same kłopoty. Wszystko zdawało się kręcić wokół Paula, człowieka ogarniętego obsesją.

Logiczne! Jeśli wszystko kręciło się wokół Paula Billsona, to może z nim należało porozmawiać. Może wyjazd do Algieru nie był mimo wszystko takim złym pomysłem.

Zgasilem światło i zasnalem.

W trzy dni później odleciałem do Algieru.



Algier jest jedynym znanym mi miastem, w którym poczta główna wygląda jak meczet, a główny meczet wygląda jak poczta. Nie żebym wiele czasu spędził

w tym meczecie. Sądziłem jednak, że pomyliłem się w sposób zasadniczy, kiedy po raz pierwszy wszedłem na pocztę, aby odebrać listy z poste restante.

Zdumiony spoglądałem na przestronny, cichy hol, ze zdobionymi

przepierzeniami i arabeskami. W końcu doszedłem do wniosku, że stanowiła ona wschodnią próbę gorliwego naśladownictwa pełnej czci, katedralnej atmosfery, przyjętej przez największe banki brytyjskie. Tę pocztę poznałem zupełnie nieźle.

Odkrycie miejsca pobytu Paula Billsona nie było takie łatwe. Chociaż

zupełnie nieźle mówiłem po francusku, to ani w ząb nie znałem arabskiego. Nie ułatwiało mi to przebicia się przez bizantyjskie zawilości algierskiej biurokracji, bezpostaciowej struktury przestrzegającej prawo Parkinsona do n—tej potęgi.

Gdyby trasę moich wędrówek po Algierze nanieść na mapę, przypominałaby sieć utkaną przez obłąkanego pajaka. W dwudziestym biurze, w którym

nawiedzony przez nieufność urzędnik poddawał mój paszport rutynowej,

piętnastominutowej kontroli, moja cierpliwość po raz dwudziesty nieomal się wyczerpała. Problem polegał na tym, że nie działałem na swoim terenie, a Algierczycy pracowali według innych zasad.

Mój hotel znajdował się w Hamma, w centrum miasta niedaleko Muzeum

Narodowego. Kiedy pewnego wieczoru wróciłem wcześniej, ogarnęło mnie

zniechęcenie. Po tygodniowym pobycie w Algierze nie doszedłem do niczego, a jeśli nie potrafiłem wytropić Billsona w mieście, to jaką nadzieję mogłem mieć na pustyni? Można by sądzić, że ostrze mi się stępiło z braku praktyki.

Kiedy szedłem przez hol, żeby zabrać klucz do pokoju, zaczepił mnie wysoki Arab, noszący wszechobecną djellabę.

— M'sieur Stafford?

— Tak, nazywam się Stafford.

Bez słowa wręczył mi kopertę. Napisano na niej jedynie moje nazwisko.

Otwierając ją, spojrzałem na niego z zaciekawionym. Odwzajemnił mi się

nieruchomym spojrzeniem brązowych oczu. W kopercie znajdowała się

pojedyncza kartka papieru, niezatytułowana, z dwoma linijkami maszynopisu: Wydaje mi się, że szuka pan Paula Billsona. Czemu nie przyjedzie pan

zobaczyć się ze mną?

Poniżej znajdował się podpis, nie dający się odcyfrować gryzmoł. Spojrzałem na Araba.

— Kto to przysłał?

Odpowiedział gestem w stronę wyjścia z hotelu.

— Tędy.

Przez chwilę zastanawiałem się, po czym skinąłem głową i wyszedłem za nim z hotelu. Otworzył mi tylne drzwi dużego Mercedesa, a kiedy wsiadłem, zgrabnie zatrzasnął drzwi i usiadł za kierownicą. Gdy uruchomił silnik powiedziałem:

— Dokąd jedziemy?

— Bouzarea — później skoncentrował się na prowadzeniu i odmówił

odpowiedzi na dalsze pytania. Zrezygnowałem więc, rozparłem się w

wyściełanym luksusie i obserwowałem przepływający obok Algier.

Z centrum miasta droga do Bouzareii wznosiła się stromo w górę. Odwróciłem się, aby spojrzeć przez tylną szybę i zobaczyłem rozpościerający się poniżej Algier, z leżącym poza nim Morzem Śródziemnym, ciemniejszy ku wschodowi, jako że słońce już zaszło. Na ulicach zaczęły pojawiać się sznury świateł.

Odwróciłem się ponownie, gdy samochód skręcił za róg i zatrzymał się przy długim murze. Jedyne wyjście w nim stanowiła niewielka brama. Arab wysiadł, otworzył drzwi samochodu i wskazał bramę w murze, która już się otwierała.

Wszedłem przez nią do dużego ogrodu otoczonego murem. Wydawał się nieco mniejszy od Windsor Great Park, ale niewiele. W niewielkiej odległości znajdował się nisko sklepiony dom o płaskim dachu, rozpełzający się bezładnie po powierzchni prawie jednego akra. To miejsce cuchnęło pieniędzmi.

Brama za mną zamknęła się z trzaskiem zamka. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z innym Arabem, starym człowiekiem o pokrytej bliznami orzechowej twarzy. Nie zrozumiałem co powiedział, ale zapraszający gest ręki był niedwuznaczny, więc ruszyłem za nim w stronę domu.

Przeprowadził mnie przez dom na wewnętrzny dziedziniec, gdzie zniknął jak obłok dymu w jakiejś ukrytej niszy. Jakaś kobieta leżała na szezlongu.

— Stafford?

— Tak, Max Stafford.

Jak oceniłem miała już po sześćdziesiątce, a styl ubioru można by uznać za staromodny. Z jej siwymi włosami mogła być czyjąś starą matką, gdyby nie dwie rzeczy. Pierwsza, to twarz, opalona na kolor skóry brązowych butów.

Głębokie zmarszczki wokół oczu wskazywały na zbyt dużą ilość słońca, a oczy te były zdumiewająco niebieskie. Niebieskie oczy i siwe włosy zestawione z tą twarzą stanowiły efektowną kombinację. A druga, to fakt, że paliła największe hawańskie cygaro, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Czym się trujesz? Szkocką? Żytnią? Ginem? Powiedz, co. Jej głos miał

zdecydowanie północnoamerykański akcent.

Wolno uśmiechnąłem się.

— Nigdy nie przyjmuję drinków od nieznajomych.

Roześmiała się.

— Jestem Hesther Raulier. Siadaj, Maxie Stafford, ale zanim to zrobisz, nalej sobie drinka. Oszczędź mi wstawania.

Na przenośnym barku znajdował się imponujący szereg butelek, podszedłem więc, nalałem sobie szkockiej i dodałem wody ze srebrnego dzbana. Gdy usiadłem w wiklinowym fotelu powiedziała:

— Co robisz w Algierze?

Mówiła po angielsku, ale kiedy powiedziała „Algier”, wyszło to jak el Djeza'ir. W takim razie znała arabski.

— Szukam Paula Billsona — powiedziałem.

— Dlaczego?

Pociągnąłem łyżeczkę szkockiej.

— A czemu to panią interesuje?

Zaofiarowała mi łobuzerski uśmiech.

— Powiem ci, jeśli ty mi powiesz.

Spojrzałem w niebo.

— Czy zawsze jest tu tak przyjemnie zimą?

Ostrożnie położyła cygaro w dużej popielnicy.

— No dobra Stafford, twardy z ciebie handlarz. Ale powiedz mi jedną rzecz.

Czy przyjechałeś tu, żeby zrobić krzywdę Paulowi?

— Dlaczego miałbym chcieć go skrzywdzić?

— Na miłość boską! — rzekła poirytowana. — Czy zawsze musisz odpowiadać pytaniem na pytanie?

— Tak, muszę — odparłem ostro. — Dopóki nie dowiem się, dlaczego to panią interesuje.

— No więc dobrze, zostawmy szermierkę — zamachem ściągnęła nogi z szeszlona i wstała. Miała krępa budowę i była muskularną facetką.

— Przyjaźniłam się z ojcem Paula.

Brzmiało to obiecująco, oddałem więc miarka za miarkę.

— Jego siostra martwi się o niego.

— Jego siostra? — powiedziała ostrym głosem. — Nie wiedziałam, że Peter Billson miał córkę.

— On nie miał. Wdowa po nim ponownie wyszła w czasie wojny za mąż za Norwega, który zginął. Alix Aarvik jest przyrodnią siostrą Paula.

Hesther Raulier zamyśliła się głęboko. Po chwili odezwała się.

— Biedna Helen, na pewno było jej ciężko.

— Znała ją pani?

— Znałam ich oboje — podeszła do barku i naląła sobie porządnego kielicha czystej, zbożowej whisky. Wychyliła go jednym haustem i wzdrygnęła się lekko. — Paul powiedział mi, że Helen zmarła, ale nic nie mówił o siostrze.

— Nie miał ochoty.

Odwróciła się gwałtownie.

— Co to miało znaczyć?

— Traktował ją dosyć podle. Ludzie nie mówią o tych, których źle

potraktowali. Tyle tylko pani powiem, w ciągu ostatnich lat jej życia, Paul nie okazał się zbyt pomocny dla matki — ponownie uniosłem szklanę. —

Dlaczego miałaby pani sądzić, że chciałbym zrobić Paulowi krzywdę?

Zmierzyła mnie gniewnym spojrzeniem.

— Przedtem Maxie Stafford, muszę wiedzieć o tobie znacznie więcej.

— To uczciwe — powiedziałem. — A ja będę musiał wiedzieć dużo więcej o pani.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Zdaje się, że sprawimy sobie prawdziwy turniej gadulstwa. Lepiej jeśli zostaniesz na kolacji.

— Dziękuję. Ale proszę mi coś powiedzieć. Gdzie jest teraz Paul?

Gdy nadszedł czas, aby wejść do środka na kolację, nasze sztywne

nastawienie do siebie uległo rozluźnieniu. Zaciekawiała mnie ta starsza, przywiązana do świata doczesnego kobieta, używająca antycznego,

amerykańskiego slangu. Lada moment spodziewałem się, że wyjdzie mi z jakimś „szoruj stąd”. Zdałem jej starannie zredagowane sprawozdanie i zakończyłem:

— Tak się sprawy mają i dlatego właśnie tu jestem.

Piła whisky, jak gdyby pod ogrodem miała własną gorzelnię, ale nawet jeden siwy włos jej nie drgnął.

— Prawdopodobna historyjka — powiedziała z przekąsem. — Tak ważna

osoba jak ty rzuca wszystko i przyjeżdża do Algieru szukać Paula. Kochasz się w Aarvik?

— Ledwie ją znam. A poza tym jest dla mnie za młoda.

— Żadna dziewczyna nie jest za młoda dla jakiegokolwiek mężczyzny, wiem to. Musisz się lepiej postarać, Max.

— Złożył się na to szereg okoliczności — odparłem zmęczonym głosem. —

Po pierwsze, rozwodzę się z żoną i pragnąłem uciec od tego na jakiś czas.

— Rozwodzisz się z żoną — powtórzyła. — Z powodu Alix Aarvik?

— Ponieważ mężczyzną w jej łóżku nie byłem ja — warknąłem.

— Wierzę ci — powiedziała uspokajająco. — Dobra, jaki masz procent? Ile z tego wyciągniesz?

— Nie wiem o czym mówisz.

Zimne, niebieskie oko wwierciło się we mnie.

— Słuchaj koleś, nie wciskaj mi tu żadnej angolskiej ciemnoty. Albo mi mówisz to, co chcę wiedzieć, albo nic nie dostaniesz.

Westchnąłem.

— Może nie lubię jak mnie biją — odparłem i opowiedziałem jej całą resztę.

Przez chwilę milczała, po czym rzekła:

— Piekielna historia, ale wierzę w nią. Jest zbyt zwariowana, aby ją wymyślić na poczekaniu.

— Miło mi słyszeć, że to mówisz — powiedziałem z przekąsem. — A teraz moja kolej. Na początek powiedz mi jak to się stało, że mieszkasz w Algierze.

Wyglądała na zaskoczoną.

— Do diabła, urodziłam się tutaj.

Okazało się, że jej ojciec pochodził z francusko—arabskiej rodziny, a jej matka była Kanadyjką. W jaki sposób doszło do tak nieprawdopodobnego

małżeństwa, nie powiedziała. Jej matkę musiała cechować duża stanowczość, gdyż Hesther wysłano do szkoły w Kanadzie, zamiast do Francji, jak większość dzieci zamożnych, francuskich kolonistów.

— Ale nie byłam tam już od lat — powiedziała.

To by tłumaczyło jej staromodny żargon.

W Kanadzie spotkała Petera Billsona.

— Oczywiście był starszy ode mnie — powiedziała. — Zaraz, to musiało być w 1933, a więc miałam siedemnaście lat.

A Billson trzydzieści. Kiedy pojawił się w jej życiu, Hesther przebywała na wakacjach, z wizytą w domu przyjaciółki szkolnej. Gościła u McKenziego, bogatego Kanadyjczyka, który interesował się rozwojem komunikacji

powietrznej, szczególnie w bardziej odległych częściach Kanady. Billson zaczął

zdobywać sławę, więc McKenzie zaprosił go na długi weekend, aby podkraść coś z jego pomysłów.

— Czułam się, jakbym spotkała Boga — powiedziała Hesther. — Wiesz

jakie są dzieci. Teraz wariują na punkcie długowłosych śpiewaków, ale wówczas największym

wzięciem cieszyli się lotnicy.

— Jakim był mężczyzną?

— Po prostu mężczyzną — powiedziała tylko. Niewidzącym wzrokiem

wpatrywała się w przeszłość. — Oczywiście miał swoje wady, któż ich nie ma?

Ale wiązały się one z jego zawodem. Peter Billson był dobrym pilotem, odważnym, żądnym sławy mężczyzną, ekshibicjonistą. Taki sam, jak wszyscy lotnicy w pionierskim okresie. Wszyscy zabiegali o pochlebstwa tej idiotycznej publiki.

— Jak dobrze go poznałaś?

Spojrzała na mnie z ukosa.

— Prawie tak dobrze, jak kobieta może poznać mężczyznę. W 1933 roku straciłam dziewictwo.

Miałem trudności z wyobrażeniem sobie tej nieustępliwej, twardej jak podeszwa kobiety, jako siedemnastolatki w sidłach miłości.

— Czy to się stało zanim Billson się ożenił?

Hesther pokręciła głową.

— Miałam piekielne uczucie rozmawiając z Helen przy filiżankach kawy.

Zdawało mi się, że winę mam wypisaną na czole.

— Jak długo go znałaś?

— Aż do śmierci. Miałam tu wrócić w 1934, ale udało mi się wyciągnąć jeszcze rok, z powodu Petera. Widywał się ze mną za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Toronto. A potem w 1935 musiałam wracać, gdyż matka

zagroziła, że odetnie mi fundusze. Następny raz zobaczyłam Petera, kiedy wylądował tu w czasie Wyścigu Powietrznego Londyn—Kapsztad w 1936. Od startu więcej go nie widziałam. — W jej głosie zabrzmiała ponura nuta, kiedy dodała: — Wiesz, nigdy nie wyszłam za mąż.

Niewiele można było na to odpowiedzieć. Po kilku minutach przerwałem niezręczne milczenie.

— Mam nadzieję, że nie miałabyś nic przeciwko temu, aby powiedzieć mi na ten temat coś więcej. Czy znałaś, na przykład, plan jego lotu?

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekła nieco zmęczonym głosem. —

Ale niewiele wiem. Pamiętaj, że byłam dwudziestoletnią dziewczyną, a nie fachowcem. Miał tego wzmocnionego Northropa do przewozu poczty. Jock

Anderson zamontował dodatkowe zbiorniki paliwa w luku bagażowym, a plan przewidywał lot na południe, z Algieru do Kao w Nigerii. Przelot nad pustynią stanowił najtrudniejszy odcinek, więc Jock przyjechał tu z ekipą, aby gruntownie przejrzeć samolot, zanim Peter wystartował.

— Kto to taki, Jock Anderson?

— Mechanik lotniczy. Peter i Jock przebywali ze sobą od dawna. Peter latał

na samolotach i wyciskał z nich ile się tylko dało, a kiedy groziło, że się rozleczą na kawałki, Jock trzymał je w kupie. Tworzyli dobry zespół. Jock był dobrym mechanikiem.

— Co się z nim później stało?

— Kiedy Peter zniknął, załamiał się. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna tak szybko się upił. Poszedł w rejs na trzy dni, później wytrzeźwiał i wyjechał z Algieru. Od tego czasu go nie widziałam.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, ale zaprowadziło mnie to donikąd.

— Co sądzisz o Paulu Billsonie?

— Myślę, że to bzik — powiedziała. — Histeryczny i szalony. Pod każdym względem zupełnie niepodobny do ojca.

— Jak go poznałaś?

— Tak samo jak ciebie. Mam uszy w całym mieście i kiedy usłyszałam o człowieku zagląającym w sprawę Petera Billsona, zaciekało mnie to i posłałam po niego.

— No dobrze — powiedziałem. — Gdzie on jest?

— Pojechał szukać tatusia. Teraz powinien już być w Tammanrasset.

— Gdzie to jest?

Hesther uśmiechnęła się do mnie krzywo.

— Jedziesz na południe w głąb pustyni, dopóki nie zaczniesz wyjeżdżać z pustyni. To właśnie Tammanrasset, leży w Ahaggarze około dwóch tysięcy kilometrów stąd na południe. Dokładnie pośrodku Sahary.

Gwizdnąłem.



— Dlaczego tam?

— Jeśli szukasz czegoś w Ahaggarze, Tam jest dobrym miejscem na początek.

— Jaki jest Ahaggar?

Hesther przyglądała mi się przez chwilę, nim odpowiedziała:

— Górzysty i suchy.

— Jaki wielki?

— Chryste, nie wiem. Ostatnio go nie mierzyłam. Poczekaj chwilę — wyszła i wróciła z książką — Annexe du Hoggar, to obszar administracyjny, ma 380.000

kilometrów kwadratowych — uniosła wzrok. — Nie wiem ile to wynosi w milach kwadratowych. Musisz sobie sam policzyć.

Tak też zrobiłem i wyszło mi 150.000 mil kwadratowych — trzykrotny obszar Wielkiej Brytanii.

— Paul Billson jest szalony — powiedziałem. — Jakie jest zaludnienie?

Hesther ponownie sprawdziła w książce.

— Około dwunastu tysięcy.

— Chyba nie ma tam specjalnie czym administrować. Ludzi jest raczej niewielu.

— Jeżeli tam pojedziesz, dowiesz się dlaczego — odparła. — Myślisz jechać za nim?

— Przyszło mi to do głowy — przyznałem. — Co, jak sądzę, czyni mnie równie szalonym jak on.

— Niezupełnie. Powinieneś go znaleźć dość łatwo. Dotarcie do

Tammanrasset nie jest zresztą problemem. Jest kilka lotów w tygodniu.

— Jeśli mogę polecić, mam ułatwioną sprawę. Skinęła głową.

— W takim razie musisz tylko czekać w Tammanrasset, aż się pokaże. Jeżeli jest w Ahaggarze i chce

więcej benzyny, to poza Tam nigdzie jej nie dostanie —

przez chwilę zastanawiała się. — Oczywiście inna sprawa, jeśli chcesz go ścigać. Potrzebowałbyś przewodnika. Luke Byrne jest zwykle w Tam o tej porze roku, on mógłby mieć chętkę na taką robotę.

— Kim on jest?

Roześmiała się.

— Kolejny szaleniec. Powinno mu przypaść do gustu szukanie wariata —

zapaliła pokolacyjne cygaro. — Jeśli wybierasz się do Tam, potrzebne ci jest zezwolenie. Jeśli spróbujesz załatwić je osobiście, zajmie ci to dwa tygodnie.

Ja zrobię to w dwa dni. Co zrobisz kiedy już znajdziesz Paula Billsona?

Wzruszyłem ramionami.

— Jeśli dam radę, spróbuję nakłonić go do powrotu do Anglii.

— Trudno ci będzie przebić się przez tę obsesję.

— Jego siostra może mieć większą szansę. Powiedziała, że przyjechałaby tutaj. Czy pomogłabyś jej tak samo jak mnie?

— Jasne.

— Jak przypuszczasz — zapytałem — czy ciało Petera Billsona jest tam gdzieś?

— Oczywiście, że jest... to, co z niego zostało. Wiem co masz na myśli.

Czytałam o tym południowoafrykańskim sukinsynu, który twierdził, że widział

Petera w Durbanie. Często zastanawiałam się, jak wielką łapówkę wziął ten drań.

Jedno ci powiem Max, Peter Billson nie był aniołem, daleko mu do tego, ale w sprawach pieniężnych postępował uczciwie. A Helen, to niemal anioł i nikt mi nie powie, że dopuściła się krzywoprzysięstwa za pół miliona dolców. To po prostu nie w ich stylu.

Westchnęła.

— Skończmy już o tym mówić, dobra? Nigdy nie miałam w zwyczaju zbyt

daleko sięgać w przeszłość i nie mam zamiaru robić tego teraz.

— Przepraszam — powiedziałem. — Może lepiej już sobie pójdę.

— Do diabła, nie! — odparła. — Nie odchodź i napij się jeszcze brandy, a ja prześcignę cię w

sprośnych historyjkach.

— W porządku — rzekłem uprzejmie i powiedziałem jej ten limeryk o

biskupie Chichesteru, który poruszył wszystkich świętych w ich niszach.

Nie widziałem się wówczas ponownie z Hesther, ale z pewnością miała

trochę wpływów, bo w półtora dnia wszystko miałem gotowe do wyjazdu. W

tym zezwolenie i zarezerwowane na jej koszt miejsce w samolocie, które dostarczył mi do hotelu jej arabski szofer. W liście wyjaśniającym pisała: Mam nadzieję, że nie pogniewasz się o ten bilet lotniczy. Po prostu

chciałabym coś zrobić dla pamięci P.B. Jeśli znajdziesz tego idiotę Paula, daj mu w łeb, wpakuj do worka i przyślij do Algieru.

Zadepeszowałam do Luke'a Byrne i będzie na ciebie czekał. Znajdziesz go w hotelu Tin Hinan. Pozdrów go ode mnie.

Nie wiem czy to ma jakieś znaczenie, ale ktoś jeszcze szuka Paula —

człowiek nazwiskiem Kissack. Nic o nim nie wiem, bo zwał z miasta nim mogłam go sprawdzić.

Wszystkiego najlepszego i pokaż się znowu.

Nie wiedziałem czego się spodziewać po Tammanrasset, ale niewątpliwie różnił się od Algieru. Z góry widać było rozrzucone domki ustawione w oparze zieleni u podnóża nagich wzgórz. Transport z pasa startowego odbywał się ciężarówką po asfaltowej drodze prowadzącej pomiędzy wysokimi, czworobocznymi kolumnami stanowiącymi wejście do miasta. Wyglądały jak dekoracja do kiego film o Legii Cudzoziemskiej.

Nazwałem to miastem, lecz stosowniejsze byłoby nazwanie tego wsią. Co by jednak nie powiedzieć, była to metropolia Ahaggaru. Szeroką główną ulicę; ocieniały drzewa akacjowe i ograniczały parterowe domy najwyraźniej zrobione z suszonego błota. Wyglądały jakby mógł je rozmyć łagodny, przelotny

deszczyk. Kierowca ciężarówki trąbił klaksonem, aby usunąć z drogi pieszych

— wysokich, ubranych na niebiesko i biało mężczyzn, tłoczących się środkiem ulicy, jak gdyby nie wynaleziono jeszcze silnika spalinowego.

Ciężarówka zatrzymała się przed hotelem Tin Hinan, gdzie znajdował się ocieniony drzewami dziedziniec zastawiony wrzecionowatymi, metalowymi stołami i krzesłami, na których siedzieli pijący ludzie. Z głośnika umieszczonego nad wejściem do hotelu dobiegało nosowe zawodzenie jakiejś orientalnej śpiewaczki. Wszedłem do zakurzonego holu i czekałem, aż ktoś mnie zauważy.

Nie było lady recepcyjnej.

Niebawem dostrzeżono mnie. Zwinny mężczyzna w niezbyt czystym, białym ubraniu zapytał zmasakrowaną francuszczyzną, co może dla mnie zrobić.

— Powiniennem mieć rezerwację — odparłem. — Nazywam się Stafford.

Uniósł brwi.

— Ach, M'sieur Stafford! M'sieur Byrne oczekuje pana. — Zaprowadził

mnie do drzwi i wskazał — Voila.

Przyglądałem się mężczyźnie siedzącemu przy stoliku. Miał na sobie długą, niebieską szatę i biały turban. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby nazywać się Byrne. Odwróciłem się ponownie do recepcjonisty, ale zorientowałem się, że wrócił już z powrotem do hotelu, zbliżyłem się więc do stolika i powiedziałem z wahaniem.

— Pan Byrne?

Mężczyzna zastygł z uniesioną do ust szklanką piwa, po czym odstawił ją.

— Tak — powiedział i odwrócił się twarzą do mnie. Pod krzaczastymi,

siwymi brwiami niebieskie oczy spoglądały na mnie z mocno opalonej twarzy tak szczupłej, że niemal wychudłej, co sprawiało, że nos sterczał jak dziób.

Poniżej nosa znajdowały się szerokie usta z mocno zaciśniętymi wargami. Nie mogłem dojrzeć jego brody, gdyż fałda turbanu zawinęła się jakoś wokół szyi, ale na policzkach miał siwy zarost. Wyglądał jak Mojżesz, ale dwa razy starzej.

— Nazywam się Stafford — powiedziałem.

— Proszę siadać, panie Stafford. Może piwa? — mówił po angielsku z

rażącym w tych okolicznościach amerykańskim akcentem.

Gdy usiadłem skinął na kelnera.

— Deux bieres. — Ponownie zwrócił się do mnie: — Hesther mówiła mi o panu. Powiedziała, że może pan potrzebować pomocy.

— Mogę. Szukam mężczyzny.

— Ach tak? Większość mężczyzn szuka kobiet.

— Nazywa się Billson. Jest gdzieś tu w okolicy.

— Billson — w zamyśleniu powtórzył Byrne. — Dlaczego jest panu

potrzebny?

— Nie sędzę, abym go potrzebował — odparłem. — To jego siostra. On

szuka rozbitego samolotu. Czy są tu jakieś w pobliżu?

— Kilka.

— Ten rozbił się ponad czterdzieści lat temu. Wyraz twarzy Byrne'a nie zmienił się.

— Żaden nie ma aż tyle.

Wrócił kelner i podał dwie butelki piwa oraz dwie szklanki. Byrne odprawił

go skinieniem głowy. Wychodziło na to, że Byrne miał kredyt w hotelu Tin Hinan.

Nalałem piwa.

— Powiedziano mi, że Ahaggar jest duży i bardzo górzysty. Rozbity samolot mógł zostać nie odnaleziony.

— Zostałby — powiedział Byrne.

— Jednak przy tak niewielkim zaludnieniu...

— Zostałby odnaleziony — Byrne był pewien swego. — Jak Billson się tu dostał? Powietrzem?

— Ma Land—Rover.

— Jak długo tu przebywał?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem. Tydzień, może dwa.

Przez jakiś czas Byrne milczał spoglądając nieruchomymi oczami na ulicę.

Rozparłem się na krześle i pozwoliłem mu to przemyśleć. Nie potrafiłem ocenić tego człowieka, gdyż nie znałem poruszających go sprężyn. Pomimo faktu, że mówił po angielsku był mi równie obcy, jak każdy z podobnie do niego

ubranych mężczyzn przechadzających się ulicą.

Po jakimś czasie zapytał.

— Na ile zna pan Hesther Raulier?

— Prawie wcale. Spotkałem ją ledwie dwa dni temu.

— Lubi pana — powiedział. — Ma pan torbę?

Skinąłem kciukiem w stronę wejścia do hotelu.

— Tam.

— Niech leży, weźmiemy ją później. Obozuję tuż za Tam, przejdźmy się —

powstał i wykonał coś skomplikowanego z nakryciem głowy, robiąc z tego niezłe przedstawienie. Kiedy skończył twarz miał ukrytą, a materiał pozostawiał

jedynie szparę na wysokości oczu, przez którą patrzył.

Opuściliśmy hotel i poszliśmy wzdłuż głównej ulicy Tammanrasset,

oddalając się od lądowiska. Byrne był wysoki, jednak nie wyższy od innych mężczyzn, którzy podobnie ubrani chodzili ospale po ulicy. To ja stanowiłem niestosowną postać w tym miejscu.

— Czy zawsze ubiera się pan jak Arab? — zapytałem.

— Jeśli mogę tego uniknąć, to nie. Nie lubię Arabów. Gapiłem się na niego, gdyż nie mogłem pojąć jego odpowiedzi.

— Ale...

Pochylił głowę i rzekł z niejakim rozbawieniem.

— Musisz się wiele nauczyć, Stafford. Ci faceci nie są Arabami, tylko Imazi ghenami; Tuaregami, jeśli wolisz.

Obóz Byrne'a znajdował się około dwóch kilometrów od wioski. Składał się z trzech dużych, skórzanych namiotów ustawionych w półkole, tyłem do wiatru.

Piasek przed nich został wymieciony, a z boku małe ognisko trzaskało, wywołując detonacje, niczym miniaturowe sztuczne ognie. Nieco dalej pasły się wielbłądy.

Gdy zbliżyliśmy się, mężczyzna który siedział po turecku przy ogniu wstał.

— To jest Mokhtar — powiedział Byrne. — Zajmie się tobą podczas mojej nieobecności.

— Dokąd idziesz?

— Powęszyć dookoła. Ale najpierw powiedz mi coś więcej o Billsonie.

Długim krokiem Byrne podszedł do ogniska i obaj mężczyźni odbyli krótką rozmowę. Mokhtar był kolejnym wysokim mężczyzną noszącym czarczaf.

Byrne ruchem ręki zaprosił mnie do środkowego namiotu, gdzie usiedliśmy na miękkich dywanach. Wewnętrzne ściany namiotu zostały wykonane z trzciny.

— No dobra, dlaczego Billson chce odgrzebywać katastrofę sprzed czterdziestu lat?

— Zginął w niej jego ojciec — odparłem i opowiedziałem tę historię.

Właśnie skończyłem, gdy Mokhtar postawił przed Byrnem mosiężną tacę. Stał na niej garnek z dziobkiem i dwa mosiężne kubki.

— Lubisz miętową herbatę? — zapytał Byrne.

— Nigdy nie piłem.

— Jest niezła — nalał płynu i wręczył mi kubek. — Czy uważasz, że Billson miał w głowie wszystko po kolei?

— Nie, nie powiedziałbym. Jest ogarnięty obsesją.

— Tak też mi się wydawało — łyknął z kubka, a ja poszedłem w jego ślady.

— Co Hesther ma z tym wspólnego?

— Znała ojca Billsona.

— Jak dobrze?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— Jeśli zechce, żebyś wiedział, to sama ci powie.

Uśmiechnął się.

— W porządku Stafford, nie ma się co stawiać. Dowiedziałeś się tego od samej Hesther? — Kiedy skinąłem głową powiedział: — Musiałeś wkraść się w jej łaski. Nie mówi dużo o sobie.

— Jaką szansę ma Billson na odnalezienie samolotu? — spytałem.

— W Ahaggarze? Żadnej, bo go tutaj nie ma. Chociaż na północy jest sporo rozrzuconych wraków.

— Roześmiał się nagle. — Do diabła, sam spuściłem tam jeden z nich.

Spojrzałem na niego z zaciekawiony.

— Jak to się stało?

— Jeszcze w czasie wojny. Służyłem wtedy w lotnictwie wojskowym.

Latałem na Liberatorach z Oranu. Napadła nas banda Focke—Wolfów i

rozpieprzyła w drobny mak. Kabina była w rozsypce, kompas nie działał, nie wiedzieliśmy gdzie u diabła jesteśmy. Potem wysiadły silniki, więc posadziłem go. Myślę, że ten samolot wciąż jest tam, gdzie wylądowałem.

— Co się stało potem?

— Poszedłem sobie — odparł Byrne lakonicznie. — Zajęło mi to półtora tygodnia — wstał. — Wrócę za parę godzin.

Patrząc jak odchodzi tym spokojnym, niemal leniwym, długim krokiem

charakterystycznym, jak już zauważyłem, dla Tuaregów, zastanawiałem się cóż on u diabła robił na pustyni.

Po chwili Mokhtar zjawił się z następną porcją herbaty miętowej, oraz małymi, okrągłymi ciastkami.

Upłynęły trzy godziny zanim Byrne powrócił, w dodatku jadąc na



wielbłądzie. Słońce zachodziło i cierniste drzewa rzucały długie cienie. Zwierzę, kołysząc się, opadło na kolana, a Byrne ześliznął się z siodła, po czym wszedł

do namiotu niosąc swoją torbę. Wielbłąd parsknął, gdy Mokhtar przynaglił go do powstania i odprowadził.

Byrne usiadł.

— Znalazłem twojego chłopca.

— Gdzie on jest?

Wskazał na północ.

— Gdzieś tam, w górach. Wyjechał pięć dni temu. W Fort Lapperine zwrócił się o permis, ale nie chcieli mu go dać, więc i tak pojechał. Jest skończonym głupcem.

— Wiem — powiedziałem. — Dlaczego nie chcieli mu dać permis?

— Nie dają, nie jednemu człowiekowi z samochodem.

— On wróci — powiedziałem. — Hesther mówiła, że Tam jest jedynym miejscem, gdzie może dostać paliwo.

— Wątpię — powiedział Byrne. — Jeśli miał wrócić, byłby już tutaj. Te Land—Rovery to spragnione bestie. Jeśli go chcesz, będziesz musiał pójść po niego.

Oparłem się o trzcinową ścianę namiotu.

— Chciałbym znać więcej szczegółów.

— Paul Billson jest idiotą. Napełnił bak benzyną i pojechał. Żadnego zapasu.

Pięć dni, to zbyt długa nieobecność, a jeśli nie ma zapasu wody, to już nie żyje.

— Jak mogę się tam dostać? — powiedziałem spokojnie.

Byrne przyglądał mi się przez dłuższy czas i westchnął.

— Gdybym nie wiedział, że cieszyłeś się poważaniem Hesther, wysłałbym cię do diabła. A tak, ruszamy o brzasku — skrzywił się. — I będę musiał

postąpić wbrew moim zasadom i użyć śmierdziela.

Nie wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć, ale odparłem tylko:

— Dzięki.

— Chodźmy—powiedział. — Pomożemy Mokhtarowi podać menaż.

„Menażem” okazała się żylasta koza, twarda dla zębów i żołądka, a po niej ostry ser, który jak mi powiedziano został zrobiony z wielbłądziego mleka.

Byrne milczał i wcześniej poszliśmy spać w gotowości do wczesnego wymarszu.

Leżałem na plecach przy wejściu do namiotu, wpatrując się w niebo tak pełne gwiazd, że aż wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, aby schwycić ich pełną garść.

Zastanawiałem się, co tam robiłem i w co się pakowałem. Rozmyślałem o Byrnie mówiącym niemal równie archaicznym slangiem jak Hesther Raulier, o człowieku, który żywność określał terminem „menaż” używanym przez

żołnierzy w czasie drugiej wojny światowej.

„Śmierdziel” Byrne'a okazał się poobijaną Toyotą Land Cruiser, która wyglądała jakby wzięła udział w karambolu na autostradzie. Jako że w promieniu dwóch tysięcy mil nie przebiegała autostrada, było to mało prawdopodobne. Byrne dostrzegł wyraz mojej twarzy i powiedział:

— Surowy kraj — jak gdyby stanowiło to dostateczne wytłumaczenie.

Jednak silnik pracował bez zarzutu, a opony były nowe.

Wyjechaliśmy w nikłym świetle brzasku. Byrne prowadził, ja siedziałem obok niego, a Mokhtar z tyłu. Kanistry zawierające benzynę i wodę zostały przywiązane rzemieniami wokół wozu gdzie tylko znalazło się miejsce.

Zauważyłem też, że Mokhtar dyskretnie włożył do środka karabin. Miał też miecz, rzecz około trzech stóp długą w pochwie z czerwonej skóry. Co u diabła miał zamiar z tym zrobić, nie potrafiłem sobie wyobrazić.

Wyboistym szlakiem pojechaliśmy na północ, a ja odezwałem się:

— Dokąd jedziemy?

Pytanie było kretyńskie, gdyż nie zrozumiałem otrzymanej odpowiedzi.

Byrne wskazał palcem do przodu i powiedział zwięźle:

— Atakor — i zostawił mnie, abym z tym zrobił co chcę. Przez jakiś czas milczałem, po czym rzekłem:

— Dostałeś permis?

— Nie — krótko odparł Byrne. Upłynęło parę minut zanim zmiękł. — Żaden tłusty biurokrata z Maghrebu nie będzie mi mówił gdzie mogę, a gdzie nie mogę pójść na pustyni.

Po czym rozmowa się urwała i zacząłem sądzić, że kiepsko będzie się

podróżowało z Byrne'em. Wyciąganie z niego słów przypominało wrywanie zębów. A może zawsze się tak zachowywał wcześniej rano. Pomyślałem o tym, co przed chwilą powiedział i uśmiechnąłem się. Przypominało mi to moją własną reakcję na sposób w jaki Issacson potraktował Hoylanda. Ale to miało miejsce daleko stąd, w innym świecie i zdarzyło się tysiąc lat temu.

Teren przeszedł od zwirowatych równin do niskich, pozbawionych

roślinności wzgórz i zaczęliśmy piąć się w górę. Przed nami znajdowały się góry, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Większość gór zaczyna wznosić się łagodnie od podstawy, ale te wzbijały się pionowo w niebo, krajobraz

wyszczerbionych zębów.

Po dwóch godzinach telepania się, wjechaliśmy w dolinę, w której

znajdowało się małe obozowisko. Roślinności było tu nieco więcej, ale też sporo owiec lub kóz. Na Saharze nigdy nie potrafiłem ich odróżnić, gdyż owce były rzadko porośniętymi runem, długonogimi stworzeniami. Dlatego też zacząłem doceniać ten biblijny cytat o oddzielaniu owiec od kóz. Wielbłądy pasły się ciernistymi akacjami, dostrzegłem też garstkę skórzanych namiotów Tuaregów.

Mokhtar nachylił się do przodu i powiedział coś do Byrne'a, ten skinął głową i zatrzymał wóz. Kiedy lekki wiaterek zniósł tuman Pyłu, Mokhtar wysiadł i skierował się w stronę namiotów. Miecz miał przewieszony przez plecy, a rękojeść wystawała mu nad lewym ramieniem.

— Ci ludzie są z Tegehe Mellet — powiedział Byrne. — Mokhtar poszedł

ich wypytać. Jeśli Land—Rover przejeżdżał gdzieś w pobliżu, to będą o tym wiedzieli.

— A po co ten miecz?

Byrne roześmiał się.

— Bez niego czułby się tak samo rozebrany, jak ty bez spodni. — Zaczynał stawać się bardziej ludzki.

— Ten Teg—cokolwiek—tam—powiedziałeś... czy to jakiś szczep?

— Zgadza się. Tuareska konfederacja Ahaggaru składa się z trzech

szczepów: Kel Rela, Tegehe Mellet i Taitoq. Mokhtar pochodzi ze

szlacheckiego klanu Kel Rela. Dlatego to on poszedł wypytać się, a nie ja.

— Szlachcic!

— Tak, ale nie w brytyjskim sensie. Mokhtar jest spokrewniony z

Amenokalem; to szef, najwyższy wódz konfederacji Ahaggaru. Wystarczy abyś wiedział, że jeśli szlachetnie urodzony Kel Rela mówi „Skacz żabo!”, to każdy skacze. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — No, może z wyjątkiem innego szlachcica z Kel Rela — wzruszył ramionami. — Ale nie przyjechałeś tutaj studiować antropologii.

— Mogłoby mi się w tym przydać — powiedziałem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Nie zostaniesz tu dość długo.

Mokhtar wrócił w towarzystwie trzech ludzi z obozu. Wszyscy mieli

zasłonięte twarze i nosili długie, lejące, niebiesko—białe suknie najwyraźniej charakterystyczne dla Tuaregów. Zastanawiałem się jakim sposobem

utrzymywali je w takiej czystości na tej zapyłonej pustyni. Gdy podeszli bliżej, Byrne pospiesznie zakrył twarz.

Nastąpiło ceremonialne powitanie, a następnie ospała, banalna rozmowa, z której nie rozumiałem ani słowa. Siedziałem tam, czując się jak część zapasowa.

Po chwili Byrne sięgnął do tyłu wozu i wyciągnął dużą, okrągłą puszkę po sucharach. Wyjął z niej kilka małych paczuszek i porozdawał, a Mokhtar dodał

swój własny wkład. Nastąpiło wiele dziękczynnych ukłonów.

Po uruchomieniu silnika Byrne rzekł:

— Billson przejechał tędy cztery dni temu. Musiał jechać cholernie wolno.

— Nie dziwię się — odparłem. — Jest bardziej przyzwyczajony do jazdy po szosie. Którą drogą pojechał?

— W stronę Assekrem, lub dalej. A to nie będą żarty.

— Co masz na myśli?

Spojrzał na mnie z namysłem.

— Assekrem jest tamacheskim słowem, oznacza „koniec świata”.

Wóz podskoczył, gdy ruszyliśmy. Tuaregowie leniwie pomachali nam

rękami. W odpowiedzi pomachałem im również, rad że mogę wnieść jakiś

wkład do rozmowy. Potem znów usiadłem i przeżułem to, co Byrne przed

chwilą powiedział. Nie było to pocieszające. Po chwili odezwałem się:

— Co dałeś tamtym ludziom?

— Aspirynę, igły, sól. Same pożyteczne rzeczy.

— Oo!

Trzy godziny później zatrzymaliśmy się ponownie. Stale wjeżdżaliśmy w głąb gór, które Byrne nazwał Atakor. Nie zobaczyliśmy żywego ducha, a właściwie w ogóle nic żywego, z wyjątkiem rzadkich, spalonych przez słońce traw, no i oczywiście nieodzownych, stojących tu i ówdzie ciemnych drzew.

Góry były przerażające, zawrotnie pionowe, wielkie ostrza skalne, przeszywające skórę ziemi.

Na znak Mokhtara zatrzymaliśmy się pośrodku pustkowia. Wysiadł, przeszedł kilka kroków w tył i przyjrzał się badawczo ziemi. Byrne spojrzął do tyłu, nie gasząc silnika. Mokhtar wyprostował się i z powrotem wrócił do wozu. Zamienił

kilka słów z Byrne'em, a potem wziął karabin i oddalił się. Tym razem miecz zostawił.

Byrne wrzucił bieg i ruszyliśmy.

— Gdzie on idzie? — zapytałem.

— Ustrzelić kolację. Niedaleko jest kilka gazel. Nieco dalej zatrzymamy się i poczekamy na niego.

Przejechaliśmy jeszcze jakieś trzy mile i natrafiliśmy na zrujnowany budynek.

Byrne zatrzymał się.

— To jest to. Tutaj zaczekamy.

Wysiadłem, przeciągnąłem się, potem spojrzałem na budynek. Było w nim coś dziwnego. Początkowo nie umiałem tego określić, później jednak odniosłem wrażenie, że nie został on zrujnowany, lecz umyślnie w ten sposób go

zbudowano. Rozpoczął już żywot jako ruina.

Byrne skinął głową w stronę potężnej skały piętrzącej się trzy tysiące stóp ponad nami.

— Ilamen — powiedział — Palec Boga. — Skierowałem się w stronę

budynku. — Nie wchodź tam — powiedział ostro.

— Dlaczego? Co to jest?

— Tuaregowie nie są wielkimi zwolennikami budynków — odparł. — A są

muzułmanami, przynajmniej teoretycznie. To meczet, bardziej wyszukany niż inne, gdyż jest to święte miejsce. Większość pustynnych meczetów tworzą jedynie, ułożone z kamieni, kontury na ziemi.

— Czy mogę mu się przyjrzeć z zewnątrz?

— Jasne — odwrócił się.

Ściany meczetu wykonano z kamieni poukładanych niepewnie i przypadkowo jeden na drugim. Przypuszczam, że najwyższy kawałek muru nie miał więcej niż trzy stopy wysokości. Na jednym końcu znajdowała się wyższa budowla, jedyny zadaszony fragment, niewiele większy niż budka telefoniczna, chociaż nie tak wysoki. Dach wsparto kamiennymi kolumnami. Przypuszczam, że był to rodzaj ambony dla imama.

Kiedy wróciłem do wozu, Byrne rozpałił ognisko i grzał wodę w miniaturowym kociołku. Uniósł wzrok.

— Chcesz herbaty?

— Miętowej?

— Innej tu nie ma.

Skinąłem głową, a on powiedział:

— Tych kamiennych kolumn nie wykonano ręcznie. Są z naturalnego

bazaltu, a nie ma nic takiego w promieniu dwudziestu mil stąd. Ktoś je przyniósł.

— Coś jak Stonehenge — skomentowałem i usiadłem.

— Słyszałem o tym, ale nigdy nie widziałem — mruknął Byrne. — Nigdy

nie byłem w Anglii. Bądź co bądź większe, prawda?

— Dużo większe.

Przyniósł z wozu płaskie placki chlebowe i zajęliśmy się jedzeniem. Chleb był suchy i niezbyt smaczny, ale nieco wielbłądziego sera sprawiło, że nadawał

się do jedzenia. W zębach zgrzytał piasek, który wmieszał się do mąki. Byrne nalał i podał mi mały kubek herbaty miętowej.

— Kim jesteś? — zapytał. — Kimś w rodzaju prywatnego wywiadowcy? —

po raz pierwszy okazał jakieś zainteresowanie moją osobą.

Roześmiałem się słysząc to przestarzałe określenie.

— Nie. — Powiedziałem mu, co robiłem w Anglii. Spojrzał w stronę

meczetu, oraz Ilamenu za nim.

— W tych okolicach nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na takie rzeczy

— zauważył. — Jak w to wlałeś?

— Tylko na tym się znałem — odparłem. — Zostałem do tego przeszkolony.

W wojsku służyłem w wywiadzie, ale kiedy awansowano mnie z podpułkownika na pułkownika, zobaczyłem czerwone światło i zrezygnowałem.

Spojrzał na mnie marszcząc krzaczaste brwi.

— Promocja w waszej armii jest czymś złym? — dopytywał się leniwie.

— Tego rodzaju tak. Normalnie, jeśli masz pozostać w linii dowodzenia, oficerem liniowym, jesteś promowany z podpułkownika na brygadiera, z

dowódcy batalionu, na dowódcę brygady. Jeśli idziesz w górę tylko o krok, jest to ostrzeżeniem, że zostałeś przetoczony na boczny tor, do roboty

specjalistycznej — westchnąłem. — Przypuszczam, że sam sobie zawiniłem.

Miałem ambicję być cholernie dobrym oficerem wywiadu, a oni chcieli mnie takim zachować. W każdym razie wystąpiłem z wojska i założyłem tę firmę, którą prowadziłem przez ostatnie siedem lat.

— Służbisty pułkownik — zadumał się Byrne. — Nigdy nie dosłużyłem się więcej niż sierżanta. Chociaż to już dawno temu.

— W czasie wojny — powiedziałem.

— Tak. Pamiętasz jak mówiłem ci, że odszedłem z miejsca katastrofy?

— Tak.

— Spodobało mi się to, co zobaczyłem w trakcie tego marszu. Nigdy nie czułem się tak bardzo żywy. Reszta nie chciała pójść. Dwóch nie mogło, bo byli zbyt ciężko ranni, a inni zostali, żeby się nimi opiekować. Poszedłem więc sam.

— Co się z nimi stało? — zapytałem.

Wzruszył ramionami.

— Podałem pozycję samolotu i wysłali zdobyczego Fiesler Storch, aby się rozejrzał. One mogły lądować na pięćdziesięciu jardach. Nic to nie dało, wszyscy nie żyli.

— Brak wody?

Pokręcił głową.



— Przekłęci Arabowie. Chcieli łupu i nie obchodzili ich w jaki sposób go zdobędą.

— I wróciłeś tu po wojnie? — zapytałem.

Pokręcił głową.

— Pozwoliłem wojnie toczyć się beze mnie. W czasie marszu przez pustynię zacząłem myśleć. Nigdy nie widziałem tak wielkiej otwartej przestrzeni. W

dotatku pustynia jest czysta. Wiesz, można się tu przez dłuższy czas obywać bez mycia i wciąż być czystym, tu się nie śmierdzi. Spodobało mi się to miejsce.

Nie mogłem jednak tego samego powiedzieć o ludziach — dolał sobie jeszcze miętowej herbaty. — Arabowie Chaamba wokół El Golea nie są źli, ale te dranie w Maghrebie obłupiliby dwudziestopięciocentówkę ze skóry i zrobili z niej dolara.

— Co to jest ten Maghreb?

— Pas przybrzeżny pomiędzy Morzem Śródziemnym, a Atlasem — zamilkł

na chwilę. — Tak czy owak, na początku czterdziestego trzeciego dostałem list, że mój tata nie żyje. Nic więc nie goniło mnie do Stanów. A generał Eisenhower i generał Patton, oraz reszta starszyny, proponowali, aby pójść do Włoch. Nie przypadło mi to do gustu, więc kiedy armia ruszyła na północ, ja poszedłem na południe w poszukiwaniu ludzi życzliwszych niż Arabowie. Znalazłem ich i wciąż tu jestem.

— Zdezercerowałeś? — uśmiechnąłem się.

— Tak to nazwano — przyznał. — Ale do diabła, czyż nie po to jest pustynia?

Roześmiałem się na ten niespodziewany kalambur .

— Co robiłeś przed wstąpieniem do wojska?

— Rybak — powiedział. — Razem z tatą żeglowaliśmy łodzią poza Bar Harbor. To jest w Maine. Nigdy specjalnie nie lubiłem łowienia.

Rybak! A to ci dopiero zmiana frontu. Przypuszczam, że zadziałało to

zgodnie z tą samą zasadą, dla której najlepszym terenem rekrutacyjnym dla marynarki wojennej USA jest Kansas.

— Teraz jesteś daleko od morza — powiedziałem.

— Tak, ale mogę cię zabrać do miejsca w Tenere niedaleko Bilmy, to jest w Nigrze. Do najbliższego oceanu jest ponad tysiąc mil, a z ziemi możesz setkami zbierać muszle morskie. Niektóre z nich są naprawdę piękne. Morze było tutaj i cofnęło się. Kto wie, może pewnego dnia wróci.

— Wróciłeś kiedyś do Stanów?

— Nie. Żyłem tu trzydzieści pięć lat i tu chcę umrzeć — powiedział spokojnie.

Mokhtara długo nie było, prawie pięć godzin. Wrócił z wypatroszoną tuszą gazeli, przewieszoną przez plecy. Byrne pomógł mu ją oprawić. Przez cały czas rozmawiali ze sobą.

Niebawem podszedł do mnie i zerknął na słońce.

— Robi się późno — powiedział. — Sądzę, że zostaniemy tu na noc. Billson znajduje się gdzieś między tym miejscem, a Assekrem, albo i nie. Jeśli tak, znajdziemy go jutro. Jeśli nie, kilka godzin nie robi różnicy.

— W porządku.

— I mamy świeże mięso. Mokhtar mówi, że za tą gazelą podążał ukradkiem przez dwadzieścia kilometrów i położył ją jednym strzałem.

— Chcesz powiedzieć, że przeszedł dwadzieścia kilometrów?

— Więcej. Musiał jeszcze wrócić. Ale trochę krążył, więc powiedzmy

nieceałe trzydzieści. Dla Targui to drobiazg. A poza tym Mokhtar należy do starej szkoły. Nauczył się strzelać na broni ładowanej od przodu. Mając coś takiego musisz zabić gazelę jednym strzałem, bo inaczej się spłoszy i ucieknie daleko, nim zdążysz ponownie załadować. On jednak woli karabin powtarzalny.

Tak więc spędziliśmy tę noc w cieniu Ilamenu. Leżałem pod gołym niebem otulony w djellabę, którą dał mi Byrne i spoglądałem w górę na te fantastyczne gwiazdy. Wszedł sierpowaty księżyc, niewiele jednak zrobił by przyćmić splendor odległych światła.

Pomyślałem o Byrne'ie. Hesther Raulier porównała go z Billsonem nazywając

„jeszcze jednym szalonym mężczyzną”. Jednak szaleństwo Byrne'a różniło się zasadniczo od neurotycznej obsesji Billsona. Takie samo szaleństwo dotknęło wielu białych — niewielu Amerykanów, głównie Europejczyków:

Doughty'ego, Burtona, Lawrence'a, Thesigera — czar pustyni. W zachowaniu Byrne'a czuło się tak bardzo krzepiący spokój i przytomność umysłu.

Ze zdumieniem pomyślałem o muszlach morskich, które można było zebrać na pustyni o tysiąc mil od

morza. Nie zapowiadało się jednak, abym sam miał je zbierać. Noc była spokojna i cicha. Nagle uświadomiłem sobie rażącą

niestosowność, jaką stanowiła obecność Maxa Stafforda, zręcznego

businessmana z londyńskiego City, leżącego sobie w miejscu o

nieprawdopodobnej nazwie Atakor pod Palcem Boga, znajdującym się

niedaleko Końca Świata.

Nagle Londyn przestał się liczyć. Przestali się liczyć lord Brinton i Andrew McGovern. Charlie Malleson i Jack Ellis przestali się liczyć. Gloria i Alix Aarvik przestały się liczyć. Wszystkie kręckie sprawy naszej tak zwanej cywilizacji, zdały się odpaść jak zużyta skóra i poczułem się niewiarygodnie szczęśliwy.

Usnąłem.

Obudziłem się w nikłym świetle świtu, mając świadomość jakiegoś ruchu i dźwięku. Uniósłszy głowę zobaczyłem Byrne'a. Uzupełniał benzyną z kanistra zbiornik paliwa, to był ten metaliczny odgłos, który mnie obudził. Oparłem się na łokciu i zobaczyłem Mokhtara w pustynnym meczecie. Składał głębokie ukłony zwrócony na wschód, zgodnie z porannym rytuałem islamu. Zaczekałem aż skończył, gdyż nie chciałem przeszkadzać mu w modłach, po czym wstałem.

W trzydzieści minut później, po śniadaniu złożonym z pieczonej dziczyzny na zimno, chleba i gorącej herbaty miętowej, znów byliśmy w drodze. Za nami ciągnął się długi pióropusz pyłu. Majestatyczny szczyt Ilamenu z wolna oddalił

się, a ukazały się nowe widoki udręczonych skał. Według Byrne'a

znajdowaliśmy się na często uczęszczanej drodze, jednak dla człowieka bardziej przyzwyczajonego do miejskich ulic i jazdy po autostradach, wydawało się to nieprawdopodobne. Ta tak zwana droga znajdowała się w stanie szczątkowym.

Dało się ją rozpoznać jedynie dzięki otoczkom nieco mniejszym niż te, które leżały gdzie indziej. Tak więc wóz dostawał ciągi. Jeśli zaś chodzi o to, że była często uczęszczana, to w czasie całego pobytu w Atakorze nie widziałem aby ktokolwiek nią jechał.

Niemal trzy godziny później Byrne wskazał przed siebie.

— Assekrem!

W zależności od punktu widzenia było to spore wzgórze, lub mała góra, na szczycie znajdowało się coś wyglądającego na budynek.

— Czy to jest dom? — zapytałem, zastanawiając się kto budowałby na

szczycie góry, pośrodku pustyni.

— Pustelnia. Później ci o niej opowiem.

Jechaliśmy dalej, aż w końcu Byrne zatrzymał się u podnóża góry. Wokoło widać było ślady dawnej uprawy, zarysy pól i suchych obecnie rowów

irygacyjnych.

— Teraz wdrapujemy się na szczyt — powiedział Byrne.

— Na miłość boską, dlaczego?

— Żeby zobaczyć co jest po drugiej stronie — odparł z ironią. — Chodź.

A więc wdrapaliśmy się na Assekrem. W żaden sposób nie dało się tego

określić mianem wyczynu alpinistycznego. Na górę wiodła zygzakiem ścieżka, stroma, lecz nie przekraczająca granic wytrzymałości, a mimo to zabrakło mi tchu i z trudem łapałem powietrze. W połowie drogi Byrne uprzejmię zatrzymał

się na chwilę wytchnienia, choć jemu najwyraźniej nic nie dolegało.

Oparłem się o ścianę skalną.

— Myślałem, że jestem w lepszej formie.

— To wysokość. Kiedy wejdiesz na szczyt, znajdziesz się na wysokości dziewięciu tysięcy stóp.

Spojrzałem na rozciągającą się poniżej równinę, gdzie dostrzegłem wóz i siedzącego w jego cieniu Mokhtara.

— Przecież to wzgórze nie ma dziewięciu tysięcy stóp.

— Nad poziomem morza — powiedział Byrne. — W Tam znajdowaliśmy

się na wysokości czterech i pół tysiąca, a od tego czasu bez przerwy pięliśmy się pod górę — poprawił czarczaf, tak jak zawsze to robił.

— Co to za jakaś Pustelnia?

— Słyszałeś kiedyś o Charlesie de Foucauld?

— Nie.

— Francuski mnich, Trapista. Z tego co słyszałem, w młodości był

wcielonym diablęciem, ale w Maroku zdrowo go wzięła religia. Złożył śluby zakonne i przyjechał

tutaj, aby pomagać Tuaregom. Przypuszczam, że pomógł

im na swój sposób. W każdym razie większość z tego, co świat wie o

Tuaregach, pochodzi od de Foucaulda.

— Kiedy to było?

— Około 1905. Mieszkał wówczas w Tam, lecz wówczas była to niewielka miejscowość. W 1911 sprowadził się tutaj i własnymi rękami zbudował

Pustelnię. Widzisz, należał do mistyków i pragnął jakiegoś miejsca do kontemplacji.

Ogarnąłem wzrokiem jałowy krajobraz.

— Niezłe miejsce!

— Kiedy wejdziemy na szczyt, zobaczysz dlaczego. Nie został tu jednak długo, pobyt niemal go zabił. Wrócił więc do Tam i dopiero to go zabiło.

— Jakim cudem?

— W 1916 Niemcy przekupili Libijczyka Sennousi, żeby wśród plemion

pustynnych wywołał niepokoje przeciwko Francuzom.

Tuaregowie z Tassili n'Ajjer przyłączyli się do Sennousiego i wysłali przeciwko Tam oddział najeźdźców. De Foucauld został schwytany i

zastrzelony ze związanymi rękami, a stało się to przypadkiem. Jakiemuś podekscytowanemu piętnastolatkowi wypaliła strzelba. Nie sędzę, aby chcieli go zabić. Wszyscy wiedzieli, że był marabout — świętym człowiekiem —

wzruszył ramionami. — Co by nie powiedzieć i tak zginął.

Uważnie spojrzałem na Byrne'a.

— Skąd to wszystko wiesz?

Pochylił się do przodu i rzekł łagodnym głosem:

— Potrafię czytać, Stafford — poczułem, że się czerwienię pod wpływem tego dającego się odczuć wyrzutu, a on nieoczekiwanie roześmiał się. — A poza tym rozmawiałem z paroma starymi facetami w Tassili, którzy brali udział w napadzie na Tam w 1916. Niektóre z książek, które czytałem, z pewnością są mylne — odwrócił się jakby miał zamiar ruszyć dalej, ale zatrzymał się. — I był

w Tam jeszcze ktoś podobny do de Foucauld, ale to kobieta. Angielka, nazywała się Daisy

Wakefield. Mówiła, że jest spokrewniona z jakimś angielskim lordem, mającym coś wspólnego z ropą. Czy jest jakiś lord Wakefield?

— Jest.

— Więc to na pewno ten facet,

— Znałeś ją?

— Jasne, nieźle nam się żyło z Daisy. Tym sposobem nadrobiłem braki w wiadomościach; zaprenumerowała londyńskiego Timesa. Kiedy tu docierał był

już ździebko zdezaktualizowany, ale to nie miało znaczenia.

— Co się z nią stało?

— Zestarzała się — rzekł wprost. — Pojechała na północ do El Golea i zmarła tam, Panie świeć nad jej duszą — odwrócił się. — Chodźmy.

— Byrne — powiedziałem. — Dlaczego wspinamy się na tę górę?

— Żeby zobaczyć się z facetem na szczycie — powiedział nie odwracając się.

Z trudem podążyłem za nim, myśląc: Mój Boże! Ropa Wakefielda!

Najwyraźniej tę pustynię zaśmiecali najbardziej nieprawdopodobni ludzie. W

rzeczy samej za jednym właśnie szedłem. A może za dwoma, jeśli liczyć Paula Billsona.

Dom na wierzchołku Assekrem był dość skromny. Trzy małe pokoje

zbudowane z kamienia. Dwóch znajdujących się tam mężczyzn uroczyście

wprowadziło nas do środka. Mieli ciemną skórę i negroidalne rysy twarzy.

— Niczego tu nie dotykaj — powiedział Byrne niedbale. — To rzeczy de Foucaulda, święte relikwie.

Podczas gdy rozmawiał z mężczyznami, z zainteresowaniem rozglądałem się dokoła. Znajdował się tam prosty stół, na którym leżało kilka książek, parę staroświeckich stalówek i wyschnięty kałamarz. W rogu stało drewniane łóżko z grubym na cal materacem wyglądającym równie komfortowo jak beton. Na

ścianie wisiał obraz Madonny.

Byrne podszedł do mnie.

— Myślę, że Billson przejechał tędy trzy dni temu. Lub mogły to być dwa dni, bo w dzień później

przejechał inny wóz i nie jestem pewien, który należał

do Billsona. Jednak ten drugi wracał wczoraj.

— Nie widzieliśmy go.

— Mógł pojechać inną drogą, przez Akar—Akar — w zamyśleniu potarł brodę i spojrzał na mnie. Zauważyłem, że w obecności tych mężczyzn nie zadał sobie trudu, aby zasłonić twarz. Nagle powiedział:

— Chcę ci pokazać coś przerażającego i dlaczego de Foucauld tutaj budował.

Odwrocił się i wyszedł na zewnątrz, a ja podążyłem za nim. Przeciął naturalną posadzkę kamienną swoistego patio, podszedł do niskiego, kamiennego parapetu i wskazał na północ.

— Tam właśnie jest twój chłopiec.

Wstrzymałem oddech. Assakrem stanowił pryszcz na skraju płaskowyżu.

Poniżej parapetu znajdowały się przyprawiające o zawrót głowy urwiska i rozpościerał się budzący największą grozę krajobraz, jaki kiedykolwiek widziałem. Kolejne pasma gór nikły w błękitnej dali, w niczym nie

przypominały one jednak swojskich gór szkockich, czy nawet na wpół

swojskich Alp Szwajcarskich. Kiedyś w przeszłości miały tu miejsce

przerażające konwulsje ziemi. Naga skała rozpruła jej brzuch kłami skał — te kły wciąż się tam znajdowały. Nie występowała żadna regularność. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się jedynie gmatwanina pól lawy i sterczące czopy wulkanów, jątrzących się w mosiężnym słońcu. Ten kraj był morderczy.

— Koudia — powiedział Byrne. — Kraj poza krańcem świata.

Nic wówczas nie odpowiedziałem. Rozmyślałem tylko o de Foucauld. Skoro postanowił tu medytować, to kogo właściwie czcił — Boga, czy Diabła?

Byrne wciąż rozmawiał z ciemnoskórymi mężczyznami, którzy wyszli na zewnątrz i dołączyli do nas. Dużo było gestykulacji i wskazywania rękami, aż wreszcie Byrne ustalił coś, co go zadowoliło.

— Ci faceci mówią, że dwa dni temu widzieli jak coś się tam paliło.

— Chryste! — powiedziałem. — Cóż by się tam mogło palić?

— Nie wiem — poszperał w skórzanym woreczku, który wisiał na sznurze wokół szyi i wyciągnął kompas przyzmatyczny. Spojrzał na mnie i powiedział z uśmiechem.

— Nie jestem przeciwnikiem wszelkiego postępu naukowego. Mokhtar uważa mnie za geniusza, widząc jak tam na dole orientuję się w terenie — przyłożył kompas do oka, biorąc namiar.

— Jak daleko stąd?

— Tego też nie wiem. Mówią, że to był słup dymu, czarnego dymu.

— W dzień?

W oczach Byrne'a pojawił się wyraz zaskoczenia, gdy spojrzał na mnie.

— Jasne, jak inaczej mogliby u diabła zobaczyć dym?

— Myślałem o Biblii — powiedziałem. — O Izraelitach, prowadzonych przez słup dymu w dzień i słup ognia w nocy.

— Wydaje mi się, że źle to zrozumiałeś — odparł łagodnie. — Ja odczytałem to jako kolumnę chmur — odwrócił się, aby wykonać jeszcze jeden namiar —

wydaje mi się jednak, że powinniśmy rzucić okiem na to miejsce. Według wskazań kompasu wychodzi ono niemal dokładnie na północ stąd. Na tak małą odległość nie zawracam sobie głowy odchyleniami magnetycznymi.

— Co nazywasz małą?

— Wszystko do pięćdziesięciu kilometrów. Odchylenie magnetyczne jest inną sprawą. Te przeklęte wzgórza są pełne żelaza i przez cały czas trzeba sprawdzać według słońca wskazania kompasu.

Odłożył kompas i z innej torby wyjął kilka małych paczuszek, które dał



dwóm mężczyznom. Nastąpiło ceremonialne pożegnanie, a Byrne powiedział:

— Sól i tytoń. W tych stronach płacisz za to, co dostajesz. Gdy ruszaliśmy w dół stromą ścieżką, powiedziałem:

— Jest coś, co mnie zaintrygowało.

— Mnie też czasami cholernie dużo rzeczy intryguje — mruknął Byrne. —

Jaki masz problem?

— Ten twój czarczaf. Wiem, że jest strojem Tuaregów, ale czasami zawijasz się po same brwi, zaś kiedy indziej, zupełnie o to nie dbasz. Na przykład tam na górze, nie zwracałeś sobie tym głowy, pozwoliłeś im zobaczyć twoją twarz.

Nie widzę w tym jakiegoś racjonalnego uzasadnienia.

Byrne zatrzymał się.

— Wciąż pochłonięty antropologią, co? No dobra, powiem ci. W tym kraju stanowi to przejaw grzeczności. Jeśli znajdziesz się w jakimś miejscu i nie zaczniesz postępować tak samo jak wszyscy dookoła, to możesz zginąć. Weź

takiego Targui i postaw go w środku Londynu. Gdyby nie wiedział, że musi przechodzić przez jezdnię w specjalnym miejscu i tylko wówczas, gdy jest zielone światło, mógłby zginąć. Zgadza się?

— Przypuszczam, że tak.

Byrne dotknął swego nakrycia głowy.

— To się nazywa chech i stanowi substytut autentycznej rzeczy, jaką jest tagelmoust. Nie widzi się ich jednak zbyt wiele z wyjątkiem ważnych dni i świąt. Są one bardzo cenne. Otóż nikt nie wie dlaczego Tuaregowie noszą czarczaf. Ja nie wiem, antropologowie nie wiedzą, Tuaregowie nie wiedzą.

Noszę swój, gdyż chroni mi gardło przed pyłem, a w suche dni utrzymuje wysoką wilgotność w zatokach. Zapobiega również utracie wody z organizmu.

Usiadł na pobliskim kamieniu i wskazał ręką w dół.

— Widziałeś twarz Mokhtara?

— Tak. Zdaje się nie przejmować tym, że ją widzę.

— Nie musi, jest szlachcicem z Kel Rela — powiedział Byrne tajemniczo. —

Tutejsze społeczeństwo jest w wysokim stopniu klasowe, a wokół czarczafu narósł ceremoniał.

Uprzejmością jest zakrycie twarzy przed wyższymi od siebie, oraz w mniejszym stopniu przed równymi sobie. Gdyby Mokhtar spotkał

Amenokala, nie zobaczyłbyś nic prócz jego rzęs.

Skinął kciukiem w górę.

— Ci faceci na górze są Haratinami, a Haratini żyli tu od tysiący lat, na długo przed przybyciem Tuaregów. Jednak Tuaregowie podbili ich i uczynili

niewolnikami. Z pewnością więc nie stoją wyżej ode mnie, dlatego czarczaf nie ma znaczenia.

— Ale ty nie jesteś Tuaregiem.

— Rodzaj męski liczby pojedynczej brzmi Targui — odparł Byrne. — A ja jestem już Targui o dziesięć lat dłużej, niż byłem Amerykaninem — wymierzył

we mnie palec. — Jeśli chodzi o ciebie, to zobaczysz dużo tuareskich twarzy, gdyż jesteś nic nie znaczącym Europejczykiem i nie liczysz się. Kapujesz?

Skinąłem głową.

— Znam już dokładnie swoje miejsce.

— Więc zabierajmy się stąd w diabły.

Jeśli jazdę przez Atakor uważałem za kiepską, to trudno byłoby dokonać jakiegokolwiek porównania z Koudią. Przypuszczam, że jedyne porównanie mogłoby zaistnieć pomiędzy Czyścem, a Piekłem. Wkrótce zdałem sobie

sprawę, że gościniec, który wyklinałem w Atakorze stanowił superautostradę, jeśli go porównać z czymkolwiek w Koudii.

Opowiedziałem o tym Byrne'owi, a on wyjaśnił:

— Sprawa jest prosta. Ludzie robią drogi, gdy chcą się dostać do jakiegoś miejsca, a któż na miłość boską mógłby chcieć tu przyjechać?

— A dlaczego ktoś miałby chcieć przebywać w Atakorze, z wyjątkiem takiego mistyka jak de Foucauld?

— Pustelnia jest miejscem pielgrzymek. Ludzie tam idą, zarówno

Muzułmanie, jak i Chryścijanie. Więc warunki jazdy są tam dobre.

Nie sądzę, abyśmy zrobili więcej niż siedem mil w ciągu pierwszych dwóch godzin po opuszczeniu

Assekremu i zagłębieniu się w odludzie Koudii, co jest tempem marszowym w jakimś rozsądnym terenie. Jednak Koudia nie miała nic wspólnego z rozsądkiem. Nie sądzę, aby znajdował się tam choć jeden poziomy skrawek terenu mający więcej niż pięć kroków szerokości. Jeśli nie jechaliśmy w górę, jechaliśmy w dół, a jeśli nie robiliśmy ani tego, ani tego, to objeżdżaliśmy coś.

To miejsce stanowiło wysypisko kamieni — najróżniejszych, począwszy od mających wielkość głowy, do takich, które wielkością dorównywały katedrze św. Pawła i zawieszenie Toyoty dostawało w kość. Ja zresztą też. Tłukliśmy się od skały do skały, a ja obijałem się po całej szoferce, aż byłem posiniaczony i obolały. Byrne mógł się przynajmniej trzymać kierownicy, chociaż nie sądzę, by mu to cokolwiek pomogło, gdyż wykręcała się w rękach jak żywa. Natomiast Mokhtar więcej czasu spędzał poza wozem niż w środku.

Oprócz kamieni znajdowały się tam jeszcze góry, a nikt nie dałby rady wjechać po tych pionowych urwiskach, więc musieliśmy je okrążyć. Byrne obserwował kompas, tak aby nie zgubić kierunku w tych wszystkich skrętach i zakrętach, jakie musieliśmy wykonywać. Często zatrzymywał się, aby wykonać zwrotny namiar Assekremu i upewnić się, że byliśmy na właściwej linii.

Jak mówię, Mokhtar więcej czasu spędzał na ziemi niż w wozie i nie miał

zbyt wielu trudności, aby nadażyć. Uważnie wypatrywał jakichś śladów przejazdu i raz zatrzymał nas, aby wskazać ślady opon na łasze piasku. Obaj z Byrne'em przyklękli, aby im się przyglądnać, podczas gdy ja zbadałem swoje siniaki.

Kiedy mieliśmy już ruszyć dalej, Byrne powiedział:

— Nakładające się ślady. Jeden pojazd jadący w tamtą stronę i drugi powracający później.

Obojętnie przyglądałem się też śladom, lecz nie mogłbym sam sobie zaufać, mówiąc w którą stronę te pojazdy jechały. Jako saharyjski oficer wywiadu nie nadawałem się do niczego.

Po przejechaniu około siedmiu mil w dwie godziny, zatrzymaliśmy się aby odpocząć i posilić się. W Koudii nie było żadnej roślinności, lecz Mokhtar czekając na nas w Assekrem zebrał przezornie pęk gałązek akacji i wkrótce miał

rozpalony ogień do zagotowania wody na nieodzowną herbatę miętową.

Odezwałem się do Byrne'a:

— Czy nigdy nie pijesz kawy?

— Oczywiście, ale na pustyni to jest lepsze. Możesz się napić kawy gdy wrócimy do Tam. Chociaż jest droga.

Słońce minęło już zenit i opadało w stronę zachodu, gdy siedzieliśmy w cieniu Toyoty. Była to najgorętsza część dnia, a w Koudii oznaczało to prawdziwy upał. Nagie skały rozgrzały się na tyle,

że można było usmażyć jajka, a krajobraz tańczył w nieustannie drgającym od gorąca powietrzu.

Wspomniałem o tym Byrne'owi, a on uśmiechnął się szeroko.

— Teraz jest zima, chciałbyś się znaleźć tu latem?

— Chryste, nie!

— Oto powód, dla którego nie daliby Billsonowi permis. A przychodzi noc i temperatura spada jak kamień. Zostaw wodę na otwartym powietrzu, a o trzeciej nad ranem znajdziesz na niej pół cała lodu. Jeśli Billson się zgubił, to albo się spalił, albo zamarzł na śmierć.

— Podobają mi się ludzie dodający otuchy — powiedziałem kwaśno.

Mokhtar oddalił się w swoich sprawach osobistych, lecz nagle pojawił się na szczycie głazu odległego o jakieś dwieście jardów. Wydał przenikliwy gwizd, który zwrócił naszą uwagę i zamachał obydwoma rękami.

— Znalazł coś — rzekł Byrne, z trudnością stając na nogi. Poszliśmy więc do Mokhtara i w tym karkołomnym terenie zajęło nam to więcej niż dziesięć minut.

Kiedy znaleźliśmy się w odległości pięćdziesięciu jardów, Mokhtar krzyknął

coś, a Byrne powiedział:

— Znalazł wóz. Chodźmy zobaczyć, czy to Land—Rover. Kiedy

wgramoliliśmy się na szczyt głazu wielkości okazałego domu, Mokhtar wskazał

w dół za siebie. Podeszliśmy bliżej i spojrzeliśmy tam, gdzie wskazywał jego palec. W dole, za gładem znajdował się pojazd, w dodatku Land—Rover — a przynajmniej był nim kiedyś — doszczętnie spalony. Ani śladu Billsona, lub kogokolwiek innego. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nie poznałbym Billsona, nawet gdybym go zobaczył. Okazałem się skończonym głupcem nie mając jakiegokolwiek zdjęcia.

— Ten czarny dym mógł pochodzić z płonących opon — powiedział Byrne.

— Zejdźmy tam na dół.

Zejście na dół oznaczało cofnięcie się tą samą drogą, którą przyszliśmy i obejście głazu. Kiedy zobaczyliśmy Land—Rover, idący z przodu Byrne

zatrzymał nas rozpościerając szeroko ramiona. Szybko powiedział coś do Mokhtara, który wysunął się do przodu, pilnie wpatrując się w ziemię. Po chwili skinął ręką. Byrne podszedł do niego i odbyli krótką naradę, zanim Byrne przywołał mnie.

— Był tu inny wóz, jego ślady nakładają się na te od Land—Rovera.

Odjechał w tamtą stronę — wskazał mniej więcej kierunek, w którym

znajdowała się Toyota.

— Gdzie jest Billson? — usta miałem zupełnie suche. Byrne skinął głową w stronę Land—Rovera.

— Zapewne w środku, a przynajmniej to, co z niego zostało. Chodźmy rzucić okiem.

Wstał i podeszliśmy do Land—Rovera. Został z niego totalny wrak.

Wypalony szkielet siedział na ziemi, felgi kół oplatały stalowe, druciane wzmocnienia tego, co kiedyś było oponami. W powietrzu wciąż jeszcze unosił

się swąd palonej gumy.

Szyba w oknie pękła i częściowo stopiła się, a przednia szyba zrobiła się zupełnie nieprzezroczysta, tak że nie dało się zajrzeć do środka. Byrne pociągnął

za klamkę drzwi po stronie kierowcy i zaklął, kiedy została mu w ręce. Obszedł

wóz dookoła i spróbował drugich drzwi. Otworzył je nagłym ruchem i zajrzał do środka. Ja również starałem się coś dostrzec ponad jego ramieniem.

We wnętrzu panował zupełny nieład. Tapicerka spłonęła, zwalniając

poczerniałe, zwinięte sprężyny. Spłonęło nawet plastikowe powleczenie kierownicy, tak że został tylko nagi metal. Jednak ani na przednich, ani na tylnych siedzeniach nie widać było ciała.

Poszedłem na tył wozu i otworzyłem drzwi. Znalazłem skąpe pozostałości jakby dwóch walizek. Znów ani śladu ciała.

— Musiał go zabrać ten drugi wóz — powiedziałem.

— Może — odparł Byrne wymijająco. Poszperał jeszcze trochę w

zrujnowanym Land—Roverze, po czym wyprostował się. — Czy Paul Billson miał jakichś wrogów?

— Mógł mieć — zrobiło mi się zimno, gdy uświadomiłem sobie, że

mówiliśmy o Billsonie w czasie przeszłym, tak samo jak jego przyrodnia siostra.

— Nie wydaje mi się jednak, aby miał takich wrogów, którzy jechaliby za nim na środek Sahary, aby go zabić.

— Hmmm — Byrne wydał nieokreślony dźwięk i dalej kontynuował

ogłędziny. — Widziałem wiele wypalonych pojazdów — powiedział. Uniósł

kanister leżący z boku, ze szczęką otworzył kapsel i powąchał. — Miał w tym benzynę. Musiał to wieźć z tyłu, bo gdy wyjeżdżał, nie miał żadnych baniek przymocowanych na bokach. Ta jest pusta.

— Może zdarzył się wypadek, kiedy uzupełniał główny zbiornik.

— W takim razie gdzie jest ciało?

— Tak jak powiedziałem, uratował go ten drugi wóz.

Byrne cofnął się, spojrzął na Land—Rover i zaczął mówić bardziej do siebie, niż do mnie.

— A więc zastanówmy się, dwadzieścia osiem galonów w zbiorniku, plus jakieś cztery w bańce, to w sumie trzydzieści dwa. Aby dotrzeć tutaj, potrzebowałyby co najmniej dwudziestu, więc i bez ognia miał kłopoty. Nie miał

dość benzyny, aby wrócić do Tam. Zostałoby więc dwanaście galonów — osiem w zbiorniku i cztery w tej bańce.

— Skąd wiesz, że bańka nie była pusta? Mógł uzupełnić zbiornik

gdziekolwiek, nawet przed Assekrem.

— Jeszcze całkiem niedawno w tej bańce znajdowało się paliwo, zapach jest zbyt mocny. A kiedy ją podniosłem, kapsel był jeszcze zamknięty. Gdyby w czasie pożaru w środku znajdowało się paliwo, to eksplodowałaby, lecz tak się nie stało.

Byrne najwyraźniej gonił w piętę.

— No więc wlał ją do zbiornika — odparłem poirytowany.

— Nie — rzekł Byrne zdecydowanie. — Widziałem na pustyni wiele

spalonych wozów, ale nigdy takiego jak ten, ze wszystkimi oponami

załatwionymi w ten sposób, czy tak wypalonym przodem. — Schylił się aby przyjrzeć się zbiornikowi paliwa, po czym wpełznął pod spód.

Kiedy ukazał się ponownie, wstał i podrzucił coś w rękę.

— To leżało na ziemi — była to mała nakrętka, ze zwisającym z niej

ułamany drutem. — To jest nakrętka spustowa do zbiornika paliwa. Drut, który ma zapobiec jej odkręceniu został przecięty. To przesądza sprawę. Ktoś oblał ten wóz benzyną z bańki, po czym doszedł do wniosku, że dobrze byłoby mieć jej więcej. Spuścił więc kolejne cztery galony ze zbiornika — może osiem

— żeby to podpalenie wypadło naprawdę dobrze. Nie tak łatwo spalić opony samochodowe.

Następnie rzucił zapalną i odszedł. Facet, który zrobiłby coś takiego, nie ratowałby Billsona.

— Więc gdzie jest Billson?

— Nie wiem. Może gdzieś w pobliżu znajdziemy jego ciało. Coś sobie przypomniałem.

— Człowiek którego w Anglii puściłem śladem Billsona uważał chyba, że szuka go też ktoś inny — zmarszczyłem brwi. — A później Hesther Raulier... —

wyciągnąłem portfel i odnalazłem kartkę, którą załączyła do biletu lotniczego.

Rzuciłem na nią okiem i wręczyłem Byrne'owi.

Przeczytał ją całą, po czym rzekł:

— Znasz tego faceta, Kissacka?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Ja też nie — oddał mi kartkę.

— Jeszcze jedno — powiedziałem. — Billson mógł mieć ze sobą sporo pieniędzy. Myślę, że przeszmuglował je z Wielkiej Brytanii.

— Co nazywasz sporą ilością pieniędzy?

— Grubo ponad 60.000 funtów.

Byrne gwizdnął.

— Też bym to nazwał sporą ilością — odwrócił się i zaczął grzebać z tyłu Land—Rovera. Wszystko, co pozostało tam z dwóch walizek, to zamki,

zawiasy, metalowe ramy i sterta popiołu. — Nigdy się nie dowiemy, czy tu znajdowały się pieniądze Billsona bez pomocy laboratorium sądowego, a tych nie ma zbyt wielu w okolicy. Czy wiadano, że Billson ma ze sobą tyle forsy w gotówce?

— Nie sądzę — odparłem. — W zasadzie jest to jedynie moje przypuszczenie.

— Nie masz monopolu na zgadywanie — powiedział Byrne. — A wielu facetów zabito dla czegoś znacznie mniejszego niż przypuszczenie.

Gdy odchodziliśmy od Land—Rovera powiedziałem:

— Dziwne, że facet który to zrobił, zamknął pusty kanister, szczególnie jeśli miał go zamiar zostawić.

— Zapewne odruchowo — powiedział Byrne. — Sam też tak robię. To dobre przyzwyczajenie.

— Wciąż chciałbym wiedzieć, co Billson tu robił — powiedziałem.

— Tak jak mówiłeś, szukał rozbitego samolotu. I też znalazłby go, jest jakieś pięć mil dalej na północ stąd. Zamierzałem się tam skierować, gdybyśmy nie znaleźli tego. Billson musiał usłyszeć o nim jeszcze w Tam, przyjechał więc żeby go sobie oglądnać, skończony głupiec!

— To nie mógł być... — zacząłem.

— Oczywiście, że to nie mógł być samolot jego ojca — odparł Byrne

zmęczonym głosem. — To francuski samolot wojskowy, który lądował tu

przymusowo, kiedy przygotowywali się do zrzucenia bomby atomowej na Arak.

Zabrali załogę helikopterem, potem wrócili żeby wymontować silniki i niektóre instrumenty. A kadłub pozostawili.

Poszedł rozmówić się z Mokhtarem. Z uczuciem przygnębienia usiadłem na skale. Billson musiał być największym, przeklętym głupcem w historii Sahary.

Zapewne przeczytał instrukcję obsługi dla użytkowników Land—Rovera i

przyjął oświadczenie producenta o zużyciu paliwa jak ewangelię. Ale co innego prowadzić na autostradzie, a co innego przedzierać się przez Koudię. Wątpię, czy od opuszczenia Assekremu robiliśmy na jednym galonie brytyjskim więcej niż pięć mil, a w Atakorze jakieś dziesięć, czy dwanaście. Nie wydaje mi się, abym ujmował coś British Leyland sugerując, że ten Land—Rover ma mniej więcej taką samą średnią zużycia paliwa.

Ale Billson najprawdopodobniej wyszedł od tego, że pomierzył proste linie na mapie. Lecz to odpłynęło już w przeszłość jak woda pod mostem, lub ściśle mówiąc opar przez gaźnik. Sytuacja z którą mieliśmy obecnie do czynienia, stanowiła jednak zupełnie inny splot wydarzeń, w którym idiotyzm Billsona nie odgrywał roli. Gdybyśmy teraz odnaleźli jego ciało, to dlatego, że został przez kogoś zamordowany, a ten ktoś mógł się nazywać Kissack.

Ważnie wówczas dokonałem odkrycia. Mógł to zrobić Mokhtar lub Byrne,

tak się jednak nie stało, ja tego dokonałem. Przywróciło mi to nieco szacunku dla samego siebie, jako aktywnego członka tej szalonej wyprawy i poczułem się nieco mniej bezużyteczny, podczas gdy inni wykonywali pracę.

Leniwie przyglądałem się skale na której siedziałem, gdy zauważyłem małą, brązową plamkę, po której wędrowała mrówka. Przez chwilę zastanawiałem się, jak choćby mrówka mogła żyć w Koudii i wówczas zauważyłem kolejne



plamki. Pomiedzy szczelina w skale a pierwsza plamka ciagnal sie caly ich szlak.

Wstalem, spojrzalem na Land—Rovera, okretilam kierunek i zaczalem

szukac. I rzeczywiscie, dziesiec jardow dalej znajdowala sie nastepna poplamiona skala, a nieco dalej jeszcze jedna. Odwróciłem się.

— Hej!

— Co jest?

— Myśle, że coś znalazłem. — Kiedy Byrne i Mokhtar zbliżyli się

powiedziałem: — Czy to jest zaschnięta krew?

Mokhtar zwilzył koniuszek małego palca, potarł nim plamkę, następnie

delikatnie powąchał, spojrzął na Byrne'a i wypowiedział jedno słowo.

— Tak — odrzekł Byrne. — To krew.

— Prowadzi od Land—Rovera — odwróciłem się i wskazałem w stronę

wąskiego parowu. — Myśle, że poszedł tam.

— Dobra, Mokhtar idzie pierwszy, jest w tym lepszy od nas. Potrafi dostrzec znak, o którym ty nie miałbyś pojęcia, że się tam znajduje.

Billson, jeśli ta krew należała do Billsona, poszedł w górę parowu. Wkrótce jednak stało się jasne, że nie poruszał się po linii prostej. Trudności terenowe nie miały z tym nic wspólnego, gdyż kluczył sporo wtedy, gdy nie miał ku temu specjalnego powodu, czasami zawracając nawet w przeciwnym kierunku. A plamy krwi stawały się coraz większe.

— Do diabła! — powiedziałem. — Cóż on wyprawiał? Zabawiał się w chowanego?

— Może o to mu chodziło — odparł Byrne ponuro. — Może ścigano go.

W końcu znaleźliśmy go leżącego w wąskiej szczelinie między dwiema

skalami, gdzie było trochę cienia. Mokhtar wydał okrzyk triumfu i wskazał w dół. Zobaczyłem jak leży rozciągnięty na splamionym krwią piasku. Twarz miał

niewidoczną, więc Byrne delikatnie odwrócił go.

— Czy to Billson?

— Skąd miałbym wiedzieć — odparłem. — Nigdy go nie widziałem.

Byrne mruknął i obmacał ciało. Mężczyzna miał twarz nalaną i opuchniętą, a skórę poczerniałą. Ubrany był w zupełnie niestosowny normalny garnitur —

oczywiście normalny w Anglii. Ja miałem przynajmniej na tyle zdrowego rozsądku, że odwiedziłem krawca i kupiłem coś, co zostało mi

zarekomendowane jako strój odpowiedni na pustynię, chociażby ten krawiec mylił się do tego stopnia, że można by go nazwać głupcem. Wzrosło

prawdopodobieństwo, że był to rzeczywiście Billson.

— Kimkolwiek jest ten facet, został przedziurawiony — powiedział Byrne.

— Postrzelono go — wyciągnął przed siebie palce, czerwone od niezakrzepłej krwi.

— On żyje! — powiedziałem.

— Już niedługo, jeśli czegoś nie zrobimy — Byrne powiedział coś do

Mokhtara, który szybko oddalił się. Następnie odwrócił mężczyznę tak, że leżał

wygodnie i sięgnął ręką pod marynarkę. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął

paszport i portfel. Jedną ręką otworzył paszport. — Jego właśnie szukasz. To jest Paul Billson — podał mi paszport i portfel.

Otworzyłem portfel. Zawierał plik algierskich banknotów, mniejszy plik brytyjskich piątek i kilka rozmaitych papierów. Nie zadałem sobie wówczas trudu przejrzenia ich, wsadziłem tylko paszport i portfel do kieszeni.

— Jesteśmy w kłopotcie — powiedział Byrne. — A raczej on jest. Jeśli

zostanie tu jeszcze jedną noc, na pewno umrze. Jeśli spróbujemy go stąd zabrać, to najprawdopodobniej umrze. Wiesz jak ciężki będzie powrót do Assekrem.

Nie wiem, czy wytrzyma go w tym stanie.

— Jest to kwestia wyboru mniejszego zła.

— Tak. Spróbujemy więc wyciągnąć go stąd i miejmy nadzieję, że przeżyje

— opuścił wzrok na Billsona. — Biedny, uparty skurczysyn — powiedział

łagodnie. — Zastanawiam się, na ile Hesther знаła jego starego? Na kartce którą od niej dostałeś pisała, że wysłała do mnie telegram. Nie powiedziałem ci, że ten telegram miał dziesięć stron, a jej

instrukcje były bardzo stanowcze i szczegółowe.

— Czy krew przestała lecieć? — zapytałem.

— Tak, zatkałem ranę połą jego koszuli. Niewiele możemy zrobić, dopóki Mokhtar nie wróci. Wkrótce tu będzie.

— Musiałeś wiedzieć o Billsonie zanim przyjechałem.

— Jasne, że tak, ale wtedy już wyjechał.

— Gdybyś na mnie nie czekał, mógłbyś tu dotrzeć wcześniej.

— Niewiele. Depeszę Hesther otrzymałem tego ranka, kiedy przyjechałeś.

Nie wiem kiedy ją wysłała, ale środki łączności w tym kraju nie są znane z solidności.

— Ale trochę mnie wpuściłeś w maliny. — Dziwne wydawało się

prowadzenie rozmowy nad ciałem człowieka, który prawdopodobnie umierał.

— Potrzebowałem czasu, żeby cię wyczuć. Nie lubię podróżować z ludźmi, którym nie mogę zaufać. W tych stronach może się to okazać fatalne.

— A więc zdałem egzamin — powiedziałem apatycznie.

Uśmiechnął się szeroko.

— Ledwo, ledwo.

Padł na nas cień. Wrócił Mokhtar. Przyniósł płótno na bandażę, wodę i parę drabin piaskowych. Te drabiny piaskowe, jak Byrne wcześniej wyjaśnił, wkładało się pod koła Toyoty, gdybyśmy ugrzęźli w piachu. Miały jakieś sześć stóp długości i wykonano je z mocnego, stalowego płaskownika.

— Potrzebują ich tylko śmierdziele — powiedział Byrne. — Wielbłądy nie.

Byrne oddał pas płótna, zamoczył je w wodzie i włożył w usta Billsona, uważając aby go nie udusić. Potem zajął się opatrywaniem rany, podczas gdy Mokhtar i ja łączyliśmy ze sobą drabiny piaskowe, żeby zrobić nosze.

Ponad godzinę zajęło nam przeniesienie Billsona do Toyoty.

Przebyliśmy w głąb Koudii odległość równą dwóm godzinom jazdy, lecz

powrót zajął nam cztery godziny, licząc od chwili, kiedy Byrne zapuścił silnik, do momentu gdy przejechaliśmy pod szczytem Assekremu. Jechał tak ostrożnie, jak mógł, przez to kamieniste odludzie, a mimo wszystko Billson dostał w kość.

Na szczęście nic o tym nie wiedział — był nieprzytomny. Pielęgnowałem go jak mogłem najlepiej, chroniąc przed wstrząsami własnym ciałem, przemywając mu twarz i próbując wlać w niego trochę wody. Nie wykonał żadnego świadomego ruchu, ani nie wydał głosu.

Spodziewałem się, że Byrne stanie przy Assekrem, gdzie może udałoby się uzyskać pomoc od Haratinów w Pustelni. Jednak przejechał obok miejsca, gdzie zaczynała się ścieżka na górę, a obóz rozbiliśmy jakieś trzy mile dalej. Z tyłu Toyoty Mokhtar wyjął zwój materiału i wkrótce ustawiliśmy wiatrochron, za którym położyliśmy Billsona. Zrobiło się już ciemno, więc Byrne zmienił

opatrunek przy ostrym świetle lampy halogenowej.

Odchylił się do tyłu na piętach i obserwował, jak Mokhtar smaruje maścią poczerniałą twarz Billsona.

— Może przeżyje, jeśli uda nam się wlać w niego trochę wody — powiedział.

— To tylko postrzał ramienia, a kula przeszła na wylot, nie uderzając w kość.

Takie coś osłabia, lecz nie zabija. Bardziej ucierpiał od słońca, niż od rany.

— Dlaczego nie zatrzymałeś się przy Assekrem — powiedziałem. — Mogli mieć coś, co by mu pomogło.

— Nie ma szans — skinął głową w stronę Toyoty. — Mam więcej rzeczy w apteczce pierwszej pomocy, niż jest w całym Ahaggarze, jeśli wyłączysz szpital w Tam. Ponadto... — głos mu zamarł, co u Byrne'a było dziwne, gdyż

zazwyczaj przejawiał cholerną stanowczość.

— Co się stało?

— Czy wiesz coś na temat algierskich praw?

— Zupełnie nic.

— No więc Billson złamał jedno z nich. Wjechał tu bez permis.

— Tak jak i ty.

— Aleja się o niego nie ubiegałem, a on tak. Możesz być pewien, że kiedy zniknął z Tam, wiedzieli już dokąd pojechał. Na wszystkich głównych szlakach wylotowych z Tam znajdują się posterunki policji i jeśli nie przejechał przez żaden z nich, mają pewność. Kiedy tylko pokaże się w Tam, zostanie

aresztowany.

— Przynajmniej otrzyma opiekę szpitalną — powiedziałem. — A kiedy wyjdzie ze szpitala, złoży kaucję.

— Miałbyś szczęście — powiedział Byrne oschle. — Ten facet pokaże się, mając w sobie dziurę od kuli, a algierscy gliniarze w niczym się nie różnią od innych. Nie lubią tajemniczych ran postrzałowych. Zrobi się kłopotliwa sytuacja.

Uniósł w górę palec.

— Po pierwsze, Billson zlekceważył zakaz, co stanowi poważne

wykroczenie. Ci Algierczycy mają bzika na punkcie bezpieczeństwa, i nie cierpią obcokrajowców, pętających się wśród pustynnych plemion. Mogłoby to oznaczać więzienie, a ja nie życzyłbym najgorszemu wrogowi, aby znalazł się w algierskim więzieniu. — Drugi palec dołączył do pierwszego. — Po drugie, wraca z raną od kuli, co też nie spodoba się glinom. Nie jest przestępstwem zostać postrzelonym, lecz oznacza to, że ktoś inny powinien znaleźć się w więzieniu. Łączy się to z kłopotami tam, gdzie ich być nie powinno. — Trzeci palec poszedł w górę. — Po trzecie, facet, który został postrzelony, jest cudzoziemcem, a to wystawiłoby Algier na pastwę stada rozgadanych

dypłomatów. Z tego co mi wiadomo, Wielka Brytania przed laty zerwała

stosunki dyplomatyczne z Algierią. Nie wiem kto reprezentuje tu obywateli brytyjskich, może Szwajcaria, ale jest to równoznaczne z trójstronną, międzynarodową hecą, która nikomu nie przypadnie do gustu.

— Zaczynam dostrzegać te problemy — powiedziałem zamyślony.

— Po czwarte — ciągnął Byrne niewzruszenie — i jest to poważna sprawa.

Przypuśćmy, że zabierzemy Billsona do Tam i pójdzie do szpitala. W tak małej miejscowości wystarczy dwanaście godzin, aby każdy wiedział o człowieku w szpitalu, który został postrzelony; w tym i facet, który go postrzelił...

— ... a który uważa, że on nie żyje — wtrąciłem.

— ... i którego Billson potrafi zidentyfikować. Co może go powstrzymać przed podjęciem kolejnej próby i dokończeniem roboty?

— Jeśli wciąż jest w pobliżu.

— Dlaczego sądzisz, że go nie ma? — Byrne wstał i spojrzał na leżącego Billsona. — Ten facet przysparza wszystkim bólu w dupie, w tym i mnie — z irytacją pokręcił głową. — Gdyby nie Hesther... — zamilkł ponownie.

— Czy mamy do wyboru coś innego niż Tam?

— Tak — kopnął nogą w piach. — Ale muszę się nad tym zastanowić.

Oddalił się w stronę wozu i wrócił z karabinem. Następnie powiedział coś do Mokhtara, który z woreczka na szyi wyciągnął pełny magazynek. Byrne wsunął

go do karabinu z metalicznym szczękiem. Zarepetował broń, aby wprowadzić nabój do lufy i starannie ją zabezpieczył.

— Przypuszczam, że wie pan jak się z tym obchodzić, panie pułkowniku.

— Byłem z tego znany.

— Może zajść potrzeba użycia go. Niesie trochę w lewo i w górę. Na sto metrów powiedzmy jakieś dwa cale na godzinę dziesiątą. Dzisiaj w nocy trzymamy wartę.

Zmarszczyłem brwi.

— Spodziewasz się kłopotów? Myślałem...

— Nie bardzo — przerwał mi. — Ale Billsona trzeba doglądać w nocy. —

Uniósł karabin. — To na wypadek nieprzewidzianych kłopotów.

Miałem środkową wachtę, aby zarówno Byrne jak i Mokhtar mogli sobie

pospać bez przerwy. Nie miałem pojęcia dokąd mieliśmy się udać, jeśli nie do Tammanrasset. Gdzie by to jednak nie było, oni musieli mnie tam zawieźć, a więc byli ważniejsi ode mnie.

Billson nie ruszał się, lecz wciąż oddychał. Wydawało mi się, że wygląda nieco lepiej niż przedtem. Przez jedną chwilę rozgoryczenia zastanawiałem się, czy nie zrezygnować i nie wrócić do Londynu. Jak powiedział Byrne — choć mniej grzecznie — Billson przysparzał jedynie kłopotów każdemu, kto się do niego zbliżył i miałem ochotę zostawić go, aby wypił piwo, którego sam sobie nawarzył.

Jednak myśl o powrocie i opowiedzeniu wszystkiego Alix Aarvik zmroziła mi krew. W dodatku postąpiłbym nie fair w stosunku do Byrne'a i Mokhtara, którzy zadali sobie wiele trudu, by pomóc nieznanemu człowiekowi. Powinienem też znajdować się w pobliżu, gdy Billson wydobrzeje, bo przecież ktoś musiał go wydostać z tego kraju, jako że zostało mu niewiele pieniędzy. Londyn zaś był daleko i szybko się oddalał. Doszedłem do wniosku, że w jakiś masochistyczny sposób polubiłem

pustynię.

Wziąłem karabin i obejrzałem go w przyćmionym świetle ogniska. Był to stary brytyjski Lee—Enfield 303 i sądząc po jego niskim numerze, odbywał

służbę zarówno w pierwszej, jak i w drugiej wojnie światowej. Wyjąłem magazynek i odryglowałem mechanizm, aby wyciągnąć nabój znajdujący się w lufie. Następnie spojrzałem przez lufę na ogień. Lśniła jak lustro i nawet jakiś surowy sierżant dałby Mokhtarowi najwyższe oceny. Dobrze o nią dbał.

Ponownie załadowałem karabin i odłożyłem go na bok, a następnie jeszcze raz sprawdziłem Billsona.

Pod koniec mojej wachty zaczął się wiercić, a kiedy już miałem budzić Byrne'a, zaczął coś mamrotać, lecz to co mówił nie miało sensu. Przyłożyłem mu rękę do czoła, lecz nie sądziłem, by miał gorączkę.

Obudziłem Byrne'a.

— Billson wraca do życia.

— W porządku, dogładnę go. — Byrne spojrzał w niebo, aby ustalić czas.

Nie nosił zegarka. — Prześpij się trochę. Wyruszamy wcześniej, następny obóz rozbijemy w Abalessa.

Zawinałem się w djellabę, bo zrobiło się chłodno i położyłem się. Nie traciłem czasu na rozmyślania o Abalessa, lecz niezwłocznie zasnąłem.

Rankiem Billson niewątpliwie czuł się lepiej, ale był oszołomiony i wątpię czy wiedział, gdzie się znajdował lub co się z nim działo. Ułożyliśmy go z tyłu Toyoty na materiale z wielbłądziej wełny, który służył jako osłona przed wiatrem, oraz na kilku djellabach.

— Kiedy już wydostaniemy się z Atakoru, możemy dostać trochę

wielbłądziego mleka — powiedział Byrne. — A może nawet wykombinować

jakąś gorącą zupę. To postawi go na nogi lepiej, niż cokolwiek innego.

Jechaliśmy szybko, gdyż Byrne powiedział, że mamy przed sobą daleką

drogę. Wyjeżdżając z Atakoru natknęliśmy się na obóz Tuaregów, który

minęliśmy jadąc w tamtą stronę. Właśnie pakowali się przed wyruszeniem w dalszą drogę, ale znaleźli trochę wielbłądziego mleka dla Mokhtara. Byrne wrzucił niedbale djellabę na tył wozu, przykrywając nią Billsona i stanął na straży.

— Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek go widział. Opuściliśmy obóz i nieco dalej zatrzymaliśmy się na chwilę, aby

łyżką podać mleko Billsonowi. Jego stan uległ po tym wyraźnej poprawie, mimo że skóra schodziła mu długimi pasmami z twarzy i grzbietów dłoni.

Mokhtar zaaplikował mu jeszcze trochę maści i ruszyliśmy dalej. Byrne jechał

teraz dużo szybciej, jako że teren zrobił się łatwiejszy.

Te rzeczy są względne. Przybywając z zielonej Anglii, uznałbym to miejsce za straszliwą pustynię. Sam piasek, żadnej gleby, a jedyną roślinność stanowiły rzadkie kępy wybujałej trawy i rozrzucone, cierniste drzewa, które choć mogły stanowić przedmiot pożądania wielbłąda, dla mnie nic nie znaczyły. Jednak nie przyjechałem właśnie z Anglii. Przybyłem z Koudii i Atakoru i jaką cholerną różnicę to robiło. Ten kraj był piękny.

Jechaliśmy zdecydowanie i szybko, rzadko się zatrzymując. Zazwyczaj, aby uzupełnić zbiornik paliwem z kanistrów. Billson dokończył mleko i mógł pić wodę, co dodało mu nieco życia, choć rozum mu się jeszcze plątał —

przyjmując, że w ogóle go miał. Raz Byrne zatrzymał się i wysłał Mokhtara do przodu. Ten zniknął za wzniesieniem, po chwili ukazał się znów i pomachał

ręką. Byrne puścił sprzęgło i ruszyliśmy szybko naprzód przez grzbiet wzniesienia i w dół po drugiej stronie, przecinając coś, co jak na Saharę stanowiło autostradę.

— To główna droga z Tam na północ — powiedział Byrne. — Wolałbym,

aby nie widziano jak ją przecinam.

— Dokąd jedziemy?

— Wokół Tam, na drugą stronę, do Abalessy — zamilkł i skoncentrował się na prowadzeniu wozu.

Abalessa, gdy tam dotarliśmy, okazała się niskim pagórkiem na horyzoncie.

Nie podjechaliśmy do niego, lecz rozbiliśmy obóz w odległości jakiejś mili.

Wciąż jeszcze mieliśmy resztę mięsa z gazeli, więc Mokhtar ugotował je w garnku na zupę dla Billsona, zanim nastawił kociołek na herbatę miętową.

— Możesz mieć swoją kawę jutro, gdy pojedziemy do Tam — mruknął

Byrne. — Jeśli o mnie chodzi, to tęsknię za zimnym piwem.

— Ale myślałem...



— Billson nie jedzie — powiedział Byrne. — Zostaje tu z Mokhtarem. Tylko ty i ja. Musimy cię zalegalizować.

Przesunąłem dłonią po policzku. W ciągu kilku ostatnich dni nie goliłem się i zarost zrobił się szczeciniasty. A może zapuściłbym brodę?

— Będziesz musiał to wytłumaczyć — powiedziałem.

— Mówiąc ściśle powinieneś się zameldować na poste de police w Fort

Lapperine, gdy tylko przybyłeś do Tam. Twoje nazwisko widniało w wykazie z samolotu, więc gliny zapewne zastanawiają się już, gdzie jesteś.

— Nikt mi tego nie powiedział. A konkretnie, ty mi nie powiedziałeś.

— Gdybyś się zameldował w hotelu, powiedziano by ci o tym. W każdym

razie, ja właśnie ci powiedziałem — wskazał odległe wzgórze. — To jest twoje alibi, grobowiec Tin Hinan — zamilkł na chwilę. — Moje też.

— Jest to jak sądzę poprzedni właściciel hotelu.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Legendarna prababka Tuaregów. Widziałem, że masz w torbie aparat fotograficzny, prawda?

— Tak, mam aparat.

— W takim razie jutro wdrapiemy się tam, na górę, a ty zrobisz całe

mnóstwo zdjęć, które zabierzemy do wywołania w Tam. Dowiedzie to, że

byliśmy tutaj, gdyby ktoś zrobił się wścibski. Nie chcę, aby komukolwiek przyszło do głowy, że pojechaliśmy w przeciwnym kierunku; do Atakor. A przynajmniej nie od razu.

— Jak długo zostajemy w Tam?

— Dopóki nie przekonamy tego małego, grubego faceta za biurkiem, że

jesteśmy uczciwi, nie dłużej. Historia jest następująca: Przyjechałeś do Tam, zacząłeś ze mną rozmawiać i zapytałeś o grobowiec Tin Hinan, słyszałeś o nim, jest sławny. Powiedziałem, że mógłbym cię tam zabrać i wyruszyliśmy

niezwłocznie. Przebywaliśmy tu przez cały czas, podczas gdy ty grzebałeś w ziemi, jak jakiś archeolog. Jednak nie kładź na to zbyt wielkiego nacisku, gdyż aby zajmować się prawdziwą

archeologią, trzeba mieć zezwolenie. Dopiero dzisiaj wieczorem zorientowałem się, że nie zameldowałeś się glinom, więc przywiozłem cię z powrotem, aby wszystko naprawić. Złapałeś wszystko?

Powtórzyłem, a Byrne powiedział:

— Jest jeszcze coś. Ten mały, gruby facet zapytał cię o twoje plany na przyszłość. Powiesz mu, że jedziesz na południe do Agadez, to jest w Nigrze.

Spojrzałem na niego ogłupiały.

— A jadę?

— Aha — wskazał Billsona. — Musimy tego gościa szybko wydostać z

Algierii. Wynieść się z tego kraju.

Ponownie przesunąłem ręką po szczecinie.

— Nie mam nigryjskiej wizy. Po pierwsze, nie miałem czasu jej załatwić, a po drugie, nie miałem zamiaru tam jechać. Patrząc na to miejsce z Anglii, zdecydowałem że są pewne granice tego, co mógłbym zrobić.

— Jeżeli będziesz się mnie trzymał, to poradzisz sobie jakoś bez wizy.

— A ty masz wizę do Nigru?

— Nie potrzebuję jej, mieszkam tam. Mam piękną posiadłość w Air ou Azbine, na północ od Agadez. Raz w roku przyjeżdżam do Tam, żeby dla Hesther dopilnować kilku spraw. Prowadzi tu interesy.

Mokhtar podał herbatę miętową. Usiadłem, czując się porządnie zmęczony po całodziennej jeździe.

— Jak to się stało, że poznałeś Hesther? — upiłem łyk herbaty, i stwierdziłem, że zaczyna mi smakować.

— Kiedy była młodsza, dość często przyjeżdżała do Ahaggaru, wówczas panowali tu jeszcze Francuzi. Pewnego razu wpakowała się w kłopoty w

Tadamait, to jakieś 700 kilometrów na północ stąd. Przekłęte miejsce, w gorący dzień wysmaża ci mózg. Nie był to wielki kłopot, ale mogło się spać bardziej. Tak czy inaczej, pomogłem jej wyjść z tego, za co okazała mi wdzięczność. Zaproponowała mi pracę w Algierze, lecz odparłem, że nie pojechałbym do tego przeklętego Maghrebu. Poprosiła więc, abym jej dopomógł

w Tam. Ciągnęło się to przez kilka lat, aż pewnego razu, kiedy przyjechała do Tam, pogadaliśmy sobie. W efekcie uwiązała mnie do mojej posiadłości w Air, w Nigrze.

— Co tam robisz? — spytałem z ciekawości. Byrne musiał jakoś zarabiać na życie. Nie mógł tylko krążyć, pomagając obcym w strapieniach.

— Jestem hodowcą wielbłądów — powiedział. — I prowadzę kilka karawan solnych przez pustynię do Bilmy.

Nie wiedziałem, gdzie leży Bilma, a coś takiego jak karawana solna brzmiało nieprawdopodobnie. Jednak mogłem zrozumieć, co to hodowla wielbłądów.

— Ile masz wielbłądów?

Przez chwilę milczał, najwyraźniej obliczając.

— Gdyby liczyć razem zwierzęta juczne i stado zarodowe, powiedziałbym, że około trzystu. Miałem więcej, ale ta przekłeta susza zdrowo mnie walnęła.

Siedem lat chudych, zupełnie jak w Biblii. Ale znów odbudowuję stado.

— Kto się nim teraz zajmuje?

Uśmiechnął się.

— W Arizonie nazwałbym brata Mokhtara nadzorcą rancho. Nazywa się

Hamiada — przeciągnął się. — Masz film do aparatu?

— Tak.

— No to w porządku. Myślę, że pójdę już spać.

— Nie zjesz czegoś?

— Podjemy sobie jutro w Tam. Menażu ledwie starczy, aby wyżywić

Mokhtara i Billsona, póki nie wrócimy. Obudź mnie o północy —

powiedziawszy to odwrócił się na bok i natychmiast zasnął.

Wyglodziłem się więc tej nocy, nie miałem jednak nic przeciwko temu.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że Mokhtar spał tak, jak i Billson.

Wyglądało więc na to, że zostałem wybrany do pełnienia pierwszej wachty.

Około jedenastej Billson obudził się i po raz pierwszy mówił do rzeczy. Przez chwilę mamrotał, po

czym rzekł wyraźnie:

— Jest ciemno. Dlaczego jest ciemno?

— Jest noc — odparłem łagodnie.

— Kim jesteś — głos miał słaby, ale zupełnie wyraźny.

— Nazywam się Stafford. Teraz się tym nie martw, Paul. Jesteś zupełnie bezpieczny.

Przez jakiś czas nic nie mówił, w końcu odezwał się.

— Postrzelił mnie.

— Wiem — powiedziałem. — Ale wszystko jest już w porządku. Zamilkł, a kiedy w pięć minut później przyjrzałem się mu bliżej, zobaczyłem, że oczy miał

zamknięte i oddychał głęboko i równo.

O północy zbudziłem Byrne'a i opowiedziałem mu o tym, a następnie sam poszedłem spać.

Rano nie mieliśmy zbyt wiele czasu dla Billsona. Byrne chciał wrócić do Tam, a musieliśmy pójść jeszcze na kopiec Abalessa, mieliśmy więc czas zamienić tylko kilka słów. Te, które ja wypowiedziałem, miały pocieszyć, natomiast Byrne'a miały raczej charakter pogróżek.

Billson był bardzo słaby, ale przytomny. Dostał jeszcze trochę zupy, którą przygotował Mokhtar i zdołał zjeść kilka kawałków mięsa. Kiedy

przyklęknąłem obok niego, powiedział:

— Kim jesteś?

— Nazywam się Max Stafford. Twoja siostra wysłała mnie, abym cię odszukał.

— Alix? Skąd wiedziała dokąd pojechałem?

— Nie było to zbyt trudne do wymyślenia — powiedziałem oschle. —

Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę, jak głupio postąpiłeś, uciekając w ten sposób.

Przełknął z trudem.

— Chyba tak — odparł niechętnie. Spojrzał poza mnie. — Kim są ci Arabowie?

— To nie są Arabowie. Słuchaj, Paul. Kiedy pojechałeś do Atakor bez zezwolenia, popełniłeś większy błąd. Czy wiedziałeś, że nie starczyłoby ci paliwa, aby wrócić do Tam? — Pokręcił głową, a oczy rozszerzyły mu się nieco.

— Później zostałeś postrzelony. Kto do ciebie strzelał i dlaczego?

Zrobił głupią minę, a potem zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— Niewiele z tego pamiętam.

— Mniejsza z tym — powiedziałem łagodnie. — Musisz tylko dojść do siebie. Paul, jeśli policja cię znajdzie, to zostaniesz aresztowany i pójdziesz do więzienia. Próbujemy do tego nie dopuścić.

Odwrociłem się, gdy Byrne zawołał:

— Jesteś gotowy? — w jego głosie brzmiała niecierpliwość.

— Już idę. — Wstałem i powiedziałem do Billsona: — Wypoczywaj spokojnie.

Byrne był bardziej bezpośredni. Targui w pełnym stroju może napawać porządnym lękiem, a leżącemu Billsonowi piętrzący się nad nim Byrne musiał się wydawać wysoki na miłę. Jest też coś szczególnie groźnego w człowieku wypowiadającym groźby, kiedy nie możesz zobaczyć jego twarzy.

— Posłuchaj no głupcze — odezwał się Byrne — zostajesz tu z tym człowiekiem i nie zrobisz żadnego idiotyzmu. Jeśli choć raz się wychylisz, Mokhtar odetnie ci ten zwariowany łeb. Słyszysz?

Paul słabo skinął głową. Zauważyłem, że Mokhtar nosił swój miecz, a karabin został wystawiony na pokaz. Byrne powiedział:

— Jeśli zrobisz jeszcze jedną zbzikowaną rzecz, zostawimy cię sępom i fenkom. — Oddalił się zamaszystym krokiem, a ja podążyłem za nim do

Toyoty.

Na szczycie kopca Abalessa znajdowały się ruiny kamiennego budynku, zupełnie nie pasującego do Tuaregów.

— Francuski? — zapytałem. — Legia Cudzoziemska?

— Do diabła, nie! — powiedział Byrne. — Jest jeszcze starszy. Istnieje teoria, że był to najdalej na południe wysunięty posterunek Rzymian.

Przypomina niektóre rzymskie forty na północy. Inna teoria głosi, że

wybudowały go niedobitki jakiegoś legionu zepchnięte aż tutaj. Rzymianie utracili parę legionów w Afryce Północnej. — Wzruszył ramionami. — Ale to tylko teorie.

— A o co chodzi z tą Tin Hinan?

— Przejdź tutaj. — Poszedłem za nim. — Znaleziono ją tam, na dole. —

Zajrzałem do małego pomieszczenia wyłożonego kamiennymi płytkami. —

Wciąż pozostaje to tajemnicą. Tuaregowie opowiadają historię, że para imieniem Yunis i Izubahil została przysłana z Bizancjum, aby sprawować nad nimi władzę. Miałoby się to zdarzyć około 1400

roku. Część bizantyjskiej biżuterii, którą znaleziono przy niej, pochodziła z tego okresu, natomiast niektóre monety datowały się z piątego i szóstego wieku. Było tam również kilka żelaznych pierścieni ramiennych, których Bizantyjczycy nie nosili.

Zmienił ton i szorstko powiedział:

— Nie przyszliśmy tu na lekcję historii. Zrób mi kilka zdjęć, a potem ja tobie. Tak zwykle robią głupi turyści.

Wypstrykałem więc cały film, na niektórych zdjęciach Byrne sfotografował

mnie i poszliśmy stamtąd, chociaż miałbym ochotę zostać dłużej. Zawsze lubiłem różne tajemnice, co jak sądzę przyczyniło się do tego, że znalazłem się na Saharze.

Abalessa znajdowała się o jakieś sześćdziesiąt mil od Tammanrasset.

Przebyliśmy ten odcinek w prawie dwie i pół godziny, pod koniec pomogła nam asfaltowa droga wiodąca z lądowiska do Tam. Ten dziesięciomilowy odcinek był jedyną utwardzoną drogą, jaką widziałem na całej Saharze i nigdy się nie dowiedziałem, po co została tam wybudowana.

Byrne zatrzymał się przed hotelem Tin Hinan.

— Idź zawrzeć pokój — powiedział. — Mam zamiar trochę powęszyć.

Spotkamy się tu za jakąś godzinę. Czekać możesz napić się piwa.

— Czy zostanę tu na noc?

— Nie, zostaniesz ze mną. Ale zapewne będziesz musiał zapłacić za

rezerwację pokoju. Daj mi ten film.

Wyciągnąłem go więc z aparatu, dałem mu i wysiadłem. Odjechał hałasując klaksonem. Zgodnie z przewidywaniem, w hotelu nastąpiło zamieszanie

połączone z wymówkami. Załagodziłem sprawę, płacąc pełną należność za pokój, mimo że go nie używałem. Kierownik słabo mówił po francusku, jednak na tyle dobrze, abym zrozumiał, że szukała mnie policja. Uroczyście

przrzekłem zgłosić się na poste de police.

Następnie wszedłem na dziedziniec, usiadłem przy stole i zamówiłem piwo.

Nigdy nie piłem czegoś równie smacznego. Nic nie zmieniło się w Tam od dnia, kiedy przyleciałem, a ujrzałem je innymi oczami. Tuaregowie przechadzali się piaszczystą ulicą, na swój ospały, majestatyczny sposób, lub stali tu i ówdzie w małych grupkach, dyskutując nad czymś, o czym mogą dyskutować

Tuaregowie. Zapewne o cenach wielbłądów i trudnościach w ustrzeleniu gazeli.

Wielu z nich nosiło miecze.

Oczywiście nie było powodu, dla którego Tam miałoby się zmienić. Ja się zmieniłem. Tych kilka dni w Atakor i Koudii stanowiło piekielną różnicę. A teraz miałem zdaje się jechać do Nigru — do miejscowości zwanej Agadez, a gdzież ona leżała? Ach tak, w Air ou coś tam. Nie wiedziałem nawet jak to daleko i zastanawiałem się, czy mógłbym kupić mapę.

Potrzebowałem jeszcze innych rzeczy. Spojrzałem na siebie. Na zgrabnym, tropikalnym garniturze, który wcisnął mi londyński krawiec, zaczynały uwidaczniać się trudy pustynnej podróży. Otwartą dłonią uderzyłem w kurtkę.

Uniosła się chmura pyłu. Z tym podróżnym brudem i nie ogolonym obliczem wyglądałem zapewne jak włóczęga. Każdy londyński bobby z miejsca by mnie przymknął. Lecz nie widziałem szans kupienia europejskiego ubioru w Tam.

Musiałem o to zapytać Byrne'a.

Skończyłem piwo i zamówiłem kawę. Podano ją gęstą i przesłodzoną, a do tego w małej ilości, co nawet dobrze się składało. Zdecydowałem, że raczej zostanę przy herbacie miętowej. Doszedłem do połowy drugiego piwa, kiedy zjawił się Byrne. Jego pierwszą czynnością było zamówienie piwa, a drugą wychylenie go jednym haustem. Zamówił jeszcze jedno i powiedział:

— Nie pojawił się tu nikt nazwiskiem Kissack.

— No i co? Westchnął.

— To oczywiście niewiele znaczy. Facet może zmienić nazwisko. Przez miasto idzie teraz grupa niemieckich turystów. — Roześmiał się.

— Kilku nosi Lederhosen.

Specjalnie mnie to nie rozbawiło. Lederhosen nie były wcale czymś bardziej niedorzecznym niż ubranie, które nosiłem.

— Masz jakieś mapy? — zapytałem. Chciałbym wiedzieć dokąd jadę.

— Sam ich nie używam, ale mogę ci jedną zdobyć.

— I przydałoby mi się trochę odzieży. Przyjrzał mi się.

— Poczekaj aż dotrzemy dalej na południe — doradził. — Tu jest niewiele, lepiej w Agadez. Odbitki będą gotowe za godzinę. Przemówiłem fotografowi do rozumu — opróżnił szklanekę. — Chodźmy teraz opowiedzieć glinom tę



historyjkę.

Przed wejściem do poste de police odezwał się:

— Masz swój paszport?

Wyciągnąłem go z kieszeni i zawahałem się.

— Słuchaj, jeżeli powiem, że jadę do Nigru, to dziwnie będzie wyglądało, jeśli nie znajdzie tutaj nigryjskiej wizy.

— Nie ma problemu — odparł Byrne. — W ogóle się o to nie zatroszczy.

Niger to inny kraj i nie jego zmartwienie, jakich kłopotów tam sobie napytasz.

Będzie aż nazbyt uszczęśliwiony mogąc się ciebie pozbyć z Algierii. A teraz idź

i graj zidiociałego turystę. Wchodzę zaraz za tobą.

Zameldowałem się więc u pulchnego, umundurowanego policjanta

siedzącego za biurkiem i położyłem na blacie swój paszport.

— Czekałem na pana, M'sieur Stafford — powiedział chłodno. — Co pana zatrzymało? — Mówił mocno akcentowaną francuszczyzną.

— Merde! — zaklął Byrne. — To tylko parę dni. — Przypuszczam, że nie powinien mnie zaskoczyć fakt, że Byrne zna francuski, a jednak mnie zaskoczył.

Był to język niegramatyczny, lecz użyteczny.

— Trzy i pół, M'sieur Byrne — odparł policjant bezbarwnym głosem.

— Myślałem, że już się zgłosił. Zorientowałem się dopiero ubiegłej nocy i przybyliśmy wprost tutaj.

— Gdzie byliście?

— W Abalessie — dodał coś gardłowym językiem, zupełnie niepodobnym

do tego, którym rozmawiał z Mokhtarem. Doszedłem do wniosku, że to arabski.

— Jeszcze gdzieś?

— A gdzież tam jeszcze można pojechać? — zapytał Byrne.

— Przypuszczam, że to moja wina — powiedziałem. — Skorzystałem z

okazji, aby tam pojechać, gdy tylko spotkałem pana Byrne'a. Nie wiedziałem, że muszę się tutaj

zameldować, dopóki mi o tym nie powiedział wczoraj

wieczorem. — Na chwilę zamilkłem, po czym dodałem: — To nie najgorsze miejsce, chociaż nie jestem pewien, czy to rzymskie pozostałości.

Policjant nie skomentował tego.

— Czy zostaje pan długo w Tammanrasset, M'sieur Stafford?

Zerknąłem na Byrne'a.

— Nie, jadę do Agadezi Air.

— Z M'sieur Byrne'em?

— Tak.

Odniosłem wrażenie, że nagle się rozpogodził, kiedy wziął mój paszport.

— Mamy sporo kłopotów z wami, turystami. Nie rozumiecie, że są ściśle określone przepisy, których należy przestrzegać. Szukamy jeszcze jednego Anglika. Przez to wszystko tracimy czas. — Otworzył paszport, porównał mnie ze zdjęciem i przewertował kartki. — Tu nie ma algierskiej wizy — rzekł ostro.

— Wie pan, że nie jest konieczna — powiedział Byrne.

— Oczywiście — oczy policjanta zwęziły się, gdy spojrzał na Byrne. — To miłe z pańskiej strony, że instruuje mnie w mojej pracy. — Położył dłonie płasko na biurku. — Wiele o panu myślę, M'sieur Byrne. Nie sądzę, aby wywierał pan dobre wpływy w Ahaggarze. Może napiszę raport na pański temat.

— Nie wyjdzie poza komisarza policji w Algierze — odparł Byrne. — Może mi pan wierzyć.

Policjant nic na to nie odpowiedział. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, gdy stemplował mój paszport i pchnął go przez biurko.

— Wypełni pan fiche w trzech egzemplarzach. Gdyby pan nie wiedział jak, to jestem pewien, że M'sieur Byrne poinstruuje pana. — Wskazał ręką na stojący z boku stół.

Fiche okazało się małą kartką, niewiele mniejszą od pocztówki,

wydrukowaną po arabsku i francusku. Pobieźnie ją przejrzałem i zagadnąłem Byrne'a:

— Normalna biurokracja, ale co u diabła mam wpisać pod „plemie”?

Byrne uśmiechnął się szeroko.

— Przed kilku laty był tu facet z wyspy Man. Wpisał „Manx” — Oklapnął

trochę pod moim spojrzeniem i rzekł: — Po prostu wstaw kreskę.

Wypełniłem wszystkie trzy fiche i złożyłem policjantowi na biurku.

— Kiedy wyjeżdża pan do Nigru? — zapytał.

Spojrzałem na Byrne'a, a ten powiedział:

— Zaraz. Musimy tylko pojechać do Abalessy zabrać trochę sprzętu.

Policjant skinął głową.

— Proszę nie zapomnieć zgłosić się na punkcie kontrolnym za miastem. Ma pan niefortunny zwyczaj omijania go, M'sieur Byrne.

— Ja? Skądże znowu! — odparł Byrne niewinnie.

Wychodząc, minęliśmy stojącego za drzwiami człowieka uzbrojonego w

pistolet maszynowy. Kiedy znaleźliśmy się na, ulicy powiedziałem:

— Nie lubi cię. Co to wszystko miało znaczyć?

— Po prostu chłopcy w Maghrebie nie lubią, kiedy cudzoziemcy zbyt spoufalają się z Tuaregami. Ten facet jest Arabem z Sidi—bel—Abbes. Czas już, aby zaczęli przeprowadzać nabór do policji wśród Tuaregów.

— Czy może cię wpędzić w kłopoty?

— Kiepska szansa. Komisarz policji mieszka w kieszeni Hesther Raulier.

Przetrawiłem to w myślach i zapytałem po chwili:

— Co powiedziałeś do niego po arabsku?

Byrne uśmiechnął się.

— Coś, czego nie powiedziałbym ci prosto w twarz. Że okazałeś się

cholernie głupim turystą, który nie wiedział, co jest grane. Udało mi się dorzucić informację, że czekamy na wywołanie filmu. Przy odrobinie szczęścia sprawdzi to.

Wybraliśmy się po zakupy. Byrne'a najwyraźniej dobrze tu znano i sporo było dobrodusznego przekomarzania się i śmiechu, a także herbaty miętowej. Kupił

sól, cukier, mąkę, wszystkiego po trochu, w różnych miejscach. Kupił również mapę dla mnie, a

następnie skierowaliśmy się do hotelu na ostatnie piwo. Kiedy usiedliśmy, powiedział:

— Kissacka ani śladu, ale szepnąłem, żeby miano na niego oko. Mapę

„Afryka Północna i Zachodnia” wykonał Michelin w skali 40 kilometrów na jeden centymetr, co daje 63 mile na cal. Mimo to miała duże rozmiary i z nawiązką pokryła mały stolik, przy którym siedzieliśmy. Złożyłem ją do wygodniejszych rozmiarów i spojrzałem na obszar wokół Tammanrasset. Teren, który przebyliśmy w ciągu ostatnich kilku dni, zajmował zdumiewająco małą część tej mapy. Mogłem go nakryć opuszką kciuka.

Dostrzegłem rozległe, puste obszary i zapytałem:

— Dokąd jedziemy?

Byrne wziął mapę i położył palec na Tammanrasset.

— Na południe stąd, ale nie główną drogą. Pojedziemy tą trasą, a kiedy dotrzemy do Fort Flatters, znajdziemy się w Nigrze. — Odwrócił mapę. — Tym sposobem wjedziemy do Air od północy i dalej przez Iferouane w dół do Timii.

Moja posiadłość leży niedaleko stamtąd. Air to dobry kraj.

Spróbowałem kciukiem określić odległość. Lotem ptaka było to około

czterystu mil, prawdopodobnie na ziemi około sześciuset i, z tego co widziałem, przez wszystko co najgorsze. Air wydawał mi się górzystym krajem.

— Co to jest ergi — spytałem.

Byrne mlasnął językiem.

— Sądzę, że najlepiej to określić jako morze piasku.

Z ulgą zauważyłem, że na drodze do Air nie było żadnego ergu. Nie spiesząc się wypiliśmy piwo, a następnie powędrowaliśmy ulicą, aby odebrać zdjęcia.

Nagle Byrne trącił mnie łokciem.

— Patrz! — z drzwi przed nami wyszedł policjant, przeciął drogę i wszedł do poste de police. — A co, nie mówiłem? — powiedział Byrne. — Sprawdzał te cholerne zdjęcia.

— Do diabła! — zakląłem. — Nie przypuszczałem, że to zrobi. Dość

podejrzliwe towarzystwo, prawda?

— Zachowywanie czystości rewolucji rodzi podejrzenie.

Odebraliśmy zdjęcia, wzięliśmy Toyotę z warsztatu, gdzie uzupełniono

paliwo, napełniono pojemniki na wodę i odjechaliśmy z powrotem do Abalessy.

Mokhtar nie zgłosił żadnych problemów, lecz Billson nagle nabrał swady i chciał porozmawiać. Wyraźnie odzyskał siły i, jako że nie mógł rozmówić się z Mokhtarem, wszystko wylało się z niego teraz.

Jednak Byrne nie dopuścił do tego.

— Teraz nie mamy czasu. Chcę się stąd wynieść. Ruszamy.

Ponownie nabraliśmy szybkości, kiedy wjechaliśmy na asfaltowany odcinek drogi, a ponieważ musieliśmy przejechać przez Tam, Billson został

umieszczony z tyłu wozu i przykryty kilkoma djellabami. Droga na południe opuszczała Tam w Fort Lapperine i gdy wyjechaliśmy zza rogu, zdałem sobie sprawę, że przed poste de police stoi mężczyzna, kołysząc w ramionach pistolet maszynowy. Odetchnąłem z ulgą, kiedy podskakując zniknęliśmy z jego pola widzenia.

Jakieś cztery mile za miastem Byrne zatrzymał się i przeszedł na tył wozu.

Przyłączyłem się do niego. Odkrył Billsona i powiedział:

— Jak się czujesz?

— W porządku.

Byrne spojrzał na niego zamyślony.

— Możesz iść?

— Iść?

— Tuż za tym zakrętem jest policyjny punkt kontrolny — zwrócił się do mnie Byrne. — Założę się, że ten sukinsyn powiedział im, żeby się na mnie zasadzili. — Odwrócił się do Billsona. — Tak, iść. Niedaleko, dwa, może trzy kilometry. Mokhtar będzie z tobą.

— Myślę, że dam radę — odparł Billson.

Byrne skinął głową i odszedł porozmawiać z Mokhtarem. Zwróciłem się do Billsona.

— Czy jesteś pewien, że sobie poradzisz?

Spojrzał na mnie słabo.

— Mogę spróbować — odwrócił się, aby popatrzeć na Byrne'a. — Kim jest ten człowiek?

— Kimś, kto ocalił ci życie — odparłem. — Teraz ratuje twoją szyję. —

Wróciłem i wsiadłem do szoferki. Niebawem wsiadł też Byrne i ruszyliśmy dalej. Odwróciłem się i ujrzałem jak Billson i Mokhtar znikają za paroma przydrożnymi skałami.

Byrne miał rację. Na tym punkcie kontrolnym rzeczywiście porządnie nas przetrzepali. Jak mi powiedział później, bardziej niż zazwyczaj, o wiele bardziej. Nie należy się jednak sprzeczać z człowiekiem uzbrojonym w karabin.

Przeszukali wóz otwierając każdą torbę i pojemnik. Nie zawracali sobie głowy ponownym pakowaniem. Musieliśmy zrobić to z Byrne'em sami. Długo rozmyślali nad moim paszportem, zanim oddali mi go z powrotem. Następnie musieliśmy wypełnić kolejne fiche, znów w trzech egzemplarzach.

— Co za cholerna głupota — powiedziałem. — Dopiero co robiłem to dziś rano.

— Zrób to — odparł Byrne krótko; zrobiłem.

W końcu zezwolono nam jechać dalej. Wkrótce po opuszczeniu punktu

kontrolnego Byrne zboczył z głównego szlaku na mniejszy, nie oznakowany.

— Główna droga prowadzi do In Guezzam — powiedział. — Ale tam

przerzucenie cię przez granicę mogłoby się okazać trudne. Fort Flatters będzie lepszy. — Podjechał jeszcze kawałek i zatrzymał się. — Poczekamy tu na Mokhtara.

Wysiedliśmy z wozu, a ja spojrzałem na mapę. Po kilku minutach

zagadnąłem:

— Jestem zaskoczony, że ich tu jeszcze nie ma. Dość długo staliśmy na punkcie kontrolnym, a przejście trzech kilometrów nie zajmuje wiele czasu.

— Raczej ośmiu — odparł Byrne spokojnie. — Gdybym powiedział mu

prawdę, mógłby się opierać.

— O!

W tej chwili na poboczu drogi wyłonił się Mokhtar. Niósł Billsona

przerzuconego jak worek przez plecy. Ułożyliśmy go z tyłu wozu tak wygodnie, jak to było możliwe, ocuciliśmy wodą i ruszyliśmy dalej.

Jechaliśmy do Air bez pośpiechu, robiąc nieco ponad sto mil dziennie. W tym właśnie okresie lepiej poznałem Paula Billsona przyjmując, że go w ogóle poznałem, gdyż był człowiekiem trudnym do zgłębienia. Myślę, że Byrne poznał się na nim dużo lepiej niż ja.

Mimo swej gadatliwości w Abalessie stracił ochotę do mówienia, po tym jak zemdlął w czasie obchodzenia punktu kontrolnego. Czuł się już jednak dużo lepiej, kiedy wieczorem rozbiliśmy obóz. Mieliśmy teraz namioty, które wieźliśmy na bagażniku, na dachu wozu. Podczas gdy Byrne i Mokhtar rozstawiali je, opatrzyłem ranę Billsona. Była czysta i zaczynała się już goić, jednak przed założeniem świeżych bandaży zapudrowałem ją proszkiem

penicylinowym.

Wyglądał na zdezorientowanego.

— W ogóle nie wiem co się dzieje — rzekł żałośnie. — Kim jesteś?

— Już ci mówiłem, Max Stafford.

— Nic mi to nie mówi.

— A czy coś powie, jeśli oświadczę, że odpowiadałem za ochronę we Franklin Engineering?

Uniósł wzrok.

— Na miłość boską! Chcesz powiedzieć, że ścigałeś mnie aż tutaj, bo opuściłem Franklin w pośpiechu?

— Niezupełnie, ale coś w tym sensie. Jest wiele rzeczy, które możesz mi powiedzieć.

Rozglądnął się. Obóz rozbiliśmy po osłoniętej od wiatru stronie grzbietu, niemal na jego szczycie. Kiedy Byrne wybrał miejsce, zakwestionowałem je.

Moim zdaniem lepiej byłoby rozbić obóz na płaskim terenie u stóp grzbietu.

Byrne pokręcił głową.

— Nigdy nie rozbijaj obozu na nisko położonym terenie. Na Saharze więcej ludzi ginie przez utonięcie niż z pragnienia. — Kiedy wyraziłem

niedowierzanie, wskazał góry na północnym wschodzie. — Tam może szaleć burza z piorunami, a ty nic o tym nie wiesz. Ale wezbrany potok rwący przez wadi mógłby przepłynąć właśnie tędy. —

Przyznałem mu rację.

— Gdzie jesteście? — zapytał Billson.

— Jakies pięćdziesiąt mil na południowy wschód od Tammanrasset.

— Dokąd jedziemy?

— Do Nigru. Trzeba wydostać cię z Algierii, jesteś poszukiwany przez policję. Złamałeś prawo.

— Dlaczego to dla mnie robicie?

Zawiązałem jeszcze jeden węzeł na bandażu i obciąłem końce.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem — powiedziałem. — Z pewnością

dowiodłeś, że jesteś strasznie przykrym człowiekiem. Z całą pewnością Niger to ostatnie miejsce na świecie dokąd chciałbym pojechać.

Pokręcił głową.

— Wciąż nie rozumiem.

— Czy zapamiętałeś coś związanego z człowiekiem, który cię postrzelił?

— Trochę — odparł Billson. — Zatrzymałem się, bo jedna z opon zaczęła siadać i przyszło mi do głowy, że powinienem zmienić koło. Właśnie jej się przyglądałem, kiedy nadjechał ten drugi samochód.

— Osobowy, czy ciężarówka? — Samochód wydawał się czymś

nieprawdopodobnym w Koudii.

— Range—Rover. Sądziłem, że mógłby mi pomóc, więc zacząłem dawać

znaki rękami. Podjechał bliżej i zatrzymał się o jakieś dziesięć metrów ode mnie, później strzelił do mnie.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu. Poczulem uderzenie w ramię, przewróciło mnie. Wcale nie bolało, przynajmniej wówczas.

Spojrzałem na Billsona badawczo. Ta historia brzmiała nieprawdopodobnie, ale też Billson zbierał nieprawdopodobieństwa na swój temat, tak samo jak ktoś inny mógłby zbierać znaczki i nigdy, nawet na moment, nie zapominałem, że zostałem porządnie pobity w cichej uliczce w Kensington.

— Czy widziałeś tego człowieka?



— Tak. On... oni ścigali mnie.

— Ilu?

— Dwóch.

— Czy to byli miejscowi? To znaczy Arabowie, albo Tuaregowie?

— Nie, biali, jak ty i ja.

— Czy nic nie powiedział zanim strzelił?

— Nie. Jak już mówiłem, ten samochód po prostu zatrzymał się, a on strzelił do mnie.

Westchnąłem.

— No więc, co stała się dalej?

— Kiedy upadłem, nie mogli mnie widzieć, bo znajdowałem się za Land—

Roverem. Niedaleko była szczelina między dwiema skałami, wcisnąłem się w nią. Usłyszałem, jak wysiadają z samochodu, więc wszedłem dalej między skały, w górę jakby rozpadliny i puściłem się biegiem.

Umilkł, więc zachęciłem go.

— I ścigali cię. Czy jeszcze do ciebie strzelali?

Skinął głową.

— Tylko ten jeden człowiek. Nie trafił mnie — dotknął ramienia. — Wtedy to zaczęło boleć i zakręciło mi się w głowie. Nic więcej nie pamiętam.

Upadł i szczęściem zniknął im z oczu, wpadając w szczelinę między skałami.

Ci ludzie zapewne szukali go i przeoczyli, co nie jest zbyt trudne w Koudii. Ale spalenie mu Land— Rovera stanowiło inny sposób zabicia go. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, aby ktoś z raną postrzałową i bez wody, wyszedł z Koudii.

— Jak mnie odnaleźliście? — zapytał.

— Szukaliśmy cię.

Wpatrywał się we mnie.

— Niemożliwe. Nikt nie wiedział dokąd pojechałem.

— Paul, zostawiłeś ślad tak szeroki, jak ośmiopasmowa autostrada —

powiedziałem. — Odnalezienie go nie sprawiło kłopotu ani mnie, ani jak widać, komuś innemu. Czy masz jakichś wrogów? Kogoś, kto nienawidzi cię tak

bardzo, by chcieć zabić? Na tyle, że podążyłby w tym celu za tobą na środek Sahary?

— Jesteś szalony — odparł.

— Ktoś jest — zauważyłem. — Ale nie ja. Czy mówi ci coś nazwisko

Kissack?

— Zupełnie nic — przez chwilę zastanawiał się. — A co stało się z moim Land—Roverem? Gdzie on jest?

— Spalili go.

Wyglądał jak rażony gromem.

— Spalili go! — wyszeptał. — A co z... — nagle zamilkł.

— Ile pieniędzy miałeś w tych walizkach? — zapytałem łagodnie. Nie

odpowiedział, więc dodałem: — Według mojego szacunku około 56.000

funtów.

Posępnie skinął głową.

— Nie ma znaczenia, czyje przeszukali przed polaniem benzyną, czy nie.

Utraciłeś je. — Wstałem i spojrzałem na niego z góry. — Paul, jesteś wielkim gwałcicielem prawa. Brytyjczycy mogą przyszpilić cię za łamanie przepisów walutowych, a teraz szukają cię Algierczycy. Jeśli cię znajdą z raną postrzałową, przysporzysz komuś jeszcze więcej troski. Jezu, jesteś

chodzącym

nieszczęściem.

— Przykro mi, że stałem się przyczyną kłopotów — wymamrotał.

Zacisnął nerwowo rękę, skubiąc palcami kurtkę.

Przez chwilę, z cichą furią, kontemplowałem ten okaz niedomówienia.

Schyliłem się i podetknąłem mu palec pod nos.

— Paul, od tej chwili nie zrobisz ani jednej rzeczy; rozumiesz, ani jednej przeklętej rzeczy, nawet

jeśli to tylko rozpięcie rozporoka; bez skonsultowania tego ze mną lub z Byrne'em.

Gwałtownym ruchem odwrócił głowę w stronę Byrne'a.

— Czy to on?

— To jest Byrne. I chodź wokół niego ostrożnie. Jest na ciebie tak samo wściekły jak ja.

Skończyli ustawianie namiotów, a Mokhtar rozpałił ognisko. Opowiedziałem Byrne'owi, czego dowiedziałem się od Billsona.

— Dwaj Europejczycy i Range—Rover — odparł w zamyśleniu. — Nie powinno być trudności z ich odnalezieniem. I postrzelili go tak po prostu?

Nawet się nie przywitani?

— Według tego, co mówi Paul, to tak po prostu.

— Aż trudno uwierzyć. Kto mógłby chcieć, ot tak sobie, zastrzelić faceta?

Zmęczonym głosem powiedziałem:

— Jeździł wszędzie mając zapakowane w walizce 56.000 gotówką, w brytyjskich banknotach. Nie wydaje mi się, aby spłonęły w tym Land—Roverze.

Pewnie gdzieś po drodze za szeroko otworzył gębę i ktoś się złakomił.

— Tak, może masz rację. Ale to nie tłumaczy Kissacka.

— Nie wierzę, że istnieje.

— Skoro Hesther mówi, że szukał Paula Billsona, to istnieje — rzekł Byrne niewzruszenie. — Hesther nie robi błędów.

Tego wieczoru mieliśmy baraninę, gdyż Mokhtar kupił rano owcę od

przygodnego Targui w Abalessie. Przypiekł jej trochę nad ogniem na wzór szaszłyków i jedliśmy ją palcami. Była dość smaczna. Byrne zmuszał Billsona do jedzenia.

— Próbuję cię trochę podtuczyć — powiedział. — Kiedy dojedziemy do Fort Flatters, będziesz musiał przejść trochę więcej.

— O ile więcej? — zapytał Billson.

— Spory kawałek, może ze trzydzieści kilometrów. Musimy cię

przeszmuglować obok algierskiego posterunku granicznego.

Nie oczekiwałem tego z utęsknieniem.

Następnej nocy znów zabrałem się ostro do Paula. Tym razem nie pytałem czego szukał w Afryce Północnej, lecz o zdumiewające okoliczności jego życia w Anglii. Mogłem go zapytać w czasie jazdy, ale nie chciałem tego robić w obecności Byrne'a. Paul mógł się zwierzyć, gdyby go przesłuchiwać w

pojedynek, mógł natomiast tego nie zrobić przed audytorium.

Znów opatrywałem mu ranę. Wyglądała dużo lepiej. Przewijając bandaż odezwałem się.

— Paul, ile zarabiałeś we Franklin Engineering?

— 200 funtów na miesiąc.

— Jesteś przeklętym łgarzem — odparłem bez gorączkowania się. — Ale

zawsze taki byłeś, prawda? Miałeś stawkę 8.000 funtów rocznie, Niemal czterokrotnie więcej. No więc powiedz mi jeszcze raz, ile zarabiałeś? —

Zachował posępne milczenie, więc sam powiedziałem. — No mów, Paul. Chcę to usłyszeć od ciebie.

— No dobrze. Miałem 8.000 funtów rocznie.

— A teraz pytanie za 8.000 funtów — ciągnąłem. — Czy uważasz, że byłeś tyle wart dla Franklin Engineering?

— Tak, inaczej nie płaciliby mi tego.

— Tak naprawdę w to nie wierzysz, prawda? — ponownie zachował

milczenie. — Czy wiesz, że pan Isaacson chciał cię wywalić dziesięć lat temu, ale dyrektor się nie zgodził?

— Nie.

— Nie wiesz, że pan Steward chciał cię wywalić, kiedy przyszedł z Glasgow, aby zreorganizować biuro rachunkowości i znów dyrektor nie poszedł na to?

— Nie.

— Kto jest twoim aniołem stróżem, Paul?

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Na miłość boską! — powiedziałem. — Wykonywałaś pracę, którą mógłby robić każdy szesnastoletni goniec. Czy sądzisz, że to było warte osiem patyków rocznie?

Unikał mego wzroku.

— Może nie — wymamrotał.

— W takim razie, jak to się stało, że ci je płacono? Musi być jakiś powód.

Kogo szantażowałaś?

Rozzłościł się.

— To świństwo tak mówić — parsknął. — Nie masz prawa...

— Jak dostałaś tę robotę? — przerwałem.

— Zaoferowano mi ją. Otrzymałem list.

— Kiedy to się stało? Jak dawno temu?

Billson zamyślił się, marszcząc brwi, po czym odparł:

— To musiało być w 1963.

— Kto przysłał list?

— Człowiek nazwiskiem McGovern. Pełnił funkcję dyrektora Franklin.

McGovern! Wówczas dyrektor Franklin Engineering, później prezes zarządu, a obecnie prezes całej Whensley Group, któremu nadano tytuł szlachecki za zasługi dla przemysłu. Sir Andrew McGovern, który biegł jak nitka przez całe życie Billsona, a który zapragnął wprowadzić własną ochronę, gdy tylko Billson zniknął.

— Co było w tym liście? — zapytałem.

— McGovern zaoferował mi stanowisko za 2000 funtów rocznie. — Billson uniósł wzrok. — Chwyciłem się tego.

A jakże! Dwa tysiące funtów stanowiły niezły zarobek w 1963, kiedy średnia płaca wynosiła sporo poniżej 1.000 funtów.

— Czy nie zastanawiałaś się, dlaczego McGovern zaoferował ci to?

— Oczywiście, że tak. — Billson wpatrywał się we mnie. — A czego byś się spodziewał? Nie zamierzałem tego odrzucić dlatego, że dawał za dużo.

Musiałem się uśmiechnąć. Billson mógł być głupi, ale nie na tyle, aby powiedzieć: „Ależ panie McGovern, nie jestem wart połowy tego.”

— Wzięłeś więc pieniądze i trzymałeś gębę zamkniętą na kłódkę —  
stwierdziłem.

— Zgadza się. Początkowo myślałem, że wszystko jest w porządku, że będę musiał na to zapracować. Martwiłem się, bo nie wiedziałem, czy potrafię utrzymać taką robotę. A potem zorientowałem się, że praca jest prosta.

— I nie była warta 2.000 funtów wówczas, ani 8.000 teraz —

skomentowałem. — Powiedz mi więc, dlaczego McGovern tak grubo cię  
przeplącał?

— Nie wiem. — Billson wzruszył ramionami i jeszcze raz rzekł niemal ze złością: — Mówię ci, nie wiem. Przez całe lata myślałem nad tym i nie znalazłem odpowiedzi. — Spojrzał na mnie spode łba.  
— Ale nie zamierzałem zapytać McGoverna.

Nie, nie zrobiłby tego, obawiałby się zabić kurę znoszącą złote jajka.

Zostawiłem jednak ten aspekt w spokoju i zająłem się czymś innym.

— W jaki sposób Alix zaczęła pracować dla Franklin Engineering?

— Mieli wakat w hali maszyn — powiedział Billson. — Dałem jej znać i zgłosiła się. Dostała pracę, ale nie pobyła tam długo. Została sekretarką McGoverna i zabrał ją ze sobą, kiedy przeniósł się do Londynu. Alix to bystra dziewczyna, ma głowę.

— Czy McGovern wiedział, że jest twoją przyrodnią siostrą?

— Nie mam pojęcia. Ja mu o tym nie mówiłem — westchnął głęboko. —

Słuchaj, to wyglądało tak, że ledwie co widziałem McGoverna. Nie

wykonywałem tego typu pracy, aby ocierać się o dyrektora. Nie sędzę, abym w ciągu pierwszych sześciu lat pracy widywał często McGoverna. A od tego czasu nie widziałem go w ogóle. To znaczy od kiedy przeniósł się do Londynu.

— Rzeczywiście, bardzo ciekawe! — powiedziałem. — Jest jednak faktem, że swoją zawyżoną pensję trzymałeś w tajemnicy przed siostrą. Dlaczego to zrobiłeś?

— Do diabła! — Billson nagle schwycił garść piasku. — Dopiero co ci

powiedziałem, Alix jest bystra. Gdyby wiedziała, zapytałaby dlaczego, a ja nie umiałbym jej

odpowiedzieć. Wówczas zaczęłaby się w tym grzebać i być może znalazłaby przyczynę — pokręcił głową. — A ja nie chciałem wiedzieć.

Obawiał się, że Alix mogłaby strząsnąć wszystkie liście z drzewa rodzącego pieniądze. Pod wieloma względami Billson mógł być głupi, ale był też chytry.

Nim zaczął pracować dla Franklin Engineering, przez wiele lat żył już z niskiej pensji i gotów był to kontynuować, gromadząc jednocześnie mały majątek. Ale w jakim celu?

— Zachowałeś się jak drań w stosunku do Alix, prawda Paul? —

powiedziałem. — Musiałeś wiedzieć, że miała trudności finansowe i była zmuszona wziąć pożyczkę z banku. Tylko dlatego, żeby ci pomóc. A niech cię!

Nic nie odpowiedział. Przesypywał drobny piasek z jednej ręki do drugiej.

Przypuszczam, że psycholog nazwałby to aktywnością zastępczą.

— Ale psychiatra niewiele pomógł, prawda? Miałeś nagłą burzę mózgu.

— Co ty u diabła o tym wiesz? — rzekł opryskliwie. — Nie wiesz dlaczego tu jestem. Nikt nie wie.

— Czy sądzisz, że jestem skończonym osłem? — zapytałem. — Przyjechałeś tutaj, żeby odnaleźć samolot swojego ojca.

Szczęka mu opadła.

— Skąd wiesz? Nie mogłeś... nikt nie mógł.

— O Jezu, Paul, jesteś równie przejrzysty jak szyba okienna. Przeczytałeś artykuł Michaela Englisha w dodatku niedzielnym i pomieszało ci się w głowie.

Rozmawiałem z Englishem i opowiedział mi, co zaszło w biurze redaktora naczelnego.

— Widziałeś się z Englishem? — upuścił piasek i otrzepał rękę z kurzu. —

Dlaczego mnie śledziłeś? Dlaczego przyjechałeś tutaj?

Dobre pytanie. W pierwotnym zamyśle chciałem poprzestać na zadaniu mu kilku pytań w Algierze. Z pewnością nie spodziewałem się znaleźć w drodze do Nigru w towarzystwie jednego Targui, jednego pseudo—Targui i człowieka, któremu niemal pomieszało się w głowie. Spowodował to łańcuch wydarzeń, w którym pojedyncze ogniwa nie miały większego znaczenia, z wyjątkiem może tego, że znaleźliśmy na wpół martwego Billsona.

— Powiedzmy, że to dla Alix i poprzestańmy na tym — odparłem

zmęczonym głosem. Może była to prawda, ale tylko jej część. — Martwi się o ciebie i niech mnie

diabli, jeśli na to zasługujesz.

— Gdyby mnie nie postrzelili, odnalazłbym go — powiedział. — Mam na

myśli samolot. Byłem o parę kilometrów od niego — wbił pięść w piasek. — A teraz jadę w przeciwnym kierunku — dodał z rozgoryczeniem.

— Mylisz się — odparłem stanowczo. — Ten samolot rozbity w Koudii jest francuski. Byrne wie o nim wszystko. Zapytaj go. Zabrałeś się do tego, tak samo jak do innych rzeczy, zbyt pochopnie. Na miłość boską, czy choć raz w życiu zatrzymasz się i pomyślisz nim zaczniesz działać? Od chwili opuszczenia Franklin sprawiłeś tylko kupę kłopotów.

Nie czekałem na odpowiedź, tylko wstałem i zostawiłem go. Tym razem nie zwierzyłem się Byrne'owi ze swoich odkryć. Ten fragment zupełnie go nie dotyczył. Nie wiedział nic o Anglii i Londynie, więc nie mógł wnieść niczego nowego.

Oddaliłem się o kilkaset metrów od obozu i usiadłem, aby to przemyśleć. Co najgorsze, wierzyłem Billsonowi. Powiedziałem mu, że jest przejrzysty jak szkło i była to prawda. Zostawał więc McGovern.

Przez długi czas myślałem o tym filarze brytyjskiego przemysłu i do niczego nie doszedłem.



Tak więc podróżowaliśmy na południe.

Mokhtar przeprowadził Billsona pieszo wokół algierskiego posterunku

granicznego, podczas gdy my z Byrne'em przejechaliśmy przez niego.

Wypełniliśmy kolejne fiche — w trzech egzemplarzach, ale nie poddano nas pełnej procedurze, tak jak na posterunku policji za Tammanrasset. Ruszyliśmy dalej i zaczekaliśmy na Billsona na ziemi niczyjej, między algierskim posterunkiem a Fortem Flatters w Nigrze. Wówczas nadeszła moja kolej na spacer. Mokhtar poprowadził mnie długą i krętą drogą wokół fortu. Gdyby oba posterunki graniczne porównały zapisy, w co Byrne wątpił, to okazałoby się, że przez oba przeszło dwóch ludzi.

Już za Fort Flatters, kiedy wszyscy ponownie znaleźliśmy się w wozie, Byrne wyraźnie poweselał. Miałem obtarte stopy i obolałe nogi, więc z ulgą opadłem na skrzypiące siedzenie obok niego. Gdy puścił sprzęgło, powiedział wesoło:

— Miło znaleźć się w domu.

Wjechaliśmy już osiemdziesiąt mil w głąb Nigru nim rozłożyliśmy obóz na noc, a okolica nie zmieniła się na tyle, aby usprawiedliwić radość Byrne'a, ale poprawiła się. Pojawiło się więcej roślinności, co prawda drzew cierniowych, było jednak też więcej trawy w miarę jak zagłębialiśmy się w góry. Zobaczyłem też po raz pierwszy bieżącą wodę, potok szeroki na około trzydzieści

centymetrów. Według Byrne'a opuściliśmy już pustynię, ale jak powiedziałem, te rzeczy są względne i dla niewprawnego oka było to wciąż pustkowiem.

— Air jest zapowiedzią Sahelu na pustym — rzekł Byrne.

— Nic z tego nie rozumiem — odparłem. — Co to jest Sahel?

— Kraina sawanny między pustynią i dżunglą na południu. Tak określają ją geografowie. Kiedyś nazywali to Sudanem, ale kiedy Brytyjczycy wycofali się, pozostawili państwo o takiej nazwie, więc geografowie musieli wymyślić inne słowo, bo nie chcieli mieszać geografii z polityką. Wymyślili Sahel.

— Na oko, niewiele różni się od pustyni.

— Jest inny — odparł Byrne z przekonaniem. — Te wyżyny dostają rocznie aż 150 mm deszczu.

— To dużo?

— Bez porównania więcej niż Tam — powiedział. Bywały tam okresy

trwające do dziesięciu lat, kiedy w ogóle nie padało.

Zatrzymaliśmy się w małej wiosce o nazwie Iferouane, która musiała mieć znaczenie w Air, gdyż posiadała pas startowy. Chociaż tutejsi ludzie byli Tuaregami, to mieli bardziej osiadły wygląd.

— Wciąż są nomadami — powiedział Byrne. — Ale w okolicy jest więcej pożywienia, więc nie muszą się przemieszczać tak daleko i tak często.

Widziało się więcej zwierząt, stada wielbłądów, owiec, kóz oraz nieliczne, garbate bydło. Odniosłem wrażenie, że miejscowi Tuaregowie są mniej

formalistyczni niż na północy i kilka twarzy, które widziałem, było

zdecydowanie negroidalnych. Wspomniałem o tym Byrne'owi, który potrząsnął przecząco głową.

— Ci ludzie są albo Haratinami, albo niewolnikami.

— Niewolnikami!

— Oczywiście. Tuaregowie zwykli przeprowiać się przez zakole Nigru i przywozić niewolników.

— Czy tutaj wciąż panuje niewolnictwo?

— Teoretycznie, nie. Jednak nie zakładałbym się o to. Parę lat temu brytyjski pisarz kupił w Timbaktu niewolnika tylko dlatego, by dowieść, że jest to możliwe. Potem uwolnił tego człowieka, co było idiotyzmem z jego strony. —

Zobaczył jak zmarszczyłem brwi. — Nie miał ziemi, więc nie mógł niczego uprawiać. Nie miał pieniędzy, więc nie mógł niczego kupić. Cóż więc miał ten biedak począć? Wrócił do swego dawnego pana.

— Ale niewolnictwo!

— Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego — powiedział Byrne. — To nie to, co masz na myśli i nie powodzi im się najgorzej. — Uśmiechnął się. Żadnych batów, lub czegoś w tym rodzaju. Tutaj w Air uprawiają proso i palmy

daktyłowe na zasadzie dzierżawy. Teoretycznie dostają piątą część plonów, ale sprytny facet może dostać nawet połowę.

Byrne'a najwyraźniej dobrze znano i lubiano w Iferouane. Poważnie

rozmawiał ze starszyzną wioski, droczył się z młodymi kobietami, a dzieciom rozdawał cukierki i inne hojne dary. Zostaliśmy tam jeden dzień, po czym ruszyliśmy dalej na południe, aż przybyliśmy do Timii i do domu Byrne'a.

Od chwili opuszczenia Fort Flatters, Billson unikał mnie. Nie mógł nic poradzić na to, że w wozie znajdował się blisko mnie, jednak nie odzywał się i poza wozem trzymał się z daleka. Przypuszczam, że nie ukryłem pogardy dla niego i, co zupełnie zrozumiałe, nie spodobało mu się to. Przebiłem jego grubą skórę i uraziłem jakąś tam miłą amou propre więc odrzucił mnie. Zauważyłem, że w tym czasie sporo rozmawiał z Byrne'm, który jak mi się zdawało, okazywał

zainteresowanie tym, co mówił. Lecz wówczas Byrne nic mi nie powiedział.

Byrne okazał się na tyle nietuarecki, że wybudował mały domek na stokach czegoś, co w Air uchodziło za przyjemnie zalesioną dolinę. Tuaregowie w tej okolicy nie mieszkali w skórzanych namiotach, jak to robili na pustyni na północy, lecz w trzcinowych chatach, zręcznie wykonanych z rozkładanych płyt.

Można więc było je rozebrać i załadować na grzbiet jucznego wielbłąda. Jednak Byrne zbudował dom, co prawda niewielki, z tandetnymi ścianami, ale dom z pokojami. Stałe mieszkanie i —jako takie — obce Tuaregom.

Przybyliśmy tam późno i w ciemnościach niewiele zobaczyłem tamtej nocy, gdyż zjedliśmy coś i prawie natychmiast położyliśmy się spać. Ale następnego ranka Byrne oprowadził mnie po swoim królestwie. Nie opodal znajdowało się coś, co zbudowane na stałe, można by nazwać wioską. Byrne porozmawiał z człowiekiem, który, jak mi powiedział, był bratem Mokhtara — Hamiadą.

Wysokiego wzrostu, nawet jak na Targui, miał skórę — z tego co mogłem dostrzec ponad czarczafem — równie białą jak ja.

— Większość stada pasie się dalej w kierunku Telouess, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd — powiedział do mnie Byrne. — Jutro się tam wybieram.

Chcesz pojechać ze mną?

— Chciałbym — odparłem. — Ale co z Billsonem? — Billsona nie było z nami. Wciąż jeszcze spał, kiedy wyszliśmy rano.

Byrne wyglądał na zakłopotanego.

— Chcę z tobą o nim porozmawiać, ale później. Teraz coś ci pokażę.

Hamiada oddalił się, lecz kilka minut później wrócił prowadząc wielbłąda.

Było to jedno z największych zwierząt jakie widziałem. Mierzył na oko jakieś trzy metry wysokości w garbie, choć raczej tyle nie miał. Nigdy przedtem nie widziałem też tak osobliwej, przydymionej sierści.

— To moja ślicznotka, ozdoba stada — rzekł Byrne. — Na imię ma

Yendjelan.

Mówił z tak oczywistą dumą, że czułem się w obowiązku wtórować mu, mimo że nie byłem ekspertem w subtelnościach hodowli wielbłądów.

— Jest bardzo ładny — przyznałem. — Czy to wielbłąd wyścigowy?

Zachichotał.

— Nie ma czegoś takiego. To Mehari — wielbłąd do jazdy wierzchem.

— Myślałem, że się ścigają:

— Wielbłądy nie biegają, chyba że się je popędza. A jeśli biegną zbyt długo, padają martwe. Delikatne zwierzęta. Kiedy jutro pojedziesz ze mną, dosidziesz jednego. Ale nie Yendjelan, ona jest moja.

Yendjelan obdarzyła mnie wyniosłym, wielbłądzim spojrzeniem i pogardliwie wyduła wargi. Tak jak i ja, nie uważała mojej przejażdżki na wielbłądzie za dobry pomysł.

Obejrzelismy jeszcze część stada Byrne'a, te parę sztuk, które pasły się nie opodal. Obserwując jak żują gałązki akacji wraz z dziesięciocentymetrowymi cierniami, zastanawiałem się, jak u diabła kieruje się wielbłądem. Pyski musiały mieć twarde jak żelazo.

Przyjeliśmy poczęstunek Hamiady — zimne, pieczone koźlą, chleb i

wielbłądzie mleko. Nagle Byrne powiedział:

— A jeśli chodzi o Billsona...

— Tak?

— Jakie miałeś zamiary?

— Nie bardzo wiem — westchnąłem. — Sądziłem, że jeśli

przewieźlibyśmy go dalej na południe, do Nigerii, to można by go wsadzić w samolot powrotny do Anglii.

Byrne skinął głową.

— Tak, na południe do Kano, stamtąd samolot do Lagos i do domu. —

Milczał przez chwilę, żując w zamyśleniu, podobnie jak jego wielbłądy. — Nie wiem, czy to najlepsze wyjście.

— Dlaczego?

— Facet już teraz jest niezrównoważony. Przyjechał tu i jak dotąd zrobił

klapę. Wie, że jeśli teraz odjedzie do domu, już nigdy nie da rady tu wrócić, a to może go zniszczyć zupełnie. Mógłby skończyć w domu wariatów. Nie sędzę, abym tego pragnął. A ty?

Przyszedł mi na myśl ten biblijny ustęp o byciu opiekunem brata swego. A także chińskie powiedzonko sprowadzające się do tego, że jeśli uratujesz człowiekowi życie, to jesteś za niego odpowiedzialny, dopóki nie umrze. Oraz fragment z Sindbada o Starcu Mórz.

— Kim on jest dla ciebie? — zapytałem. Byrne wzruszył ramionami.

— Nikim specjalnym. Jednak coś znaczy dla Hesther.

Nie po raz pierwszy zastanowiłem się nad stosunkiem, jaki łączył Byrne'a i Hesther Raulier. Mówiła, że nigdy nie wyszła za mąż, lecz nie musiało to mieć większego znaczenia między kobietą a mężczyzną.

— Cóż więc sugerujesz? — powiedziałem. — Abyśmy zaspokoiли jego

fantazje?

— Fantazje? Jasne, w przypadku Billsona są to fantazje. Tylko fantasta mógłby przypuszczać, że przyjedzie tutaj i odnajdzie ten wrak bez żadnej pomocy. Natomiast rozmawiałem z nim odnośnie samolotu i to co mówi na swój sposób trzyma się kupy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że przekonał cię, iż ten samolot wciąż jest tutaj?

— Musi być — odparł Byrne. — Nigdy nie został odnaleziony.

— Niekoniecznie — powiedziałem. — Jeśli Billson oszukał towarzystwo

ubezpieczeniowe.

— Sądziłem, że Hesther odwiodła cię już od tej myśli.

— Możliwe, ale na miłość boską, Sahara to cholernie wielkie miejsce. Gdzie u diabła mielibyśmy zacząć?

Byrne opróżnił kubek wielbłądziego mleka.

— Billson rzeczywiście przestudiował ostatni lot swojego ojca. Ma

wszystkie szczegóły w małym palcu. Na przykład wiedział, że kiedy jego stary wystartował z Algieru, miał zamiar polecieć ortodromą na Kano — stłumił

śmiech. — Pożyczyłem sobie twoją mapę i nakreśliłem ten kurs. Upłynęło kilka lat od chwili gdy musiałem zajmować się trygonometrią sferyczną, ale mi się udało.

— I do jakiego wniosku doszedłeś?

— No dobra. Odległość wynosi 2800 kilometrów, co stanowi około 1500 mil morskich. Taką bowiem jednostkę wprowadziłem dla celów nawigacyjnych.

Zaprowadziłoby go to ponad Ahaggarem, jakieś 150 kilometrów na wschód od Tam. Przeleciałby dokładnie nad miejscem, gdzie teraz jesteśmy i precyzyjnie nad Agadez. Paul nie był aż tak bardzo szalony, kiedy pojechał szukać samolotu w Ahaggarze.

— Jasne, że powinien to najpierw z kimś skonsultować, na przykład ze mną.

— Ale pomysł był niezły.

— Do czego to wszystko prowadzi?

— Wszystkie samoloty w tamtym wyścigu obrały kurs po ortodromie,

ponieważ wytycza ona najkrótszą drogę między dwoma punktami na

powierzchni ziemi — powiedział Byrne. — Agadez leży dokładnie na tym

kursie, więc stanowiło dobry punkt pelengacyjny. Co więcej, na tym odcinku wyścigu, samoloty musiały przelatywać nisko nad Agadez, a więc stanowiło ono coś w rodzaju punktu kontrolnego. Wszystkie samoloty, z wyjątkiem dwóch, przeleciały nisko nad Agadez i zostały zidentyfikowane. Jeden z tych

samolotów, których nie widziano nad Agadez, należał do Billsona.

— A drugi?

— Do jakiegoś Włocha, który nieco zmylił drogę. Jednak dotarł do Kano.

— Może Peter Billson miał kłopoty z pogodą — powiedziałem. — Został zmuszony do lądowania.

— Zgadza się, został zmuszony do lądowania — przyznał Byrne. — Ale nie przez pogodę. Paul to sprawdził, uzyskał dane meteorologiczne za czas lotu.

Przeprowadził dochodzenie naprawdę bardzo gruntowne. Pogoda była dobra, żadnych burz piaskowych.

— Obsesyjnie szczegółowy gość.

— Tak — odparł Byrne. — Co wcale nie zmienia sytuacji. Skoro więc Peter Billson spadł na ziemię, to stało się to najprawdopodobniej na północ od Agadez. W każdym razie jedno jest pewne, nie stało się to w Air. Zbyt wielu tu ludzi i samolot zostałby odnaleziony. To samo odnosi się do terenów na północ od Ahaggaru. Gdyby tam spadł, odnaleźliby go jacyś beduini Chaamba.

— Zostaje więc Ahaggar, a ty jesteś pewien, że go tam nie ma. Sam się zapędzasz w kozi róg.

— Kiedy Francuzi przygotowywali się do odpalenia bomby atomowej w

Arak, stracili w Ahaggarze trzy samoloty. Opowiadałem ci o jednym z nich.

Gruntownie przeczesali wówczas Ahaggar zarówno z powietrza, jak i z ziemi.

Znaleźli trzy samoloty, a więc wszystko czego się spodziewali. Jestem niemal pewien, że gdyby samolot Billsona tam był, to Francuzi odnaleźliby go.

— Może tak się stało — powiedziałem. — I nie zadali sobie trudu, aby o tym wspomnieć.

Byrne nie zgodził się ze mną.

— Taka sprawa odbiłaby się szerokim echem. Nie przypuszczasz chyba, że Billson był jedynym lotnikiem bijącym rekordy, który zaginął na Saharze?

Pewien facet nazwiskiem Lancaster rozwalił się w 1933 na południe od Reggan w Tanezrouft. Odnaleziono go dopiero w 1962, a wiadomość znalazła się na czołówkach gazet. Przeliczyłem to sobie.

— Dwadzieścia dziewięć lat.

— Był jeszcze w samolocie i zostawił po sobie pamiątnik — rzekł Byrne. —

Kiepsko się go czytało. Paul wie wszystko o Lancasterze. Wie jak długo może się tu zachować nie odnaleziony samolot. Dlatego uważa, że wciąż jeszcze może odnaleźć ojca.

— To miejsce, gdzie rozbił się Lancaster, gdzie ono jest?

— W Tanezrouft, jakieś 200 kilometrów na południe od Reggan. Piekielny kraj; reg to żwirowa równina ciągnąca się tak daleko i jeszcze dalej, jak okiem sięgnąć. Wiem co przytrafiło się Lancasterowi, bo czytałem o tym w 62, a Paul odświeżył moją pamięć. Lancaster leciał samolotem bez ładunku i wylądował w Reggan, aby uzupełnić paliwo. Wystartował, wpadł w burzę piaskową i stracił

orientację. Poleciał na wschód niemal aż do In Salah, zanim wylądował w Aoulef i zorientował się gdzie jest. Miał zamiar polecieć do Gao w zakolu Nigru, a więc wprost na południe. Zużył jednak za dużo paliwa i wrócił do Reggan. Wyleciał następnego dnia i po jakimś czasie silnik mu nawalił. Dlatego rozwalił się.

— Nie szukali go?

— Jasne, że tak, z powietrza i z ziemi. Nie wiem na ile dobre były

poszukiwania lotnicze w 1933, ale zrobili co mogli. Problem polegał na tym, że przeważnie szukali

w złym miejscu, w stronę Gao. Tak czy owak, miał tylko dwa galony wody, bo silnik był chłodzony powietrzem. Zmarł po ośmiu dniach, a został odnaleziony po dwudziestu dziewięciu latach. Oto historia Lancastera.

— Kto go odnalazł?

— Rutynowy patrol francuski przeprowadzony z Bidon Cinq. Nie mam

pojęcia, co u diabła robili w Tanezrouft. Zapewne testowali jakiś pojazd. Nie wyobrażam sobie innego powodu, żeby wybrać się na to zadupie.

— No dobra — odparłem. — Przekonałeś mnie. Więc Peter Billson i jego samolot wciąż mogą znajdować się na pustyni. Czy proponujesz, abyśmy

pojechali go szukać w tym miejscu, w Tanezrouft?

— Cholernie mało prawdopodobne — rzekł Byrne. — Uważam za możliwe,

że Billson wypadł z kursu. Kiedy zaginął, prowadzono poszukiwania, lecz, tak jak w przypadku Lancastera, nie szukali we właściwym miejscu.

— A ty, jak przypuszczam, znasz to właściwe miejsce.

— Nie, ale pomyśl. Miejsce pobytu Lancastera odnaleźli Francuzi. A skąd możemy wiedzieć, czy dużo wcześniej nie widział go jakiś Hartani, czy nawet Targui. Dlaczego jednak mieliby o tym zameldować? Dla nich nic by nie znaczył. Nie zapominaj, że ten samolot rozbił się zaledwie w trzy lata po rozstrzygającej bitwie między Francuzami a Tuaregami, kiedy Francuzi uzyskali wreszcie przewagę. Tuaregowie uważali, że nic nie są Francuzom winni.

Oczywiście, gdyby znaleźli Lancastera żywego, to wyprowadziliby go.

Natomiast nie troszczyliby się specjalnie o martwego faceta w zepsutym samolocie.

— No dobra — powiedziałem. — Wyduś to już z siebie. Do czego zmierzasz?

— Czy dołożyłbyś, dajmy na to, pięć wielbłądów, aby dopomóc w odnalezieniu ojca Paula? — rzekł Byrne.

Pytanie było tak nieoczekiwane, że zdumiony zamrugałem oczami i jak sędzę zirytowałem się.

— Cóż u diabła masz na myśli?

— Chodzi mi o dołożenie ceny pięciu wielbłądów.



— Ile jest wart wielbłąd? — zapytałem podejrzliwie.

Byrne z namysłem podrapał się przez czarczaf po brodzie.

— Zwykły wielbłąd juczny pójdzie za jakieś sto funtów szterlingów.

Przyzwoity Mehari osiągnąłby cenę od stu pięćdziesięciu do dwustu —

roześmiał się. — Yendjelan nie kupiłbyś nawet za tysiąc. No dobra, powiedzmy jakieś pięćset.

— Chcesz, abym dołożył 500 funtów — powiedziałem ostrożnie — aby

odnaleźć ojca Paula.

— Ja wniósłbym tyle samo — powiedział. — W wielbłądach.

— Więc mamy teraz dziesięć wielbłądów — rzekłem. — W jaki sposób

okażą się pomocne? Czy rozmieścimy je co sto metrów i ruszemy

majestatycznie przez tę przekłętą Saharę?

— Nie — odparł Byrne spokojnie. — Stanowią nagrodę za wskazanie

samolotu, który rozbił się w 1936 roku. Płatne, gdy zostaniemy zabrani, by go zobaczyć.

Niezły pomysł, pod warunkiem, że byłbym skłonny wybulić 500 funtów, aby pomóc Paulowi Billsonowi, a to wcale nie było pewne na mur—beton. Niezły pomysł, nie uwzględnił on jednak pewnej rzeczy — elementu czasowego.

— Na miłość boską! — powiedziałem. — Ile to potrwa, zanim wieść o

nagrodzie rozejdzie się? Dwa miesiące? Trzy miesiące? Nie mogę tu spędzić tyle czasu, a jeśli ja pojedę, to Billson też. Nawet, gdybym miał, tak jak sugerowała Hesther, walnąć go w łeb i wpakować do worka.

Byrne roześmiał się cicho.

— Niewiele wiesz o pustyni. Z Agadez do Tam jeżdżą codziennie

ciężarówki, podróż trwa najwyżej dwa dni. Ich kierowcy nie tracą czasu na zwiedzanie, już to widzieli. Z Tam do In Salah, kolejny dzień. Z Agadez na wschód do Bilmy, dwa dni. Z Bilmy do Djanet w Tassili n'Ajjer, dwa dni szybkiej jazdy. W ciągu minimum sześciu dni mogę dostarczyć wiadomości do wszystkich ważniejszych oaz na pustyni. Cała Sahara jest wielką płytą rezonansową, jeśli wieści są dostatecznie ważne.

Odniosłem się do tego sceptycznie.

— Przekaz ustny?

— Diabła tam przekaz ustny! — parsknął Byrne. — Dziesięć tysięcy

rozdzanych ulotek. Oczywiście wydrukowanych po arabsku. Ci, którzy nie potrafią czytać, pójdą do pisarzy publicznych, aby im przeczytali, gdy tylko usłyszą o dziesięciu wielbłądach nagrody.

— Oszalałeś — powiedziałem. Spojrzałem wokoło na cierniste drzewa i

pasące się wielbłądy. Skąd tu u licha weźmiesz dziesięć tysięcy ulotek?

— Narysuję ją dzisiaj wieczorem — odparł. — Później dam powielić na

kserokopiarce w Agadez. Mają urządzenie w banku — pochylił się do przodu i spojrzał na mnie uważnie. — Czy coś nie w porządku? — zagadnął łagodnie.

— Nie — powiedziałem słabo. — Wszystko w porządku, tylko pomysł

zarzucenia Sahary ulotkami wydaje się nieco dziwaczny. Nigdy nie pracowałeś u J. Waltera Thompsona, prawda?

— Kim on jest?

— To mała agencja ogłoszeniowa w Stanach i gdzie indziej.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Jeśli kiedykolwiek opuścisz pustynię, to na twoim miejscu szukałbym u niego pracy. Dobrze by ci się powiodło.

— Zglupiałeś! — powiedział. — No więc jak?

Zacząłem się śmiać. Między jednym tłumionym wybuchem śmiechu, a

drugim powiedziałem:

— W porządku... zrobię to... ale nie dla Paula Billsona. Opłaca mi się chociażby po to, aby móc powiedzieć, że przeprowadziłem intensywną

kampanię ogłoszeniową na Saharze.

Byrne kiwnął głową.

— W porządku. Jeśli to zrobisz, nie interesuje mnie dlaczego.

— Co mam zrobić? — odparłem. — Dać ci czek?

— A powiedz mi, co bym u diabła miał zrobić z czekiem? — zapytał. —

Wyłożę za ciebie połowę, a ty przekażesz gotówkę Hesther do Algieru, jak i kiedy będziesz mógł. — Zamilkł na chwilę. — Szkoda, że nie mamy fotografii samolotu. Paul miał kilka, ale spłonęły razem z Land—Roverem.

— Mogę w tym pomóc. Mam kilka fotokopii z Działu Lotnictwa Muzeum

Nauki w Londynie. Nie samolotu Billsona, ale identycznego.

— Dobra — rzekł Byrne. — Umieścimy je na ulotce. A może lepsze byłyby rysunki — poprawił sobie czarczak i wstał. — Jest jedna rzecz, o której być może nie pomyślałeś.

— Co takiego?

— Jeżeli facet, który postrzelił Paula wciąż jest w pobliżu, może dowiedzieć się o ulotkach, jeśli ma jakichś miejscowych znajomych. Jeżeli tak jest, przyciągnie go tu jak szerszenia do garnka miodu. Może się to okazać naprawdę interesujące.

Rzeczywiście!

Kiedy Paul Billson usłyszał co zamierzamy zrobić, przyjął to jako coś mu należnego. Nawet nam nie podziękował. Mógłbym go wziąć i przetrzepać, jak próbuje się kłapsem przemówić do rozsądku szczeniakowi. Ale był mężczyzną i nie zmieniłby się. Byrne zabrał się do rysowania ulotki, a ja oddaliłem się, aby pomyśleć o różnych sprawach — głównie o Byrne'ie, gdyż miałem już dosyć myślenia o Paulu.

Sądząc po tych wielbłądach Byrne'a, które widziałem, to był on dumny ze swojej hodowli lepszych gatunkowo zwierząt. Jeśli jego informacja o cenie wielbłądów była prawdziwa i wielbłąd juczny kosztowałby 100 funtów,

wówczas rozsądnie można by przyjąć, że jego miały przeciętnie wartość około 150 funtów. Dawałoby mu to majątek 45.000 funtów w samym tylko

inwentarzu, nie licząc pozostałych aktywów. Twierdził, że prowadzi karawany solne. Nie orientowałem się czy przynosiły dochody, ale przypuszczałem, że tak. Do tego dochodziło jeszcze to, co dostawał od Hesther Raulier za pilnowanie jej spraw na pustyni, a zapewne i inne źródła dochodów.

Można by sądzić, że Byrne był w swoim środowisku zamożnym człowiekiem.

Nie wiem w jakim stopniu Tuaregów zmuszono do przejścia na gospodarkę pieniężną — widziałem bardzo niewiele pieniędzy przechodzących z rąk do rąk

— ale nawet na bazie wymiennej można by go uznać za bogatego, według pustynnych standardów.

Następnego dnia pojechałem z Byrne'm do Agadez. Wskutek nalegań

Byrne'a, Paula nie zabraliśmy.

— Nie chcę, aby widziano cię w Agadez — powiedział. — Rzuciłbyś się w oczy, jak Drzewo Tenere. Spędzisz dzień tutaj i nie ruszysz się na krok.

Zrozumiano?

Paul zrozumiał. Trafiło mu to do łba nie dzięki temu, co Byrne powiedział, lecz sposobowi w jaki to zrobił.

Kiedy już odjechaliśmy, Byrne powiedział:

— A Hamiada dopilnuje, że nie ruszy się ani na krok — w jego głosie

brzmiało lekkie rozbawienie.

— Co mówiłeś o jakimś drzewie? — zapytałem.

— O Drzewie Tenere? — wskazał ręką na wschód. — Stoi tam. Jedyne

znane mi drzewo, które umieszczono na mapach. Na twojej mapie też jest, zobacz sobie.

Tak też zrobiłem, i rzeczywiście było tam — L'Arbre du Tenere, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Agadez w Erg du Tenere, obszarze zamalowanym na mapie na żółto — kolorem piasku.

— Dlaczego miano by zaznaczać drzewo?

— Bo nie ma tam innego drzewa w promieniu pięćdziesięciu kilometrów —

odparł Byrne. — Jest najbardziej odosobnionym drzewem na świecie. A jednak jakiś głupi francuski kierowca ciężarówki wpakował się na nie w 1960. Jest stare, stoi tam od setek lat. Znajduje się tam również studnia, ale woda jest niezbyt dobra.

Tak też wskazywała mapa — eau tres mauvaise a 40 m.

Do Agadez było nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów po nierównym

terenie. Mimo iż mogliśmy nabrać prędkości na ostatnich czterdziestu

kilometrach przyzwoitszej drogi, przebycie ich zajęło nam w sumie pięć godzin, dając średnią trzydzieści kilometrów na godzinę w czasie całej podróży.

Agadez wyglądało na dobrze prosperujące, małe miasteczko — według norm saharyjskich. Miało nawet meczet, czego nie widziałem w Tam.

Zaparkowaliśmy wóz przed hotelem de l'Air i weszliśmy do środka napić się piwa. Następnie Byrne skierował się do banku, aby wydrukować ulotki. Na odchodnym powiedział:

— Może chciałbyś zrobić jakieś zakupy, tu jest lepiej niż w Tam. Masz jakieś pieniądze?

Przyszło mi na myśl, że w trakcie naszych podróży Byrne wykladał znaczne sumy i trzeba mu je będzie zrekompensować. Wyciągnąłem portfel i

sprawdziłem jego zawartość. Miałem równowartość około stu funtów w

algierskiej walucie, następne czterysta w czekach podróżnych i małe etui wypchane kartami kredytowymi.

Byrne spojrzał na moje środki płatnicze i powiedział:

— Żadna z tych rzeczy nie jest tu zbyt użyteczna. Jeśli dasz komuś jakiś dziwny kawałek papieru, lub plastyku, wyśmieje cię — wyjął mały plik

miejscowych banknotów. — Masz. Nie martw się, wystawię ci rachunek na odjeździe. Możesz go uregulować z Hesther w Algierze.

I tym musiałem się zadowolić.

Ruszyłem zakurzoną ulicą i stwierdziłem, że wpływy amerykańskie dosięgły nawet Agadez — znajdował się tam supermarket! Nie znaczy to, że Amerykanin uznałby go za coś takiego. Mógł jednak ująć od biedy, chociaż zaopatrzenie w odzież w europejskim stylu było ograniczone. Kupiłem parę Levisów i kilka koszul. Zaopatrzyłem się także w dwa kartony angielskich papierosów.

Zamrugałem oczami na widok szeregu butelek szkockiej whisky, nie tyle z powodu faktu, że ją w ogóle tam mieli, lecz ceny, która wynosiła dwie trzecie londyńskiej. Kupiłem dwie butelki.

Zabrałem swoją zdobycz i umieściłem w Toyocie. Później wypłem kolejne piwo w hotelu, czekając na Byrne'a. Kiedy wrócił, pojechaliśmy Toyota na stację benzynową, aby uzupełnić paliwo, a tam obok dystrybutorów stała żyrafa.

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem.

— Na miłość boską! Co u diabła...

Żyrafa pochyliła szyję i spojrzała na nas w dół łagodnymi oczami.

— Co się stało? — zapytał Byrne. — Nigdy przedtem nie widziałeś żyrafy?

— Nie na stacji benzynowej.

Byrne wcale nie wydawał się zaskoczony.

— Pobędę tu trochę. Stąd zaczynamy rozprowadzanie naszej wiadomości.

Skinałem głową bez słowa i spoglądałem na żyrafę oddalającą się spokojnym krokiem główną ulicą Agadez. Kiedy Byrne otworzył drzwi powiedziałem:

— Poczekaj. Zaspokój moją ciekawość.

— Odnośnie?

Wskazałem ręką.

— Tej cholernej żyrafy.

— Ach, o to chodzi. Jest z zoo. Wypuszczają ją co rano, a wraca wieczorem po paszę.

— Aha! — to było jakieś wytłumaczenie.

Do posiadłości Byrne'a w Air przybyliśmy następnego dnia, obozując po drodze. Zaczynały mi się

podobać te nocne obozowiska. Ten spokój był

niesamowity i po sprawdzeniu kierunku wiatru nie należało mozolnie myśleć o niczym innym niż o wybraniu najlepszego miejsca na rozpalenie ogniska i najlepszego miejsca do spania. Bardzo się to różniło od pracowitej — a teraz pozbawionej znaczenia — działalności Stafford Security Consultants Ltd.

Na tym właśnie obozowisku zaproponowałem Byrne'owi szkocką, ale pokręcił przecząco głową.

— Nie chwytam się niczego mocniejszego, tylko czasami napiję się piwa.

— Nie mogę się nadziwić, że jest tańsza niż w Anglii — powiedziałem.

— Nie ma podatku — odparł. — W Anglii potrzebujecie dużo pieniędzy, aby budować tak nieodzwonne rzeczy jak samoloty Concorde, więc macie wysokie podatki. — W jego głosie brzmiała ironia. —

— Komu to potrzebne tutaj? — Wziął butelkę. — Przywozi się ją z Nigerii, przeważnie dla handlu turystycznego. To samo z papierosami. Mogły zostać przywiezione nawet na grzbiecie wielbłąda.

Whisky smakowała nieźle, ale po pierwszej okazało się, że nie mam ochoty na następną. Powiedziałem:

— Najbardziej nieprawdopodobną rzeczą dzisiaj była ta cholerna żyrafa.

— W tych okolicach cywilizowani ludzie nie lubią trzymać niczego w kłatkach. To samo z wielbłędami.

— Co masz na myśli?

— Taki sam wielbłąd wytresowany przez Tuaregów jest wart więcej, niż wytresowany przez Arabów. Targui okazuje więcej czułości, a wielbłąd jest na to wrażliwy. Są naprawdę miłymi ludźmi.

Wiele o tym myślałem, patrząc na gwiazdy tej nocy.

Później niewiele się już wydarzyło, poza tym, że dostałem nowe ubranie i nauczyłem się jeździć na wielbłądzie, a obie te rzeczy łączyły się ze sobą. Byrne wyjeżdżał, aby przeprowadzić inspekcję swojego stada, a kiedy na lekcję jazdy na wielbłądzie przyszedłem w dżinsach, z namaszczeniem pokręcił głową.

— Nie sędzę — powiedział. — Naprawdę nie sędzę.

Tym sposobem ubrałem się jak Targui — luźne, workowate spodnie z czarnej bawełny, ciasno

dopasowane wokół kostek, biała gandoura, suknia Tuaregów, i kolejna niebieska gandoura na wierzch. Miałem też djellabę do noszenia przy chłodnej pogodzie lub nocą. Całość zwieńczał, dosłownie, chech — sześć metrów czarnej bawełny, szerokiej na jakieś pół metra. Byrne starannie pokazał

mi jak go układać.

Kiedy zostałem już przebrany, poczułem się trochę jak głupiec i bardzo zażenowany. Wkrótce mi jednak przeszło, bo nikt inny poza Billsonem nie zwrócił na mnie uwagi. A z jego zdaniem nie liczyłem się zupełnie. On by nie zmienił swojego ubioru, ani nie jechał na wielbłądzie. Myślę, że miał trochę imperialne poglądy na temat „upodobniania się do tubylców”.

Wielbłąd, jak się okazało, nie jest kierowany jak koń. Znalazłszy się w siodle, tuareskim siodle z fotelowym oparciem i wysoką częścią przednią w kształcie krzyża, kładzie się gołe stopy na szyi zwierzęcia i kieruje pocierając ją z jednej, lub z drugiej strony. Przebywanie na wielbłądzie w chwili gdy ten wstaje, to rzecz najbardziej zbliżona do trzęsienia ziemi i wzbudzająca popłoch, dopóki człowiek się do tego nie przyzwyczai.

Byrne, Hamiada i ja wyruszyliśmy z dwoma jucznymi wielbłądami w stronę pastwisk nie opodal Telouess i miało nas nie być ponad tydzień. Według Byrne'a nie należało się spodziewać jakiejś reakcji na kampanię ulotkową przez co najmniej dwa tygodnie.

Umówił się z właścicielem stacji benzynowej co do rozprowadzania ulotek w paczkach po pięćset w każdej, do dwudziestu najważniejszych oaz na południe od gór Atlas.

— Tyle też czasu zajmie wychowanie Paula, żeby wyszedł na ludzi —

powiedział Byrne. — Bowiem jedno jest pewne, jeśli odnajdziemy ten samolot, stanie się to w najbardziej parszywej okolicy, jaką kiedykolwiek widziałeś, inaczej Francuzi odnaleźliby go wiele lat temu.

Nie wiem co robił Billson w czasie naszej nieobecności. Nigdy się nie dowiedziałem i nie pytałem o to.

Patrząc wstecz, myślę, że te dni spędzone na włóczędztwie po Air były

najbardziej idyllicznym okresem w moim życiu. Życie toczyło się wolno, dostosowane do tempa marszu wielbłąda, a teren był rozległy i pusty. Człowiek poddawał się temu spokojnemu rytmowi sterowanemu nie potrzebami innych ludzi, lecz ruchem słońca po niebie, pustym żołądkiem i potrzebami zwierzęcia, na którym się jechało.

Odszukaliśmy stado Byrne'a. Przyjrzał się zwierzętom i okazało się, że są w dobrej formie. Doglądała ich rodzina Tuaregów, której przewodził człowiek nazywany Radbane.

— Ci ludzie są z Kel Ilbakan — powiedział Byrne. — Plemienia wasali

zamieszkującego teren na południe od Agadez. Zimą wypasają tu swój



inwentarz i pomagają mi przy moim.

Przyjęliśmy gościnę Radbane'a i zostaliśmy w jego obozie przez dwa dni.

Następnie skierowaliśmy się na zachód, obchodząc podstawę góry zwanej Begzans. Właśnie rozbijaliśmy obóz za Timią w dziewiątym dniu, gdy Hamiada wydał okrzyk i wskazał ręką. Mieliśmy gości. Zbliżały się trzy wielbłądy, dwóch z nich dosiadali jeźdźcy. Gdy podjechali bliżej Byrne powiedział:

— To Billson.

Zmarszczył brwi, a ja domyśliłem się dlaczego. Musiało zajść coś naprawdę pilnego, żeby Billson dosiadł wielbłąda.

Zbliżyli się do obozowiska i zauważyłem, że Wielbłąda Billsona prowadził

towarzyszający mu Targui. Wielbłądy opadły na kolana, a Billson zakołysał się gwałtownie w siodle i ciężko zsunął na ziemię. Wciąż miał na sobie

niestosowne, miejskie ubranie, teraz znoszone i wytarte. Twarz poszarzała mu ze zmęczenia i najwyraźniej miał otarcia od siodła. Ja też je miałem, ale to mijało.

— Chodź tutaj Paul i siadaj — powiedziałem. Byrne i Hamiada rozmawiali z przybyłym Targui. Poszperałem w torbie przy siodle i wyciągnąłem butelkę whisky, wciąż jeszcze pełną do połowy. Nalałem trochę do jednego z małych, mosiężnych kubków, których używaliśmy do herbaty miętowej i dałem go

Paulowi. Docenił to i po raz pierwszy powiedział:

— Dziękuję.

— Co tutaj robisz? — zapytałem.

— Widziałem go — powiedział.

— Kogo widziałeś?

— Człowieka, który do mnie strzelał. Najpierw wypytywał w Timii, a potem przyjechał do domu Byrne'a — zamilkł na chwilę — Range—Roverem.

— I widziałeś go? Tak, aby móc rozpoznać?

Paul skinął głową.

— Nudziłem się, nie miałem z kim rozmawiać, zszedłem więc na dół do

Tuaregów. Jest tam człowiek, który zna trochę francuski, prawie tak samo jak ja, ale umiemy się

dogadać. Byłem przed jego chatą, kiedy zobaczyłem jak

nadjeżdża ten Range—Rover, więc skryłem się w środku. Ściany są tylko z trzciny, jest więc mnóstwo szczelin, przez które można patrzeć. Tak, widziałem go i rozpoznałem.

— Czy był sam?

— Nie, towarzyszył mu jeszcze jeden mężczyzna.

— No i co dalej? — uniosłem wzrok. Byrne podszedł i przysłuchiwał się.

— Zaczął rozmawiać z ludźmi, zadawać pytania.

— Po tamachesku? — ostro zapytał Byrne.

— Nie, po francusku. Niewiele wskórał, dopóki nie zwrócił się do człowieka, który był ze mną.

— Pewnie starego Bukruma — rzekł Byrne. — Służył w Korpusie

Wielbłądzim jeszcze za czasów Francuzów. Mów dalej.

— Tylko przez chwilę rozmawiali ze starcem, a potem odeszli. Bukrum

powiedział, że pytali go, czy są tu jacyś Europejczycy. Opisali mnie, mój ubiór

— palcami szarpał kurtkę. — Bukrum nic im nie powiedział.

Byrne uśmiechnął się ponuro.

— Miał polecenie, aby nic nie mówić, tak jak wszyscy. Możesz opisać tych ludzi?

— Człowiek, który zadawał pytania; ten, który mnie postrzelił; miał około metra dziewięćdziesięciu, ale nie tęgi, rozumiesz o co mi chodzi. Szczupły, jasne włosy, mocno opalony. Ten drugi był niższy, ale grubszy. Ciemne włosy, blada cera.

— Obaj w europejskich ubraniach?

— Tak — Paul z trudem rozprostował nogi. — Porozmawialiśmy z

Bukrumem. Powiedział, że lepiej mnie wysłać do ciebie, bo ci ludzie mogą wrócić. Powiedział, że będziesz tam, gdzie na kołach się nie dojedzie.

Spojrzałem na gmatwaninę skał pokrywającą zbocza Bagzansu. Bukrum miał rację. Powiedziałem:

— Już kiedyś zadałem to pytanie, ale zadam je ponownie. Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, jakiś możliwy powód, dlaczego dwóch ludzi miałoby cię szukać po Saharze z zamiarem zabicia?

— Nie wiem! — odpowiedział Paul krzykiem. — Na miłość boską, nie wiem.

Spojrzałem na Byrne'a i wzruszyłem ramionami.

— Pojedziemy z Hamiadą do Timii i powęszymy trochę — powiedział

Byrne. — Sami obrócimy szybciej — wskazał Targui rozmawiającego z

Hamiadą. — Na imię ma Azeloane, jest synem Bukruma. Zabierze was w pewne miejsce na wzgórzach za Timią zostaniecie tam, dopóki po was nie poślę. Jest tam woda, więc nic wam się nie stanie. — Spojrzał na trzy wielbłądy, które przyprowadził Azelouane. — Dziś zostaniecie jeszcze tutaj, te zwierzęta potrzebują odpoczynku. Wyruszyście jutro o brzasku.

W ciągu dziesięciu minut wsiedli na wielbłądy i ruszyli w drogę.

Dwa dni zajęło nam dojście do miejsca wśród wzgórz za Timią, co razem z dniem przymusowego odpoczynku dawało trzy dni. Była tam sadzawka, którą Azelouane nazywał guelta. On też liznął trochę francuskiego. Mogliśmy więc w minimalnym stopniu rozmawiać, sporo pomagając sobie na migi. Spędziliśmy tam kolejne trzy dni, zanim przyjechał Byrne.

W tym czasie Billson chodził zasępiony, Bardzo się bał i okazywał to. Jeśli ktoś zrobi dziurę w człowieku z zamiarem zabicia go, to odbiera mu nieco wigoru. Lecz Paul aż do tej pory nie bał się naprawdę. Prawdopodobnie doszedł

do wniosku, że zaszła pomyłka co do osoby i sprawa się skończyła. Napastnik wydał go na śmierć po spaleniu Land—Rovera. Świadomość, że wciąż jest ścigany, porządnie nim wstrząsnęła i zżerała go od środka. Ciągle powtarzał:

„Dlaczego ja? Dlaczego ja?”. Nie znalazł na to odpowiedzi, zresztą tak samo jak i ja. Wkrótce też rozprawił się z resztą mojej whisky.

Byrne przybył późno w nocy, jadąc wysoko na Yendjelan, wynurzył się z ciemności jak duch. Yendjelan opadła na kolana, głośno protestując, tak jak wszystkie wielbłądy, a on ześliznął się z siodła. Azelouane rozkulbaczył ją, podczas gdy ja zagotowałem trochę gorącej herbaty dla Byrne'a. Noc była chłodna.

Usiadł przy ogniu wciąż otulony w djellabę, z kapturem nasuniętym na głowę i powiedział:

— Jak sobie radzicie?

— Nie najgorzej — wskazałem miejsce gdzie spał Billson. — Chociaż jemu nie idzie zbyt dobrze.

— Boi się — skonstatował Byrne.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Tak. Dwaj faceci, jeden Brytyjczyk nazwiskiem Kissack, a drugi nazwiskiem Bailly. Sądzę, że jest Francuzem. Latają po Air szukając Billsona.

— Przez chwilę milczał. — Mnie też szukają. O tobie niczego nie wiedzą.

— A skąd wiedzą o tobie?

— Musiałem umieścić swoje nazwisko na ulotce — odparł. — Tak z tego

wywnioskowałem. Nie ma sensu wyznaczanie nagrody bez podania nazwiska faceta, który ją oferuje.

— Gdzie oni są teraz?

— Odjechali do Agadez uzupełnić paliwo. Myślę, że wrócą. Zastanowiłem się nad tym i wolno powiedziałem:

— To nam coś mówi. Nie szukają jedynie Billsona, ale każdego, kto chce odnaleźć ten przeklęty samolot. Nazwiska Billsona nie było na ulotce, prawda?

— Nie — odparł Byrne krótko.

— No właśnie — powiedziałem. — Na pewno chodzi o ten samolot. —

Położyłem mu rękę na ramieniu. — Luke, lepiej uważaj. Billsonowi wpakowali kulę bez gadania. Tobie mogą zrobić to samo. — Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu.

Skinął głową.

— Też tak pomyślałem.

— Chryste, przykro mi, że cię w to wciągnąłem.

— Nie przejmuj się — odparł. — Nie zamierzam wystawiać głowy jako cel.

Poza tym, nie ty mnie w to wciągnąłeś, sam to zrobiłem.

— A więc, chodzi o samolot Petera Billsona — powiedziałem. — Ale

dlaczego? Dlaczego ktoś nie chce dopuścić, abyśmy go odnaleźli?

— Nie wiem. — Byrne pogrzebał pod djellabą i wyciągnął rękę trzymając w niej kawałek papieru. — Zaczęły napływać pierwsze rezultaty. Może trzeba było zaoferować jednego wielbłąda. Donoszą o każdym przeklętym samolocie, który rozwalił się na pustyni. Jak dotychczas piętnastu pretendentów. Pięć doniesień powtarza się, dotyczą tego samego samolotu, co redukuje ich liczbę do dziesięciu. O sześciu z nich sam wiem, łącznie z tym francuskim samolotem w Koudii, o którym ci

mówiłem. Pozostają cztery. Trzy z nich są

nieprawdopodobne, bo znajdują się na obszarach, gdzie każda katastrofa zostałaby dostrzeżona. Zostaje więc jedna możliwość.

— Gdzie to jest?

— Na północ, na Tassili n'Ajjer. Problem w tym, że miejsce jest odległe od ortodromy, po której leciał Peter Billson.

— Jak bardzo?

— Jakies piętnaście stopni na kompasie. Wiem, sam dowodziłem, że Billson musiał zboczyć z kursu, dlatego właśnie poszukujący nie odnaleźli go. Ale piętnaście stopni to za dużo. — Przyjął kubek herbaty.

— Więc co teraz zrobimy?

— Siedzimy cicho i czekamy na nadejście kolejnych zgłoszeń. — Pociągnął

łyk herbaty i po namyśle dodał: — I schodzimy Kissackowi z drogi.

— Czy nie moglibyśmy czegoś z nim zrobić?

— Czego na przykład?

— No, czy Paul nie mógłby pójść na policję w Agadez i wnieść sprawy o usiłowanie zabójstwa?

Byrne parsknął.

— Natychmiast zapytaliby go, dlaczego nie zgłosił tego władzom algierskim.

Tak czy owak, tutejsze gliny nie bardzo interesowałyby przestępstwo

popelnione w Algierii.

Prawdopodobnie miał rację. Miałem wątpliwości, czy na Saharze istniała jakaś współpraca z Interpolem.

— Jestem zmęczony — powiedział, przetoczył się na bok i, jak zwykle

niespodziewanie, zapadł w sen.

Zadręczałem umysł rozważaniami dlaczego Kissack i Bailly mieliby zabijać kogokolwiek poszukującego samolotu, który rozbił się ponad czterdzieści lat temu. Po jakimś czasie przestałem myśleć. Jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ja też spałem.

Byrne przywiózł nam trochę prowiantu. Proso, które rozcierało się w

moździerzu i gotowało na rzadki kleik przed dodaniem pokruszonych daktyli oraz mąki i soli, aby zrobić placki. Azelouane poszedł dokądś i wrócił z koźlęciem, które zabił podrzynając mu gardło. Tym sposobem mieliśmy świeże mięso.

Siedzieliśmy więc cicho wśród wzgórz o pół dnia drogi od Timii.

Trzy dni później Byrne wyjechał z powrotem. Wyruszył wcześniej rano i wrócił tego samego dnia nocą. Doniósł, że Kissack wciąż przejawiał aktywność.

— Doprawdy, wyskrobuje już dno beczki — powiedział. — Tassil Oued,

Grup—Grup, El Maki, wszystkie małe miejscowości. Ale Timia najwyraźniej go przyciąga. Wie, że mieszkam niedaleko stamtąd. Dzisiaj w południe znowu był w Timii.

— Do diabła! — powiedziałem. — Uważaj na siebie.

Roześmiał się.

— Stałem dwa metry od niego, będąc po prostu jeszcze jednym Targui. Skąd miałby wiedzieć, że jest inaczej? Chyba, że ktoś by mu powiedział, a moi ludzie nie daliby mu nawet napić się wody w Tanezrouft. — Gdy powiedział „moi ludzie”, brzmiał w tym odcień dumy.

Pomyślałem sobie, że tuareski czarzaf miał z pewnością swoje zalety, jak również fakt, że wszyscy Tuaregowie ubierali się podobnie, w błękit i biel.

— Jest kolejna porcja namiarów od tych pełnych nadziei, z których każdy liczy na dziesięć wielbłądów nagrody. Dwadzieścia dwa. Większość z nich jest powtórzeniem pierwszej partii.

— Jakieś prawdopodobne?

Wzruszył ramionami.

— Tylko ten jeden na Tassili n'Ajjer. Chodź, porozmawiamy z Paulem.

Gdzie on jest?

— Na dole przy guelcie. Spędza wiele czasu po prostu gapiąc się w wodę.

Ruszyliśmy więc na poszukiwanie Paula i znaleźliśmy go, tak jak sądziłem, na małej, piaszczystej plaży przy sadzawce. Byrne usiadł na kamieniu i powiedział:

— Paul, chcę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— Myślę, że wiesz na temat ostatniego lotu swojego ojca więcej, niż

ktokolwiek na świecie. Chciałbym poznać twoje zdanie w pewnej sprawie —  
pstryknął palcami w moją stronę. — Mapa.

Słońce chowało się za wzgórzami, lecz wciąż było dość światła aby widzieć.

Byrne rozpostarł mapę na piasku i nakreślił palcem linię.

— Z Algieru do Kano prowadzi kurs, którym miał zamiar lecieć twój ojciec.

Zgadza się?

Paul przyglądał się linii nakreślonej przez Byrne'a.

— Tak, mniej, więcej.

— Żadne mniej więcej — odparł Byrne. — To dokładnie ta linia. — Z

woreczka zawieszzonego na szyi wyjął resztkę ołówka. — Mamy teraz jedną możliwość, znajduje się tutaj. — Zaznaczył na mapie krzyżyk.

Paul odwrócił mapę do siebie.

— Nie — odpowiedział stanowczo.

— Dlaczego nie?

— Mój ojciec był dobrym pilotem. Nigdy nie zszedłby tak daleko z kursu.

— Pamiętaj, że ja też latałem, więc wiem o czym mówię — rzekł Byrne. —

O której on wystartował z Algieru?

— Wylądował w Algierze tuż po południu. Nie tankował od razu, bo  
mechanik chciał sprawdzić samolot. Ta kobieta w Algierze mówiła...

— Masz na myśli Hesther Raulier?

— Tak.

— Więc nazywaj ją imieniem i nazwiskiem — szorstko powiedział Byrne.

— Nie jest żadną „tą kobietą w Algierze”. Mów dalej.

Paul wzdrygnął się.

— Hesther Raulier powiedziała, że doszło z tego powodu do kłótni. Mój ojciec chciał natychmiast

uzupełnić paliwo i odlecieć, ale mechanik nie chciał

się na to zgodzić. Mówił, że chce mieć samolot w porządku.

— Paul, czy w tym wyścigu potrącano czas spędzony na ziemi, czy wygrywał ten, kto pierwszy doleciał do Cape Town? — zapytałem.

— Pierwszy przylatujący do Cape Town automatycznie wygrywał.

— W takim razie każda minuta, którą Peter Billson spędzał na ziemi, była minutą straconą — zwróciłem się do Byrne'a. — Nic dziwnego, że zależało mu na szybkim starcie.

Byrne skinął głową.

— Kto wygrał spór?

— Zapewne mechanik — odparł Paul. — Ta ko... Hesther Raulier powiedziała, że wzięła ojca do hotelu, gdzie trochę się przespał.

— W takim razie kiedy wystartował?

— O piątej po południu.

— O tej porze roku o szóstej robi się ciemno — powiedział Byrne. —

Odbywał nocny lot. Nie mógł więc na podstawie terenu ocenić, czy był na kursie czy nie. Nie widział ziemi.

— Hesther Raulier mówiła, że martwiło to mojego ojca — powiedział Paul.

— Nie chodzi o nocny lot, ale w Kano musiałby lądować po ciemku. Nie wiedział, czy pas startowy będzie oświetlony.

— Tak — rzekł Byrne. — Ten Nothrop latał przeciętnie 215 mil na godzinę, ale pewnie go trochę forsował. Powiedzmy jakieś osiem godzin do Kano, lądowanie gdzieś o pierwszej w nocy. Ale tak daleko nie dotarł.

Zrobiło się już zbyt ciemno, by wyraźnie widzieć mapę.

— Więc jaki jest następny ruch? — zapytałem.

— To zależy od Paula — odparł Byrne. Wciąż uważam, że samolot zszedł z kursu, a teraz wiem, że leciał w nocy, co mnie w tym jeszcze upewnia —

postukał w mapę. — To mógłby być samolot Petera Billsona.



— Mógłbyś nas tam zabrać? — powiedziałem.

— Jeśli Paul tego chce.

Spojrzałem w stronę Paula. Nie mogłem dostrzec jego twarzy, lecz ruchy wyrażały niezdecydowanie. W końcu powiedział z wahaniem:

— Tak. W porządku — znów ani słowa podziękowania. Byrne lekko klasnął w ręce.

— Wyruszamy o świcie.

Do domu Byrne'a przybyliśmy o jedenastej następnego rana. Byrne

wyprzedził nas, aby zbadać, czy można bezpiecznie wjechać. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, nie marnował czasu.

— Przypuszczałem, że Paul tak zadecyduje — zwrócił się do mnie. —

Musimy pojechać przez Agadez, żeby zatankować benzynę, ale bez niego, skoro Kissack kręci się w pobliżu. Wysłałem naprzód Hamiadę. Zaczeka z

wielbłędami po tej stronie Agadez, żeby przeprowadzić Paula dookoła.

Coś sobie przypomniałem.

— Nie widziałem w pobliżu Mokhtara. Można by sądzić, że wyparował, gdy tylko przybyliśmy tu z Algierii.

— Będzie teraz gdzieś w połowie drogi do Bilmy — roześmiał się Byrne —

Jest moim madugu.

— Co to takiego?

— Przewodnik karawany. Zawozi do Bilmy proso, a przywozi sól.

Powinniśmy go dogonić po drugiej stronie Fachi.

— Jedziemy do Bilmy?

— Przez Bilnę — poprawił Byrne. — I w diabły na drugą stronę.

Poszedłem przestudiować moją nieocenioną mapę i to co zobaczyłem nie

przypadło mi zbyt do gustu. Mieliśmy przeciąć Erg du Tenere, gdzie nie zaznaczono żadnej drogi. Dalej znajdował się Grand Erg du Bilma. Wychodziło na to, że miałem zobaczyć Drzewo Tenere, oraz bardzo kiepską wodę na

głębokości czterdziestu metrów.

Kiedy ponownie zobaczyłem Byrne'a, czyścił i oliwił pistolet, drugi leżał

obok niego.

— Jesteś starym wojakiem, wybierz sobie — zachęcił mnie. Oba były

niemieckie, jeden Walther, a drugi Luger.

— Skąd je wytrzasnąłeś? — zapytałem.

— Może sobie przypominasz, że na północ stąd było trochę zamieszania —

powiedział. — Takiego jak to, od którego uciekłem. A także dużo broni. Sporo jej doszło na południe.

Skinąłem głową. Oba pistolety stanowiły standardowe uzbrojenie oficerów.

Wziąłem Walthera, a Byrne z aprobatą skinął głową.

— Nie dawałbym żadnego z nich Paulowi — powiedziałem.

Byrne spojrzał na mnie zdegustowany.

— Myślisz, że oszalałem? Jeśli mam zostać zastrzelony, lepiej żeby to zrobił odpowiedni facet. — Wręczył mi paczkę amunicji i zapasowy magazynek. —

Załaduj.

Załadowałem oba magazynki i wsunąłem jeden z nich do rękojeści. Wówczas pojawił się problem: nie wiedziałem gdzie to cholerstwo wsadzić. Od wewnątrz na piersi miałem w gandourze kieszeń, lecz nie nadawała się na nic tak ciężkiego jak pistolet. Byrne przyglądał mi się kpiąco, po czym rzekł:

— W szafce za tobą jest pas i kabura.

Kabura miała kieszonkę na zapasowy magazynek. Zapiąłem pas pod

gandourą. Nie miałem problemu z dostępem do broni, ponieważ otwory na ręce w gandourze są wycięte bardzo nisko i można całkowicie wciągnąć w nie ramiona. Djellaba jest wykonana w ten sam sposób i komuś przebywającemu chłodną nocą wśród Tuaregów można wybaczyć myśl, że znalazł się wśród ludzi bez rąk.

Wyruszyliśmy w ciągu godziny, tylko Byrne, Billson i ja, w Toyocie, kierując się w stronę Agadez. Cztery godziny później Byrne zjechał ze szlaku i odnaleźliśmy obóz Hamiady w zagajniku palm dum.

— Tu właśnie nas opuszczasz — powiedział Byrne do Paula. — Hamiada

zabierze cię na drugą stronę Agadez. Dołączymy do was późnym wieczorem. —

Zamienił kilka słów z Hamiadą, po czym opuściliśmy ich i wróciliśmy na szlak.

Na stacji benzynowej w Agadez uzupełniliśmy paliwo i wodę. Zauważyłem, że Byrne szczególną

uwagę zwracał na opony. Chwilę rozmawiał z właścicielem i znów ruszyliśmy w drogę.

— Jest następna porcja namiarów, ale wszystkie są powtórzeniami — rzekł

Byrne.

Przejeżdżając obok meczetu zostaliśmy na chwilę zatrzymani przez żyrafę idącą ulicą. Byrne trącił mnie łokciem.

— Popatrz — skinął głową w stronę hotelu de l'Air. Na zewnątrz stał zaparkowany Range—Rover.

— Kissack?

— Możliwe. Chodź, dowiemy się — skręcił przez zakurzoną ulicę i

zaparkował obok Range—Rovera. Wysiedliśmy, a on przyjrzał mu się z uwagą, następnie wyciągnął nóż i pochylił się nad tylnym kołem.

— Co robisz?

Wyprostował się i schował nóż.

— Naznaczyłem tylko oponę — odparł. — Będę spokojniejszy, wiedząc czy Kissack jest w pobliżu, czy nie — spojrzał na wejście do hotelu. — Chodź, porozmawiamy z nim.

— Czy to rozsądne?

— Szuka mnie, prawda? A ja o tym wiem. Będzie to zwykły sąsiedzki

uczynek. Kissack ma brzydki zwyczaj strzelania do ludzi nawet się nie witając.

Jeżeli jakiś facet ma do mnie strzelać, to wolałbym go przedtem poznać. Tego właśnie nie lubiłem w lotnictwie wojskowym, strzelają do ciebie nieznajomi.

— Ty jesteś szefem — odparłem.

— Zgadza się — powiedział. — Teraz unieś czarczaf, a kiedy tam

wejdziemy, nie siadaj tylko stój za mną. I bez względu na okoliczności, nie odzywaj się. — Sięgnął do tyłu Toyoty i wyciągnął miecz. — Nałóż go.

Zawiesiłem miecz tak samo, jak nosił go Mokhtar i poszedłem za Byrne'm do hotelu. Zostałem więc Targui — niezłe przebranie. Nie martwiłem się kolorem mojej skóry. Widoczne były tylko oczy i ręce, a grzbiety dłoni miałem już mocno opalone. W każdym razie wielu Tuaregów miało skórę jaśniejszą ode mnie.

Byrne poszedł do baru i wypytał barmana. Ten skinął kciukiem w stronę pomieszczenia znajdującego się w środku. Gdy weszliśmy tam, okazało się, że jest zupełnie puste, tylko przy jednym stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Paul dobrze ich opisał. Kissack był wysokim, szczupłym mężczyzną o jasnych włosach, nie tyle opalonym co przypalonym tak, jak się to często przytrafia ludziom o jasnej karnacji. Płaty skóry schodziły mu z czoła. Bailly miał śniadą cerę i słońce nie dało mu się tak we znaki.

— Jestem Byrne. Słyszałem, że szukaliście mnie.

Kissack uniósł wzrok i szeroko otworzył oczy.

— Ty jesteś Byrne?

— Tak — Byrne opuścił czarczaf. Zastanawiałem się, czy Kissack wiedział, że była to oznaka pogardy.

Kissack uśmiechnął się.

— Proszę siadać panie Byrne. Może drinka? — był Anglikiem, sądząc po akcencie, najprawdopodobniej londyńczykiem.

— Dzięki — Byrne usiadł. — Wezmę piwo. — Kissack uniósł wzrok

I jego oczy spoczęły na mnie pytająco. Byrne wskazał mnie kciukiem. — On nie pije, to sprzeczne z jego religią. Napije się lemoniady.

Kissack uniósł rękę, podszedł kelner i przyjął zamówienie.

— Nazywam się Kissack. A to jest M'sieur Bailly. Bailly jedynie mruknął, a Byrne krótko skinął głową.

— O ile mi wiadomo, interesuje się pan samolotami, panie Byrne —

zagadnął Kissack.

— Tak.

— Rozbitymi samolotami.

— Tak.

Kissack zmrużył oczy, bacznie przypatrując się Byrne'owi. Otrzymywał odpowiedzi których pragnął, lecz jak na jego gust były one zbyt monotonne.

— Czy można wiedzieć dlaczego? — powiedział łagodnie.

— Pewnie dlatego, że sam kiedyś latałem.

— Rozumiem. Po prostu ogólne zainteresowanie.

— Tak.

Oczy Kissacka przeskoczyły na Bailly'ego, który ponownie mruknął. Odgłos ten wyrażał niedowierzanie.

— Czy jakiś samolot interesuje pana szczególnie?

— Raczej nie. Wszystkie są interesujące.

— Rozumiem. Który z napotkanych dotychczas samolotów okazał się najbardziej interesujący?

Wrócił kelner. Postawił piwo na stole, a mnie wręczył szklanekę lemoniady.

Byrne nie odpowiedział od razu, lecz uniósł szklanekę i z uwagą obserwował pęcherzyki powietrza.

— Myślę, że wrak Avro Avian w Tanezrouft. Ma niezłą historię. Nazywa się Southern Cross Minor. Jego właściciel, Kingsford—Smith, przeleciał na nim z Australii do Anglii w 1931. Następnie facet nazwiskiem Lancaster kupił go, aby spróbować pobić rekord Amy Mollison do Kapsztadu. — Pociągnął łyk piwa i dodał sucho: — Nie dał rady.

Kissack wyraźnie się zainteresował.

— Kiedy to się stało?

— W 1933. Wrak odnaleziono dopiero w 1962. Pustynia kryje wiele rzeczy, panie Kissack.

— Są jeszcze jakieś stare samoloty?

— Z tego co wiem, żaden nie jest tak stary.

Byrne bawił się z Kissackiem, drażniąc go, aby powiedział wprost czego chce. Wsunąłem szklanekę pod czarczak i wypilem łyk. Bardzo orzeźwiająca.

— Są jeszcze jakieś równie stare?

— Zastanówmy się — rzekł Byrne z namysłem. — Jest kilkadziesiąt wraków z czasów wojny rozsianych po miejscach zbyt niedostępnych, aby je wydostać.

Jeden z nich rozbiłem osobiście.

— Żadnych sprzed wojny?

— Niewiele. A co pana interesuje, panie Kissack?

— Jestem reporterem — odparł Kissack. — Szukam materiału.

— Na Saharze? — z ironią zapytał Byrne.

Kissack rozłożył ręce.

— Zawsze na posterunku. Właśnie podróżuję po tych okolicach i jak sędzę instynkty reporterskie wzięły we mnie górę.

Byrne skinął głową w stronę Bailly'ego.

— On też jest reporterem?

— Ależ nie. M'sieur Bailly jest moim przewodnikiem. Sądząc po wyglądzie, Bailly nadawał się raczej na przewodnika po ciemniejszych zaułkach Kasbahu w Algierze.

— Czy to wszystko, czego pan chciał ode mnie? — powiedział Byrne.

Opróżnił szklankę.

Kissack wyciągnął rękę.

— Jak długo pan tu mieszka, panie Byrne?

— Trzydzieści pięć lat.

— W takim razie proszę zostać. Chciałbym z panem porozmawiać. Miło móc znowu rozmawiać z kimś we własnym języku. Słabo mówię po francusku, a M'sieur Bailly w ogóle nie zna angielskiego.

— Kłamał jak z nut, Bailly rozumiał każde słowo. Kissack powiedział: — Proszę się jeszcze napić piwa, panie Byrne. Oczywiście o ile się panu nie spieszy.

Byrne sprawiał wrażenie niezdecydowanego i po chwili odparł:

— Nigdzie się nie wybieram. No dobra, napiję się jeszcze piwa. Chce pan wyciągnąć ze mnie wiadomości, to będzie zapłata.

— Dobrze — odpowiedział Kissack entuzjastycznie i dał znak kelnerowi. —

Mógłby mnie pan wprowadzić w lokalny koloryt, Bailly ma trudności ze zrobieniem tego w sposób przekonujący.

— Zrobię co mogę — powiedział Byrne skromnie.

Kelner przyjął zamówienie, a ja oddałem mu pustą szklanę.

— Zetknął się pan kiedyś z człowiekiem nazwiskiem Billson? — rzekł

Kissack niedbale.

— Wiem o nim, ale nigdy nie udało mi się go spotkać.

— Aha! — Kissack był zadowolony. — Czy wie pan gdzie on jest?

— Nie żyje, panie Kissack — odparł Byrne.

— Jest pan tego pewien?

— No, tego nie mogę powiedzieć — przyznał Byrne. — Świadcstwo zgonu nie zostało wystawione. Lecz mimo to uważam, że nie żyje.

Kissack zmarszczył brwi.

— Skąd pan wie? ,

— Do diabła! — powiedział Byrne. — Musi nie żyć. Jego samolot rozbił się ponad czterdzieści lat temu. Nie sądzi pan chyba, że chodzi po pustyni jak dzieci Izraela?

— Nie tego Billsona miałem na myśli — powiedział Kissack zdławionym głosem.

— Nie? — rzekł Byrne. — Myślałem, że wciąż pan mówił na temat samolotów. — Uniósł piwo, które postawił przed nim kelner.

— A jeśli chodzi o pańskiego Billsona — powiedział Kissack spokojnie. — Kiedy to się stało?

— W 1936 podczas wyścigu lotniczego Londyn—Kapsztad. — Wzruszył ramionami. — I nie jest to wcale mój Billson.

— Czy wie pan gdzie jest ten samolot?

— Tego nikt nie wie — odrzekł Byrne. — Już panu mówiłem — pustynia

kryje wiele spraw. Do diabła, na trzech milionach kilometrów kwadratowych można by ukryć całą flotę powietrzną — napił się piwa. — Co nie znaczy, że nie zainteresowałbym się nim, gdyby ktoś go znalazł.



— Nie zamierza go pan szukać? — zapytał Kissack.

— Czemu u diabła miałbym to robić? Mam lepsze rzeczy do zrobienia z

czasem. Kiedy ten samolot zostanie odnaleziony, to zapewne w jakiejś cholernie niemiłej części pustyni, w przeciwnym razie zostałyby już do tej pory

odnaleziony. Mam lepsze rzeczy do roboty niż tak ryzykować.

Kissack włożył rękę do kieszeni na piersi. Wyciągnął z niej kartkę papieru.

Rozwinął i położył na stole jedną z ulotek Byrne'a.

— Sam nie potrafię tego odczytać, ale Bailly mi przetłumaczył —

powiedział. — Bardzo mnie to zainteresowało.

— Tak, jako reportera na pewno.

— I wciąż pan twierdzi, że nie szuka tego samolotu?

— Nie specjalnie — Byrne wskazał ulotkę. — Coś takiego rozprawdzam co trzy, cztery lata, kierując się raczej nadzieją niż czymkolwiek innym. Mówiłem panu, że byłem lotnikiem w czasie wojny. Latałem też w Afryce Północnej.

Interesują mnie samoloty pustyni, tym bardziej, że sam posadziłem tam jeden.

Może napiszę o nich książkę.

— Zapewne rozprawę naukową — rzekł Kissack z ironią — „Niektóre

aspekty katastrof lotniczych na Saharze”.

— Wiem, że brzmi to idiotycznie — odparł Byrne. — Ale takie mam hobby.

Większość „koników” jednych ludzi, innym wydaje się głupia. Zastanowił się pan kiedyś, jak idiotyczne jest zbieranie znaczków?

— I kosztowne — powiedział Kissack. — Dziesięć wielbłądów jest chyba warte sporo pieniędzy.

— Tak może się panu wydawać — wzruszył ramionami Byrne. — Ja je

hoduję. — Uśmiechnął się szeroko do Kissacka. — Można powiedzieć, że mam je po kosztach własnych. A to nie jest wiele, rozłożone na trzy, cztery lata.

Kissack wyglądał na zakłopotanego. Historyjka, którą opowiadał Byrne była tak szalona, że mogła być prawdziwa. Wziął głęboki oddech i powiedział:

— Człowiek, którego szukam nazywa się Paul Billson.

— Paul Billson — Byrne smakował to słowo wraz z piwem. — Paul Billson

— pokręcił głową. — Nie powiem, żebym o nim słyszał. Jest krewnym tamtego?

— Nie wiem — odparł Kissack stanowczo. Pchnął ulotkę palcem wskazującym. — Czy są jakieś rezultaty?

— Na razie nie. Tylko ta sama przeklęta lista, którą otrzymałem poprzednim razem.

Kissack długo wpatrywał się w niego bez słowa. Byrne drgnął i powiedział:

— Czy chciałby pan jeszcze coś wiedzieć?

— W tej chwili nie — powiedział Kissack. Byrne wstał.

— Gdyby pan mnie znów potrzebował, to wie pan, gdzie mnie szukać. Na północ niedaleko Timii. Miło było mi pana poznać, panie Kissack. Mam

nadzieję, że okazałem się pomocny. — Uprzejmie skinął głową Bailly'emu. —

Bonjour, M'sieur Bailly. Bailly tylko mruknął.

Gdy odjeżdżaliśmy spod hotelu powiedziałem:

— No, teraz już wiemy.

— Tak — powiedział Byrne lakonicznie. Po chwili dodał: — Ten facet przyprawia mnie o dreszcze.

— Czemu miałby szukać Paula? Musiał go uważać za nieżywego.

— Doznał chyba piekielnego szoku — rzekł Byrne. — Załatwia Paula, a po jakimś czasie cała Sahara zostaje zalana kwestionariuszami na temat rozbitych samolotów. Na miłość boską, w dodatku pochodzącymi z Nigru! W głowie mu się chyba od tego pomieszało.

— Ale szybko zaskoczył — zastanowiłem się nad tym. — Dobrze, że nie wzięliśmy Paula do miasta — roześmiałem się. — Ale mu wcisnąłeś zwariowaną historyjkę.

— Nie zatrzyma go na długo — powiedział Byrne. — Rozpyta się dookoła i dowie, że nigdy nie

robiłem takich idiotyzmów. Mam nadzieję, że pojedzie do Timii, to rozdzieli nas jeszcze bardziej. Jeżeli zmarnuje czas na Timię, będziemy już za Bilną zanim się zorientuje, że nas zgubił.

Przez jakieś pięć mil jechaliśmy z Agadez na wschód, po czym opuściliśmy szlak, aby spotkać się z Hamiada w oznaczonym miejscu. Hamiada rozłożył już obóz i postawił namiot. Zostaliśmy tam na noc i poszliśmy spać wcześniej, przygotowując się do wczesnego wyruszenia przez Tenere.

Rano dałem Billsonowi dzinsy i koszule, które kupiłem.

— Nie możesz wędrować po Saharze w urzędniczym garniturze —

powiedziałem. — Lepiej nałóż to. Myślę, że będzie pasowało.

Odrzucił je, więc powiedziałem:

— Paul, jesteś skończonym durniem! Kissack ma twój rysopis i wie jak jesteś ubrany — wzruszyłem ramionami. — Ale rób jak uważasz.

Paul pospiesznie zmienił ubranie.

Zauważyłem, że Hamiada naciał sporo gałęzi akacji. Powiązał je w pęki i włożył na tył wozu. Kiedy zapytałem o to Byrne'a odparł:

— Chcąc zjeść coś gorącego potrzebujemy opału — skinął głową na wschód.

— Tam nie ma nic.

Hamiada odjechał, zabierając wielbłądy z powrotem do Timii. My zaś

pojechaliśmy w przeciwnym kierunku, początkowo prosto na wschód, a

następnie skręciliśmy na północny wschód. Przez pierwsze siedemdziesiąt kilometrów nie było tak źle. Na w miarę dobrym szlaku mogliśmy utrzymać średnią szybkość w granicach czterdziestu kilometrów na godzinę. Później jednak szlak się urwał i znaleźliśmy się w wyboistym terenie stopniowo przechodzącym w zasy piasku, a w końcu w wydmy.

— A więc to właśnie jest erg — powiedziałem. Byrne roześmiał się krótko.

— Jeszcze nie — wskazał półksiężycowatą wydnię, którą właśnie mijaliśmy.

— To barchany. Cały czas są w ruchu, pędzone wiatrem. Niezbyt szybko, ale poruszają się. Cały piasek jest w ruchu, dlatego też nie ma tu szlaku.

Po jakimś czasie odosobnione barchany ustąpiły miejsca większym

strukturom piaskowym, sfalowanym wzgórzom piasku. Góry Air dawno

zniknęły z tyłu za horyzontem. Byrne zręcznie prowadził, trzymając się dna dolin i torował sobie

drogę wśród wydmy. Zastanawiałem się skąd wiedział

którędy jechać, ale on zdawał się tym nie przejmować. Gdy tak jechaliśmy, rozprawiał o różnych typach piasku.

— Ten nie jest jeszcze taki zły — powiedział. — Przynajmniej można się zatrzymać, nie narażając się na kłopoty. Najgorsze jest fech—fech.

— Co to takiego?

— Czasami zdarza się wysoka wilgotność, w każdym razie jak na pustynię.

Nocą w czasie zimy, wilgoć zamarzając zostaje usunięta z powietrza i zrasza powierzchnię piasku. Tworzy to twardą skorupę na wierzchu, z grząskim piaskiem pod spodem. Da się po tym jechać, jeśli ciągle jesteś w ruchu, lecz gdybyś się zatrzymał, możesz zapaść się po same ośki. — Na chwilę zamilkł po czym dodał refleksyjnie: — Jednak wielbładowi zupełnie to nie przeszkadza.

Innym razem powiedział:

— Parę lat temu byłem na północy, nie opodal Hassi—Messaoud, gdzie są szyby naftowe. Napotkałem dużą ciężarówkę, miała nośność stu ton. Rosyjska, przystosowana do transportowania sprzętu wiertniczego. Faceci, którzy ją prowadzili, też byli Rosjanami. Pokazali mi jak to działało. Miała osiem osi, szesnaście dużych, balonowych opon, a powietrze można było z nich

wypuszczać, lub pompować naciskając guziki w kabinie. Twierdzili, że przy pełnym obciążeniu mogli tak balansować całością, że waga przypadająca na każdy cal kwadratowy nie była większa niż w przypadku wielbłąda. Naprawdę fajna zabawka.

— Genialne.

— Tak — roześmiał się. — Ale robili to byle jak. Pięć z tych opon mieli niewłaściwych. W każdym razie kilka tygodni później usłyszałem co się z tym stało. Byli w podróży i postanowili zatrzymać się na noc. Stanęli więc, zjedli coś i położyli się spać. Stanęli jednak na fech—fech i w nocy wóz zapadł się.

Rosjanie spali pod nim i zabił ich obu. Samochodu nigdy nie wydobyto.

Makabryczna historia nieźle ilustrująca niebezpieczeństwa pustyni.

— Parszywe śmierdzie! — powiedział Byrne. — Nigdy ich nie lubiłem, chyba że się spieszyłem, tak jak teraz.

Po jakimś czasie wydmy przeszły w piaszczystą równinę, wkrótce potem

Byrne powiedział:

— Drzewo!

Daleko przed nami na horyzoncie widniał czarny punkt, który równie dobrze mógł być złudzeniem optycznym, ziarenkiem piasku w gałce ocznej, okazał się jednak samotnym, szeroko rozgałęzionym drzewem cierniowym. Obok drzewa znajdowała się studnia, a cały teren wokół był zaśmiecony oliwkowatego kształtu bobkami wielbłądziego łajna. Znajdowały się tam też szkielety kilku wielbłądów. Niektóre z nich wciąż pokrywała skóra zmumifikowana przez suche, gorące powietrze pustyni.

— Zatrzymamy się tutaj na posiłek, ale nie za blisko studni. Zbyt wiele tam kęszących owadów — powiedział Byrne.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok, Paul siedzący za mną zauważył:

— Tam przy drzewie ktoś stoi.

— Waśnie — odparł Byrne. — Tylko jeden człowiek. To tutaj niezwykle.

Zobaczmy, kto to jest.

Skręcił w bok kierownicę i zatrzymaliśmy się tuż przy drzewie. Stojący tam człowiek nie był Targui, gdyż nie nosił czarczafu, a skórę miał ciemniejszą, o soczystym ciemnobrązowym kolorze. Był niższy od przeciętnego Targui i nie tak dobrze ubrany. Nosił czarną gandourę, a na głowie kiepsko zawiązany turban.

Byrne wysiadł, przez kilka minut rozmawiał z mężczyzną, po czym wrócił do wozu.

— To Teda z Tibesti. Czeka tu od trzech dni, aż ktoś przyjedzie. Wybiera się na wschód i nie jest w stanie sam pokonać następnego odcinka.

— Jak się tu dostał?

— Przyszedł. Też ledwie tu dotarł. Ostatnie dwa dni szedł bez wody. Czy macie coś przeciwko temu, abyśmy podrzucili go tak daleko na wschód, jak jedziemy?

— Wóz należy do ciebie — powiedziałem. — I ty jesteś szefem.

Byrne skinął głową i ręką dał znak mężczyźnie, który podszedł do Toyoty.

Nióś włochatą torbę z kozłej skóry, którą Byrne nazwał djerba, a używano jej do przechowywania wody. Byrne klepnął torbę i zapytał o coś wskazując studnię. Mężczyzna coś odpowiedział, a następnie na polecenie Byrne'a wylał

zawartość torby na ziemię.

— Można ją pić, jeśli się musi — rzekł Byrne. — Ale nie inaczej. Parę lat temu antylopa Mendesa wpadła do studni i od tego czasu woda jest do niczego.

— Jak on się nazywa? — zapytałem gdy odjeżdżaliśmy.

— Nie powiedział. Twierdzi, że zwykle nazywano go Konti.

— Zabawne — zmarszczyłem brwi.

— Niezupełnie — odparł Byrne. — Oznacza to, że jest mordercą. —

Najwyraźniej nie przejmował się tym specjalnie.

Odwrociłem się gwałtownie, aby spojrzeć na siedzącego z tyłu wozu

człowieka, którego zwykle nazywano Konti.

— Co u diabła...

— Wszystko w porządku — powiedział Byrne. — Nie zabije nas. Nie jest zawodowym mordercą. Pewnie w swoich stronach zabił kogoś w krwawej

wendecie i musiał wiać. Może doszedł do wniosku, że powrót jest już

bezpieczny, albo dostał wiadomość, że jego rodzina zapłaciła okup.

Zatrzymał wóz o jakiś kilometr po drugiej stronie Drzewa.

— Wystarczy — wysiedliśmy. Z tyłu wozu Byrne wyjął coś, co wyglądało jak kawałek metalowej rury. — Pomóż mi to napęlnić.

Odkręcił znajdującą się na wierzchu mosiężną przykrywkę. Trzymałem lejek, podczas gdy Byrne napęlniał tę wymyślną maszynę wodą z kanistra. Gdy

skończył powiedział:

— To jest wulkan, najekonomiczniejszy ze wszystkich sposobów gotowania wody.

Urządzenie było całkiem proste. Składało się z dwóch rur, między którymi mieściło się około kwarty wody. Byrne wetknął zapalony kawałek papieru w otwór w dnie mniejszej rury, dołożył kilka gałązek akacji, a kiedy zajęły się ogniem, wrzucił szybko garść bobków suszonego wielbłądziego łajna, które zebrał wokół drzewa. Palily się gwałtownie, lecz bezwonne. W ciągu pięciu minut mieliśmy wrzącą wodę.

Zjedliśmy lunch składający się z chleba, sera i herbaty miętowej, nasz morderca też się przyłączył.

— Zapytaj jak ma na imię — powiedziałem. — Nie mogę wciąż mówić o

nim, jako o człowieku, którego zwykle nazywali Konti.

Podczas gdy Byrne rozmawiał z mężczyzną, Paul powiedział:

— Nie pojedę z jakimś mordercą. Nikt mnie nie pytał, czy może się do nas przyłączyć.

Byrne nagle zamilkł i odwrócił się do Paula.

— W takim razie resztę drogi musisz przejść piechotą — ruchem głowy wskazał mężczyznę. — Zapewne jest lepszym człowiekiem niż ty. A nie zostałeś spytany dlatego, bo nie dbam zupełnie, czy ci się to podoba, czy nie.

Jasne? — Nie czekał na odpowiedź, lecz odwrócił się i podjął rozmowę gardłowym głosem.

Spojrzałem na Paula. Miał twarz czerwoną, jak gotowany burak. Łagodnie powiedziałem:

— Mówiłem ci, żebyś ostrożnie chodził koło Byrne'a. Nigdy się nie nauczysz, co?

— On nie może tak do mnie mówić — wymamrotał.

— Właśnie to zrobił — zauważyłem. — I co u diabła masz zamiar w związku z tym zrobić? Powiem ci, nic nie zrobisz, ponieważ Byrne jest jedyną zaporą stojącą między tobą, a śmiercią.

Zapadł w ponure milczenie.

Byrne zakończył przesłuchanie i ponownie zwrócił się do mnie.

— Mówi, że teraz możesz już nazywać go Konti. Nie rozumiem dobrze jego mowy, ale zna trochę arabski. W zasadzie miałem rację. Trzy lata temu zabił

człowieka w Tibesti i zbiegł. Właśnie dowiedział się, że zapłacono pieniądze za krew, więc wraca — zamilkł na chwilę. — Ściśle mówiąc wielbłądy za krew, w Tibesti nie ma zbyt wiele gotówki.

— Ile wielbłądów jest warte życie człowieka?

— Pięć.

— Połowa samolotu z lat trzydziestych — skomentowałem.

— Można to tak ująć — powiedział. — Oczywiście ta zmiana imienia jest czysto rytualna. Wiesz co zrobił kiedy uciekł? Zabił antylopę, wziął kawał jej jelita grubego i nałożył sobie na stopy jak skarpety. Potem skakał tak długo, aż pękło. Rozumiesz, takie symboliczne zacieranie śladu.

— Niesamowite — powiedziałem.

— Tak, ci Teda to dziwni ludzie. Spokrewnieni z Tuaregami, ale daleko za nimi — spojrzał w górę



na słońce. — Ruszamy. Przed zapadnięciem zmroku chcę się znaleźć po drugiej stronie Pachi.

Popędziliśmy naprzód i wjechaliśmy na obszar, gdzie znów pojawiły się duże wydmy, niektóre z nich wysokie na ponad sto metrów. Uświadomiłem sobie, że Byrne prowadził przez cały czas i zaproponowałem, że go zmienię, ale odrzucił

ten pomysł.

— Może później, ale nie teraz. Jeszcze byś nas gdzieś wpakował. Trzeba umieć jeździć po miękkim piasku, a na te wzniesienia trzeba najeżdzać pod właściwym kątem.

Raz dostrzegłem niewyraźnie jakieś zwierzę o dużych uszach, zbiegające za krawędź wydmy. Byrne powiedział, że to fenek.

— Lis pustyni. Uzyskuje wilgoć zjadając insekty i skoczki egipskie. Skoczki wytwarzają wodę w swoich ciałach. Tak przynajmniej powiedział mi facet, który je tutaj badał. Latem ten fenek nie pokazałby się tutaj w ciągu dnia, za wielki skwar.

Fachi było małą, mizerną osadą, leżącą około dwustu kilometrów od Drzewa Tenere. Mieszkańcy mieli negroidalne rysy, a kobiety nosiły kółka w nosach.

— Ci ludzie to Fulani — rzekł Byrne z nutką pogardy w głosie. —

Tuaregowie ich nie lubią, a oni nie lubią Tuaregów. Nie zostaniemy tutaj, okradliby nas do gołej skóry.

Zatrzymaliśmy się tylko tak długo, aby napełnić pojemniki wodą i kupić kozłę, które Byrne sprawnie zabił i oprawił. Ujechaliśmy jeszcze kilkanaście kilometrów i rozbiliśmy obóz w chwili, gdy słońce zachodziło. Ugotowaliśmy posiłek, zjedliśmy i poszliśmy spać, a o świcie następnego dnia byliśmy już w drodze.

Jechaliśmy wciąż kilometr za kilometrem wśród wydm, a czasami przez nie, jeśli nie było innego wyjścia. W pewnym momencie odezwałem się do Byrne'a:

— Skąd u diabła wiesz, którądy jechać?

— To też jest sztuka — powiedział. — Trzeba wiedzieć jaki wiatr przeważał

w ciągu ostatnich miesięcy. Ustawia on wydmy w odpowiednią stronę i na tej podstawie możesz ustalić kierunek. Nie zmienia się to specjalnie z roku na rok, lecz wystarczająco, aby zboczyć z kursu. Trzeba też obserwować słońce.

Dobiegało południe, kiedy wynurzyliśmy się ponad krawędź wydmy i Byrne powiedział:

— Tam jest azelai.

— Co?

— Karawana solna, którą Mokhtar prowadzi do Bilmy. Dwa dni temu

wyruszył z Fachi.

Dało mi to pojęcie o różnicy prędkości między wielbłądem a Toyota.

— Jak długo jedzie karawana z Bilmy do Agadez?

— Cztery tygodnie. Dwa, lub trzy tygodnie w Bilmie, a potem powrót z solą.

Niemal trzy miesiące tam i z powrotem.

Karawana składała się z jakichś trzystu wielbłądów i może dwudziestu

poganiaczy.

— Pięćdziesiąt z nich jest moich — powiedział Byrne i zawołał Mokhtara.

Ten podszedł do wozu wolnym, leniwym krokiem Tuaregów, spojrział na mnie zaskoczony, po czym roześmiał się i powiedział coś do Byrne'a, który parsknął

śmiechem i rzekł:

— Mokhtar uważa, że mam tu neofitę. Chce się dowiedzieć, czy zamierzam współzawodniczyć z Prorokiem.

Przyjrzał się zwierzętom i wyraził zadowolenie z ich kondycji, po czym ruszyliśmy dalej, a karawana, wlokąc się w tempie pięciu kilometrów na godzinę, wkrótce została w tyle.

Było około trzeciej po południu, kiedy rozerwała się prawa przednia opona, a kierownica gwałtownie skrzyła w rękach Byrne'a.

— A niech to wszyscy diabli! — powiedział i zatrzymał wóz..

Coś smagnęło mnie w ucho, a przednia szyba rozprysła się. Strzelano już do mnie w Korei i potrafiłem rozpoznać gwizd kuli, kiedy ją usłyszałem, nawet bez dowodu w postaci rozbitej szyby.

— Wszyscy na zewnątrz — krzyknąłem. — Jesteśmy pod ostrzałem.

Szarpnąłem za klamkę i wyskoczyłem. Kula wleciała z mojej strony, obiegłem więc wóz dookoła aby się ukryć. Kiedy biegłem, fontanna piasku wytrysnęła o metr przede mną. Paul wciąż znajdował się w środku, gdyż nie zareagował dość szybko i zobaczyłem jak Byrne wyciąga go na zewnątrz.

Zorientowałem się, że w ręce trzymam Walthera, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy go wyciągnąłem. Strzelanina wciąż trwała, ostre trzaski w martwym, suchym powietrzu. Doszedłem do wniosku, że to strzelba. Jednak żadne kule nie padały w pobliżu nas. Byrne trącił mnie łokciem.

— Patrz! — wskazał na górę wydmy za nami.

Konti z plemienia Teda wbiegał na wydnię i był już w trzech czwartych drogi na szczyt, mający około dwudziestu metrów. Gdy biegł, jego gandoura

trzeptała na wietrze, a kule wzbijały piasek wokół jego stóp. Kiedy znalazł się na wierzchołku, a jego sylwetka zarysowała się na tle nieba, jak gdyby się potknął i raczej upadł niż skoczył na drugą stronę wydmy i znikł. Strzelanina ustała.

— Myślisz, że dostał?

— Nie wiem — powiedział Byrne i otworzył tylne drzwi Toyoty. Włożył rękę do środka i wyciągnął karabin Lee—Enfield.

— Myślę, że Kissack nas wyprzedził. — Wyjął pełny magazynek z woreczka na szyi i załadował karabin.

Rozległ się kolejny strzał i grzmotnięcie, a następnie metaliczne wycie kuli odbitej od metalu. Wóz zakołysał się na resorach.

— Te dranie przyszpiliły nas — powiedział Byrne. — Gdybyśmy próbowali teraz uciec, to po nas. — Spojrzał na wydnię za nimi. — Ten facet zwiął tylko dlatego, że zrobił coś nieoczekiwanego. Sądzę, że kiedyś już do niego strzelano.

— Jeżeli zwiął.

Kolejna kula uderzyła w bok samochodu.

— Tak.

Rozejrzałem się za Billsonem i zobaczyłem go kulącego się za tylnym kołem.

Byrne podążył za moim spojrzeniem.

— Nie będzie z niego wielkiej pociechy — powiedział stanowczo. — Nie możemy na niego liczyć.

— Więc co robimy?

— Odpowiemy ogniem.

Rozległo się bum i gwałtowny syk powietrza uchodzącego z kolejnej

przebitej opony. Byrne powiedział:

— Jeżeli zrobi to jeszcze raz, jesteśmy uziemieni. Mam tylko dwa koła zapasowe. Zobacz, może uda ci się zlokalizować tego sukinsyna.

Ostrożnie uniosłem głowę, spoglądając przez okna Toyoty. Wpatrywałem się w wydnię mającą

jakieś trzydzieści metrów wysokości. Przebiegłem

spojrzeniem wzdłuż jej krawędzi. Rozległ się kolejny strzał, który trafił w wóz i wówczas dostrzegłem lekki ruch. Ponownie przykucnąłem.

— Jest na szczycie tej wydmy, jakieś dwadzieścia stopni w lewo.

— Jak daleko?

— Trudno powiedzieć. Dwieście pięćdziesiąt, do trzystu metrów. To będzie strzał pod górę.

— Aha! — Byrne nastawił celownik karabinu. — Niech więc pies zobaczy zająca. I na miłość boską trzymaj ten pistolet w pogotowiu i uważaj na boki.

Cofnąłem się do tyłu i przykucnąłem, podczas gdy Byrne wysunął lufę

karabinu przez otwarte okno w drzwiach wozu. Rozejrzałem się na boki, „ale nic się nie poruszyło.

— Widzę go — powiedział cicho Byrne. Wystrzelili jednocześnie, a Byrne szybko pochylił głowę. Wóz zakołysał się. — Myślę, że nasypałem mu trochę piasku w oczy — powiedział.

Zapadła cisza przerywana jedynie metalicznymi trzaskami stygnącego silnika i cichym bulgotaniem jakiegoś płynu. Zaczynałem przypuszczać, że Byrne miał

rację, kiedy rozległ się kolejny strzał, a kula przeszła przez oba otwarte okna wozu. Z trzaskiem przebiła barierę dźwiękową jakieś dwadzieścia centymetrów nad moją głową.

— Idę o zakład, że się przesunął — powiedział Byrne. — Jeśli uda mi się zrobić to jeszcze raz, bądź gotów to wykorzystać, spróbuj zająć ich z boku.

Jeżeli czegoś nie zrobimy, posiekają nas tu na kawałki.

— W porządku.

Uniósł głowę i spojrzał na wierzchołek wydmy.

— Tak, przeniósł się. Ale gdzie u diabła jest teraz? — Kolejna kula poleciała w naszą stronę z katastrofalnym skutkiem. Uderzyła w oponę koła, za którym skulił się Billson. Powietrze uszło z niej z głośnym sykiem.

— No to cześć! — powiedział Byrne. Paul skamlał i próbował zagrzebać się w sypkim piasku. — Daleko nie zajedziemy na trzech kołach, ale dostrzegłem tego drania.

Ponownie uniósł karabin i przygotowywał się do oddania strzału.

— Stój Luke! — powiedziałem, starając się w swym głosie zawrzeć całą pilność tego polecenia.

Opuścił głowę.

— O co chodzi?

Wiedziałem, co oznaczał ten bulgoczący odgłos.

— Trafił w bak, albo w jeden z kanistrów z benzyną. Nie czujesz tego? —

Byrne wietrzył smród benzyny.

— Jeśli tylko wystrzelisz, możemy się sfajczyć w wielkim stylu. Potrzebna jest tylko iskra.

— Jezu! — opuścił karabin i spojrzał na mnie. Obaj myśleliśmy o tym

samym. Potrzebna była tylko jedna iskra z rykoszetu od metalu, aby podpalić parującą benzynę.

— Popełniłem ten błąd w Korei i mam na dowód spaloną skórę —

powiedziałem.

— Zastanawiała mnie ta blizna na twojej piersi. W takim razie lepiej uciekajmy. Pobiegniemy w przeciwnych kierunkach. Myślę, że strzela tylko jeden, obu nas nie dostanie.

— A co z Paulem?

— Może robić co mu się żywnie podoba. Kula trafiła w reflektor i posypało się szkło.

— W porządku — powiedziałem. — Zaraz po następnym strzale.

Byrne skinął głową.

Następnego strzału nie było — przynajmniej nie z tego karabinu. Z oddali słabo dolatywał czyjś krzyk, trwający w nieskończoność, zawodzący głos pełen męki. Drgnąłem, wyrwany z pełnego napięcia oczekiwania na bieg i spałem się jeszcze bardziej. Spojrzałem na Byrne'a.

— Co to?

Krzyk wciąż trwał, teraz urywając się w piskliwy szloch, jak gdyby ktoś łapał

oddech.

— Ktoś jest ranny, to pewne — powiedział. Rozległy się odległe strzały, nie z karabinu, lecz według mojej oceny pistoletowe. Potem krzyk ustał i ponownie zapanowała cisza.

Przez długi czas nasłuchiwalismy, lecz nie usłyszeliśmy zupełnie niczego. Po chwili powiedziałem:

— Myślę...

— Cicho! — uciął Byrne.

W oddali rozległ się charakterystyczny odgłos opornego startera obracającego silnik. Zaskowyczał jeszcze kilka razy, a potem silnik musiał zaskoczyć, gdyż hałas ucichł.

— Może odjeżdżają — powiedział Byrne.

— A może to sztuczka, aby wywabić nas z ukrycia. — Skinął tylko głową, więc zostaliśmy na miejscu.

Po jakiś dziesięciu minutach rozległ się krzyk. Spojrzałem na wydnię, starając się za bardzo nie wychylać. Na wierzchołku stał Konti krzycząc i machając rękami. Byrne wziął głęboki oddech.

— A niech mnie drzwi ścisną! Chodźmy zobaczyć.

Wspięliśmy się na wydnię, a Konti zaczął coś trajkotać do Byrne, żywo

gestykulując. Był, co zrozumiałe, bardzo podekscytowany — te piętnaście minut dostarczyło wielu podniet. Wskazał ręką dolinę po drugiej stronie wydmy i razem z Byrne'em zaczął schodzić w dół. Ruszyłem za nimi, bo chciałem wiedzieć co się dzieje.

Widniały tam ślady opon, a ktoś stracił sporo krwi, może pół litra albo więcej.

Byrne przykucnął i wskazał miejsce, gdzie opona przeszła po zwilżonym krwią piasku.

— Kissack — powiedział. — To znak, który umieściłem na tylnej oponie jego wozu.

— Co się stało?

— Możesz tylko podziękować Bogu za to, że zabraliśmy wczoraj Kontiego.

Prawdopodobnie uratował nam życie.

— W jaki sposób?

Byrne rozmawiał z Kontim przez kilka minut, a następnie zwrócił się do mnie.

— Mówi, że było tu trzech ludzi. Z jego opisu wynika, że byli to Kissack, Bailly i jeszcze jakiś facet, najprawdopodobniej Arab. Kissack i Arab znajdowali się na szczycie wydmy, przy czym strzelał tylko Kissack. Bailly stał

tutaj przy samochodzie. Więc Konti podszedł i rzucił w niego nożem.

— Nożem! — powiedziałem bezradnie. — I z tego powodu było tyle krzyku?

— Nie przychodziło mi do głowy, dlaczego. Człowiek z wbitym nożem

zazwyczaj nie robi takiej awantury, ale oczywiście zależało, gdzie nóż trafił.

Rozejrzałem się dokoła, po czym powiedziałem:

— W jaki sposób Konti przedostał się dostatecznie blisko, aby rzucić nóż?

Tu nie ma osłony.

— Nie widziałeś jeszcze noża — powiedział Byrne. — Gdy trafił Bailly'ego zarył się w piach. Konti podniósł go zanim nas zawołał.

Powiedział coś do Kontiego i wyciągnął rękę. Konti pogrzebał w swoim ubraniu i wyciągnął nóż, który nie przypominał żadnego z noży, jakie dotychczas widziałem. Miał jakieś czterdzieści centymetrów długości i został wykonany z jednego kawałka płaskiej stali o grubości trzech milimetrów.

Rękojeść miała prawie trzydzieści centymetrów długości, a resztę trudno opisać.

Była zakrzywiona w półokrąg, a dwa kolejne ostrza zakończone haczykami sterczały na boki pod kątem prostym. Znajdowała się na nich wielka ilość tnących krawędzi, każda z nich ostrza jak brzytwa. Był bardzo zardzewiały.

— Nazywa się mouzeri — wyjaśnił Byrne. — Nóż do rzucania Tedów.

Wyrzuca się go poziomo z wysokości nieco poniżej pasa. Jest w stanie zatrzymać galopującego konia. Używa się go do polowania na antylopy

Mendesa i Oryxy, ale z odległości sześćdziesięciu metrów odrąbie człowiekowi stopę w kostce. Bailly nie wiedział co go trafiło, ale Konti twierdzi, że prawie odciął mu lewą stopę i porządnie okaleczył prawą kostkę.

Spojrzałem na zardzewiałe ostrza.

— Jeśli nie umrze z upływu krwi, to na zakażenie — zauważyłem.

Każdy komu by się to przytrafiło, krzyczałby tak samo jak Bailly.

— Mam nadzieję — powiedział Byrne szorstko. Wziął nóż o dziwacznym kształcie i oddał Kontiemu, który uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Konti mówi, że tym samym nożem zabił swojego wroga w Tibesti. —

Spojrzał na zakrwawiony piasek i wzruszył ramionami. — Chodźmy zobaczyć jakie są szkody.

Uszkodzenia okazały się poważne. Trzy opony przestrelone i tylko dwie zapasowe. Ale to jeszcze

nie było najgorsze, gdyż bak został przedziurawiony.

Na krótko przed strzelaniną napełniliśmy go z kanistrów i benzyny nie starczyłoby na dojechanie do Bilmy, nawet gdybyśmy mieli dobre opony.

— No, mamy mnóstwo wody i żywności, musimy tylko zaczekać, aż

nadciągnie Mokhtar. Wtedy możemy się załapać na przejażdżkę wielbłądem.

— Tak — powiedział Byrne. — Wszystko się zgadza, z wyjątkiem jednego.

On nie jedzie tą drogą.



Billsonowi wciąż jeszcze nie przeszedł napad dreszczy. Nie mogę

powiedzieć, abym miał do niego pretensję. Przebywanie pod ostrzałem różnie oddziałuje na ludzi, a trzeba zacząć od tego, że Paul nie był specjalnie zrównoważonym człowiekiem. Dochodziło do tego coś jeszcze, co nie

występowało w warunkach wojennych. Żył ze świadomością, że polowano na niego, że ktoś nieżyczliwy ścigał go z zamiarem zabicia. Każda kula lecąca w naszą stronę miała wygrawerowane imię Paula.

Tak więc nie był w stanie wziąć bezpośredniego udziału w dyskusji. Konti, choć dobrze orientował się w pustynnych drogach, niewiele wiedział o Tenere.

Nie czuł się tu jak u siebie. To samo odnosiło się do mnie, tak więc Byrne podejmował większość decyzji.

Po tym stanowczym oświadczeniu, że Mokhtar nie jedzie w naszą stronę, powiedziałem tylko „Och!” i czekałem co powie dalej.

A jego słowa brzmiały:

— Ta djerba przyda się. Będziemy musieli przejść kawałek.

— Jak daleko?

— Pojechałem tą drogą, bo jest krótsza i nadaje się dla samochodu. Szlak wielbłądzi znajduje się dwadzieścia pięć kilometrów na południe.

— Przysięgłbym, że od chwili opuszczenia Fachi, Byrne kierował się od jednego szkieletu wielbłądziego, do następnego, ale na przestrzeni ostatnich kilku kilometrów nie widziałem żadnego. Teraz wiedziałem już dlaczego.

— Dwadzieścia pięć kilometrów — odparłem czując ulgę. — To niedaleko.

— Musimy zabrać wodę — rzekł Byrne — tyle ile potrafimy unieść.

— Żeby przejść dwadzieścia pięć kilometrów?

Byrne ujął mnie za łokieć i odprowadził na bok tak, że Paul nie mógł słyszeć.

— Zajmie nam to resztę dzisiejszego dnia i cały jutrzejszy. Szedłeś już kiedyś po sypkim piasku?

— Niedaleko — spojrzałem dalej w dolinę. — Nie wydaje się to zbyt trudne.

Podążył za moim spojrzeniem.

— Szlak wielbłądzi do Bilmy cieszy się powodzeniem, bo jest zgodny z ukształtowaniem terenu. Można piąć się długimi dolinami wzdłuż wydm. My pójdziemy w poprzek. Będziesz szedł przez wydmy w górę i w dół, aż zakręci ci się w głowie. Daje to dwadzieścia pięć kilometrów w terenie, plus osiem kilometrów wspinaczki i następne osiem schodzenia. A są jeszcze inne rzeczy, o których trzeba pamiętać.

— Na przykład?

— Pokręcił głową.

— Powiem ci, jeśli okaże się to konieczne. Nie ma potrzeby, abyś martwił się tym, co może się nie zdarzyć. Zostaw to mnie.

Udało mu się tylko wywołać mój niepokój. Przede wszystkim napełniliśmy djerbę wodą z kanistra, później Byrne zmierzył mnie wzrokiem.

— Jak sądzisz, ile potrafisz unieść?

Przypomniałem sobie odbywane w wojsku marsze ćwiczebne, które w

czasach mechanizacji miały nie tyle charakter użyteczny, co wzmacniający ludzi. Od oficerów oczekiwano czegoś więcej niż od żołnierzy. Wybrałem liczbę, po czym szybko skorygowałem ją w dół, gdy pomyślałem o niekończącej się wspinaczce po grząskim piasku.

— Dwadzieścia kilo.

— Za dużo — Byrne pokręcił głową. — Po pół kanistra dla ciebie i dla Paula, w sumie jakieś piętnaście kilogramów na każdego. Konti może wziąć swoją djerbę, jest do niej przyzwyczajony.

Wzięliśmy pełny kanister i rozdzieliliśmy jego zawartość do dwóch.

Następnie zrobiliśmy szelki, tak że można je było nieść na plecach. Zadbaliśmy też, aby dobrze podesłać kanistry i w ten sposób uniknąć otarcia skóry. Byrne zmusił nas do zabrania djellab.

— W nocy robi się zimno. — Zwróciłem uwagę, że kanister który on miał

nieść był pełny. Jeśli to, co mówił o podróży było prawdą, to ładunek taki byłby zabójczy dla człowieka po sześćdziesiątce. Nic jednak nie powiedziałem.

Wiedział co robi.

Później zjedliśmy, a resztki chleba i sera oraz kilka kawałków mięsa, wepchnęliśmy do kieszeni na piersiach naszych gandour.

— Pijcie i nie żałujcie sobie — doradził Byrne. — Lepiej mieć wodę w środku, niż na zewnątrz. Każdy wielbłąd o tym wie.

Kiedy w przeszłości Byrne mówił o wodzie, odmierzał ją na przemian w

litrach, lub w galonach — ale w galonach amerykańskich. Ocenilem, że wyruszyliśmy niosąc osiem i pół galona brytyjskiego w kanistrach, plus zawartość djerby, którą trudno było ocenić — powiedzmy w sumie prawie dwanaście galonów. Wydawało się to mnóstwem wody, jak na

dwudziestokilometrową wędrówkę i zastanawiałem się jakie przewidywania kryły się jeszcze w głowie Byrne'a.

Rzadko mam ochotę snuć wspomnienia z tej podróży. Rzeczą, która

najuporczywiej przychodzi mi do głowy, jest miękki, a jednocześnie skrzypiący piasek. Przedsiębiorca budowlany byłby nim zachwycony, gdyż stanowił

idealny materiał do produkcji wysokiej jakości betonu, i bez wątpienia jakiś bystry przedsiębiorca znajdzie sposób wysyłania go i uzyskiwania dochodu. Bóg świadkiem, że jest go tam pod dostatkiem. Jednak nie mogę już teraz patrzeć na bezmiar piasku, nie mając w pamięci bolesnego ucisku tego przeklętego kanistra na plecach.

Minęliśmy miejsce, gdzie Konti okaleczył Bailly'ego, przecięliśmy dolinę i wspięliśmy się na następną z wydm, które w tym miejscu osiągały od

dwudziestu do trzydziestu metrów wysokości. W pewnym sensie mieliśmy

zapewne szczęście, gdyż nawietrzne stoki, na które musieliśmy się wdrapywać nie były tak strome jak zawietrzne. Gdybyśmy szli na północ zamiast na południe, sprawy przedstawiałyby się znacznie gorzej.

Obserwowałem Byrne'a idącego przede mną w poprzek doliny i rozumiałem, że miał jakieś znaczenie ten ospały, posuwisty sposób chodzenia Tuaregów.

Wziął się on z długotrwałego chodzenia po piasku w sposób najbardziej ekonomiczny. Próbowałem go naśladować, lecz bez większego skutku. Z tym bowiem trzeba się urodzić, lub ćwiczyć przez wiele lat, tak jak Byrne. Stopy miałem bardziej przyzwyczajone do miejskich chodników. Wspięliśmy się na kolejną wydmę. Stopy zagrzebywały się w piasku pod uporczywym naciskiem bagażu na plecach, a czasem ześlizgiwały w tył. Na szczycie zatrzymałem się na chwilę aby złapać oddech i rozejrzałem się dokoła. Byrne dobrze określił erg jako morze piasku. Tenere wyglądało jak obraz przedstawiający burzę na morzu, którego fale zastygły w trakcie spiętrzania się. Były jednak większe niż jakiegokolwiek fale wodne i rozciągały się w nieskończoność, jak daleko sięgałem wzrokiem.

Słońce zachodziło, rzucając długie cienie w zagłębienia, a krawędź wydmy, na której stałem, wiła się przez wiele kilometrów, aż wreszcie niknęła z pola widzenia. Same wydmy były łagodne i gładkie, wyrzeźbione przez wiatr bez śladów pozostawionych przez człowieka lub zwierzę.

Byrne niecierpliwie machnął ręką, a my potykając siei ześlizgując zaczęliśmy schodzić po drugiej, bardziej pochyłej stronie. Wielokrotnie podczas tej strasznej podróży, kiedy schodziłem w dół,

przestawałem panować nad sytuacją.

Kanister na plecach zdawał się pchać mnie do przodu. Traciłem wówczas równowagę i padałem na twarz. Na szczęście piasek był miękki i amortyzował

uderzenia, jednak poszczególne ziarenka były na tyle ostre, by podrażnić mi ręce.

Jeśli ja tak cierpiałem, to co powiedzieć o Billsonie. Prowadziłem siedzący, miejski tryb życia, ale próbowałem pracować nad sobą i podtrzymywać

kondycję, uprawiając gimnastykę i szermierkę. Paul pracował przez piętnaście lat w tym samym ponurym biurze w Luton i z tego, co zdołałem wywnioskować badając jego życie, nie robił zbyt wiele, aby utrzymać się w formie. I choć to dziwne, ani razu wówczas nie poskarżył się. Obojętnie wspinał się i równie obojętnie wstawał, kiedy pośliznął się i upadł. Utrzymywał przy tym tę samą prędkość co my, a tempo nie było wolne, gdyż dyktował je Byrne.

Zwolna zaczęły mi się nasuwać wnioski odnośnie Paula. Niektórzy ludzie mogą być sprinterami, dobrymi na krótką metę i kompetentnymi w trudnych sytuacjach. Paul mógł okazać się odwrotnością. Nie dając sobie zbyt dobrze rady w krytycznych chwilach, był wytrwały i uparty, co udowodnił swoją życiową obsesją związaną z ojcem. Ten marsz przez Tenere ukazywał jego najlepsze wartości. Cokolwiek by powiedzieć, w czasie tej podróży poradził

sobie równie dobrze jak inni, chociaż jego ciało było do niej kiepsko przygotowane.

Zatrzymaliśmy się na wierzchołku wydmy w chwili, gdy słońce chowało się za horyzontem, a Byrne powiedział:

— Dobra, możecie zdjąć paczki.

Pozbycie się kanistra stanowiło wielką ulgę, gdyż zdawał się on przybierać na wadze z każdym przebytym krokiem. Billson ciężko usiadł, a w czerwonym świetle zachodzącego słońca, jego twarz miała szary kolor. Przypomniałem sobie, że parę tygodni temu został postrzelony w ramię i powiedziałem łagodnie:

— Pozwól Paul, że ci pomogę. — Dopomogłem mu zdjąć pakę z pleców. —

Jak tam twoje ramię?

— W porządku — powiedział tępo.

— Niech na nie spojrzę. — Nawet się nie poruszył. Pierś mu tylko falowała, gdy ciężko dyszał po ostatnim podejściu. Rozpiąłem mu więc koszulę i

spojrzałem na ramię, zanim zrobiło się zbyt ciemno, aby cokolwiek widzieć.

Rana, która dobrze się goiła, była teraz zaogniona i czerwona. Przypuszczalnie kanister wiszący na zaimprovizowanych szelkach obcierał go.

— Luke, spójrz na to — powiedziałem.

Byrne podszedł, przyjrzał się Paulowi i rzekł:

— Najpierw wypijemy wodę z jego kanistra.

— A może dałoby się przelać trochę do mojego?

— Może — odparł wymijająco. — Jedzmy.

Tamtej nocy mieliśmy zimną i nieapetyczną kolację. Gdy światło na zachodzie zgasło, pojawiły się gwiazdy, a temperatura spadła.

— Lepiej załóżcie djellaby — powiedział Byrne.

— Ile uszliśmy? — spytałem zakładając moją.

— Dwa, może trzy kilometry.

— Tylko tyle? — byłem zdruzgotany. Miałem wrażenie, że osiem, lub dziesięć.

— Więcej niż się spodziewałem — Byrne skinął głową w stronę Billsona. —

Myślałem, że opóźni nasz marsz. Wciąż jest to możliwe. Proponuję, abyś wziął część jego wody. Najlepiej zaraz, nim wyruszymy.

— Wyruszymy! Nie zamierzasz chyba iść po ciemku?

— Właśnie, że zamierzam. Spieszmy się. Nic się nie martw, mam kompas, a później wszędzie księżyc.

Przelałem połowę wody Billsona do mojego kanistra, uświadamiając sobie, że Byrne wciąż niósł pełny. Zebrał nas wszystkich razem.

— Zaraz wyruszamy. Dotychczas niewiele mówiliście. To dobrze, potrzebny był wam oddech, ale teraz mówcie bo jest ciemno. Nie możecie stracić kontaktu z resztą i nie pozwólcie im stracić kontaktu z wami. Będziemy szli wolno, ale istotny jest każdy metr, który zdołamy przejść.

Powiedział coś do Kontiego, najprawdopodobniej powtarzając to samo co nam przekazał. Gdy skończył, zaczęliśmy schodzić z wierzchołka wydmy. W

ciemnościach było to szalenie trudne. Byrne zaś nieustannie pomrukiwał: „Ho!

Ho! Ho!”, zupełnie jak jakiś obłąkany święty Mikołaj. Dzięki temu

wiedzieliśmy jednak, gdzie się znajdował. Ja nabrałem śmiałości na tyle, aby unieść głos i zacząć śpiewać.

Na dole zebrał nas ponownie i ruszyliśmy przez dolinę, w świetle migoczących gwiazd. Zaśpiewałem ponownie śpiewkę z moich czasów wojskowych:

„Ciocia Gienia, wujek Franiu Zasłabli raz przy śniadaniu. Niech to będzie ostrzeżeniem, Nie rób tego przed jedzeniem.”

Przerwałem na chwilę.

— Billson, wszystko w porządku?

— Tak — powiedział znużonym głosem. — Wszystko w porządku.

Gdzieś z lewej strony Konti wydał kwik przypominający konia.

Byrne zamruczał: „Ho! Ho! Ho!”

„Ovomaltina dodała im mocy,

Teraz to robią rano i w nocy.

Wkrótce wuj Franio, jeśli nie schudnie,

Ma zamiar robić to też w południe.

Anielska pieśń z góry już płynie:

Nic nie dorówna Ovomaltinie.”

Billson podjął pierwszą próbę dowcipkowania, jaką usłyszałem z jego ust.

— Czy ty byłeś małym Ovomaltinkiem? — Wpadłem na Byrne'a.

— No, mieliśmy reklamę — powiedział cierpko. — A teraz w górę.

Ruszyliśmy więc pod górę — wolno.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, jak długo szliśmy potykając się w

ciemnościach, trwało to chyba wiele godzin. Później Byrne powiedział, że zarządził postój tuż przed północą. Oznaczało to, że odbyliśmy sześciogodzinny marsz nocny z prędkością zapewne nie przekraczającą kilometra na godzinę.

Zatrzymał się niespodziewanie, gdy znajdowaliśmy się w połowie drogi pod górę i rzekł:

— Wystarczy. Okopać się.

Z ulgą pozbyłem się kanistra i rozmasowałem obolałe ramiona. W świetle księżyca zobaczyłem, że Billson po prostu leży na ziemi. Podpełzłem do niego i pomogłem mu zdjąć szelki. Upewniłem się, że jest zawinięty w djellabę i usypałem trochę niżej mały wał piasku, aby we śnie nie stoczył się na dół. Nim zdążyłem odejść, nie wiedział już o bożym świecie.

Podczołgałem się do Byrne'a i gniewnym szeptem zapytałem:

— Po co ten cholerny pośpiech? Paul jest półżywy.

— Jeśli jutro wieczorem nie znajdziemy się tam, dokąd idziemy, będzie całkiem nieżywy — odparł Byrne niewzruszenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Azelai nie zatrzymuje się po zachodzie słońca, tak jak my zwykle robiliśmy. Mokhtar będzie parł naprzód gdzieś do jedenastej w nocy.

Oczywiście im jest łatwiej, bo idą wzdłuż dna dolin.

— W jaki sposób wyznacza kierunek?

— Na podstawie gwiazd — odparł Byrne. — I doświadczenia. Kalkuluję

więc tak, aby dotrzeć do miejsca, przez które powinien przechodzić przed zachodem słońca. Liczę się również z tym, że może przechodzić tamtędy nocą.

Jak ci wiadomo wielbłądy nie mają światła pozycyjnych z przodu ani z tyłu, a azelai posuwa się cholernie cicho. W nocy karawana mogłaby przejść o jakieś dwieście metrów od ciebie i nawet nic byś o tym nie wiedział, mimo że w dzień byłaby doskonale widoczna. Dlatego chcę tam dotrzeć na tyle wcześnie, by móc jeszcze coś zobaczyć.

— Co zobaczyć?

— Dowiem się, kiedy tam dotrę. A teraz idę już spać.

Właśnie miałem się odwrócić, kiedy coś przyszło mi do głowy.

— A jeśli miniemy się z karawaną?

— Wówczas pójdziemy do Bilmy, dlatego właśnie zabraliśmy całą wodę.

Konti i ja poradzimy sobie. Ty być może. Billson nie da rady.

Postawił sprawę jasno. Wykopałem zagłębienie w zboczu wydmy, aby się w nim położyć. Miałem nadzieję, że nie przypominało zbyt grobu. Otuliłem się szczelnie djellabą i położyłem. Nim zasnąłem, długo spoglądałem w górę na krostowaty księżyc. Musiało to trwać pełne trzy minuty.

Następnego ranka wypiliśmy resztą wody Billsona i porzuciliśmy kanister.

— Nasyćcie się nią — doradził Byrne. — Wlejcie w siebie tyle wody, ile potraficie.

Szybko uporaliśmy się ze skromnym śniadaniem w brzasku poranka.

Opróżniłem kieszeń z ostatnich okruchów, z niesmakiem zarzuciłem kanister na plecy i byłem gotów do drogi.

— Stafford, dlaczego nie przelejesz połowy swojej wody tutaj? — powiedział

Billson. Kopnął z brzękiem odrzucony kanister. — Mógłbym go nieść.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Po raz pierwszy zaoferował się zrobić coś dla innych. Może mimo wszystko była nadzieja na odzyskanie go dla ludzkości.

— Lepiej zwróć się z tym do Byrne'a, jego kanister jest pełny —

powiedziałem.

Byrne podszedł do Billsona.

— Zobaczmy no twoje ramię. — Przyjrzał mu się uważnie i pokręcił głową.

— Nie dałbyś rady, Paul. Obetrzesz to jeszcze mocniej, do tego piasek i masz gangrenę. Trzymaj je zawinięte. Ruszamy.

Ponownie więc ruszyliśmy w drogę. „W górę na przewiewny szczyt, na dół w porośłą sitowiem dolinę”. Ten fragment o przewiewnym szczycie odpowiadał

rzeczywistości, gdyż ranek był naprawdę rzeński. Brakowało jednak sitowia, a te doliny w niczym nie przypominały górskich. Były jednak mile widziane, gdyż marsz po płaskim terenie dawał chwilę wytchnienia.

Wyobraziłem nas sobie jako cztery mrówki posuwające się z mazołem przez dziecięcą piaskownicę. Wczesnym przedpołudniem, kiedy zrobiliśmy postój, aby napić się wody, powiedziałem:

— I pomyśleć, że jako dziecko lubiłem budować zamki z piasku.

Byrne stłumił śmiech i powiedział:

— Przypominam sobie rysunek, który kiedyś widziałem, wiesz, taką



karykaturę. Zamieszczono go w czasopiśmie, które Daisy Wakefield miała w Tam. Przedstawiał on teren podobny do tego, a jeden facet mówi do drugiego:

„Wstąpiłem do Legionu aby o niej zapomnieć, ale na imię ma Sandra” ,

wydawało mi się to naprawdę zabawne.

— Miło mi, że wciąż masz poczucie humoru.

Billson trzymał się nieźle. Mówił niewiele, ale szedł równo z nami, tuż przed Kontim. Przyszło mi do głowy, że Byrne przydzielił Kontiemu zadanie, aby pozostał z tyłu i miał oko na Paula. Choć dotrzymywał nam kroku, wątpię aby był do tego zdolny musząc wciąż nieść wodę. Rana mu dokuczała — nie żeby się żalił z tego powodu, lecz zauważyłem, że oszczędzał prawe ramię, kiedy potknął się i upadł.

Nie miało większego sensu zatrzymywanie się na dłużej w południe. Nie mieliśmy nic do jedzenia i chcieliśmy tylko napić się . wody.

— W porządku Max, ściągnij paczkę — powiedział Byrne. Piliśmy z mojego kanistra podczas przedpołudniowej przerwy, więc odparłem:

— Nie, ściągnij swoją.

Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, gdy spojrzał na mnie uważnie.

Posłusznie jednak powiedział:

— Dobra. — Rozdzieliliśmy więc między siebie kilka funtów z jego

ładunku.

Tego dnia miałem powody, aby być zadowolony, że noszę tuareski czarczaf i całą resztę tego zabawnego stroju. Widziałem, że Paul, pomijając wszystko inne, zaczynał odczuwać skutki oparzenia słonecznego, podczas gdy ja byłem przed tym zabezpieczony.

Reszta dnia, aż do zachodu słońca, minęła zmęczona wyczerpaniem. W górę z jednej strony, w dół z drugiej, i następna wydma. Jak powiedział Byrne

„Przeciwno ukształtowaniu terenu”. Było to dobre, obrazowe wyrażenie. Jak bardzo dobre, zaczynałem się dopiero teraz przekonywać.

Wpadłem w ślepy, bezmyślny rytm, a w głowie rozbrzmiewał mi monotony śpiew — coś, co Niemcy nazywają „robakiem w uchu”. Coś, co chodzi w kółko po głowie i nie możesz się tego pozbyć.

Jedna przeklęta noga przed drugą przeklętą nogą. Jedna przeklęta wydma za drugą przeklętą wydumą. Jedna przeklęta noga przed drugą przeklętą nogą. Jedna przeklęta wydma za drugą przeklętą wydumą.

Jedna przeklęta... I w kółko, i w kółko, i w kółko...

Może to mi pomogło.

Mijała tak godzina za godziną, aż wpadłem na Byrne'a, który się zatrzymał.

To samo zrobiła moja przeklęta noga.

— Doszliśmy w samą porę — spojrzał na słońce. — Trzy kwadransy do zachodu.

— Doszliśmy? — powiedziałem tępo i spojrzałem w dół zbocza wydmy.

Dno doliny na oko nie różniło się niczym od tych, które przeszliśmy.

— Tak. Mokhtar będzie tędy przejeżdżał.

Rozejrzałem się dookoła.

— Gdzie jest Billson?

— Może pół kilometra z tyłu. Konti opiekuje się nim. Schodzimy. Kiedy dotarliśmy na dno, spojrzałem w górę i na tle nieba na szczycie wydmy zobaczyłem sylwetki Paula i Kontiego. — Czy to znaczy, że możemy teraz odpocząć?

— Nie — bezlitośnie odparł Byrne.

Ruszył dalej doliną, więc poszedłem za nim. Odczuwałem zmęczenie, lecz przynajmniej teren był w miarę równy i nie musiałem iść w górę i w dół.

Wydmy zaczęły się schodzić z obu stron, a potem dolina rozszerzyła się. Byrne stanął.

— To tutaj. Powiedz, jak szeroka może być ta dolina?

— Pół kilometra.

— Więcej. Sześćset metrów. Trzeba wykopać trzy rowy biegnące wzdłuż doliny. Każdy o długości jakichś dziesięciu metrów, ale wolałbym dłuższe.

Zanosilo się na pracę, a ja nie miałem do niej nastroju.

— Głębokie?

— Nie bardzo. Wystarczy, abyś po ciemku mógł je rozpoznać nogą. Dziś w nocy wszyscy stoimy na straży.

Pomysł był prosty i dobry. Rowy dzieliły dolinę na cztery równe części, a nasza czwórka miała patrolować tam i z powrotem każdy ze

stupięcdziesięciometrowych odcinków. Kiedy stopą natrafiliśmy na rów, wiedzieliśmy że czas zgrabnie się odwrócić i pójść z powrotem, tak jak strażnik przed pałacem Buckingham. Gdyby karawana przechodziła tędy, to

statystycznie rzecz biorąc istniało wysokie prawdopodobieństwo, że jeden z nas wpadnie na wielbłąda. Poza tym chodzenie uniemożliwiało nam zaśnięcie.

Zacząłem kopać w miejscu wskazanym przez Byrne'a, odrzucając sypki

piasek na bok rękami, gdyż nie miałem nic innego do kopania. Najpierw jednak zdjąłem kanister i napiłem się trochę wody. Billson z Kontim dołączyli do nas i zostali wciągnięci do roboty, tak więc o zmroku mieliśmy gotowe wszystko, co

..mogliśmy zrobić. Byrne w dalszym ciągu nie był usatysfakcjonowany, ale na to już nic nie mogliśmy poradzić.

Później rozpoczęło się patrolowanie, każdy w swoim sektorze, tam i z

powrotem. Byłem zmęczony i marsz po grząskim piasku nie poprawiał mi

samopoczucia. Od czasu do czasu, gdy stopą natrafiałem na krawędź wykopu, odwracałem się i szedłem z powrotem. Powiedzmy jakieś trzysta metrów w obie strony. Zastanawiałem się ile kilometrów miałem przejść tej nocy. Mimo wszystko było to lepsze od tych przeklętych wydm.

Kilkakrotnie przy wykopie spotykałem Byrne'a i zamienialiśmy kilka słów, zanim odwróciliśmy się, aby pójść w przeciwnych kierunkach. Gdybyśmy

zsynchronizowali nasze prędkości, moglibyśmy spotykać się za każdym razem, jednak w takich ciemnościach było to niemożliwe..

Noc wlokła się, a mój krok stawał się coraz wolniejszy. Czuję straszne zmęczenie i tylko dzięki temu, że musiałem chodzić, nie spałem. Wcale nie jestem pewien, czy chwilami nie szedłem we śnie. W sumie jednak chodzenie i głód trzymający mnie w swych szponach sprawiły, że jeszcze się trzymałem.

Ponownie spotkałem Byrne'a.

— Widziałeś Kontiego? — zapytał.

— Spotkaliśmy się kilka patroli wstecz. Czuwa, jeśli cię to martwi.

— Nie w tym rzecz, powinienem widywać Billsona, ale tak nie jest.

Westchnąłem.

— Jest mu ciężej niż nam. Wykończył się zupełnie.

— Tym sposobem w linii tworzy się dziura. Poczuję się lepiej, kiedy wszędzie księżyc.

Nie musieliśmy czekać tak długo. Doszedł nas krzyk Kontiego i zdumiony okrzyk: „Hai! Hai! Hai!”, gdy ktoś usiłował uspokoić spłoszonego wielbłąda. Po chwili kilku Tuaregów nadeszło spoza naszych linii — z dalszej części doliny.

Połowa karawany przeszła obok nas nie zauważona, dopóki Konti nie wpadł na kogoś.

Usiadłem tam, gdzie stałem.

— Luke — powiedziałem. — Kładę się spać.

Tym sposobem do Bilmy wjechałem na wielbłądzie. Paul również, ale Byrne szedł po jednym tylko dniu przerwy. Konti szedł cały czas. Ci ludzie zdawali się być niezniszczalni. Mokhtar rozłożył obóz tam, gdzie nas zastał. Jednak następnego dnia ruszyliśmy dalej. Tak jak Byrne powiedział, szliśmy jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, nim ponownie rozbiliśmy obóz.

Później Byrne zaczął iść tak jak wszyscy Tuaregowie. Zauważyłem, że nogi miał bosc. Szedł gibkim krokiem u boku wielbłąda, na którym jechałem. — Czy to normalne, żeby iść pieszo? — zapytałem.

— Tak.

— Przez całą drogę z Agadez do Bilmy?

— I z powrotem — uniósł wzrok. — Wszyscy jesteśmy skromnymi poganiaczami wielbłądów, tak jak Prorok.

Pomyślałem jak szybko przebyliśmy te niedostępne miejsca w Toyocie.

— Przypuszczam, że bardziej efektywne mogłoby się okazać użycie ciężarówek.

— Jasne — wskazał ręką przed siebie. — Bilma produkuje 4.000 ton soli rocznie. Cały eksport można by załatwić dwudziestoma dwudziestotonowymi ciężarówkami. W Algierii użyliby ciężarówek. Te dranie w Maghrebie mają świra na punkcie wydajności, kiedy wiąże się to z zyskiem.

— W takim razie dlaczego nie robią tego tutaj?

— Ponieważ rząd Nigru jest rozsądny. Wielbłąd może unieść siódmą część tony, więc aby przenieść roczną produkcję soli potrzeba 28.000 wielbłądów. Jak już mówiłem wielbłąd jest delikatnym stworzeniem. Za każdy dzień pracy, musi mieć dzień odpoczynku. Więc trzy miesiące na solnym szlaku oznaczają kolejne trzy miesiące odpoczynku i wypasania. Daje to sześć miesięcy, które zajmują sezon zimowy. Nikt nie przechodzi tędy latem. Trzeba więc mieć 28.000

wielbłądów, ponieważ każdy z nich odbywa tylko jedną trasę. Licząc po 180

dolarów za każdego, daje to inwestycję kapitału ponad 5 milionów dolarów.

Jeśli dodasz do tego uprzęże, okrycia, płace poganiaczy itd., uzyskasz 6 milionów.

— Boże! — powiedziałem. — Z pewnością opłacałoby się użyć ciężarówek.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział Byrne. — Wielbłąd może się

utrzymać w tym interesie przez cztery lata. Oznacza to że co roku potrzebnych jest 7.000 nowych zwierząt. Ktoś musi je hodować, tacy faceci jak ja, lecz częściej tacy jak Hamiada. Jedno z drugim daje dwa miliony dolarów z handlu solą z Bilma, które trafiają do hodowców. A Bilma nie jest jedynym źródłem soli. W Saharze Zachodniej znajduje się Taoudenni, które zaopatruje Timbuktu, oraz obszar całego zakola Nigru. Jest on dużo większy od tego, z którym handluje Bilma — uniósł wzrok. — Jest więc sprzeczne z prawem przewożenie soli na ciężarówkach. Gdyby dopuszczono do użycia ciężarówek, zostałaby zrujnowana tradycyjna ekonomia i zniszczona struktura plemion pustynnych.

— Rozumiem — odparłem zamyślony. — Humanitaryzm przeciwko

wydajności. — Brzmiało to logicznie, lecz wątpię, aby jakiś trzeźwo myślący biznesmen z City zgodził się z tym.

— Patrz — powiedział Byrne. — Kaouar.

Na horyzoncie rozciągał się poszarpany zarys gór, spowitych błękitną mgiełką z powodu dzielącej nas odległości.

— Bilma?

— Bilma — odparł z satysfakcją.

Pół dnia później, z przyjemnością dostrzegłem odcienie zieleni, pierwsze oznaki roślinności od czasu opuszczenia Fachi, a wkrótce potem mogłem rozróżnić poszczególne palmy daktylowe. Byrne pospieszył na czoło, aby zamienić parę słów z Mokhtarem. Po chwili wrócił.

— Nie wjedziemy do Bilmy, jeszcze nie teraz — powiedział. — Może tam być Kissack, więc musimy uważać. Zatrzymamy się w warzelni soli w Kalala.

Kalala okazała się równiną ze stosami nieczystości, wyrzuconych z warzelni.

Znajdowało się na niej wielu ludzi i jeszcze więcej wielbłądów, jako że rozłożyło się tam kilka innych karawan. Naszym wielbłądom zdjęto ładunki, a Byrne zwrócił uwagę na otaczającą nas scenerię. Wskazał grupę mężczyzn skupionych wokół Mokhtara.

— Kolejni Tuaregowie z Air. Myślę, że będą wracali jutro. Wyglądają na gotowych do drogi — odwrócił się w drugą stronę. — Ci faceci tam, to Kanuri z Czadu. Sól jest najważniejszą substancją w Afryce. Zwierzęta chorują, jeśli jej nie dostają. Kanuri z Czadu są hodowcami, więc potrzebują soli. Tak samo Hausa z okolic Kano w Nigerii.

— Od jak dawna to już trwa?

— Nie mam pojęcia. Tysiąc lat, może więcej. Słuchaj Max, zostajesz tutaj, dopilnuj, żeby Paul się

gdzieś nie włączył. Jadę do Bilmy pożyczyć wóz, chcę odzyskać Toyotę, a także zobaczyć czy Kissack jest tutaj.

— Bądź ostrożny.

— Jestem po prostu jednym z wielu Tuaregów — odparł. — Czarczaf jest użyteczny.

Odszedł, a ja wziąłem Billsona i poszliśmy przyrzeć się warzelniom soli.

Billson czuł się znacznie lepiej. Chociaż długa przejażdżka na wielbłądzie nie jest powszechnie uważana za najlepszą kurację zdrowotną, nie ma wątpliwości, że nią jest w porównaniu z bieganiem w górę i w dół po piaskowych wydmach.

Mokhtar dostarczył maści, którą Byrne zaaprobował i bolesne zaognienie wokół rany Paula zniknęło.

U Paula widać było również poprawę duchową i jak na człowieka, który normalnie zachowywał ponure milczenie, stał się bardzo gadatliwy. Może pustynia miała z tym coś wspólnego.

Patrząc w dół na panwie solne miało się wrażenie, że ogląda się mniej zdrową część Piekła Dantego. Ziemię zawierającą sól wykopywano z jam i wrzucano na płuczki, gdzie nie oczyszczona sól odkładała się na powierzchni, w miarę jak woda odparowywała w promieniach słońca. Stamtąd mozolnie zeskrobywano ją i pakowano do form, gdzie przybierała kształt słupów mających około metra wysokości.

— Wiesz — niespodziewanie odezwał się Paul — po raz pierwszy ten

fragment z Biblii o żonie Lotha zamienionej w słup soli nabrał sensu. Aż do tej chwili nigdy nie mogłem zrozumieć tego ze słupem soli.

Pomyślałem o szlakach karawan biegnących przez Saharę i zastanowiłem się, czy sól z Bilmy znalazła w starożytności drogę do Izraela. Wydawało się to nieprawdopodobne — Morze Martwe było bardziej zasolone od innych —

jednak metoda produkcji liczyła zapewne wiele lat.

Wróciliśmy do karawany i odpoczywaliśmy. Wielbłądy również

wypoczywały, niektóre z nich od czasu rozładowania leżały płasko na bokach.

Nigdy nie widziałem, aby wielbłądy tak robiły. Przyglądałem się właśnie jednemu z nich, kiedy obok przeszedł Mokhtar. Dostrzegł moje zainteresowanie i usiłował znaleźć słowa. Po długim namyśle wypowiedział wreszcie:

— Fatigue, tres fatigue.

Skinąłem głową. Gdybym ja szedł przez miesiąc po szesnaście godzin na dobę, to też byłbym cholernie zmęczony. Ale Mokhtar szedł, a wyglądał świeżo, jak stokrotka. Żebra wielbłąda wyraźnie rysowały się pod sierścią.

— Jest chudy, maigre — poklepałem się po boku i powtórzyłem: — Maigre.

Mokhtar powiedział w języku Tamachek coś, czego nie zrozumiałem.

Widząc, że nie wiem o co chodzi, chwycił wielbłąda za uzdę i zmusił go do powstania. Skinął mi ręką, więc poszedłem za nim. Zaprowadził wielbłąda do kamiennego koryta leżącego jakieś pół kilometra dalej, które mozolnie napełniono wodą ze studni.

Wielbłąd pochylił głowę i zaczął pić. Pił bez przerwy przez dziesięć minut i pęczniał w oczach. Musiał wypić więcej niż dwadzieścia galonów wody, a kiedy skończył, był równie pulchnym i wypasionym zwierzęciem jak inne.

Byrne wrócił dopiero następnego dnia przed południem, ale przyjechał

Toyotą. Pomijając rozbitą przednią szybę, wyglądała tak samo jak przed strzelaniną. Trzeba jednak zacząć od tego, że już wówczas była pogruchotana.

Parę dziur miała wcześniej, a różnica która nie robi różnicy, jest bez znaczenia.

Wraz z Billsonem dobrze wypoczęliśmy — całonocny, zdrowy sen dużo

znaczy — ale Byrne po raz pierwszy wglądał na zmęczonego.

— Potrzebujesz snu — odezwałem się.

Skinął głową.

— Wypocznę dziś po południu i prześpię się wieczorem, ale najpierw mamy coś do załatwienia. Wsiadaj.

Wdrapałem się do Toyoty, a Byrne puścił sprzęgło. W trakcie jazdy, wietrzyk omiatał kabinę.

— Teraz będzie przewiewna — powiedziałem. — Dokąd jedziemy?

— Czatować na gromadę turystów — odparł ku memu zaskoczeniu. — Jak tam twój niemiecki?

— Poprawny i nic więcej.

— Może wystarczy. Kissack jest w Bilmie. Oddał Bailly'ego do miejsca uchodzącego za szpital i rozpuścił bajeczkę o wypadku samochodowym, żeby wytłumaczyć jego nogę. Uszło mu to na sucho, bo nie ma tam lekarza. Bailly zostanie jutro przetransportowany samolotem.



— Trudno żeby jeszcze rozgłaszał, że został napadnięty, a przynajmniej nie po tym, co nam zrobił. Ale dlaczego my nie zameldujemy o tym na policji?

— A jak byśmy wytłumaczyli twoją obecność? Jesteś w Nigrze nielegalnie

— Byrne zdecydowanie pokręcił głową. — Do diabła, z tobą czy bez, zostalibyśmy tu uwięzieni na całe miesiące. A poza tym chciałbym sam wyrównać porachunki z Kissackiem i zrobić to po swojemu.

— Cóż więc mają do tego niemieccy turyści?

— Przyszło mi na myśl, że Kissack nic nie wie o tobie.

Zastanowiłem się nad tym i doszedłem do wniosku, że zapewne tak było.

Nikom w Anglii nie powiedziałem dokąd jadę. Wszyscy sądzili, że prażę się w słońcu na Jamajce, jak zasugerował Charlie Malleson, zamiast robić to samo w tak nieprawdopodobnym miejscu jak Bilma. I chociaż znajdowałem się tak blisko Kissacka, że mogłem go dotknąć, on znał mnie tylko jako bezimiennego Targui. Widział mnie tylko w hotelu de l'Air i przez celownik karabinu w Tenere.

— Chcę cię ulokować w pobliżu Kissacka — rzekł Byrne. — Dowiedz się, co on robi.

— A co z niemieckimi turystami?

— Rozmawiałem z przewodnikiem po Tenere, pewnym Targui którego

znam. Mówi, że z północy przyjeżdża gromada Niemców i zjadą do Bilmy dziś po południu. Ma zamiar poprowadzić ich przez Tenere. Przepis rządowy głosi, że wszystkie wycieczki po Tenere muszą mieć przewodnika.

— No i co? — nie zaskoczyło mnie to specjalnie.

— W Bilmie nie ma zbyt wielu Europejczyków, więc nie możesz tam pójść tak po prostu, żeby porozmawiać z Kissackiem. Miejscowi przedstawiciele prawa spostrzegliby cię i chcieliby zobaczyć twoje dokumenty. Jeśli jednak przybędziesz z grupą Niemców, możesz wtopić się w tłum. Wysadzę cię jakieś pięć kilometrów od Bilmy i możesz zabrać się okazją.

To mogło się udać. Każda grupa Europejczyków podrzuciłaby o kilka

kilometrów samotnego, europejskiego autostopowicza.

— Co mam im powiedzieć?

— Do diabła, powiedz im co chcesz. Chociaż nie. Jakieś dziesięć kilometrów od drogi jest kilka rzeźb skalnych. Powiedz im, że przyszedłeś z Bilmy aby je obejrzeć, ale teraz jesteś zmęczony i

byłbyś wdzięczny za podrzucenie z powrotem — zastanawiał się przez chwilę. — Lepiej żebyś zobaczył te rzeźby.

Pojechaliśmy więc wyboistą drogą na północ od Bilmy obejrzeć rzeźby

skalne. Sądzę, że były to raczej ryty niż rzeźby wyrżnięte niezbyt głęboko w pionowych krawędziach skał. Ich tematyka była interesująca. Sporo bydła o szeroko rozstawionych rogach, jakiś jeździec na koniu — niewątpliwie ogierze

— chociaż jeździec został przedstawiony jako patyczkowata figurka, a także kurnemu zaskoczeniu słoń, narysowany płynną kreską, której nie powstydziłby się Picasso.

— Słoń?

— Czemu nie? — zapytał Byrne. — Jak sądzisz, skąd Hannibal wziął słonie żeby przejść przez Alpy?

— Nigdy nie zaprzątałem sobie głowy tym problemem.

— Słoń północnoafrykański wyginał jakieś dwa tysiące lat temu. Widziałem jednak ich szkielety. Były to maleństwa o połowę mniejsze od słoń indyjskich.

Spojrzałem na otaczające nas jałowe pustkowia. Nie znalazłoby się tutaj dosyć roślinności, aby wyżywić skarłowaciałego królika. Ponownie

skierowałem wzrok na ryt.

— Ile on ma lat?

— Może trzy tysiące. Nie jest tak stary jak malowidła na Tassili — wskazał

serię znaków: krzyżyków, kółek, kwadracików i kropek. — To jest świeższej daty, to Tifinagh, pisana forma języka Tamachek.

— Co tam jest napisane?

— Nie mam pojęcia, nie potrafię tego odczytać — uśmiechnął się. —

Zapewne coś w rodzaju „Kocham Lucy, albo „Kilroy był tutaj”. Lepiej się przebierz.

Ponownie więc stałem się Europejczykiem, a ubranie wydawało mi się

dziwnie krępujące ruchy po swobodzie, jaką dawała gandoura. W drodze

powrotnej na szlak Byrne powiedział:

— Kierownik wycieczki zbierze zapewne wszystkie paszporty i zanieś je do fortu do przejrzenia.

Oczywiście nie poprosi o twój. Po prostu wmieszaj się w grupę tak, aby wyglądało, że jesteś jednym z nich. Wkrótce rozbiją się na małe grupki, żeby obejrzeć Bilnę, a to da ci szansę upolowania Kissacka.

— Wszystko w porządku, dopóki gliny nie zaczną nas przeliczać. — Byrne przecząco pokręcił głową. — Gdzie mogę najpewniej znaleźć Kissacka?

— Gdziekolwiek, rozglądaj się za Range—Roverem, ale jest tam walący się szałas zwany restauracją. Może tam go znajdziesz. Jest to w każdym razie szansa, żeby napić się piwa.

Wysadził mnie przy drodze i odjechał, troskliwie zostawiwszy mi przedtem manierkę wody, wyglądającą jakby służbę rozpoczęła w armii brytyjskiej.

Niemiecka grupa pojawiła się trzy godziny później. Osiemnaście osób w czterech Land—Roverach o wydłużonym rozstawie osi. Gdy pierwszy Land—

Rover zbliżył się, wstałem i wystawiłem rękę. Zatrzymał się. Mój niemiecki, którego nauczyłem się podczas służby w Armii Renu, był prawie tak

gramatyczny, jak francuski Byrne'a i równie użyteczny. Żaden cudzoziemiec nie ma jednak nic przeciwko temu, abyś mówił kiepsko jego językiem pod

warunkiem, że będziesz próbował. Z wyjątkiem oczywiście Francuzów.

Kierowca pierwszego Land—Rovera był kierownikiem grupy i chętnie

zgodził się zabrać mnie do Bilny, jeżeli byłem gotów pognieść się na przednim siedzeniu. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Co pan tu robi?

— Przyszedłem z Bilny zobaczyć parę rytów skalnych — uśmiechnąłem się.

— Wolałbym nie wracać pieszo.

— Nie wiedziałem, że są tu jakieś w pobliżu. Sporo ich na północy w Col des Chandeliers. Gdzie one są?

— Jakies trzy kilometry za nami, tuż przy drodze.

— Mógłby mi je pan pokazać? Może zainteresowałyby moich ludzi.

— Jasne, z przyjemnością.

Wróciliśmy więc, aby przyjrzeć się rytom. Przyszło mi na myśl, że Byrne dobrze zrobił zabierając mnie tam. Spędziliśmy przy nich dwadzieścia minut. W

tym czasie Niemcy pracowicie pstrykali zdjęcia swoimi japońskimi aparatami.

Tworzyli mieszaną grupę w wieku wahającym się od nastolatków do starców.

Zastanawiałem się, co przywiodło ich na pustynię. Z pewnością nie była to normalna wycieczka urlopowa.

W niecałe pół godziny później jechaliśmy w górę długiego stoku prowadzącego do fortu w Bilmie. Land—Roverzy zaparkowały z teutońską dokładnością, równym rzędkiem tuż przy bramie, a ja otworzyłem drzwi.

— Dzięki za podwiezienie.

Skinął głową.

— Helmut Shaeffer. Może byśmy się napili piwa w restauracji, co?

— Jestem Max Stafford. Niezła myśl. Gdzie jest ta restauracja?

— Nie wie pan? — w jego głosie brzmiało zaskoczenie.

— Samej Bilmy jeszcze niewiele widziałem. Przyjechaliśmy wczoraj późno w nocy.

— Aha — wskazał ręką w dół stoku na prawo. — To tam, nie można jej przeoczyć.

Tak jak Byrne przewidział, zaczął zbierać paszporty. Ociągałem się,

rozmawiając z mężczyzną w średnim wieku, który rozprawiał o cudach, jakie zobaczył na północy. Schaeffer zabrał plik paszportów do fortu, a grupa zaczęła się rozchodzić. Niedbale podążyłem za trójką zmierzającą z grubsza w stronę restauracji. Zgodnie z opisem Byrne'a, była wałącym się szafasem. Niemcy spojrzeli na wypalony słońcem szyld, łuszczące się ściany. Wydali kilka niepewnych pomruków, po czym zdecydowali się i weszli do środka. Ruszyłem za nimi, niemal depcząc im po piętach.

Wewnątrz było nagie pomieszczenie z kontuarem po jednej stronie.

Znajdowało się tam też kilka stołów z nie obrobionej tarcicy, porozstawiane krzesła i drewniana ława biegnąca wzdłuż dwóch ścian. Włosy mi się zjeżyły, kiedy zobaczyłem Kissacka siedzącego na ławie przy stole w kącie, obok człowieka w miejscowym stroju. Nie był Targui, bo nie nosił czarczafu. Mógł to być Arab, którego widział Konti. Kissack jadł omlet.

Uniósł wzrok i spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Odwróciłem się więc i zacząłem mówić po niemiecku do stojącego obok mnie mężczyzny, pytając czy jego zdaniem posiłki przygotowywano tu

higienicznie. Doradził mi, abym ograniczył się do jajek. Kiedy ponownie spojrzałem na Kissacka, przestał się już nami interesować. Wydawał się bardziej pochłonięty tym, co miał na talerzu.

Podsunęło mi to pewien pomysł. Przeciąłem pomieszczenie, stanąłem przed nim i zapytałem po niemiecku, czy omlet jest godny polecenia.

Uniósł wzrok i zmarszczył brwi.

— He? Nie znasz angielskiego?

Przyoblekłem twarz w uśmiech, który wydał mi się dziwny, gdyż wcale nie miałem ochoty uśmiechać się do tego zabójcy.

— Pytałem, czy mógłby pan polecić ten omlet. Przepraszam, ale tak długo podróżowałem z tą grupą, że niemiecki przyszedł automatycznie.

— Przyzwoity — mruknął.

— Dziękuję. Z piwem powinien nieźle smakować — usiadłem przy sąsiednim stoliku, blisko niego.

Odwrócił się i cicho zaczął coś mówić do Araba. Słońce nie obchodziło się zbyt łaskawie z Kissackiem. Twarz miał przypieczoną na raka, a skóra wciąż mu schodziła. Cieszyło mnie to. Zarobienie honorarium mordercy nie przychodziło mu łatwo.

Kiedy podszedł kelner, aby przyjąć ode mnie zamówienie, zupełnie, nisko przeleciał samolot. Kissack wykonał gwałtowny gest, a Arab wstał i wyszedł.

Zamówiłem omlet i piwo, po czym odwróciłem się i wyjrzałem przez okno za mną. Arab szedł w stronę fortu.

Po chwili stanęła przede mną butelka piwa i niezbyt czysta szklanka.

Nalewając piwo zastanawiałem się, jak podejść Kissacka. Byrne'owi dobrze było mówić o umieszczeniu mnie w otoczeniu Kissacka — to zostało już

zrobione — ale co dalej? Nie bardzo mogłem zapytać: „Czy zabiłeś ostatnio jakiegoś porządnego człowieka?”

Musiałem jednak jakoś zacząć, a stare chwytaki są najlepsze, powiedziałem więc:

— Czy my się już nie spotkaliśmy?

Mruknął i spojrzał na mnie z ukosa.

— Skąd przyjechałeś?

— Z północy. Przez Col de Chandeliers.

— Nigdy tam nie byłem — wzrok ponownie skierował na talerz.

— W takim razie musiało to być w Anglii — nalegałem.

— Nie — odparł stanowczo, nie podnosząc wzroku.

Wypiłem parę łyków piwa i przekląłem Byrne'a. W swoim czasie mogło się to wydawać niezłym pomysłem — zazwyczaj rodacy spotykający się w trakcie podróży są zadowoleni mogąc pogawędzić. Ale Kissack był w złym humorze, skwaszony i niechętny do rozmowy.

— Przysięgłbym... — powiedziałem.

Kissack odwrócił się do mnie.

— Słuchaj stary, nie byłem w Anglii od dziesięciu lat—stanowczy ton jakim to powiedział wskazywał wyraźnie, że uważał ten temat za skończony.

Napiłem się jeszcze trochę piwa i czekałem na omlet. Kissack zaczął mnie drażnić i już miałem zamiar „wbić mu szpilę”, kiedy ktoś zawołał:

— Herr Stafford! — zamarłem, po czym uniosłem wzrok i zobaczyłem

Shaeffera, który właśnie wszedł. Kątem oka spojrzałem na Kissacka, aby przekonać się czy mu to nazwisko coś mówiło. Wyglądało na to, że nie, więc odetchnąłem z ulgą.

— Cześć Helmut — powiedziałem, mając nadzieję, że nie okaże zaskoczenia na takie spoufalanie się z jego imieniem ze strony przypadkowego znajomego.

— Napij się piwa. — Kiedy usiadł, natychmiast pożałowałem swego

zaproszenia. Shaeffer mógł nieświadomie palnąć coś i ujawnić, że nie byłem członkiem jego grupy. Jediną sprzyjającą okoliczność stanowił fakt, że nie mówił zbyt dobrze po angielsku.

— Wszystko w porządku w forcie? — zapytałem po niemiecku. Wzruszył ramionami.

— Są teraz zbyt zajęci, aby zawracać sobie nami głowę. Przyleciał samolot z Agadez, żeby zabrać rannego do szpitala. Zostawiłem tylko paszporty, odbiorę je później.

Kelner postawił przede mną omlet, a ja zamówiłem piwo dla Shaeffera.

Kissack zamówił kolejne piwo, a więc miał zamiar jeszcze tu zostać przez jakiś czas. Zwróciłem się do niego:

— A jednak pana widziałem.

— Na miłość boską! — rzekł zmęczonym głosem.

— Czy przypadkiem nie w Tammanrasset? Jechaliście Range—Roverem.

To do niego dotarło. Zamarł ze szklanką uniesioną do ust. Odwrócił się i spojrzał na mnie kamiennym wzrokiem.

— Do czego zmierzasz, stary?

— Do niczego — odparłem spokojnie. — Co prostu takie rzeczy mnie dręczą. Miło wiedzieć, że się nie pomyliłem. Więc był pan w Tam.

— A jeśli byłem, to co z tego?

Zająłem się moim omletem.

— Nic — odwróciłem się do Shaeffera i przeszedłem na niemiecki. —

Zapomniałem ci powiedzieć. Rhossi, wasz przewodnik, jest tu w Bilmie. Ktoś powiedział mi, że czeka na grupę niemiecką, więc przypuszczam, że chodzi o was. Widziałeś się z nim? — kątem oka dostrzegłem, że Kissack wpatruje się we mnie. Miałem nadzieję, że kompletnie nie znał niemieckiego.

Shaeffer pokręcił głową.

— Będzie obozował w Kalala, niedaleko warzelni soli. Ponownie zwróciłem się do Kissacka.

— Właśnie pytałem Helmuta, czy widział się z przewodnikiem. Trzeba mieć przewodnika, żeby przejechać Tenere.

— Kiedy byłeś w Tammanrasset? — zapytał nagle Kissack.

— Najwyraźniej w tym samym czasie co ty — odparłem. — A przy okazji, czy słyszałeś coś o facecie, który zniknął? Tym Angliku. Kiedy wyjeżdżałem, zrobił się cholerny rwetes.

— Jak się nazywał? — Kissack oblizał usta.

— Willson — powiedziałem. — Nie, nie tak. Williamson? Nie, to też nie to.

Pamięć rzeczywiście płata mi figle, najpierw ty, a teraz ten facet —

zmarszczyłem brwi. — Billson! — powiedziałem triumfalnie. — Tak się

właśnie nazywał. Billson. Policja solidnie wkurzyła się przez niego, wiesz jacy są ci Algierczycy. Przekłęci biurokraci z pistoletami maszynowymi!

Kelner postawił przed Shaefferem butelkę piwa i szklankę. Podał też piwo Kissackowi. Ten jednak je zignorował.

— Co się stało z tym Billsonem? — jego głos brzmiał nienaturalnie spokojnie.

Nie odpowiedziałem od razu, najpierw włożyłem do ust kawałek omletu.

Zainteresowałem Kissacka do tego stopnia, że sam zaczął zadawać pytania, a to już był postęp. Poza tym omlet smakował zupełnie przyzwoicie. Przełknąłem go i powiedziałem:

— Pojechał do Atakom nie pytając o pozwolenie i nie wrócił. Kiedy wyjeżdżałem krążyło na ten temat sporo plotek.

— Jakich plotek?

— Ach, to samo co zwykle w podobnych przypadkach. Większość z nich zupełnie nieprawdopodobna.

Miałem Kissacka „na widelcu”, bo zapytał:

— Na przykład jakich? Wzruszyłem ramionami.

— Ktoś chyba mówił, że jego Land—Rover odnaleziono spalonego po drugiej stronie Assekremu. Znasz tamte okolice?

— Nie specjalnie — odparł Kissack ostrożnie.

— Ten omlet jest cholernie dobry — zauważyłem. — W każdym razie ktoś inny opowiadał, że znaleziono jego ciało i zmarł od poparzeń. A później rozeszła się pogłoska, że przywieziono go żywego, ale z raną postrzałową.

Mówiłem ci, zupełnie niewiarygodne historie. Takie rzeczy się teraz nie zdarzają, prawda? Pustynia jest teraz cywilizowanym obszarem.

— O czym rozmawiacie? — zapytał Shaeffer. Uśmiechnął się. — Mój

Tamachek jest lepszy od angielskiego, słyszałem jak wymieniałeś

Tammanrasset, Atakor i Asekrem.

— Ach, chodzi tylko o jakiegoś Anglika, który zaginął niedaleko Tam.

Kissack wyglądał na zaszępionego.



— Czy mówiono, co w końcu stało się z Billsonem? — spytał.

— Ostatnio słyszałem, że przebywał w szpitalu w Tam pod strażą policji, taki swego rodzaju areszt domowy. Chociaż to też pewnie jakaś cholerna plotka.

Kissack umilkł i nalał sobie piwa. Ciężko myślał, niemal widziałem jak mu się kotłuje w głowie. Odwróciłem się do Shaeffera i zacząłem gawędzić o problemach związanych z przejściem przez Tenere, wszystko po niemiecku. Po chwili Kissack rzekł:

— Stafford... nazywasz się Stafford, prawda? Odwróciłem się.

— Tak?

— W jaki sposób dostałeś się tutaj z Tam?

Pytanie było bardzo trafne i kłopotliwe. Próbowałem wyobrazić sobie mapę Michelina, nad którą ślęczałem i niedbale odparłem:

— Z Tam poleciałem do Djanet, a następnie na południe. Miałem już zamówione miejsce w tej grupie. A dlaczego?

— Co robiłeś w Tam?

Zmarszczyłem brwi.

— Nie sędzę, aby to był twój interes, ale ci powiem. Interesuję się Charlesem de Foucauld. Chciałem zobaczyć gdzie i jak żył.

— Uważam, że jesteś cholernym kłamcą — powiedział Kissack. — Skinął

głową w stronę Shaeffera. — Każda wycieczka jadąca z Djanet i tak przejeżdża przez Tammanrasset. Dlaczego więc miałbyś tam jeździć dwa razy?

Wstałem.

— Ponieważ opuszczę grupę w Agadez i pojedę na południe do Kano. Oto dlaczego. A teraz wstawaj z tej przeklętej ławy. Nikt nie będzie mnie nazywał

kłamcą.

Kissack uniósł na mnie wzrok, lecz nie ruszył się.

— Co się stało? — spytał Shaeffer. Nie rozumiał, co zostało powiedziane, ale nie trzeba było rozumieć języka, aby zauważyć zmianę atmosfery.

— Ten człowiek nazwał mnie kłamcą. — Nagle ogarnęła mnie wściekłość na Kissacka i

zaprzagnąłem dołożyć mu ile wlezie. Pochyliłem się, chwyciłem go za koszulę i postawiłem na nogi. Stół przewrócił się, a szkło rozbiło o podłogę.

Kissack sięgnął pod marynarkę, więc wpakowałem mu łokieć w bok i wyczułem twardość pistoletu.

Wówczas Shaeffer chwycił mnie z tyłu i odciągnął na bok.

— Herr Stafford, to nie miejsce, żeby narobić sobie kłopotów — powiedział

mi do ucha. — Więzienie tutaj jest kiepskie.

Kissack trzymał rękę pod marynarką. Uwolniłem się z uchwytu Shaeffera i wyciągnąłem palec w stronę Kissacka.

— Ty też nie chcesz tu glin, nie z tym co tam masz. Musiałbyś się za bardzo tłumaczyć.

Barman wyszedł zza kontuaru, trzymając długi na pół metra, metalowy pręt, ale stanął, gdy Shaeffer powiedział coś po arabsku. Kissack wyciągnął rękę, była pusta.

— Nie wiem o co chodzi — rzucił szybkie spojrzenie w stronę barmana. —

Do diabła, co za parszywe miejsce — sięgnął ręką do kieszeni i rzucił kilka banknotów na podłogę, po czym odszedł w stronę drzwi.

Z oddali ktoś rzekł po niemiecku:

— Awanturujący się Anglicy, idę o zakład, że są pijani.

— Powiedz właścicielowi, że zapłacę za wszystkie szkody. Twój arabski brzmi lepiej niż jego francuski — powiedziałem do Shaeffera.

Skinął głową i wyrzucił z siebie kilka charkotliwych słów po arabsku.

Barman, nie uśmiechnąwszy się, krótko skinął głową, zebrał pieniądze i wrócił za kontuar.

— Nie powinien pan wywoływać tu bójek, Herr Stafford — odezwał się Shaeffer. Pokręcił głową. — To nierozsądne.

— Zostałem sprowokowany — spojrzałem przez okno i zobaczyłem

Kissacka idącego w stronę przytulonych do siebie domów koloru błota,

tworzących Bilmę. Zawaliłem sprawę. Nie wydostałem z niego nic, co mogłoby się przydać. Co więcej, zapewne dałem mu podstawę do podejrzeń.

Ale może coś dałoby się naprawić, gdybym szybko się do tego zabrał.

Podszedłem do baru i położyłem na nim banknot. Barman spojrział na mnie bez zmrużenia oka, więc położyłem następny. Musiałem dołożyć jeszcze dwa, zanim krótko skinął głową. Potem szybko wyszedłem szukać Kissacka. Gdybym go dorwał samego, musiałby powiedzieć mi kilka rzeczy, czy miał pistolet, czy nie.

Zabudowa Bilmy przypominała trochę korytarze w Labiryncie Dedala.

Żadnych ulic, jedynie gmatwanina zaułków i przejść. Gdybym spotkał

Minotaura, nie byłbym specjalnie zaskoczony. Miałem trudności z

dotrzymaniem Kissackowi kroku. Dwukrotnie go zgubiłem i musiałem

odszukiwać. Nie żeby się specjalnie wymykał. Nawet nie oglądał się za siebie, żeby sprawdzić czy jest śledzony. Prawdę mówiąc uważam, że sam się czasami gubił, co nie jest zbyt trudne w Bilmie. Przysięgłbym, że trzykrotnie minął ten sam róg.

Szedłem za nim coraz głębiej i głębiej w ten labirynt. Nie widziało się zbyt wielu ludzi, a ci na których się natknąłem patrzyli na mnie obojętnie. Z wyglądu przypominali ludzi, których widziałem w Pachi, a których Byrne nazywał

Kanuri. Dość często przechodziłem przez mniej lub bardziej otwartą przestrzeń, gdzie stały zamknięte za ogrodzeniem owce lub kozy, a kury gdakały. Jednak ogólnie rzecz biorąc, były tam tylko ściany z błota, nierzadko zaopatrzone w sekretne drzwi. Porządna ulewa rozpuściłaby Bilmę w ciągu jednej nocy, sprowadzając ją z powrotem do postaci błota, z którego powstała.

W końcu wychyliwszy się zza rogu zobaczyłem jak Kissack otworzył jakieś drzwi i zniknął w środku. Podszedłem bliżej i spojrzałem na te drzwi, oraz rozległą, pozbawioną okien ścianę. Wejście na nią nie nastęczyłoby zbyt wielkich trudności, ale dokonanie włamania w biały dzień byłoby nierozsądne.

Nawet jakiś tępy Kanuri mógłby to uznać za aspołeczne. Poza tym miałem niemiłą świadomość, że jakaś stara, bezzębna baba zatrzymała się na końcu zaułka i patrzyła na mnie.

Podczas gdy zastanawiałem się nad następnym krokiem, decyzję pomógł mi podjąć jakiś głos mówiący po francusku:

— Dlaczego nie zaczekał w restauracji? — dopłynął on zza rogu, który właśnie minąłem.

To zadecydowało. Mogłem zrobić tylko jedno, otworzyłem więc drzwi i

wśliznąłem się do środka. Znalazłem się na podwórzu dostatecznie dużym, aby pomieścić Range—Rovera i niewiele ponadto. Wzdłuż brzegów podwórza

znajdowały się nędzne budy zrobione z wszechobecnego błota.

Za mną, po drugiej stronie drzwi ten sam głos powiedział:

— Czy to tutaj?

Nie dało się zrobić wiele więcej niż ja zrobiłem. Rzuciłem się naprzód i dałem nura pod Range—

Rovera, dziękując w duchu, że miał wysokie

zawieszenie. Zdażyłem w samą porę, bo gdy tylko ukryłem się, drzwi otworzyły się na oścież i kilku ludzi weszło na podwórze. Odwróciłem głowę, policzyłem stopy i podzieliłem przez dwa — czterech ludzi.

— Gdzie jest Kissack? — odezwał się mężczyzna, który pytał o restaurację.

Wciąż mówił po francusku. — Kissack! — ryknął.

— Tutaj — głos Kissacka doszedł z wnętrza jednej z lepianek.

Ten, który mówił po francusku, przeszedł na angielski.

— To wyjdź. — Trzasnęły drzwi i pojawiły się stopy Kissacka. — Jesteś w błędzie sądząc, że wejdziesz do tej zapchlonej psiej budy. — Ton pełen był odrazy, a akcent typowy dla spikerów BBC.

— Cześć, Lash — powiedział Kissack.

— Nie spoufalaj się — odparł Lash cierpko. — Dla ciebie jestem panem Lash. — Ponownie przeszedł na francuski. — A wy znikajcie na najbliższe pół

godziny, ale tak, żeby później można było was znaleźć.

— Może w restauracji? — zapytał ktoś.

— W porządku, ale zostańcie tam tak długo, żebym mógł was znaleźć. —

Trzech ludzi wyszło, a drzwi się zatrzasnęły. Odezwał się Lash. — A teraz powiedz mi co u diabła robiłeś Kissack?

— Tylko to, co mi kazano — rzekł Kissack ponuro.

— Jak jasna cholera! — wybuchnął Lash. — Jest kontrakt na Billsona, a on jeszcze żyje. Dlaczego?

— Chryste, nie wiem — odpowiedział Kissack. — Powinien nie żyć.

Zastrzeliłem go w najstraszniejszej okolicy, jaką kiedykolwiek widziałeś. Nie mógł stamtąd wyjść.

— Więc ktoś mu pomógł, a zarazem ktoś daje ogłoszenie o tym przeklętym samolocie. Ogłoszenie, na Boga! Ulotki na całej tej przeklętej pustyni. Intencja była taka, Kissack, aby nie ściągać uwagi na ten cholerny samolot, ale ponieważ jesteś niezdarą, szuka go każdy Arab i jego arabski wujek.

— To nie moja wina — krzyknął Kissack. — Nie wiedziałem o Byrne'ie.

— Czy to on wypuścił ulotki?

— Tak. Pieprzony Jankes, który został tubylcem.

— Nie mam zamiaru stać tu i wysmażać sobie mózgu — powiedział Lash. —

Wsiadaj do samochodu.

Gdy wsiedli, Range—Rover zakołysał się na sprężynach. Skorzystałem z

okazji, aby wygodniej się ułożyć, bo kamień gniótł mnie w biodro. Przybycie Lasha zmieniło wszystko. Kissack dwukrotnie zawiódł, więc wysłał po posiłki i przybył szef. Z tego co usłyszałem, Lash był z pewnością bardziej cięty niż Kissack.

Wciąż ich słyszałem, gdyż okna mieli opuszczone. Lash powiedział:

— Kiedy dowiedzieliśmy się o ulotkach, kazałem ci nie ruszać się z Agadez.

I co się dzieje? Przyjeżdżam i okazuje się, że pojechałeś na tę przeklętą pustynię. Następnie otrzymujemy wiadomość, że Bailly miał wypadek

samochodowy. Co mu się stało?

— To nie był wypadek — odparł Kissack. Opowiedział Lashowi o tym, jak zasadził się na nas. — Wszystkich miałem w garści, z wyjątkiem jednego, który uciekł i sądziłem, że pieszo daleko nie zajdzie. Nie mieli szans. Właśnie wtedy Bailly zaczął wrzeszczeć jak opętany.

— Co się stało?

— Bóg jeden wie! Ten Arab coś mu zrobił. Co i jak, tego nie wiem, ale straci stopę. Bailly wił się z bólu na piasku i ryczał na całego, a ten Arab wymykał się między wydmy. Trochę go ścigaliśmy, ale zdołał uciec.

— Baliście się — zauważył Lash bezbarwnym głosem.

— Też byś się cholernie bał, gdybyś widział, co zrobił Bailly'emu — odparł

Kissack. — Wrzeszczał bez przerwy. Musiałem go grzmotnąć, żeby się zamknął.

— Więc wpakowałeś go potem do samochodu i przywiozłeś do Bilmy.

Kissack, jesteś durniem.

— A co innego mogłem zrobić?

— Mogłeś zabić Bailly'ego, żeby się zamknął, a później zająć się resztą.

Mówiłeś, że miałeś ich w garści.

— Jezu, ty... — Kissackowi odebrało mowę. — Jesteś zimnym draniem.

— Jestem realistą — rzekł Lash. — A więc, kim byli ci ludzie, do których strzelałeś?

— Jednym z nich był Byrne, ten Jankes, który wypuścił ulotki. W Agades opowiedział mi bajeczkę, ale nie dałem się na nią nabrać. Jestem pewien, że drugim był Billson. Pozostali dwaj to Arabowie.

— Arabowie, czy Tuaredzy?

— Czy to ważne? Dla mnie wszyscy są tacy sami.

— Powtarzam, a nie lubię się powtarzać, jesteś durniem Kissack. Mieli czarzafy?

— Byrne miał, jeden z pozostałych też. Ten, który załatwił Bailly'ego nie miał. — Zapadło chwilowe milczenie. Lash przetrwał zasłyszane wieści.

Kissack zaś powiedział usprawiedliwiająco: — Co za różnica? Chryste, jak ja nienawidzę tej przeklętej pustyni.

— Zamknij się! — Lash milczał jeszcze przez chwilę, po czym zapytał: —

Co się z nimi stało?

— Nie wiem. Tam ich nie ma. Nieźle podziurawiłem tę Toyotę, trafiłem trzy opony. A nikt nie wyjdzie z tych pieprzonych piasków, panie Lash.

— Mówiłeś to już przedtem o Billsonie i pomyliłeś się — rzekł Lash

pogardliwie. — Idę o zakład, że znów się mylisz, bo jesteś durniem. Nim przyleciałem z Algieru, zadałem sobie trudu, aby dowiedzieć się czegoś o tym Amerykaninie, Byrne'ie. Przebywa na pustyni od trzydziestu pięciu lat, Kissack.

Algierczycy nie lubią go specjalnie, ale ma przyjaciół z wpływami

politycznymi, więc wciąż się tu pęta. Tak czy owak, większość czasu spędza w Nigrze. Jeśli go nie zabiłeś, to twierdzą, że wyjdzie z tego, bo wie jak. Czy go zabiłeś?

— Nie — odrzekł Kissack posępnie.

— Jutro zabierzesz mnie i pokażesz tę postrzelaną Toyotę. Jeżeli jej tam nie znajdziemy, to pożałujesz, że nie jesteś Bailly'm.

— Będzie tam, panie Lash. Wiem gdzie wpakowałem kule.

— Nie zakładaj się o to — powiedział Lash chłodno. — Bo ja przypuszczam, że jej tam nie ma. Teraz kazałem ci zostać w Agadez i czekać na mnie. Dlaczego u diabła tego nie zrobiłeś?

Kissack miał przyływ odwagi.

— Proszę pamiętać o tym, co pan mówił po przyjeździe tutaj. Że jest

kontrakt na Billsona i pytał pan dlaczego on jeszcze żyje. Po prostu

wykonywałem swoją robotę.

— Boże Wszechmogący! — powiedział Lash gwałtownie. — Te przekłete

ulotki zmieniły wszystko. Nawet taki kretyn jak ty, powinien to sobie uświadomić. Niezależnie od tego, czy Billson żyje, czy zginął, ten samolot zostanie teraz odnaleziony. Jeśli tak się stanie, mój pracodawca znajdzie się w sytuacji podbramkowej, a to nie przypadnie mu do gustu.

— Gdybym dostał Byrne'a, to nie miałby kto dać nagrody. Dlatego właśnie próbowałem dobrać mu się do skóry.

— Nie zajmuję się żadnym przeklętym gdybaniem — uciął Lash. — Chcę

pewników. A ty jesteś w błędzie. Skoro ten rozbity samolot jest dla Byrne'a wart tysiąc funtów, to każdy kto go znajdzie, dojdzie do wniosku, że jest coś warty również dla kogoś innego, obojętnie czy Byrne będzie uchwytany, czy nie.

Mówię ci, ten samolot zostanie odnaleziony i będzie o nim głośno.

— Co w nim takiego szczególnego? — zapytał Kissack.

— Nie twój interes. — Lash milczał przez chwilę. W końcu odezwał się: —

Domyślasz się, dlaczego Byrne i Billson wyruszyli w tym kierunku? Czy wiesz dokąd jechali?

— Nie pytałem.

— Jak zwykle niczego nie wiesz — stwierdził Lash zgryźliwie. — Od tej chwili nasza praca będzie wyglądała inaczej. Założę się, że Byrne i Billson są jeszcze w pobliżu, więc ich odnajdziemy. A wówczas nawet ich nie tkniesz swoim parszywym paluchem. Co więcej, jeśli wpakują się w tarapaty, to pomożesz im się z nich wyplątać. Zrozumiano?

— Do diabła! Raz chce pan wiedzieć dlaczego nie są martwi, a za chwilę chce pan, abym ich podnosił i otrzepywał z kurzu. — Kissack był wyraźnie zde gustowany.

Lash z trudem zachowywał cierpliwość.

— Nie wiemy, gdzie jest ten samolot, prawda? Ale Byrne może już teraz wiedzieć coś więcej, w końcu rozesłał ogłoszenie. Więc pozwolimy mu go odnaleźć, a jeśli to okaże się konieczne, pomożemy. A wówczas, kiedy

będziemy mieli Byrne'a, Billsona i samolot razem w jednym miejscu...



— Bingo! — powiedział Kissack.

— A ja będę tam cały czas, pilnując żebyś tego nie sknocił — powiedział

Lash. — Czy jest coś jeszcze, o czym twoim zdaniem powinienem wiedzieć?

Niezależnie od tego, jak mało wydaje ci się znaczące.

— Nic mi nie przychodzi na myśl poza tym, że jakieś zabawne plotki krążyły po Tammanrasset.

— Jakie plotki?

— No, słyszałem, że Billson znajdował się w swego rodzaju areszcie

szpitalnym w Tam. Ale nie mógł tam być, prawda? Skoro przebywał w Tenere.

— Kiedy to słyszałeś?

— Dzisiaj w restauracji. Jakiś brytyjski turysta podróżujący z grupą Niemców gadał jak nakręcony. Billson nieżywy na skutek poparzeń, Billson żywy z kulką w środku, Billson żywy w więzieniu. Ale wszystko to tylko plotki, jak mówił ten Stafford.

— Co takiego!?

— Powiedział, że to tylko plotki, nic pewnego.

— Jak brzmiało jego nazwisko?

— Czyje nazwisko?

— Tego brytyjskiego turysty, na miłość boską. A o kim teraz mówimy?

— Aha! Przedstawił się jako Stafford. Nie, nie on, ale jego niemiecki kolega mówił do niego Stafford.

— Boże Wszechmogący! — powiedział cicho Lash.

— I zareagował na Stafforda, kiedy z nim rozmawiałem. Czy on jest istotny?

— Czy powiedział skąd przybył? Mówisz, że był w Tammanrasset.

— Przyjechał tu z Djanet z niemiecką wycieczką. Twierdził, że przyleciał do Djanet z Tam. Zdziwiłem się nieco, ale wyjaśnił mi sprawę. Powiedział, że opuszcza wycieczkę w Agadez i jedzie do Kano.

— I miał przyjaciela Niemca? — W głosie Lasha wyczuwało się zdumienie.

— Zgadza się. Sporo trajkotali po niemiecku. Wydaje mi się, że on był

kierownikiem wycieczki. Mówili o przewodniku mającym ich poprowadzić przez Tenere.

— Przybył z północy z Niemcami? Ale jak... — Lash umilkł w połowie. —

Kiedy to było?

— Niedawno. Przyszedłem tu prosto z restauracji, a pan się zjawił parę minut później.

— Czy w takim razie może tam jeszcze być?

— Był tam, kiedy wychodziłem. — W głosie Kissacka brzmiała nutka

lekceważenia. — Mieliśmy małą kłótnię. Zaczął mnie denerwować.

— W jaki sposób?

— Cała ta jego gadanina o Billsonie w Tam denerwowała mnie.

— Więc mimo wszystko masz trochę wyobraźni. Chodź, zobaczymy czy tam siedzi.

— Więc kim on jest?

Wysiedli z Range—Rovera i przeszli przez podwórze.

— Kłopotem! — powiedział Lash. Drzwi zatrzęsły się.

Wylazłem spod Range—Rovera i rozejrzałem się dookoła. W trakcie tej

interesującej rozmowy przelotnie błysnęła mi myśl, w jaki sposób wprowadzili tego Range—Rovera na podwórze. Nie dało się nim przejechać przez Bilmę, przez zaułki mające najwyżej cztery stopy szerokości. Zagadkę rozwiązał widok pary dużych, podwójnych drzwi. Otworzyłem jedno z nich i znalazłem się na skraju miasta, po drugiej stronie restauracji. Pięć kilometrów do Kalala pokonałem truchtem, mając myśli zaprzątnięte konsekwencjami tego, co

usłyszałem. Najbardziej interesujące okazało się to, że Lash mnie znał lub o mnie słyszał i był bardzo zaskoczony, że przebywałem w Bilmie. Fakt ten, oraz zwrot który padł kilkakrotnie, dały mi niemal pewność, że to Lash pobił mnie w Kensington. Coś mu się za to ode mnie należało.

Kiedy wróciłem do odpoczywającej karawany, Byrne spał, ale Billson znajdował się w pobliżu.

— Gdzie byłeś? — zapytał. — Dokąd on cię zabrał? — Zmierzył mnie

wzrokiem, przyglądając się uważnie angielskiemu ubraniu. — I dlaczego się przebrałeś? Byrne nie chciał mi nic powiedzieć, kiedy wrócił.

Skoro Byrne zdecydował się zachować milczenie, więc i ja musiałem zrobić to samo. W ciągu ostatnich kilku dni Paul zmienił się na lepsze, lecz gdyby dowiedział się, co właśnie usłyszałem, mógłby go szlag trafić. Stanowiło to ostateczny dowód potwierdzający, że ktoś chciał jego śmierci i nie cofnąłby się przed niczym, aby go zabić. A koszty najwyraźniej nie grały roli. Wożenie pół

tuzina ludzi po Saharze lądem i powietrzem nie jest najtańszą rozrywką na świecie, szczególnie jeśli są najemnymi mordercami.

— Włóczyłem się po Bilmie, żeby zobaczyć, co jest do zobaczenia — powiedziałem niedbale.

— Odnalazłeś Range—Rovera?

— Jeśli tam jest, został na pewno ukryty. — Było to zgodne z prawdą.

— A co z Kissackiem? — zapytał niespokojnie. Przypomniałem sobie, że obaj z Byrne'm nie powiedzieliśmy Paulowi nic o spotkaniu Kissacka i

Bailly'ego w Agadez.

— Nawet stojąc obok niego, nie wiedziałbym, że to Kissack — skłamałem.

— A on nie poznałby mnie. Rozluźnij się Paul, jesteś tu bezpieczny.

Poszedłem to Toyoty i wziąłem strój tuareski. Po przebraniu się, poczułem się lepiej. Ubiory noszone na jakimkolwiek obszarze udoskonalano i

dopasowywano do istniejących warunków na przestrzeni lat. Noszenie stroju tuareskiego miało sens i nie czułem się już, jakbym wybierał się na bal maskowy, tylko przewiewnie i swobodnie.

Tej nocy, kiedy Paul spał, obudziłem Byrne'a i opowiedziałem mu o

wszystkim. Kiedy doszedłem do sugestii Lasha, co Kissack miał zrobić z Bailly'm, powiedział ironicznie:

— Ten Lash jest rzeczywiście miłym facetem.

— Nazywa siebie realistą — powiedziałem i ciągnąłem dalej. Kiedy

skończyłem rzekł:

— Dobrze się spisałeś, Max, ale miałeś piekielne szczęście.

— Zgadza się — przyznałem. Od samego początku źle zabrałem się do

Kissacka.

— Raz na wozie, raz pod wozem. Weź Billsona, ma szczęście że

przyjechałeś za nim z Anglii. W przeciwnym razie zginąłby już w Koudii.

Uśmiechnąłem się.

— Obaj mamy szczęście, że jesteś z nami, Luke. Mruknął tylko.

— Jednej rzeczy nie rozumiem. Mówiłeś coś o kontrakcie. Co to za kontrakt?

— Zbyt długo przebywałeś z dala od cywilizacji. To żargon świata

przestępczego sprowadzony ze Stanów. Jeżeli chcesz, żeby jakiś człowiek został

zabity, wystawiasz na niego kontrakt. Płacisz po załatwieniu sprawy.

— Nazywasz to cywilizacją? Tutaj, jeżeli ktoś pragnie czyjejś śmierci, zabija sam, tak jak Konti.

Uśmiechnąłem się, lecz tym razem gorzko.

— Nazywa się to podziałem pracy.

— Wracamy więc ponownie do zasadniczego pytania — powiedział Byrne.

— Kto mógłby pragnąć śmierci Paula? I jeszcze bardziej zasadniczego,

przynajmniej dla mnie, kto mógłby pragnąć mojej śmierci?

— Myślę, że teraz raczej ja jestem na liście — zauważyłem. — Nie wiem Luke, ale nazwisko które przychodzi mi na myśl, brzmi sir Andrew McGovern.

— Brytyjski par! — rzekł Byrne zdumiony.

— Niewiele mówiłem ci, jak ta sprawa wygląda od strony brytyjskiej —

powiedziałem. — Skoro jednak znalazłeś się na liście Lasha, myślę, że powinieneś wiedzieć. — Opowiedziałem mu o wszystkim, po czym dodałem: —

Sądzę, że właśnie Lash musiał mnie pobić. Nie wszystkie zlecenia dotyczą zabójstw. Chcieli mnie odstraszyć.

— A ten facet, McGovern?

— Wszystko zdaje się prowadzić do niego. — Zacząłem wyliczać na

palcach: — Po pierwsze, zatrudnił Paula i dopilnował, żeby od tego czasu był

sowiecie przepłacany. Kiedy tylko Paul miał tę swoją burzę mózgu i zniknął, McGovern odsunął moją firmę od spraw ochrony Wehensley Group. Nie mógł

tego zrobić jedynie we Franklin Engineering, rozumiesz, to wyglądałoby podejrzanie. Nie chciał, abym zbyt dokładnie przyglądał się Paulowi i jego sprawom, a tylko w ten sposób mógł mnie powstrzymać. Następnie próbował

usunąć z drogi siostrę Paula, zanim zdążę się z nią zobaczyć, wysyłając ją do Kanady. Nie wyszło, więc zrezygnował z tego i zostawił ją w Anglii. Mniej więcej w tym samym czasie zostałem pobity i ostrzeżony. Wszystko wraca do McGoverna.

— No dobra, powiedz mi teraz, dlaczego. Dlaczego utytułowany Brytyjczyk miałby robić taki harmider z powodu samolotu, który się rozbił w 1936?

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. Ale kiedy wrócę do Londynu,

Andrew McGovern będzie musiał odpowiedzieć mi na wiele pytań.

— Lepiej zamień „kiedy” na „jeśli” wrócisz do Londynu — powiedział

Byrne kwaśno. — Ile McGovern ma lat?

O tym nie pomyślałem.

— Nie wiem. Może pięćdziesiąt pięć, pod sześćdziesiątkę.

— Weźmy najwyższą wartość. Jeżeli ma sześćdziesiąt lat, to w 1936 miał osiemnaście.

— Albo trzynaście przy niższej cyfrze — powiedziałem. — Coraz mniej w tym sensu. Jakim sposobem nastolatek mógłby być zamieszany w tę sprawę?

Byrne zbył to gestem ręki.

— Trzymajmy się teraźniejszości. Przyjrzałeś się Lashowi?

Pokręciłem głową.

— Tylko jego stopom. Leżałem rozplaszczony pod Range—Roverem. Nie

widziałem też żadnego z pozostałych, oczywiście z wyjątkiem Kissacka i jego arabskiego przyjaciela.

— Ale jest ich teraz pięciu? — Skinąłem głową, a on dodał: — Musiał

przylecieć samolotem, który zabrał Bailly'ego z powrotem do Agadez. I zgodnie z planem Lash nie ma zamiaru nic robić, dopóki nie odnajdziemy samolotu?

— Tak jest teraz. Może jednak zmienić zdanie.

— Musimy zaryzykować. Wiemy teraz, co zamierza zrobić, a on o tym nie wie. Daje nam to przewagę. Chce nam pomagać dopóki nie zlokalizujemy

samolotu. W porządku, nie mam nic przeciwko temu. Proponuję, aby pozwolić mu pomóc, ale przy okazji będzie musiał się odsłonić.

— Przypuśćmy. Może jednak kierować wszystkim z ukrycia.

— Nie sędzę — odparł Byrne. — Nie posłuży się Kissackiem, bo wie, że go widziałem, a Kissack wie, że próbowałem go nabrać, więc Lash też zdaje sobie z tego sprawę. Z tego co mi mówisz wynika, że pozostali są tylko goryłami wynajętymi w Algierze.

— Albo wynajętymi rewolwerowcami — odparłem posępnie.

— Czy mógłbyś rozpoznać go po głosie?

— Myślę, że tak, chyba że jest na tyle sprytny, by go zmienić.

— To wystarczy. — Nie widziałem Byrne'a w ciemnościach, lecz w jego

głosie wyczułem uśmiech. — Wiesz co, Max, jeżeli ci faceci ruszą za nami i będą pomagać po drodze, nie zdziwię się, jeśli wpadną w prawdziwe kłopoty.

Pustynia może okazać się niebezpieczna, szczególnie jeśli się jej pomoże.

— Ile z tego powiemy Paulowi? — zapytałem.

— Zwariowałeś? Nie powiemy mu ani słowa. Po prostu jedzie z nami na przejażdżkę.

Wyruszyliśmy następnego ranka. Konti wciąż nam towarzyszył.

— Zabierzemy go aż do Djado — rzekł Byrne. — Potem pójdzie na wschód do Tibesti, z powrotem do domu.

Nie kryjąc się, objechaliśmy Bilmę i minęliśmy fort. Nie widziałem Kissacka, ani nikogo kto mógłby być Lashem. Następnie skierowaliśmy wóz prosto na północ, jadąc skrajem wału gór Kaouar, nagich zboczy ciągnących się kilometr za kilometrem. Tuż po opuszczeniu Bilmy Byrne powiedział:

— W Dirkou, jakieś czterdzieści kilometrów przed nami, jest posterunek wojskowy. Będę musiał się tam zatrzymać, żeby nabrać paliwa. Ale bez ciebie.

Chcieliby zobaczyć twoje papiery, a nie masz żadnych. Więc zostawię cię tuż przed posterunkiem razem z Kontim. On też nie lubi żołnierzy.

Kiedy dostrzegliśmy odległy zagajnik palmowy, zatrzymał się i wskazał ręką.

— Idźcie w tym kierunku, tak prosto jak potraficie. Dojdziecie do drogi po drugiej stronie posterunku, lecz poza zasięgiem wzroku. Zaczekajcie tam na mnie.

Wysiedliśmy razem z Kontim. Byrne już miał ruszyć dalej, lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę.

— Masz wolną butelkę whisky?

— Jest w torbie z tyłu. Dlaczego?

— W Dirkou jest facet, który lubi popić. Podarunek czyni życie łatwiejszym w okolicy Dirkou. — Odjechał.

Wraz z Kontim ruszyliśmy przez pustynię, dzięki Bogu płaską w tej okolicy.

W jakiś czas później schyliłem się i coś podniosłem. Byrne miał rację, na pustyni nie opodał Bilmy leżały muszle morskie.

Po ciężkim, trwającym jakieś pół godziny marszu, doszliśmy do szlaku i czekaliśmy. Zachowaliśmy ostrożność, starając się stać za znajdującą się tam akurat skałą, a nie na widoku. Niebawem usłyszeliśmy zgrzyt zmienianego biegu. Wyjrzałem i zobaczyłem nadjeżdżającą Toyotę, wyszliśmy więc, a Byrne zatrzymał się akurat tak długo, byśmy mogli wsiąść.

Kciukiem wskazał za siebie w stronę Dirkou.

— Czy powiedziałbyś, że Lash jest wysoki?

— Stopy miał średniej wielkości.

— Jest tam Brytyjczyk. Przyjechał dwadzieścia minut po mnie.

— Nie mów mi tylko, że w Range—Roverze.

— Nie, w starym wozie, prawie tak poobijanym jak mój. Jest dość wysoki, mocno zbudowany, ma ciemne włosy.

— Jest z nim ktoś?

— Dwaj faceci. Sądząc ze sposobu w jaki rozmawiali ze sobą po arabsku, powiedziałbym że są z Maghrebu, najprawdopodobniej z Algieru. Ten

Brytyjczyk nie zna arabskiego i mówi do nich po francusku, którego zbyt dobrze nie rozumieją.

— To się zgadza — powiedziałem.

— Kiedy wyjadą z Dirkou, będą za nami o więcej niż dwadzieścia minut drogi — powiedział Byrne z uśmiechem. — Uciąłem sobie pogawędkę z

facetem, który lubi wypić. Teraz przewraca im wszystko do góry nogami, a ten angielski facio klnie na czym świat stoi. Nie wyjdzie mu to na dobre. Można by sądzić, że whisky też się na coś przydaje.

— Niewykluczone, że okaże się to użyteczne — powiedziałem w

zamyśleniu. — Jeśli ten twój pijaczek przetrząsa im wszystko tak gruntownie, może znaleźć broń. Chyba nie przypadłoby mu to do gustu, prawda?

— Myślałem już o tym — zgodził się wesoło Byrne. — Nie pozwól, byśmy prostowali ścieżki przestępcy. — Roześmiał się widząc moją minę. — W Biblii jest wiele dobrych rzeczy.

Z siedzenia za mną odezwał się Billson.

— O czym mówicie? Kim był tamten człowiek?

— Po prostu jakiś facet — odparł Byrne. — Może nie ma nic wspólnego z Kissackiem, ale wolę się zabezpieczyć.

— Nie przejmuj się tym, Paul — powiedziałem.

Kiepska droga systematycznie się pogarszała. Raz po raz mijaliśmy wioski z nieodzownym zagajnikiem palm daktylowych. Pod wysokimi zboczami gór



Kaouar najwyraźniej znajdowała się woda. Jednak wieśniacy nie próbowali ułatwić sobie życia, utrzymując drogę w dobrym stanie.

Przez cały dzień posuwaliśmy się stale naprzód. Pogarszała się nie tylko droga, ale również pogoda. Zerwał się wiatr, unosząc chmury piasku, które przyćmiły słońce, a pył przenikał do wnętrza wozu. Dopiero wówczas odkryłem rzeczywistą użyteczność tuareskiego czarczafu i osłoniłem nim szczelniej twarz.

Nieszczęście zdarzyło się późnym popołudniem. Gdzieś z tyłu Toyoty rozległ się zgrzyt i zatrzymaliśmy się z dygotem w miękkim piasku.

— A niech to diabli! — powiedział Byrne. — Coś nie gra z układem napędowym.

Wysiedliśmy więc, aby obejrzeć uszkodzenie. Tylne koła niemal po ośki ugrzęzły w drobnym piasku i widziałem, że wydobycie ich będzie diabelną pracą, nawet gdyby układ napędowy był w porządku. A jeśli wysiadł, mogliśmy tu utknąć na zawsze. Byrne nie wydawał się zbyt przejęty. Z tyłu wozu wyciągnął tylko dwa lewarki i położył je na piasku.

— Od tego miejsca zaczyna się ciężka robota — zauważył. — Będziemy potrzebowali drabin piaskowych, są na górze.

Razem z Paulem ściągnęliśmy je. Byrne spojrział na niego zamyślony.

— Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

— Oczywiście. Co takiego?

— Idź na szczyt tego wzniesienia za nami i miej oczy otwarte. Jeżeli zobaczysz, że ktoś nadjeżdża, daj znać.

Paul spojrział na Kontiego.

— A co z nim?

— Potrzebuję go — odparł Byrne zdawkowo.

— Aha! W porządku — Paul ruszył z powrotem drogą.

Byrne roześmiał się krótko.

— Paul będzie lepiej pilnował niż którykolwiek z nas. Wyraźnie bardziej ceni swoją skórę.

— Czy ja wiem — powiedziałem. — Jestem dość przywiązany do swojej.

W godzinę później znaleźliśmy już najgorsze. Sprawa wyglądała dość kiepsko.

— Dyferencjał jest niemal zupełnie zatarty — powiedział Byrne. — Nic dziwnego, że chodził jak młynek do kawy mojego starego w Bar Harbor. Nigdy nie mogłem porządnie zmielić nim kawy.

Ponuro spojrzałem na wylewarowaną Toyotę.

— Co zrobimy? Pójdziemy?

— Nieco dalej przy tej drodze jest miejscowość o nazwie Seguedine. Może o jakieś dziesięć kilometrów stąd. Niewiele tam jest, ale może udałoby się nam zaprzęgnąć kilka wielbłądów, żeby nas wyciągnęły.

— I co dalej? Dyferencjał nawalił. Czy jest w Seguedine stacja obsługi?

Byrne roześmiał się.

— Mało prawdopodobne. Ale w wozie mam zapasowy dyferencjał. Te

cholerne części zawsze się zacierają, więc zwykle mam zapasowy. Jednak wolałbym się gdzieś schronić, zanim go wyjmę. Wieczorem będzie wiało jak skurczysyn, a ten przekłety piach włazi wszędzie. Nie wpływa on zbyt dobrze na dyferencjały.

— No więc, kto idzie? Ja nie znam języka.

Byrne wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Pół godziny temu wysłałem naprzód Kontiego. Byłem niemal pewny co znajdę.

Rozejrzałem się dookoła i rzeczywiście, nie zauważyłem Kontiego. Natomiast Billson pędził w naszą stronę ile sił w nogach.

— Ktoś nadjeżdża — krzyknął. — Będą tu za pięć minut, a może szybciej.

Zziajany zatrzymał się przed nami.

— Domyślasz się kto to jest? — zapytał Byrne spokojnie.

— Wyglądał jak wóz, który widzieliśmy w Dirkou.

Prawa ręka Byrne'a znikła pod gandourą, a kiedy ją wyciągnął, trzymał pistolet. Zarepetował go, przesunął zatrzask bezpiecznika i ponownie schował.

Paul patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

— Paul, idź i usiądź na przednim siedzeniu — powiedział Byrne.

Billson obiegnął wóz drobnym kroczeniem, a ja przygotowałem mój pistolet.

Byrne rzekł:

— Jeśli to Lash, wkrótce dowiemy się, jak szczerą jest jego chęć pomocy.

Trzymaj czarczaf naciągnięty, a usta zamknięte. — Pochylił się i ustawił bańkę oleju pionowo na piasku. — Jeżeli rozpoznasz jego głos, kopnij ją niby przypadkiem.

Czekaliśmy, gorący wiatr pustynny wiał na nas i smagał po twarzach

ziarenkami piasku. Kiedy uniosłem i zaciągnąłem czarczaf, tak jak pokazał mi Byrne, zrobiłem to zarówno w celu osłonięcia twarzy, jak i ukrycia jej. Potem stanąłem z ramieniem zwieszonym wewnątrz gandoury, a w ręce trzymałem pistolet. Był niewidoczny, a ja nie musiałem tracić czasu na wyciąganie go z kabury.

Wóz przejechał przez wzniesienie o dwieście metrów od nas. Jechał szybko, ciągnąc za sobą długi pióropusz pyłu, który wiatr zwiewał na jedną stronę.

Kiedy się zbliżył, zwolnił, a następnie zahamował i zatrzymał obok nas.

Kierowca najwyraźniej nie był Europejczykiem, w przeciwieństwie do

mężczyzny, który wysiadł z wozu. Tak jak Byrne go opisał, był dosyć wysoki i miał ciemne włosy. Zerknął przelotnie w stronę Byrne'a i mnie. Później spojrzał

na Paula siedzącego na przednim siedzeniu i zapytał:

— Macie kłopoty? Może mógłbym pomóc?

Nie słyszałem co Paul odpowiedział, gdyż zrobiłem pół kroku w bok i

kopnąłem bańkę oleju, która przewróciła się z metalicznym brzękiem. Byrne uniósł głos.

— Tak, można powiedzieć, że mamy kłopot. Parszywy dyferencjał nawalił.

Lash odwrócił głowę i przyjrzał się uważnie Byrne'owi, a następnie podszedł do tyłu wozu.

— Jest pan Amerykaninem? — Głos wypełnił dobrze udawanym niedowierzaniem.

— Włączymy się po świetle.

— Nie wygląda pan na Jankesa — odparł Lash rozbawionym tonem. Skinął

głową w moją stronę. — Przypuszczam, że on też jest Amerykaninem.

— Nie — powiedział Byrne. — Jest Brytyjczykiem, tak jak pan.

Lash uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Przypuszczam, że Byrne postąpił

słusznie. Lash wiedział, że jestem w pobliżu i nie miało sensu żebym się ukrywał. Trudno byłoby podtrzymać to kłamstwo, chyba że udawałbym

głuchoniemego.

Schylił się i zajrzał pod Toyotę, a następnie powiedział:

— Tak, rzekłbym że jesteście w opałach. — Wyprostował się. — A przy

okazji, nazywam się Lash — John Lash.

— Luke Byrne. To jest Max Stafford, a ten kolega z przodu to Paul Billson.

— Obawiałem się, że Lash może chcieć uścisnąć ręce, miałbym z tym trudności, jako że trzymałem pistolet, ale tylko skinął głową.

— Dyferencjał się nie liczy, bo mam zapasowy — powiedział Byrne. — Ale byłbym bardzo wdzięczny za wyciągnięcie nas z tego piachu i podholowanie kilka kilometrów tą drogą.

— To nie powinno być zbyt trudne — rzekł Lash. Odwrócił się i zaczął

mówić do siedzących w samochodzie. Sądząc z intonacji mówił po francusku, chociaż nie rozumiałem słów. Zwróciłem uwagę, że nie przedstawił nam swoich ludzi.

Byrne wyjął prawe ramię z gandoury, rękę miał pustą. Jeżeli on zamierzał

zaryzykować, mogłem i ja. Dobrowolnie schowałem więc pistolet do kabury i zrobiłem to samo.

— Zanim zdejmemy lewarki, położymy drabiny piaskowe, z nimi pójdzie łatwiej — powiedział Byrne.

Dwaj towarzysze Lasha wysiedli z wozu. Poszedłem do szoferki Toyoty. Paul powiedział cichym głosem:

— To ten mężczyzna, który był w Dirkou.

— No i co?

— Czy Byrne nie miał w stosunku do niego podejrzeń?

— Do diabła! — odparłem. — Jest tylko Dobrym Samarytaninem, który

przybywa, aby wyciągnąć nas z tarapatów. Nie bądź paranoikiem Paul. Wsiądź

i pomóż.

Podłożyliśmy drabiny piaskowe pod tylne koła, następnie opuściliśmy na nie Toyotę i wyjęliśmy lewarki. Lash nie miał łańcucha holowniczego, miał go jednak Byrne i w ciągu dziesięciu minut mogliśmy już ruszyć. Wówczas

zauważyłem, że jeden z ludzi Lasha zniknął.

Lash z tym drugim wsiadł do ich wozu i włączył silnik. Cicho powiedziałem do Byrne'a:

— Gdzie jest ten drugi zbir?

— Wrócił za wzniesienie i nawet wiem dlaczego.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Nie dlatego, że wstydzi się wystawić na pokaz — odparł Byrne z ironią.

— Przypuszczam, że ma dać znak Kissackowi i zatrzymać go. Ten Range—

Rover nie został daleko w tyle.

Miało to sens. Lash nie chciał, żebyśmy zobaczyli Kissacka.

— Jedna sprawa, nie mów o Lashu w trakcie holowania, bo nastraszysz

Paula — powiedziałem.

— Będę uważał — uniósł głos. — Paul, stań po tej stronie, a Max po tamtej.

Krzyknijcie gdybyśmy zagrzebywali się jeszcze głębiej, — Stanęliśmy za kołami i pomachaliśmy Lashowi, a ten dodał gazu.

Obyło się bez kłopotów. Wóz Lasha okazał się mocniejszy niż wyglądał i z łatwością wyciągnął nas z piachu. Mimo że tego, co zrobił z jedną drabiną piaskową, nie da się opisać. Byrne wyrzucił ten powykęcany złom, jako nie nadający się do użytku i pozbieraliśmy kilka rozrzuconych narzędzi. Właśnie skończyliśmy, gdy ten, który zniknął nadszedł drogą zwawym krokiem.

Zorientował się, że patrzymy na niego i zasunął rozporek. Byrne spojrział na mnie i nieznacznie się uśmiechnął.

Tak więc człowiek, który miał zamiar nas zabić, doholował nas do Seguedine.

Miejscowość nie była wielka, znajdowała się tam jednak ruina o trzech stojących ścianach i

zmurszałym dachu. Wystarczyło to, aby osłonić Toyotę od wiatru. Lash dopomógł nam wepchnąć ją do środka.

— Czy macie coś przeciwko temu, abym tu przenocował z wami? — zapytał.

— Może mógłbym pomóc rozebrać dyferencjał.

— Nie ma potrzeby — odparł Byrne. — Damy sobie radę. Lash uśmiechnął się.

— Nie mam ochoty jechać w czasie burzy piaskowej. Można się zgubić.

Mam przeczucie, że zanosi się na coś większego.

— Jasne — zgodził się Byrne. — Moglibyście zginąć. Jeśli pan chce, proszę zostać. To wolny kraj. Dziękuję za pomoc, panie Lash. Wyciągnął nas pan z niezłych tarapatów, ale nie ma potrzeby, aby brudził pan sobie ręce.

Mimo wszystko Lash nam pomógł. Przypuszczalnie uważał, że leży w jego własnym interesie, aby nas jak najszybciej postawić na nogi. Jego fagasi zniknęli, zapewne, aby powiedzieć Kissackowi, co się dzieje. Lash nie okazał

się znów aż tak bardzo pomocny. Jego pomoc, tak jak zresztą i moja,

ograniczała się do podawania narzędzi, kiedy go o to poproszono. Byrne poradziłby sobie równie dobrze sam i jak na człowieka, który dawał wyraz swej nienawiści do „śmierdzieli”, był na tyle Amerykaninem, aby dobrze się na nich znać.

Paul niespokojnie chodził tam i z powrotem. W pewnym momencie, pod

nieobecność Lasha, Byrne powiedział do niego entuzjastycznie:

— Nie sądzisz, że Lash to naprawdę miły facet? Wyciąga nas z piasku, pomaga nam we wszystkim i tak dalej.

— Tak Paul, to Dobry Samarytanin — powiedziałem. Spojrzałem ponad ramieniem Byrne'a i zobaczyłem Lasha wolno wyłaniającego się z ciemności.

Zastanawiałem się, czy Byrne wiedział, że Lash podsłuchiwał z tyłu. Zapewne tak, Luke Byrne był bez zarzutu.

Robotę skończyliśmy po zapadnięciu zmroku przy blasku lampy

halogenowej. Następnie zrobiliśmy porządek i przygotowaliśmy posiłek, kiedy zjawił się Konti. Byrne rozmawiał z nim przez chwilę, po czym zwrócił się do mnie.

— Doszedł aż tutaj, nie zastał nikogo, ruszył więc dalej szlakiem. Uszedł

kawał drogi bez skutku. Ci Teda to chodzący głupcy.

Lash dostarczył butelkę whisky na poobiednie drinki. Przyjąłem kieliszek, tak samo Paul, ale Byrne grzecznie odmówił.

— Gdzie są pańscy przyjaciele, panie Lash?

— Przyjaciele? — Lash uniósł brwi. — Ach, ma pan na myśli... Oni obwożą mnie tylko po tych okolicach. Są zawodowymi przewodnikami — zerknąłem na Byrne'a, nawet nie mrugnął okiem na tak niedorzeczne tłumaczenie. — Wolą jeść po swojemu — Lash powiódł wzrokiem po otaczających nas ciemnościach.

— Co to za miejsce?

— Seguedine? W czasie mojego ostatniego pobytu, mieszkali tu ludzie, trzy, lub cztery rodziny Kanuri. Widocznie wyprowadzili się. Tuaregowie Tassili przychodzą tutaj z północy, gdy tam skończy się pożywienie. Dokąd pan się udaje?

— Nie mam określonego celu — wzruszył ramionami Lash. — Rozglądam

się tylko po okolicy. — Miało to stanowić wymówkę, aby w przyszłości mógł

się pojawiać niespodziewanie w najróżniejszych miejscach, nie wywołując tym zaskoczenia. Jednak głupotą było mówić coś takiego. Nawet taki nowicjusz jak ja zauważył, że przejazdy przez pustynię starannie przygotowywano korelując czasy i odległości, oraz dokładnie odmierzając paliwo i wodę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie fruwałby sobie tu i tam, jak beztrojski motyl.

Ryzykowanie wyczerpania się paliwa lub wody było niebezpieczne.

Lash upił trochę whisky.

— A wy?

— Prawie tak samo — odparł Byrne zdawkowo.

Myślałem, że Lash zechce kontynuować temat naszych dalszych podróży, ale nie zrobił tego. Skierował rozmowę na inne tory mówiąc nam, że jest

dyrektorem firmy w Birmingham specjalizującej się w opakowaniach i są to jego pierwsze prawdziwe wakacje od siedmiu lat.

— Zdecydowałem się zrobić coś innego — powiedział.

Próbował wyciągnąć ze mnie co robiłem w Anglii, więc powiedziałem mu

prawdę. Ponieważ wiedział o mnie wszystko, kłamstwo mogłoby wzbudzić jego podejrzenie.

— Wracam do zdrowia po chorobie — powiedziałem, a po chwili

dorzuciłem: — I zapominam o rozwodzie. — Oba te oświadczenia opierały się na prawdzie. On sam stanowił zapewne powód „choroby”, a wzmianka o Glorii mogła go wprawić w zakłopotanie swą prawdziwością. Prawda może być lepszą bronią od kłamstw.

W chwilę później, nie doszedłszy do niczego z Billsonem, przeprosił nas i udał się do swojego wozu na spoczynek.

Niebawem z ciemności wyłonił się Konti. Powiedział coś do Byrne<sup>^</sup>, a ten wypytał go dokładnie. Paul odezwał się do mnie:

— Wścibski jest, prawda?

— Niespecjalnie. Pogaduszki między statkami mijającymi się w nocy.

— Nie podoba mi się — Paul szczelniej otulił się djellabą. — Uważam, że nie jest tym, za kogo się podaje. — Ja o tym wiedziałem, lecz Paul wykazywał

bystrość, która mnie zaskoczyła. Być może zadziałał tu instynkt ściganego zwierzęcia.

W kilka minut później, tak, że Paul nie mógł nas usłyszeć, Byrne powiedział:

— Kissack obozuje niecałe dwa kilometry stąd. Wysłałem Kontiego na zwiady. — Zdusił śmiech. — Nie sądzę, żeby Kissackowi było tam wygodnie.

Wiatr ciągle się wzmaga.

— Trzymamy wartę?

Byrne pokręcił przecząco głową.

— Konti będzie czuwał całą noc.

— Nie za ciężko dla niego?

— Nie, do diabła! Wyśpi się jutro w Toyocie. Dla Tedy sen w czasie jazdy jest luksusem, do którego nie przywykł.

Następnego ranka burza ustała, a Lash odjechał swoim wozem.

— Wyruszył tuż przed świtem — rzekł Byrne. — Ci twoi przyjaciele to

straszne raptusy. Kissack strzela do ludzi nie mówiąc ani słowa, a Lash tak po prostu odjeżdża. Rzekłbym, że to nie po sąsiedzku.



— A więc co teraz?

— Dalej do Chirfy i Djanet.

Chirfa znajdowała się prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Seguedine. Składała się z obozu Tuaregów, oraz opuszczonego fortu Legii Cudzoziemskiej, mogącego uchodzić za Fort Zinderneuf z „Ostatniego filmu o Legii Cudzoziemskiej”, z wyjątkiem jednego — nad główną bramą znajdowała się wyrzeźbiona kotwica. Ponieważ znajdowaliśmy się tak daleko od morza jak może się na tej planecie znaleźć istota ludzka, zapatrzyłem się na ten nieprawdopodobny emblemat i zapytałem o niego Byrne'a.

— Nie mam pojęcia, może umieścili ją tam francuscy marynarze.

Tuaregowie wydawali się inni od tych, których spotkałem wcześniej, gdyż byli nędznie ubrani. Byrne powiedział, że należeli do Tuaregów Tassili. Kupił

od nich osła, którego dał Kontiemu.

— Tu właśnie nas opuszcza — powiedział. — Idzie na wschód przez Djalo i dalej do Tibesti.

— Jak daleko jest do Tibesti?

— Może pięćset kilometrów; to jest w Czadzie.

— Pójdzie przez całą drogę?

— Tak, ale osioł mu pomoże.

— Mój Boże! — Obserwowałem jak Konti niknie nam z oczu, prowadząc

osła na postronku..

Kiedy wracaliśmy do zaparkowanej Toyoty, Byrne powiedział:

— Byliśmy śledzeni przez większą część drogi tutaj, ale jakąś godzinę temu straciłem ich z oczu. Dwa pojazdy.

— Lash i Kissack.

— Tak sądzę. Wolałbym ich nie zgubić, to para facetów, których chciałbym mieć na oku.

Około dziesięciu kilometrów za Chirfą wspięliśmy się na przełęcz, z

niewiadomego powodu nazwaną Col des Chandeliers, gdyż nie dostrzegłem niczego, co choćby trochę przypominało świecznik. Na górze, Byrne zatrzymał

się pod urwiskiem. Znajdował się na nim ogromny, mający około sześciu metrów wysokości ryt barbarzyńskiej postaci trzymającej włócznię. Nie zwrócił

na niego uwagi, jako że widział już wcześniej wiele rytów skalnych i wspiął się na tyle, by mieć dobry widok na drogę, którą przyjechaliśmy.

Po jakimś czasie zszedł na dół.

— Nikogo nie widać. — Wydawał się rozczarowany. — Chciałbym

wiedzieć, gdzie jest ten drań.

— Wiedziałem — powiedział Paul. — Masz na myśli Lasha.

— Jesteś już dużym chłopcem, Paul. — Byrne wzruszył ramionami. — Tak, mam na myśli Lasha.

— Kim on jest? Czuję, że coś z nim jest nie tak. Westchnąłem.

— Luke, on równie dobrze może wiedzieć. — Spojrzałem na Paula i

spokojnie powiedziałem. — Lash jest szefem Kissacka.

— Dlaczego mi nie powiedzieliście wcześniej? — wyglądał na urażonego.

— Bo nie wiedzieliśmy, jak to przyjmiesz — odparłem. — Masz skłonności do wypalania przed nabiciem. Dowiedzieliśmy się o nim w Bilmie.

— Ale kim on jest?

— Nie wiem, ale jeśli działa w przemyśle opakowań, to ja jestem

kandydatem na rozkładówkę w Playboy'u. Wydaje mi się, że jest grubą rybą w londyńskim półświatku.

— Dlaczego ktoś ta...

— Na miłość boską, Paul! Nie wiem. Przestań zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi. — Odwróciłem się do Byrne'a. — Jedźmy.

Pokręcił głową.

— Oni są albo za nami, albo przed. Jeżeli są z przodu, wcześniej czy później wpadniemy na nich. Jeśli z tyłu, wolałbym o tym wiedzieć zaraz. Poczekamy tu jakiś czas. — Paul, wejdź na górę i trzymaj straż.

Paul zawahał się, po czym krótko skinął głową i wspiał się tam, gdzie wskazał mu Byrne.

— Damy im godzinę — powiedział Byrne. Odwrócił się i poszedł w drugą stronę, a ja podążyłem za nim. — Chyba niczego nie ukrywasz przede mną, prawda Max? To znaczy nie ma czegoś takiego, o czym byś mi nie powiedział.

— Wiem tyle, co ty.

— A może Paul? Moglibyśmy z nim pomówić serio. Pokręciłem głową.

— Zrobiłem to, rozebrałem go na czynniki pierwsze. Nic nie wie. Byrne wydał cichy okrzyk, schylił się i coś podniósł. Przyjrzał się temu, po czym wręczył mi.

— Pamiątka z Sahary.

Było to małe ostrze zrobione z kamienia. Miało około trzech centymetrów długości i centymetr szerokości. Zostało pięknie wypolerowane, a krawędź

wciąż była ostra.

— Mały toporek — powiedział.

— Tuareski?

— Nie, do diabła! — Uniósł rękę, wskazując ryt olbrzymia z włócznią. —

Jego ludzi. Mając oczy otwarte, możesz tu dokoła znaleźć tuzin podobnych rzeczy. Liczą sobie trzy tysiące lat, a może więcej.

Przesunąłem palcem po gładkim kamieniu. Trzy tysiąclecia! Stawiało to mnie i moje czyny w dziwnie pomniejszonej perspektywie. Do czasu kiedy w trzy kwadransy później Paul krzyknął, znalazłem jeszcze jedno, większe ostrze siekiery i kilka grotów strzał. Pospiesznie włożyłem je do kieszeni i biegiem ruszyłem w stronę Toyoty.

Byrne był już na stoku.

— Jakieś sześć kilometrów z tyłu — zakomunikował, gdy zszedł. — Oba wozy. To mnie urządza. Jedziemy. — Podskakując na wybojach ruszyliśmy więc w dół na drugą stronę Col des Chandeliers, kierując się na północny zachód.

Obserwowałem tyły i po jakimś czasie dostrzegłem nikłe punkciki ciągnące za sobą pióropusze pyłu, jak ogony komet. Trzymały się w jednakowej

odległości za nami, ani nie zbliżając się, ani nie oddalając. Jechaliśmy tak przez kilka godzin. Wówczas dotarliśmy do stojącego na skraju szlaku drogowskiego.

Byrne odczytał:

— Bylise 593. Sprawdź licznik. Chcę mieć dokładnie pięćdziesiąt kilometrów więcej od obecnego stanu.

Miałem na oku licznik, obserwując przesuwane się kilometry. Nie

rozmawialiśmy zbyt wiele. Byrne, ponieważ koncentrował się na prowadzeniu wozu, ja, bo nie miałem wiele do powiedzenia, a Paul, jak przypuszczam, dlatego że jego myśli skupiały się na wozach jadących za nami. Kiedy do poprzedniego wskazania licznika doszło pięćdziesiąt kilometrów powiedziałem:

— Już jest.

— Niezupełnie — odparł Byrne i przejechał jeszcze pół kilometra nim się zatrzymał. Wsiadł i wspiął się na dach Toyoty, stał na nim spoglądając w tył.

Chwilę później wsiadł ponownie do kabiny i zauważył:

— Nie chciałbym, aby nas teraz zgubili.

— Dlaczego?

Wskazał na lewo.

— Możesz wierzyć, lub nie, ale to ma być szlak i tą drogą pojedziemy.

Wkrótce przekonamy się, jakimi fachowcami są przewodnicy Lasha. —

Odczekał pięć minut i ruszył dalej, skręcając na ledwo dostrzegalny szlak.

Krajobraz zmienił się. Straciliśmy z oczu góry i znaleźliśmy się na ogromnej, żwirowej równinie, aż po horyzont płaskiej jak stół bilardowy.

— Nazywa się to reg — powiedział. — Podróżuje się po tym nie najgorzej, jeśli nie masz nic przeciwko monotonii. Przypuszczam, że niegdyś było tu dno morza.

Jazda z pewnością była monotonna i zaczęła mnie ogarniać senność.

Spojrzałem w tył na Paula i zobaczyłem, że zmęczenie wzięło górę nad

obawami jakie żywił przed Lashem i Kissackiem. Spał twardo. Pod kołami odpływały kilometry, a widok wciąż się nie zmieniał. W pewnym momencie powiedziałem:

— To pewnie największa równina na tej pustyni.

— Diabła tam! — odparł Byrne. — Największa jest Tenezrouft, prawie tak wielka jak Francja. Ta wygląda przy niej jak znaczek pocztowy. Już niedługo się zmieni, na gorsze.

Tak się też stało. Najpierw ukazały się pojedyncze wydmy barchanowe, żółte półksiężyce na czarnym żwirze, a następnie większe łachy piasku, które Byrne omijał. W końcu piasku było więcej niż żwiru i nie dało się go omijać.

— W jeździe samochodem przez pustynię, fech—fech oddziela chłopców od mężczyzn — zagadnął swobodnie. — Pamiętasz co ci o tym mówiłem?

Przypomniałem sobie makabryczną historię o zapadającej się, wielkiej ciężarówce.

— Powiedz mi teraz!

Odwrócił głowę i uśmiechnął się szeroko.

— Wszystko w porządku, jeśli utrzymujesz prędkość, tak jakbyś ślizgał się po powierzchni. Kłopoty mogą się zacząć, jeśli zwolnisz. Założę się, że te cymbały Lasha tego nie wiedzą.

— Wiedziałeś, że jest tutaj?

— Tak. Sam tu ugrzązłem ze dwadzieścia lat temu. O tej porze roku zazwyczaj jest tu fech—fech.

— Dla mnie wygląda to jak zwykły piasek — powiedziałem.

— Ma inny kolor. A jeśli obejrzyś się zobaczysz, że nie wyrzucamy w górę tyle pyłu. Jedno jest pewne, nie staniemy, żeby sprawdzić.

Po upływie jakiejś godziny zmienił kierunek i wkrótce się zatrzymał. Znowu wspiął się na dach kabiny i rozejrzał dookoła, a kiedy wrócił, uśmiechnął się szeroko.

— Ani śladu po nich. Pan Lash mógł nam pomóc w Seguedine, ale nie sądzę, abyśmy pomogli mu teraz. Tam wjedziemy na główny szlak do Djanet. To jest Balise Berliet 21. Wiesz co znaczy Djanet?

— Nie wiem nawet co znaczy Balise Berliet 21.

— Fabryka Berlieta testowała tutaj swoje ciężkie wozy i oznakowała pustynię. A Djanet znaczy po arabsku Raj.

Raj zbudowano częściowo na równinie pustyni, a częściowo na skalistym stoku. Dostarczał on więcej powabów niż większość miast oazowych. Hotel oferował spartańskie warunki, był jednak czysty i lepszy niż inne.

Pomieszczenia sypialne znajdowały się w zeribach — chatkach z trawy o ścianach obwieszonych kocami w wesołych kolorach. Działały nawet prysznice, w które je wyposażono. Spłukując się doszedłem do wniosku, że Byrne miał

rację — pustynia jest czysta i człowiek nie śmierdzi. Był to pierwszy prysznic, jaki wziąłem od niemal miesiąca.

Byrne zostawił Toyotę na ogrodzonym terenie hotelu i wyruszył na

poszukiwanie swego informatora, domniemanego szczęśliwego zdobywcę

dziesięciu wielbłądów. Wrócił w jakiś czas potem z dwoma Tuaregami, których przedstawił jako Atitela i jego syna Hamiego.

— Masz fotokopie zdjęć tego Northropa?

— Jasne — sięgnąłem do torby i podałem mu.

Odpakował je.

— Skąd je masz?

— Muzeum Nauki w Londynie, pochodzą z albumu Jane'a „Wszystkie samoloty świata”, wydanie z 1935.

Rozłożył fotokopie na stole i zaczął wypytywać Atitela często wskazując na fotografię Northropa „Gamma”. Ten konkretny egzemplarz musiał być jednym z pierwszych samolotów używanych przez Trans—World Airlines, bo na kadłubie obok ogona znajdował się emblemat TWA. Samolot został

zaprojektowany. Długi i gładki, miał kabinę cofniętą daleko w stronę ogona.

Został oczywiście zaprojektowany w czasach, kiedy samoloty posiadały otwarte kabiny, a nie pokłady. Podwozie było umocowane na stałe, a koła umieszczono w osłonach o opływowych kształtach. Nagłówek określał go jako jednopłat przeznaczony do przewozu towarów i poczty.

Wreszcie Byrne wyprostował się.

— To może być ten. On mówi, że metalowy ptak Kel Ehendeset jest na

Tassili około trzech dni marszu od Tamrit.

— Jak to daleko i co to u diabła za jeden, ten jakiś Kel?

— Może jakieś siedemdziesiąt kilometrów. A Kel Ehendeset to ty i ja, każdy znający się na maszynach. — Odwrócił się do Atitela i zamienił z nim kilka słów, po czym rzekł do mnie:

— Mówi, że Kel Ehendeset mają władzę nad angeloussen, to jest aniołami, a właśnie angeloussen poruszają pojazdy i unoszą samoloty.

— Brzmi to logicznie. Jeżeli idzie się trzy dni, to z pomocą angeloussen jakieś sześć godzin.

Byrne spojrział na mnie zdeglustowany, tak jakbym powinien wiedzieć więcej.

— Nie zabierzemy Toyoty na płaskowyż. Udamy się tam pieszo — stuknął

palcem w fotografię. — Atitel jest niemal pewien, że wrak na Tassili jest taki sam. Uparcie twierdzi, że na skrzydłach nie ma korpusów silników, a kadłub jest z przodu cylindryczny, tak jak na fotografii. To ten duży silnik w układzie gwiazdy.

— W takim razie może to być samolot Billsona?

— Możliwe. — Byrne pokręcił jednak głową. — Tuaregowie nie przepadają zbyt za zdjęciami, jak zresztą wszyscy muzułmanie. Są sprzeczne z ich religią, nie mają więc zbyt wielkiego doświadczenia w ich oglądaniu. Znałem faceta, który na ścianie swojego namiotu powiesił zdjęcia, naśladując w ten sposób to, co Europejczycy robią w swoich domach. Wyciął je z czasopisma, gdyż mu się podobały. Zawiesił je do góry nogami — uśmiechnął się. —

Przedstawiały rejoyec pod pełnymi żaglami, ale on nigdy nie widział statku, ani nawet morza, więc zapewne tworzyły jedynie ładny wzór, równie dobrze wyglądający do góry nogami.

— Skoro jednak Atitel widział samolot, powinien umieć porównać go ze zdjęciem.

— Nie zakładałbym się o to, ale pewnie będziemy musieli zaryzykować. Nie tłuśliśmy się taki szmat drogi na darmo.

— Kiedy ruszamy?

Zaczął targować się z Atitelem i było sporo gadaniny, do której Hami wtrącał

od czasu do czasu swoje trzy grosze. Upłynęło piętnaście minut, zanim Byrne powiedział:

— Twierdzi, że nie możemy wyruszyć wcześniej niż jutro po południu, a może pojutrze wcześniej rano. Musi zebrać kilka zbłąkanych osłów. Samolot znajduje się o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Tamrit, u góry, na skraju płaskowyżu. Nie zrobimy tam więcej niż piętnaście kilometrów dziennie, oznacza to, że trzeba zabrać wody co najmniej na tydzień, a jeszcze lepiej na dziesięć dni. Potrzebne są do tego zwierzęta juczne i osły w ilości większej, niż jest w stanie zebrać teraz.

Odwrócił się ponownie do Atitela i pieniądze przeszły z ręki do ręki. Kiedy Targui odszedł, powiedziałem:

— To były algierskie pieniądze.

Byrne spojrzał na mnie zaskoczony.

— Tak, bo jesteśmy w Algierii.

— Kiedy to się stało?

Uśmiechnął się szeroko.

— Pamiętasz jak zboczyliśmy z drogi, żeby zgubić Lasha? Objechaliśmy też wtedy posterunki graniczne. Wszystko w porządku Max, w Algierii jesteś legalnie.

— Ale może Billson nie jest.

— Spokojnie — mruknął. — Stąd do Tam jest kawał pustyni, wiadomości

mogły tu jeszcze nie dotrzeć. — Uniósł w górę fotokopie. — Czy mógłbym je zatrzymać? Muszę dokonać paru obliczeń. — Skinąłem głową. — Gdzie jest Paul?

— Wciąż pod prysznicem.

Roześmiał się.

— Mówiłem ci, że facet może utopić się na pustyni. — Następnie usiadł przy stole, wyjął resztkę ołówka i zaczął robić obliczenia na odwrocie jednej z fotokopii, zaglądając bez przerwy do opisów budowy Northropa „Gamma”.

Nie wyruszyliśmy następnego dnia, ani nawet za dwa, lecz dopiero w trzy dni później. Byrne strasznie gderał:

— Czasami ci ludzie doprowadzają mnie do rozpacz.

— Myślałem, że jesteś jednym z nich. — Uśmiechnąłem się szeroko. —

Prawdziwym Targui.

— Tak, ale niekiedy wracam do swej pierwotnej skóry. Myślę o Lashu i Kissacku. Nie wiem na ile ugrzęźli w piachu, ale wydostanie się nie zajmie im wieków. Chcę się stąd wynieść, zanim tu dotrą.

— Dlaczego uważasz, że przyjadą do Djanet?

— To jedyne miejsce, gdzie mogą dostać paliwo.

Dzięki temu miałem jednak szansę odpoczynku po tym, jak wytlukłem się w Toyocie. Pierwszy raz od



opuszczenia Algieru spałem w łóżku. Materac

hotelowy nie był wiele twardszy od piasku, do którego przywykłem. Wszyscy też wypiliśmy kilka mile widzianych piw.

Trzeciego dnia po przybyciu wyjechaliśmy z Djanet Toyotą i wciąż jeszcze nie natknęliśmy się na Lasha.

— Może dalej jest w miejscu, gdzie go porzuciłeś — zagadnąłem.

— Serce mi krwawi z tęsknoty — odparł Byrne.

Przekrzywił głowę i obejrzał się na Paula. — A ty jak sądzisz?

— Mam nadzieję, że gnije — rzekł Paul mściwie. — Kissack też. Wszyscy.

Paul stawał się krwiożerczy, lecz nie było to zbyt zaskakujące. Trudno okazywać miłosierdzie ludziom, którzy strzelają do ciebie nie mówiąc dlaczego.

Jechaliśmy w stronę gór, w kierunku stromych zboczy, wznoszących się jak wielka, kamienna bariera. W końcu zatrzymaliśmy się w zagajniku drzew tamaryszkowych, wśród których pasły się osły.

Kiedy wysiedliśmy, Atitel i Hami pomachali nam na powitanie. Byrne

mruknął z niezadowoleniem:

— Te przekłete zwierzęta powinny już być załadowane.

— Dokąd idziemy?

Wskazując, uniósł ramię o czterdzieści pięć stopni ponad linię horyzontu.

Strzeliło mi coś w karku, kiedy uniosłem głowę.

— Tam, w górę.

— Mój Boże! — Zbocza wznosiły się pionowo na jakieś sześćset metrów, a Byrne wskazywał szczelinę, parów wrzynający się w nie. Tworzył on na

szczycie wycięcie w kształcie litery „V”. Przypominał szczybinkę celownika.

— Nie jestem żadnym alpinistą.

— Osioł też nim nie jest, a każdy człowiek może wejść tam, gdzie osioł

potrafi. Nie jest aż tak stromo, jak wygląda. — Zerknął okiem na słońce. —

Ruszajmy. Chcę wejść na szczyt przed zapadnięciem zmroku.

Zapędził Atitela i Hamiego do objuczania osłów. Djerby Tuaregów,

wykonane z kozłej skóry lepiej nadawały się dla zwierząt niż kanistry, w których znajdowała się reszta naszych zapasów wody, gdyż nie ocierały grzbietów. Nie mieliśmy jednak dosyć djerb, trzeba więc było użyć kanistrów.

Większość ładunku stanowiła woda dla ludzi i zwierząt.

— Wyliczyłem ją na dziesięć dni — powiedział Byrne. — Oczywiście

możemy mieć szczęście i trafić na gueltę — kałużę w skale, ale nie możemy na to liczyć. Raz są, raz ich nie ma.

Załadowaliśmy więc wodę i żywność dla pięciu ludzi i siedmiu osłów na dziesięć dni. Byrne dołożył też zawiniętą w szmaty paczkę, która dzwoniła metalicznie. Na wierzchu jednego z juków przywiązał starannie karabin Lee—

Enfield.

— Wrócę za dziesięć minut — powiedział.

Wsiadł do Toyoty i odjechał.

Obserwowałem go dopóki nie zniknął mi z oczu, po czym zwróciłem się do Paul a:

— Co ty na to? Myślisz, że dasz radę?

Spojrzał w górę zbocza.

— Myślę, że tak, nic nie będę niósł. Nie tak jak wtedy, gdy szliśmy przez wydmy w Tenere.

Mimo opalenizny twarz miał wychudzoną i bladą. Nie sądzę, aby był

zdrowym człowiekiem już wówczas, kiedy opuszczał Anglię, Ponieważ

prowadził siedzący tryb życia. Od tego czasu postrzelono go i niemal wykończył

się na skutek porażenia słonecznego, a to co robiliśmy potem nie stanowiło kuracji wypoczynkowej.

— Może lepiej, żebyś został — powiedziałem. — Porozmawiam o tym z

Byrne'm.

— Nie — odparł ostro. — Zgodziłby się z tobą. Chcę pójść. Tam może być...

— przełknął ślinę. — Może być ciało.

Zbliżał się punkt kulminacyjny obsesji napędzającej go przez całe życie. W

ciągu zaledwie kilku dni, miał szansę dowiedzieć się prawdy o swoim ojcu i nie zamierzał z tego zrezygnować. Skinął głową na znak zgody i ponownie uniosłem wzrok na zbocze. Zapowiadała się mordercza wspinaczka.

Byrne wrócił pieszo.

— Zostawiłem wóz tam, gdzie nie uda się go łatwo znaleźć. Ruszamy.

Odciągnąłem go na bok.

— Byłeś już tam, na górze?

— Jasne. Znam tu prawie wszystko.

— Jak będzie wyglądała droga, kiedy dojdziemy już na szczyt?

— Nieźle, jeżeli będziemy się trzymać strumieni.

— Strumieni! — zdumiałem się.

— Zobaczysz — rzekł z ponurym uśmiechem. — To najbardziej piekielny

kraj, jaki kiedykolwiek zdarzyło ci się oglądać. Można się tam zgubić równie łatwo, jak w labiryncie. O co ci chodzi?

— Myślę o Paulu.

Byrne skinął głową.

— Tak, też o nim myślałem. Ale jeśli uda mu się wejść na górę, dalej już da sobie radę.

— Tassili n'Ajjer — powiedziałem zamyślony. — Jak się to tłumaczy?

— Płaskowyż Kozłów, chociaż nie przypominam sobie, abym jakiegoś tam widział. Jest jednak trochę dzikich wielbłądów. — Z irytacją pokręcił głową. —

Na miłość boską, ruszajmy!

Ruszyliśmy więc. Początkowo szło się nieźle, gdyż znajdowaliśmy się na lekko wznoszącym się terenie dochodzącym do podnóża zbocza. Gdy doszliśmy do parowu, okazał się być większy niż początkowo wyglądał. Na dnie miał

około kilometra szerokości i zwężał się w miarę wznoszenia. Swego rodzaju ścieżka wiła się zygzakiem z jednej strony na drugą. Tym sposobem, aby posunąć się sto metrów do przodu, musieliśmy przejść około sześciuset.

Oczywiście wspinaliśmy się, ale nie tak bardzo. Była to mozolna harówka, walka o wysokość,

męcząca mięśnie łydek, serce oraz płuca. Nie żaden wyczyn alpinistyczny, tylko ciągnąca się bez końca, cholernie ciężka praca. Nie słyszałem żadnego dźwięku, tylko mój równy chrapliwy oddech, czasami stukot, gdy jakiś strącony kamień toczył się podskakując w dół parowu, oraz brzęk kanistra uderzającego o skałę. Czasem jakiś osioł parsknął, lecz nikt nie miał na tyle sił, aby rozmawiać.

Sądzę, że doszlibyśmy na szczyt szybciej, gdyby Paul nie opóźniał marszu.

Często zatrzymywaliśmy się, aby mógł do nas dołączyć i czekaliśmy, kiedy wypoczywał. Dawało to również czas moim płucom na wypoczynek, za co

byłem wdzięczny. Atitel i Hami zdawali się nie przejmować wysiłkiem.

Wypalali pół papierosa i starannie chowali niedopałki przed podjęciem dalszej wspinaczki. Natomiast Byrne jak zwykle przypominał dobrze skręcony bicz ze skóry, ale nos miał bardziej spiczasty, a policzki bardziej zapadłe niż przedtem.

Tym sposobem podejście na wysokość sześciuset metrów zajęło nam ponad cztery godziny, a wątplię aby przebyty dystans na mapie wyniósł więcej niż trzy kilometry. Gdy tylko teren stał się bardziej płaski zatrzymaliśmy się, a w ciągu paru minut Atitel i Hami rozpalili nieodzowne, miniaturowe ognisko obozowe Tuaregów i gotowali wodę na herbatę. Bez tchu spytałem:

— Jesteśmy na miejscu?

— Prawie. Najgorsze już za nami — Byrne wskazał w kierunku

zachodzącego słońca. — Sądzę, że widać stąd na ponad osiemdziesiąt kilometrów.

Widok był fantastyczny. Pobliskie, ciemnobrązowe wzgórza w oddali

przechodziły w błękit i purpurę. Byrne wskazał ręką gmatwaninę wydm.

— To Erg d'Admer, cały ten piach został zmyty z płaskowyżu. Musiał tu być jeden z największych wodospadów świata, wysokości sześciuset metrów.

— Wodospad! — odparłem słabo.

— Oczywiście, kiedyś Tassili była dobrze nawodniona. Naprawdę duże

rzeki. Dobry kraj do hodowli bydła, z masą paszy. Oczywiście, dawno temu.

— Oczywiście!

Popijałem słodką herbatę z mosiężnego kubka i przyglądałem się Paulowi, który leżał na plecach najwyraźniej kompletnie wyczerpany. Ledwo dał radę tu wejść. Podeszedłem do niego.

— Napij się herbaty Paul.

Pierś mu zafalowała.

— Później — wysapał.

— Max! — odezwał się Byrne. Mimo łagodności, w jego głosie czuło się szorstkość rozkazu. Uniosłem wzrok, a on skinął głową. Poszedłem więc tam gdzie stał, patrząc w dół parowu. Wskazał na pustynię w dole, gdzie w odległości trzech kilometrów i prawie kilometr niżej widać było ruch piasku.

— Trąby powietrzne? — Stanowiły one powszechne zjawisko na pustyni.

Miniaturowe zawirowania powietrza spowodowane przez prądy konwekcyjne wzniecone upałem.

Byrne spojrzął na słońce.

— Nie o tej godzinie. Myślę, że mamy towarzystwo.

— Skąd u diabła Lash wiedział, że przyjechaliśmy tutaj?

Byrne wzruszył ramionami.

— Każdy jadący z Djanet do Tassili wybrałby tę drogę. Nie ma innej równie łatwej. — Łatwej! — Wypytał się w Djanet. Odszukanie nas to nie żaden cud.

Wystarczyło rozpytać się w hotelu.

— Powinniśmy byli zachować większą dyskrecję.

— Nic by to nie dało. Nie da się wynająć ludzi i zwierząt w Djanet bez rozgłosu. Ludzie Lasha mogą mówić językiem Tamachek, lecz jeśli nawet znają tylko arabski, nie mieli problemu, by dowiedzieć się tego, czego chcieli.

Spojrzałem w dół zbocza, nie widać było żadnego ruchu.

— A więc, mamy kłopoty.

— Nie bardzo — odrzekł Byrne nieporuszony. — Nie mogą wspiąć się tu po ciemku, a słońce zajdzie za godzinę. Sądzę, że zaczekają do jutra. Mamy więc szansę, żeby zniknąć. — Odwrócił się i spojrzął na Paula. — Damy mu czas na wypoczynek i lecimy dalej.

— Dokąd?

— Poza tamto wzniesienie, do Tamrit i Assakao.

Nigdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić takiego krajobrazu jak w Tassili n'

Ajjer. Szliśmy korytami dawno wyschłych rzek, które płynąc wyłobiły miękki piaskowiec, tworząc obecne kaniony. Ich ściany zostały pozabkowane w serie płytkich jaskiń po obu stronach. Gdy nastąpiło osuszenie i woda zniknęła, wiatr w dalszym ciągu pracował nad Tassili, ścierając piaskowiec przez tysiące lat i rzeźbiąc skały w kolumny i wieżyczki o fantastycznych kształtach. Niektóre z nich piętrzyły się na trzydzieści i więcej metrów, inne zostały podcięte u podstawy i przewróciły się, jak drzewo zwalone przez drwala.

Kraj sprawiał wrażenie upieczonego jak kiepsko zrobione ciasto,

pozostawione zbyt długo w piecu. Tak też rzeczywiście było. Tassili zbyt długo znajdowało się w piecu słonecznym, pozbawione osłony szaty roślinnej.

Piaskowiec poczerniał i pokrył się patyną, którą Byrne nazywał werniksem pustynnym.

— Czasami w nocy rosa osiada na kamieniach — powiedział. — Wyciąga

ona na powierzchnię żelazo i mangan. Następnego dnia rosa wyparowuje, a żelazo i mangan utleniają się. Jeśli dzieje się tak przez setki lub tysiące lat, tworzy się powłoka werniksu.

Tak jak powiedział, był to labirynt. Kaniony stanowiące niegdyś koryta rzek łączyły się, splatały i rozdzielały. Miałem wrażenie, że dawniej tworzyły one swego rodzaju deltę, koniec biegu wielkiej rzeki, niegdyś bystrej, lecz teraz wolnej i ciężkiej od mułu, jak delta Nilu. Później jednak dochodziła ona do Tamrit na skraju Tassili, by spaść z wysokości sześciuset metrów na leżącą poniżej krainę, zabierając ze sobą muł, tworzący obecnie wielkie wydmy Erg d'Admer. Teraz zabrakło wody. Kraj wysechł jak kość wielbłąda znaleziona w Tenere, ale nie wyblakł, raczej wyprażył się i stwardniał, jak zmumifikowane ciało.

Wszystko to zobaczyłem w ciągu pierwszej godziny, nim słońce zaszło.

Później, skutkiem nalegań Byrne'a, szliśmy dalej aż do dziewiątej wieczorem, przy blasku księżyca w pełni, świecącego jak latarnia. Wtedy Byrne zmiękł i rozłożyliśmy obóz. Paul był już wówczas bliski załamania, a ja najbardziej zmęczony od czasu marszu przez Tenere. Zbyt zmęczony by jeść, wpełzłem do jednej z płytkich jaskiń w skale i zapadłem w sen, otulony djellabą.

Obudziłem się w świetle dnia i zobaczyłem wpatrującego się we mnie z góry człowieka. Miał ciemną skórę i nie nosił na sobie nic prócz przepaski biodrowej, a w prawej ręce trzymał dzidę. Za nim znajdowało się stado bydła, zdrowo wyglądających zwierząt o łaciatych skórach i rozłożystych rogach. Jeszcze dalej grupa myśliwych trzymała łuki, niektóre ze strzałami przyłożonymi do cięciwy.

Zaskoczony mrugnąłem oczami, usiadłem i przyglądałem się. Mężczyzna był

jedynie malowidłem na ścianie jaskini, tak jak bydło i myśliwi. Odwróciłem szybko głowę i zobaczyłem Byrne'a. Kucnął przed jaskinią i napełniał maszynę do gotowania wody, którą nazywał wulkanem. Z tyłu, Hami ładował djerby na osła.

— Luke — zagadnąłem. — Widziałeś to?

Uniósł wzrok.

— Już czas żebyś się obudził. Jasne, że widziałem, jeden z fresków Tassili.

Ponownie odwróciłem się i zapatrzyłem w obraz. Kolory wydawały się tak świeże, jak gdyby namalowano go tydzień temu, a w linii rysunku była była płynność i elegancja, której mógłby pozazdrościć każdy współczesny malarz.

— Ile to ma lat?

Byrne wszedł do jaskini.

— Bydło? Trzy tysiące lat, może cztery. — Przeszedł wzdłuż ściany jaskini, aż do jej końca. — Ten muflon jest starszy. — Ciężko uniosłem się i

podszedłem do niego. Dzikiego barana namalowano bardziej prymitywnie. —

Osiem tysięcy lat — rzekł. — Może więcej, nie wiem.

Zacząłem dokładniej przyglądać się ścianie, szukając innych skarbów, ale powiedział szorstko:

— Nie ma na to czasu. Mamy przed sobą długą drogę. Obudź Billsona.

Odwróciłem się z ociąganiem, obudziłem Paula, a następnie Pomogłem

przygotować śniadanie. Nie więcej jak pół godziny po moim przebudzeniu byliśmy znów w drodze, wydeptując kaniony Tassili. W godzinę później

zobaczyłem zielen drzew, dużych, wznoszących się na ponad piętnaście metrów.

Konary miały szeroko rozpostarte, lecz poskręcane i sękate.

— Tu musi być woda — powiedziałem wskazując je.

— To cyprysy — odparł Byrne. — Ich korzeń palowy może mieć trzydzieści metrów długości i iść prosto w dół. Są starsze niż Matuzalem, może stały tutaj, kiedy ten facet malował bydło w jaskini.

Zostawiliśmy drzewa za sobą i szliśmy w milczeniu. Ponownie zapadła cisza przerywana stukotem kamieni, parskaniem osłów, a czasem jakimś słowem zamienianym przez Atitela i Hamiego.

Niewiele dało się powiedzieć o tym, czego szukaliśmy. Temat został zupełnie wyczerpany. Niewiele też można było powiedzieć o Lashu. Jeśli nadchodził od tyłu, mógł nas złapać lub nie.

W południe zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby coś zjeść, a drugi postój zrobiliśmy o zachodzie słońca i spieszyliśmy dalej wśród rozświetlonej księżycem nocy. Uważałem, że to niebezpieczne i powiedziałem to głośno, ale Byrne był pewien, że Atitel wie co robi. Bardziej pewien niż ja. Ponownie zatrzymaliśmy się około dziewiątej, a ja znalazłem kolejną jaskinię. Ku memu zaskoczeniu, nie odczuwałem takiego zmęczenia, jak się spodziewałem, a Paul też czuł się lepiej. Przyglądałem

się jak odwiązywał kanister z osła i pomyślałem, jak nazwał go Isaacson w Luton. Nebbish!  
Absolutna nicość.

Była to prawda! Bywało, że mijały godziny i mimo obecności Paula, nie poświęciliśmy mu ani jednej myśli. W czasie jazdy Toyota zawsze siedział z tyłu i nie miałem go na widoku. Podczas tego i innych marszów przez pustynię, zawsze zamykał pochód. Mówił mało, nigdy nie komentując tego, co widział, choćby nie wiem jak było to wspaniałe. Uparcie stawiał tylko jedną nogę przed drugą. Nigdy też nie skarżył się, bez względu na samopoczucie. Tyle dało się powiedzieć o Paulu, lecz tak czy owak, mogłoby go tam nie być. Nebbish!

Jeśli zaś chodzi o Luton, to znajdowało się o milion kilometrów stąd, na innej planecie.

Posililiśmy się daktyłami i suszoną baraniną. Zapytałem Byrne'a jak szliśmy.

Żuł z zapałem, po czym przełknął kęs.

— Nie najgorzej. Atitel liczy, że zostało jakieś półtora dnia. Mówi, że jutro przed zmrokiem zobaczy znajomy punkt orientacyjny.

— A co z Lashem? — zapytałem. — I z Kissackiem?

— Co z nimi? W Tamrit zostawiliśmy ich przynajmniej osiem godzin z tyłu, a dziś wieczorem możesz dodać kolejne trzy godziny, bo nocą nie pójda.

Uważam, że wyprzedzamy ich o cały dzień. W dodatku nie wiedzą dokąd idziemy.

— Zostawiliśmy ślady. Zauważą je. Ślady na piasku i ośle łajno.

— Jasne — skinął głową. — Ale sporo też szliśmy po skale nie zostawiając śladu. Mogą iść za nami, jeśli wiedzą jak, poszukiwania zajmą im jednak sporo czasu. Daje nam to kolejny dzień przewagi, może dwa. — Odgryzł kolejny kęs baraniny i rzekł niedbale: — Możemy się na nich natknąć w drodze powrotnej.

— Jak miło. Uśmiechnął się szeroko.

— Poproszę Atitela, żeby wracał inną drogą.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, gorliwie zbadałem wzrokiem ścianę jaskini, lecz ku memu rozczarowaniu była to naga skała. Hami upiekł chleb w gorącym piasku pod ogniem. Miał chrupiącą skórkę i był bardzo smaczny, jeśli nie zwracało się uwagi na zgrzytający między zębami piasek. Po śniadaniu ruszyliśmy dalej. Atitel prowadził nas przez strzaskane pustkowie Tassili n'

Ajjer.

Najgorsze, co mogło się nam przytrafić, zdarzyło się po południu. Szliśmy wyjątkowo złą ścieżką,



gdzie z jakiegoś powodu działanie wiatru na kolumny piaskowca zostało wzmocnione. Wiatr niosąc ziarenka piasku, szlifował nimi podstawy kolumn, aż wiele z nich zważyło się. Padając rozbiły się i połamały, tworząc trudne do przebycia gruzowisko.

Nagle osioł prowadzony przez Atitela zaryczał głośno i skoczył do przodu, waląc go przy tym w plecy tak, że upadł. Atitel krzyknął, a Byrne podbiegł do niego i nadepnął na coś leżącego na ziemi. Kiedy dotarłem do niego,

zobaczyłem węża.

— Żmija rogata — rzekł Byrne i piętą rozgniół jej głowę na miazgę. — To ona przestraszyła osła.

Musiała zrobić coś więcej, gdyż Atitel siedział trzymając się za nogę i jęczał.

Byrne obejrzał ją i podniósł wzrok na mnie.

— Złamana — rzekł krótko.

— Chryste! — powiedziałem. — Co teraz zrobimy?

— Na początek, szyny.

Łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Nie mieliśmy bowiem nic, prócz lufy strzelby, co by się do tego celu nadawało. Nieoczekiwanie Paul wpadł na dobry pomysł. Stuknął w zwisający u boku osła kanister, a ten wydał głuchy odgłos.

— Pusty?

— Tak.

— Możemy roztrzaskać go kamieniami — powiedział Paul. — Moglibyśmy

w ten sposób zrobić rodzaj sztywnej szyny.

— Mamy coś lepszego niż kamienie — odparł Byrne. Podszedł do osła i

wyciągnął tłumoczek, który zabrał ze sobą. Wyjął z niego młotek i przecinak. —

Położy tę bańkę na ziemi. Zajęło to trochę czasu, a pustynia rozbrzmiewała dźwiękami odbijającymi się od kolumny do kolumny. W końcu jednak

usztyniliśmy nogę Atitela. Najpierw obandażowaliśmy ją, a następnie

przymocowaliśmy metal pasami oderwanymi z gandoury. Atitel przestał jęczeć i z zainteresowaniem przyglądał się naszej robocie.

Kiedy skończyliśmy, Byrne przykucnął obok niego i zaczął długą, jak się okazało, rozmowę.

— Bóg jeden wie, co teraz zrobimy — powiedziałem do Paula. — Z tego, co Byrne mówił mi w nocy, jesteśmy o dziesięć lub dwanaście kilometrów od miejsca, gdzie jak twierdzi stary, widział samolot.

— Pójdziemy dalej — na twarzy Paula malował się upór.

— Bądź rozsądny — wskazałem ręką na otaczający nas chaos. — Jak u

diabła możemy go odnaleźć bez przewodnika? Właśnie to, ten przeklęty, zapomniany przez Boga kraj, jest podstawową przyczyną, że nikt go dotąd nie odnalazł. Mógłbyś przejść dziesięć metrów od niego i nie zauważyć go.

— Pójdziemy dalej — odparł. — I odnajdziemy go.

Pokręciłem głową i spojrzałem w stronę, gdzie Atitel rysował coś palcem na piasku. Byrne zadawał pytania. Wzruszyłem ramionami i odszedłem pomóc Hamiemu przełożyć uprząż jednego z osłów, któremu krawędź kanistra otarła skórę, powodując bolesną ranę. Pół godziny później Byrne uniósł się.

— W porządku, Atitel i Hami wracają. Stary może jechać na osle, a Hami poprowadzi drugiego, objuczonego zapasem żywności i wody dla nich obu.

Zabierze Atitela do Tamrit, a następnie uda się do Djanet po pomoc.

— Mogą wpaść na Lasha — powiedziałem.

— Mówiłem im o Lashu, wiedzą dostatecznie dużo, żeby trzymać się z dala od niego. Hami wróci inną drogą — roześmiał się krótko. — Powiedziałem, że to krwawa waśń, oni rozumieją takie sprawy.

— A my?

— Idziemy dalej. — Spojrzałem na Paula, uśmiechał się od ucha do ucha. —

Według Atitela, tego znaku orientacyjnego nie sposób przeoczyć. To wielka kolumna skalna, ma około sześćdziesięciu metrów wysokości i jest

rozszczepiona od wierzchołka do połowy, jak gdyby ktoś wbił w nią klin.

Wiesz, tak jak rozszczepia się drewno. Mówi, że musimy tylko iść dalej tą samą drogą i powinniśmy ją zobaczyć za kilka godzin.

— A samolot? — spytał natarczywym głosem Paul.

— Jest o jakieś trzy kilometry na północny zachód od rozszczepionej kolumny.

Było to ryzykowne. Pojęcie Atitela o północnym zachodzie mogło nie

zgadzać się z kompasem Byrne'a. Nie podobało mi się również to „około trzech kilometrów” — mogło oznaczać cokolwiek między dwoma, a czterema, plus minus. Obliczyłem, że być może zajdzie konieczność przeszukania pięciu, lub sześciu kilometrów kwadratowych. Wyglądało to jednak lepiej, niż sytuacja, którą rozpatrywałem w rozmowie z Paulem.

— Czy potrafisz nas doprowadzić z powrotem do Tamrit? Nie jestem

pewien, czy sam dałbym radę.

— Tak. Robiłem pomiary kompasem — Byrne przeniósł wzrok na Paula. —

No i co?

Paul energicznie pokiwał głową, więc wzruszyłem ramionami. Zostałem przegłosowany.

— Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli tylko Atitelowi nic się nie stanie —

powiedziałem. — Do Tamrit jest daleka droga, a on będzie musiał czekać sam, podczas gdy Hami zejdzie tym przeklętym parowem do Djanet. Czy uważasz, że to jest w porządku w stosunku do niego?

— To jego pomysł — odparł Byrne. — Nie przejmuje się tą złamaną nogą, jeśli tylko mu ją dobrze nastawią. Mówi, że już kiedyś ją złamał. Tak naprawdę martwi go tylko te dziesięć cholernych wielbłądów. Chce je mieć.

Ponownie rozdzieliliśmy ładunek na osły, po czym obaj Tuaregowie

zawrócili. Atitel pojechał na osle prowadzonym przez Hamiego, a usztywniona noga sterczała w bok pod, kątem prostym. Tak więc zostaliśmy już tylko we trzech, z pięcioma osłami. Prowadziłem dwa, tak samo jak i Paul, podczas gdy Byrne dawał sobie radę z jednym, by w drugiej ręce mógł trzymać kompas.

Byłem nieco zaskoczony, kiedy po dwugodzinnym marszu zobaczyliśmy

znak orientacyjny Atitela. Nie wydawało się możliwe, aby sprawy ułożyły się po naszej myśli. Niemal spodziewałem się, że trzeba będzie szukać tego

dziadostwa, lecz oto stał nie pozostawiając cienia wątpliwości, tak jak Byrne go opisał. Wysoka wieża wyglądająca jak gdyby jakiś olbrzym zamachnął się na nią siekierą i rozłupał od wierzchołka.

Rozłożyliśmy obóz u jej podnóża. Paul bardzo pragnął iść dalsze trzy

kilometry na północny zachód, ale Byrne sprzeciwił się.

— Jest późno — powiedział. — Nie miałem nic przeciwko nocnym marszom z Atitelem, ufałem mu. Ale każdy z nas mógłby sobie rozwalić nogę po ciemku.

Zostawimy to do rana.

Tak też się stało. Zjedliśmy śniadanie przed świtem i ruszyliśmy, gdy tylko się rozwidniło. Przez wszystkie lata, nawet w wojsku, nie zdarzył się taki okres, w którym tylekroć wyruszałem w drogę o świcie, jak na pustyni. Przeszliśmy trzy kilometry. Byrne wyznaczał kierunek i tempo marszu. Zajęło nam to godzinę. Wreszcie zatrzymaliśmy się wśród pustkowia i rozjuczyliśmy osły.

Spętaliśmy je tak, że nie mogły się pogubić.

Krajobraz był niesamowity. Beład skalnych kolumn, rozgardiasz ukrytych zakamarków. Samolot Petera Billsona mógł się znajdować o sto metrów, nie było jednak sposobu, aby o tym wiedzieć.

— Mógł się wypalić — rzuciłem w ciszę.

— Nie — odparł Byrne. — Atitel twierdził, że jest nienaruszony. Widział już przedtem samoloty na lotnisku w In Debiren i mówił, że ten samolot wciąż miał

skrzydła. Powiedział, że jest dokładnie taki sam, jak na rysunku.

— Niesamowite! Chcesz powiedzieć, że Billson wylądował w nocy pośród tego wszystkiego, niczego nie połamawszy? Nie wierzę.

— Był dobrym pilotem — zaprotestował Paul.

— Nie obchodzi mnie, czy potrafił latać jak sam Archanioł Gabriel, wciąż uważam, że jest to zupełnie niemożliwe.

— Może angeloussen mu pomogły — powiedział Byrne. — Teraz musimy

naprawdę uważać. Nikt nie oddala się sam. Pozostajemy ze sobą w kontakcie wzrokowym lub słuchowym. Jeśli jesteś niewidoczny, nieustannie nawołuj. —

Spojrzał na Paula. — W tej gmatwaninie, cholernie łatwo można się zgubić, więc zapamiętajcie co mówię.

Paul usłużnie przytaknął. Drżał jak podniecony pies, który chciałby pogonić za królikami.

— Nie przyjrzałem się fotokopiom zbyt dokładnie — powiedziałem. —

Jakiej wielkości jest ten Northrop?

— Rozpiętość skrzydeł czternaście metrów i czterdzieści centymetrów —

rzekł Paul. — Długość dziesięć metrów. Wysokość maksymalna trzy metry.

Był większy niż sądziłem. Szukaliśmy czegoś, zajmującego obszar

powiedzmy stu czterdziestu metrów kwadratowych. Poczułem się nieco lepiej, ale niewiele.

— Rozciągniemy się w linię, Paul w środku — powiedział Byrne. — I

dostosujecie swój kierunek do mnie.

Tak zaczęło się poszukiwanie. Przemierzaliśmy teren częściowo

zachodzącymi na siebie zakolami, aby niczego nie przeoczyć. Ta cholernie ciężka praca nie była tylko kwestią marszu, gdyż musieliśmy przebyć i zbadać cały obszar. Oznaczało to gramolenie się przez skały i zagłądanie za każdą kolumnę w tej porozbijanej dzicy.

Szukaliśmy przez cały dzień, nie znajdując niczego oprócz skał. Tej nocy Paula ogarnęło przygnębienie. Otulił się swoją djellabą i bez celu przerzucał

kamienie z jednej ręki do drugiej, zapatrzony gdzieś nieruchomymi oczami. Sam też nie czułem się zbyt dobrze i powiedziałem do Byrne'a:

— Co o tym myślisz?

Wzruszył ramionami.

— Może Atitel pomylił się w ocenie odległości i kierunku. Jutro szukamy dalej. Prześpij się trochę.

— Boże! — powiedziałem. — Mówi się o igłach w stogu siana. A jeszcze ta przepowiednia o obracaniu każdego kamienia.

— Gdyby łatwo go było zobaczyć, zostałby odnaleziony przed laty —

mruknął Byrne. — Atitel mówił, że natrafił na niego tylko przypadkiem, cztery lata temu. Przyszedł tu próbując złapać źrebię dzikiego wielbłąda i zgubił się.

— Dlaczego nie zgłosił tego, gdy wrócił do Djanet?

— Nie przywiązywał do tego większego znaczenia. Gdyby znalazł tam ciało, zapewne tak by zrobił, ale twierdził, że w pobliżu nie było ciała.

— Uważasz, że Billson próbował pójść pieszo?

— Byłby skończonym głupcem, gdyby tak zrobił.

Paul ożywił się.

— Nie próbowałby — rzekł stanowczo. — Wiedział jakie przepisy

obowiązują w takim przypadku. Wszystkim pilotom w tym wyścigu nakazano pozostać przy

samolocie, gdyby wylądowali.

— Tak — powiedział Byrne. — To jest rozsądne, a z tego co o nim

słyszałem, Peter Billson był rozsądnym człowiekiem — zamilkł na chwilę. —

Przepraszam Paul, że o tym mówię, ale kiedy Atitel powiedział mi, że nie znalazł tam ciała, miałem wątpliwości czy to właściwy samolot. Cóż, u diabła, tak dobry lotnik jak twój staruszek miałby tu w ogóle robić. Zboczyłby z kursu o prawie dwieście mil.

— Atitel zidentyfikował samolot — odparł Paul z uporem.

— Tak, ale gdy po raz pierwszy zasugerowałem Tassili, sam powiedziałaś, że twój ojciec był zbyt dobrym pilotem, aby zboczyć o piętnaście stopni.

Wszystko to działało bardzo przygnębiająco.

Odnaleźliśmy go następnego ranka, zaledwie dziesięć minut od chwili

wznowienia poszukiwań. Ja go odkryłem i do wściekłości doprowadzała mnie myśl, że następne dziesięć minut załatwiłoby sprawę, gdyby Byrne nie odwołał

poszukiwań ubiegłej nocy.

Wspiąłem się z boku na filar skalny, który runął w całości i przeszedłem przez niego, aby zobaczyć, co jest po drugiej stronie. W szerokim na

sześćdziesiąt stóp parowie znajdował się samolot wyglądający tak czysto, jakby właśnie dostarczono go od producenta. Stał w tym niestosownym miejscu, jak mógłby stać na asfalcie przed hangarem.

— Luke! — wrzasnąłem. — Paul! Jest tutaj! Zsunąłem się do niego, a oni obaj nadbiegli co tchu.

— To on! — krzyknął Paul. — Samolot mego ojca.

Spojrzałem na Byrne'a.

— Doprawdy?

— To Northrop „Gamma” — odparł i niemal z szacunkiem przesunął dłonią po kadłubie. — Tak, to samolot Petera Billsona. Patrz!

Przez ponad czterdzieści lat niesiony wiatrem piasek starł znaki rejestracyjne, lecz na kadłubie wciąż można było odkryć zarys liter tworzących słowo

„Flyaway”.

— O Boże! — powiedział Paul i oparł się o krawędź spływu skrzydła. Nagle wybuchnął płaczem.

Wyrzucił z siebie naraz nagromadzone przez całe życie emocje. Stał więc wstrząsany spazmami płaczu. Ludziom wychowanym w

okazującym siłę charakteru społeczeństwie widok mężczyzny zalanego łzami mógłby odebrać odwagę. Dlatego też wraz z Byrne'm taktownie odeszliśmy na bok, dając Paulowi czas na opanowanie się.

Skierowaliśmy się w dół parowu, oddalając się od samolotu. Po chwili Byrne odwrócił się i spytał:

— Jak u diabła on go tam posadził? — w jego głosie dało się wyczuć

zduwienie.

Zrozumiałem, o co mu chodzi. Krawędzie obu skrzydeł nie miały zbyt dużego luzu do ściany, a przed samolotem parów zwęzał się gwałtownie i gdyby samolot potoczył się o kilka stóp dalej, skrzydła zostałyby oderwane.

Powiedziałem to na głos.

— Nie w tym rzecz — odparł Byrne. Odwrócił się i zmrużonymi oczami

studiował teren. — Ten samolot stoi w parszywej „skrzynce” — wskazał ścianę skalną w szerszym końcu parowu. — W jaki sposób dostał się do tej

„skrzynki”? — pokręcił głową i spojrzał w niebo. — Musiał go posadzić jak śmigłowiec.

— Czy to możliwe?

— Mało prawdopodobne. No popatrz, facet ma kłopoty, jest noc i coś nie gra, więc musi lądować. Widzi tyle, co kot napłakał. Jego szybkość lądowania wynosi 100 kilometrów na godzinę, a mimo to siada prawidłowo na kołach w miejscu, które wydaje się niemożliwe.

Rozejrzałem się dookoła.

— Nic dziwnego, że nie został odnaleziony. A i tak, kto szukałby w Tassili?

A nawet gdyby, kto szukałby w tak nieprawdopodobnym miejscu.

— Chodźmy po sprzęt — powiedział. — Rozłożymy tu obóz.

Krzyknął do Paula, aby został na miejscu, a my poszliśmy zebrać osły, objuczyć je i przyprowadzić z powrotem do samolotu. Trudno było znaleźć drogę do środka, ale wyszukaliśmy szczelinę na tyle dużą, aby przeprowadzić osły pojedynczo. Zdjęliśmy juki i rozłożyliśmy obóz na otwartej przestrzeni tuż za „Flyaway”. Następnie osły zostały ponownie wyprowadzone, spętane i puszczone wolno, aby mogły się paść na tej skromnej roślinności, jaką mogły znaleźć. Kiedy wróciliśmy, Paul doszedł już do siebie, chociaż oczy miał wciąż czerwone.

— Przepraszam za to.

— W porządku, Paul — powiedziałem. — Nie spodziewałem się lodowatego spokoju.

Byrne mierzył krokami odległość od ściany skalnej na końcu parowu do ogona samolotu. Podeszedłem do niego.

— Sześćdziesiąt metrów — powiedział. I wymownie wypuścił powietrze z ust. — Wciąż w to nie wierzę. Z Paulem już w porządku?

Kiwnąłem głową i uniosłem rękę, aby dotknąć steru.

— Wygląda jak gotowy do lotu.

— Musiałbyś go stąd wyciągnąć dźwigiem — odparł Byrne — a potem

wybudować pas startowy. Ale jest jeszcze coś. Spójrz! — wskazał sflaczałe koło ogonowe. Kiedy je kopnął, rozpadło się na sproszkowaną kupkę. — To jest słabe ogniwo. Samolot jest w porządku, bo to metal. Według opisu technicznego stop 24ST Alclad i pustynia nic mu nie zrobi. Silnikowi też nic nie jest.

Wystarczy go tylko przeczyścić na sucho olejem i będzie chodził tak słodko jak nowy. Ale cała izolacja jest do niczego, tak samo uszczelki i wszystko, co jest zrobione z gumy. Jak sądzę, elementy plastikowe również. Słyszałem, że te pierwsze plastiki nie były zbyt trwałe — westchnął. — Nie, już nigdy nie polecą.

Kiedy Paul dołączył do nas, Byrne powiedział:

— Czy mogę zajrzeć do kabiny? — Paul wyglądał na zdumionego. Miał

prawo, gdyż po raz pierwszy Byrne zapytał go o pozwolenie na cokolwiek.

Byrne wyjaśnił: — Sądzę, że to twój samolot, odziedziczyłeś go, Paul.

Paul przełknął ślinę, a w jego oczach zobaczyłem blask łez.

— Tak — powiedział ochryple. — Nie mam nic przeciwko temu.

Byrne obszedł dookoła statecznik poziomy, stanął na żeberku skrzydła, a następnie podciągnął się i zajrzał do wnętrza kabiny. Owiewka była odsunięta do tyłu. Spojrzał w dół i powiedział:

— Sporo tu piasku.

Poszedłem po aparat fotograficzny. Jakiś czas zajęło mi czyszczenie

obiektu, co nie było proste. Przy tak suchym i naelektryzowanym powietrzu, widziałem jak



przyciągane drobiny kurzu skaczą na powierzchnię obiektywu.

Zrobiłem co mogłem, po czym założyłem film i wróciłem popstrykać zdjęcia.

Byrne wszedł do kabiny i bawił się drążkami sterowniczymi. Ster poruszył się z piskliwym zgrzytem, a następnie lotki uniosły się w górę i w dół bez specjalnych kłopotów. Paul stał z boku i tylko patrzył na „Flyaway”. Nigdy nie widziałem kogoś równie spokojnego. Miałem nadzieję, że teraz wyleczy się z tego, co mu dolegało. Nie miałem bowiem wątpliwości, że jego wzburzenie osiągnęło niemal poziom graniczący z obłędem.

Zużyłem całą rolkę filmu, wykonując zdjęcia z różnych stron, w tym dwa z zatartą nazwą na burcie kadłuba. Później przewinałem film z powrotem do kasety i zapakowałem razem z nie używanymi przyborami do golenia.

Po jakimś czasie Byrne zawołał mnie, wróciłem więc do samolotu. Wciąż siedział w kabynie.

— Wejdz no tutaj.

Postawiłem nogę na stopniu i podciągnąłem się do góry. W ręce trzymał swój kieszonkowy kompas przyzmatyczny.

— Spójrz na to! — stuknął palcem w przyrząd umieszczony u góry owiewki kabiny.

— Co to jest?

— Kompas. Wskazuje sto osiemdziesiąt dwa stopnie — uniósł kompas

przyzmatyczny tak, że mogłem go zobaczyć. — Mój wskazuje sto siedemdziesiąt pięć.

— Siedem stopni różnicy. Który jest dobry?

— Mój nie jest zły — odparł spokojnie.

— Błąd siedmiu stopni nie tłumaczy, dlaczego Billson znalazł się piętnaście stopni od kursu.

— Może — wręczył mi kompas. Chcę, żebyś odszedł do tyłu, daleko od samolotu. Weź namiar na ster. Ustaw się dokładnie w tym kierunku co samolot.

Później odczytaj wskazanie, wróć tutaj i podaj mi wynik.

Skinąłem głową, zszedłem i cofnąłem się w tył aż do miejsca, gdzie

zostawiłem bagaż. Wziąłem namiar na ster i uzyskałem odczyt 168 stopni.

Myślałem, że popełniłem błąd, sprawdziłem więc swoją pozycję i spróbowałem jeszcze raz. Otrzymałem ten sam rezultat. Wróciłem do Byrne'a.

— Sto sześćdziesiąt osiem. Skinął głową.

— Czternaście stopni różnicy. Tym sposobem mógł się tutaj znaleźć —

ponownie stuknął palcem w żyrokompas. — Patrz, Billson leci nocą, zgadza się? Więc kieruje się kompasem. Powiedzmy, że ustala kurs na sto osiemdziesiąt stopni. W rzeczywistości leci kursem sto sześćdziesiąt sześć i zbacza.

— Jego kompas miał aż takie odchylenie?

— Na to wygląda. Musiał się zepsuć w Algierze, bo aż tam doleciał bez kłopotów.

— Dlaczego twój kompas daje różne wskazania tutaj i na zewnątrz?

— Dewiacja magnetyczna — powiedział. — Pamiętasz, co ci mówiłem w

Assekrem o żelazie w górach, powodującym kłopoty? No więc tutaj masz dużo żelaza. Tam z przodu jest cholernie duża bryła żelaza zwana silnikiem. Wpływa on na odczyt kompasu. Ten silnik, to dziewięciocylindrowy Wright Cyclone i w czasie lotu wszystkie świece iskrzą i zakłócają pole elektromagnetyczne. Mówi się, że można je zaekranować, ale jeszcze nigdy nie widziałem, aby ktoś zrobił

to dobrze. A w samolocie porzrucane są jeszcze inne kawałki żelaza, na przykład amortyzatory olejowo—powietrzne — klepnął ręką w kadłub. — Ten nie ma znaczenia, jest z aluminium.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Już do tego dochodzę. — Byrne spoglądał zamyślony na kompas. —

Buduje się więc samolot, bierze zupełnie dobry kompas, wstawia do samolotu, a on daje ci zły odczyt z powodu całego otaczającego go żelastwa. Więc trzeba go wyregulować, aby pokazywał tak samo, jak przed włożeniem do samolotu —

wskazał na kompas. — Tam z tyłu, wbudowanych jest kilka małych magnesów, umieszczonych w odpowiednich miejscach, aby skompensować oddziaływanie całego żelaza.

— I myślisz, że jeden z nich odleciał? Może z powodu wibracji?

— Nie — rzekł krótko. — Są tak wbudowane, aby nie mogły odpaść. Zostały porządnie przykręcone. I jeszcze coś, każdy kompas, bez względu na to jak dobry, daje wskazania z lekkim odchyleniem, kiedy lecisz różnymi kursami.

Rozumiesz, igła zawsze wskazuje ten sam kierunek, magnetyczną północ, więc kiedy zmieniasz kurs, obracasz całe to żelazo wokół igły.

— Staje się to coraz bardziej skomplikowane.

— W tym właśnie rzecz. Każdy kompas, w każdym samolocie jest oddzielnie testowany, ponieważ każdy samolot ma inną charakterystykę magnetyczną, nawet te same modele. Samolot jest oblatywany na różnych kursach i sprawdza się wskazania kompasu. Następnie mechanik robi swoje z magnesami. To praca wymagająca dużych kwalifikacji, bardziej sztuka, niż nauka. Opracowuje on swoje kalkulacje, być może dodaje do tego datę z minionego wtorku i sporządza tablicę dewiacyjną dla pozostałych błędów rachunkowych, których nie mógł

usunąć na różnych kursach. Szukałem tabeli dewiacyjnej Billsona i nie udało mi się jej znaleźć.

— Nic dziwnego, po czterdziestu dwóch latach. Do czego rzeczywiście zmierzasz, Luke?

— Możesz założyć się o ostatniego centa, że przed wyścigiem Billson miał porządnie sprawdzony kompas. Od tego zależało jego życie.

— A on go zawiódł.

— Tak, ale dopiero po Algierze. A kompasy tak łatwo nie mylą się o czternaście stopni.

Wpatrywałem się w niego.

— Sabotaż!

— Możliwe. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Myślami ponownie wróciłem do Englisha, dziennikarza, który tak dopiekł Paulowi.

— Taki pomysł zrodził się już wcześniej — powiedziałem wolno. — Ten wyścig wygrał Niemiec, nazista. Nie sądzę, aby zrobił to osobiście, ale mógł mieć współnika.

— Chciałbym wyciągnąć ten kompas — odezwał się Byrne. — Śrubokręt jest w skrzynce z narzędziami.

— Zastanawiałem się nad tym — powiedziałem. — Spodziewałeś się czegoś takiego?

— Czegoś się spodziewałem. Nie zapominaj, że jest sukinsyn, który gotów zabić, byle zapobiec odnalezieniu tego samolotu.

— Przyniosę śrubokręt.

Kiedy zeskoczyłem na ziemię, Byrne powiedział:

— Nie mów Paulowi.

Paul siedział na ziemi przed „Flyaway”, patrząc na niego. Podeszedłem, wziąłem śrubokręt i wróciłem, kryjąc go w fałdach gandoury. Byrne wziął się za pierwszą z czterech śrub przytrzymujących kompas. Wydawało się, że trzyma mocno, lecz dodatkowy wysiłek ruszył ją, a potem obracała się już lekko.

Odkręcił wszystkie cztery śruby, delikatnie wyjął kompas i odwrócił go w dłoniach.

— Tak — powiedział. — Widzisz te dwie mosiężne rurki? W ich wnętrzu

znajdują się małe magnesy. Ta śruba sprawia, że rurki poruszają się jak ostrza nożyc. W ten właśnie sposób mechanik uzyskuje swoje wyniki. A to jest śruba zaciskowa, dająca pewność, że rurki nie poruszą się, kiedy zostaną już ustawione.

Sprawdził ją palcami.

— Siedzi mocno, a to oznacza...

— ... że jeśli ten kompas daje wskazanie różne o czternaście stopni od prawdziwego, to zrobiono to umyślnie?

— Właśnie — odparł Byrne.

Sabotaż! Wstrętne słowo. Wstrętniejszy czyn.

— Ile to mogło zająć czasu? — zapytałem.

— Widziałeś jak łatwo było wyciągnąć kompas. Dokonanie zmiany i ponowne włożenie kompasu nie trwałoby długo. W całości maksimum piętnaście minut.

— Zabieram kompas ze sobą do Anglii — powiedziałem. — Tak, jak jest.

Dziwne myśli zaczynają mi chodzić po głowie.

— To dopiero połowa sprawy — odrzekł Byrne. — Musimy rozwiązać drugą połowę. Dlaczego wylądował? Mam w związku z tym pewne pomysły. Chcę

przyjrzeć się instalacjom w samolocie.

— Zostawię to tobie — zszedłem ze skrzydła i przyłączyłem się do Paula.

— I tak, Paul, koniec podróży.

— Tak — odpowiedział łagodnie. Uniósł wzrok. — On nie był oszustem.

Ten Południowoafrykańczyk kłamał.

— Nie, nie był oszustem. — Z pewnością nie powiedziałbym mu, że coś

majstrowano przy kompasie, wówczas rzeczywiście mogłoby mu się pomieszać w głowie. Powiedziałem więc ostrożnie: — Byrne próbuje dojść, co się stało z

„Flyaway”, że musiał lądować. Czy masz coś przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. Chciałbym to wiedzieć — z roztargnieniem potarł

ramię. — A ta gazeta w Anglii, czy sądzisz, że wydawca opublikuje

przeprosiny?

— Przeprosiny? Na Boga, Paul, będzie coś więcej. To nagłówek na pierwszą stronę. Nastąpi całkowita rehabilitacja — w duchu jednak pomyślałem, że lepiej, aby udało się nam odnaleźć ciało.

Rozejrzałem się dookoła i próbowałem postawić się na miejscu Billsona.

Albo próbował wydostać się stąd pieszo, albo nie. Jednak zarówno Paul, jak i Byrne mieli całkowitą pewność, że postąpił prawidłowo i trzymał się blisko

„Flyaway”. Tak zwykle postępowano. Musiał wiedzieć, że zostaną zarządzane poszukiwania z powietrza i że łatwiej jest dostrzec samolot, niż piechura. Nie wiedział jednak, że nikomu nawet się nie śniło przeszukiwać obszar Tassili. Jeśli więc nie poszedł, to gdzie był? Atitel twierdził, że nie widział ciała, ale czy go szukał?

Nie mówiąc nic Paulowi odszedłem i wspiąłem się na filar skalny, z którego po raz pierwszy ujrzałem „Flyaway” i zacząłem iść po nim. Pomyślałem, że Billson mógł chcieć się schronić przed słońcem. Szukałem więc jakiejś pieczary.

W pół godziny później odnalazłem resztki ciała. Znajdowało się w jednej z płytkich jaskiń, charakterystycznych dla Tassili. Ściany pokrywały rysunki ludzi i bydła oraz scen myśliwskich. Używam słowa „resztki” z rozmysłem, gdyż po śmierci Billsona do ciała dobrali się padlinożercy i niektórych kawałków brakowało. Szczątki były na wpół przysypane naniesionym piaskiem. Obok słabo połyskiwało metalowe pudełko — zapewne puszka po biszkoptach.

Niczego nie dotknąłem, lecz niezwłocznie wróciłem. Paul nie ruszył się z miejsca, natomiast Byrne znajdował się na „Flyaway” i otworzył jakąś klapę z boku kadłuba. Kiedy wspiąłem się na górę, powiedział:

— Myślę, że doszedłem do tego.

— Mniejsza z tym — odparłem. — Znalazłem ciało.

— Oo! — odwrócił głowę i spojrzał na Paula, po czym zwrócił się ponownie do mnie: — Żle wygląda?

— Niezbyt dobrze. Jeszcze nic nie mówiłem Paulowi. Wiesz jaki on jest.

— Będziesz musiał mu powiedzieć — rzekł Byrne zdecydowanie. — Musi

się dowiedzieć i musi je zobaczyć. Inaczej do końca życia będzie się

zastanawiał. — Wiedziałem, że miał rację. — Ale nie mów mu jeszcze teraz.

Załatwimy najpierw tę sprawę.

— Co znalazłeś?

— Jeśli spojrzysz do kabiny, po lewej stronie zobaczysz mosiężną rączkę.

Jest ona rodzajem przełącznika, regulującego dopływ paliwa do silnika. Była ustawiona w tej pozycji, gdy ją znalazłem. Jeśli obrócisz ją w drugą stronę, benzyna jest pobierana ze zbiornika dodatkowego, wbudowanego tutaj, w pomieszczeniu przeznaczonym na ładunek. Rozumiesz o co chodzi?

— Kiedy się rozbił, ciągnął z głównego zbiornika.

— Otóż właśnie — sięgnął pod gandourę i wydobył fotokopie, które mu

dałem. — Zgodnie z tym, główny zbiornik mieści 334 galony, co daje zasięg dwóch tysięcy siedmiuset kilometrów przy trzech czwartych mocy, przy

szybkości przelotowej. Ale Billson startował w wyścigu i nie leciałby z taką prędkością. Uważam, że mógł lecieć na dziewięćdziesiąt procent mocy, więc miałby mniejszy zasięg. Oceniam go na jakieś dwa tysiące czterysta kilometrów.

Z Algieru do Kano jest dwa tysiące dziewięćset, brakuje więc pięciuset kilometrów.

— Stąd dodatkowy zbiornik.

— Tak. Potrzebował paliwa na kolejnych pięćset kilometrów, a nawet

więcej. Mogło mu się przydać, gdyby trafił na przeciwny wiatr. Poza tym musiałby mieć dodatkową rezerwę, bo chyba nie chciałby ryzykować szukania Kano po nocy i lądowania na ostatniej kropli benzyny. Jednocześnie nie chciałby zwiększać zbytnio obciążenia, bo wiąże się z tym zmniejszenie szybkości. Próbowałem policzyć to, tak jak Billson i doszedłem do wniosku, że do tego zbiornika dałbym sto pięćdziesiąt galonów. I wiesz co ci powiem?

— No, mów.

— Wystarcza tego prawie na to, aby po kursie, którym leciał, dotrzeć z Algieru tutaj.

— Chcesz powiedzieć, że kiedy przełączył się ze zbiornika zapasowego na główny, silnik mu zgasł i że zbiornik główny był pusty?

— Nie, do diabła! Billson nie był idiotą, na pewno osobiście dopilnował

tankowania. Poza tym w kabinie są wskaźniki. Silnik zgasł, zgadza się, ale nie dlatego, że miał pusty zbiornik. Chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

— Jak?

— Otworzę główny zbiornik. Myślisz, że Paul będzie miał coś przeciwko temu?

— Zapytam go.

Paul nie zgłosił sprzeciwu. Okazał nawet zainteresowanie, kiedy Byrne stanął

z młotkiem w jednej ręce i przecinakiem w drugiej, dokonując oględzin

„Flyaway”.

— Śledziłem bieg przewodów paliwowych i powiedziałbym, że główny

zbiornik znajduje się tutaj, w środkowej sekcji. Może nawet przedłużać się do żeber skrzydła. Zaczę tutaj.

Ukląkł, przyłożył ostrze przecinaka do kadłuba i uniósł młotek.

— Zaczekaj! — powiedział szybko Paul. — Możesz spowodować iskrę.

Byrne odwrócił głowę.

— No i ?

— Benzyna...

— Tu nie ma żadnej benzyny, Paul. Nie po czterdziestu dwóch latach.

Wyparowała.

— Z zamkniętego zbiornika? — spytał Paul sceptycznie.

— Żaden zbiornik paliwa nie jest zamknięty — powiedział Byrne. — Jest tam wentyl. Spróbuj wyciągnąć benzynę ze zbiornika nie wpuszczając do środka powietrza, a daleko nie zajdziesz. Wszystko w porządku, Paul. Nie ma tu teraz paliwa.

Rozległ się brzęk, kiedy uderzył w główkę przecinaka. Uderzał raz za razem, a po jakimś czasie przyszedłem mu z pomocą, trzymając przecinak, aby mógł

walić silniej. Najpierw jednak ostrzegłem go, żeby na pewno trafił w przecinak, a nie w moją rękę. Z wolna wycięliśmy otwór w boku „Flyaway” i może to dziwne, ale myślałem o tym jak o akcie profanacji.

Otwór miał około stopy na sześć cali i w końcu Byrne odgiął płat aluminium tak, że mógł zajrzeć do środka. Gdy to zrobił, na piasek wysypało się nieco brązowego proszku.

— Tak — powiedział. — Zbiornik integralny.

— Co to za proszek?

— Cokolwiek byś nie robił, na dnie zbiornika zawsze osiadzie szlam.

Benzyna jest filtrowana przy wlewaniu i przy wylocie, ale żadne paliwo nie jest zupełnie czyste, a poza tym są niestabilności i zmiany chemiczne. — Włożył

rękę do środka i wyciągnął całą garść proszku. — Jest tu jednak tego więcej niż przypuszczałem. Na miejscu Billsona, przystępując do wyścigu, kazałbym zbiorniki przed startem przepłukać i wyczyścić parą.



Spojrzałem na garść zaszuszonego osadu, który podsunął sobie pod nos.

— Więcej niż przypuszczałeś — powtórzyłem.

— Nie przywiązuj do tego zbyt wielkiej wagi — doradził. — Po raz

pierwszy zajrzałem do wnętrza zbiornika paliwa. Nigdy przedtem nie zdarzyła mi się taka robota. W tym zbiorniku znajdowało się ponad trzysta galonów i Bóg jeden wie, co się z nimi działo w trakcie parowania. Stałe skoki

temperatury, jakie tu występują, mogły wywołać różne reakcje.

— Mimo wszystko — powiedziałem — chciałbym mieć próbkę.

— Więc znajdź coś, żeby można to było włożyć.

Jestem na tyle staroświecki, że używam do golenia mydła w shtyfcie.

Znajdowało się ono w plastikowym pojemniku. Na pustyni nie znalazło

specjalnego zastosowania i zapuściłem pokąźną brodę, którą, jak mi powiedział

Byrne, przyprószyła siwizna.

— Wkrótce będziesz wyglądał równie dostojnie jak ja — powiedział.

Wyjąłem laskę mydła i napełniliśmy pudełko brązowym proszkiem. Zakręciłem pokrywkę i na wszelki wypadek zabezpieczyłem ją plastrem z apteczki Byrne'a.

Minęło już wówczas południe, więc przygotowaliśmy posiłek. W trakcie

jedzenia Paul spytał:

— Kiedy odjeżdżamy?

Byrne zerknął na mnie i zorientowałem się, że myślimy o tym samym.

Musieliśmy dopilnować ceremonii pogrzebowych.

— Jutro, wcześniej rano — odparł.

Nic nie powiedziałem Paulowi, dopóki nie skończyliśmy jeść i nie wypiliśmy herbaty. Potem założyłem do aparatu nowy film, gdyż chciałem mieć pełną dokumentację.

— Paul, weź się w garść, muszę ci coś powiedzieć. Gwałtownie odwrócił

głowę i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Wiedziałem już, że odgadł.

— Znalazłeś go. Znalazłeś mojego ojca.

— Tak.

Powstał.

— Gdzie?

— Niedaleko stąd. Czy jesteś pewien, że chcesz go zobaczyć? Możemy z Luke'iem zrobić co trzeba.

Wolno pokręcił głową.

— Nie, muszę go zobaczyć.

— W porządku, zaprowadzę cię.

Wszyscy trzej poszliśmy do jaskini. Łzy popłynęły po twarzy Paula, kiedy spojrzał na to, co zostało z jego ojca. Na kościach wciąż znajdowało się trochę strzępów ciała i skóry, lecz były brązowe i zmumifikowane, a do gołej czaszki przylegało kilka kępek włosów.

Zrobiłem parę zdjęć i zaczęliśmy odgarniać piasek ze szkieletu. Pod cienką warstwą piasku znajdowała się skała, nie mogliśmy więc Petera Billsona pogrzebać. Zamiast tego wznieśliśmy na szczątkach nagrobek z kamieni. Paul przez cały czas szlochał. Następnie wróciliśmy do „Flyaway”. Byrne niósł pod pachą puszkę znaną obok ciała. Razem z Billsonem pogrzebaliśmy jeszcze dwie rzeczy — pudełka opatrzone nazwą towarzystwa pirotechnicznego Brocka.

Jedno zawierało rakiety świetlne, a drugie sygnały dymne. Żadne nie zostało wykorzystane, ponieważ samolot ratunkowy nie został ani dostrzeżony, ani usłyszany.

Stojąc obok „Flyaway”, Byrne podał puszkę Paulowi.

— To twoje — powiedział tylko.

Wziął ją, usiadł na piasku i położył puszkę przed sobą. Przez dłuższy czas spoglądał na nią w milczeniu, nim drżącymi palcami sięgnął, aby ją otworzyć.

Zupełnie nie przypominało to odpakowywania prezentu gwiazdkowego. W

środku znajdowało się sporo papierów.

W trakcie swoich ostatnich dni Peter Billson prowadził pamiętnik pisany w dzienniku nawigacyjnym. Nie zamierzam wnikać w szczegóły, gdyż są one zbyt bolesne. Uczyniono propozycję, aby opublikować go w przyszłym wydaniu

„Magazynu Królewskiego Towarzystwa Lotniczego”. Jestem temu przeciwny.

Agonia psychiczna człowieka w obliczu śmierci winna być sprawą prywatną.

Znajdowała się tam licencja lotnicza Billsona, zaklejona koperta

zaadresowana „Dla mojej kochanej Helen”, podniszczony, skórzany portfel, fajka i pusty woreczek na tytoń, karnet benzynowy Shella, plik brytyjskich, francuskich, nigeryjskich banknotów (ze zdziwieniem zobaczyłem stary, duży banknot pięcioletni), oraz kilka innych drobiazgów.

Paul ujął list zaadresowany do matki. Dolna warga mu drżała.

— Powinienem być ją lepiej traktować — wyszeptał i wręczył mi go. — Czy mógłbyś go spalić? Nie otwieraj tego.

Skinąłem głową. Byrne pochylił się i uniósł kartkę.

— Karta dewiacyjna — powiedział. — Nie więcej niż półtora stopnia na każdym kursie. — Wręczył mi ją. — Nie ma znaczenia, że kompas ma

odchylenie, jeśli o tym wiesz.

Na karcie wydrukowano różę kompasową, wokół której atramentem napisano cyfry. Mechanik ustawiający kompas podpisał ją i opatrzył datą 4 stycznia 1936.

Odwróciłem ją i zobaczyłem coś nagryzmołonego z tyłu: „Zastanawiam się na ile to cholerstwo jest prawdziwe?”. Trąciłem łokciem Byrne'a, pokazałem mu napis i cicho powiedziałem:

— W końcu zaczął się domyślać.

Pamiętnik powiedział Byrne'owi to, czego chciał się dowiedzieć o lądowaniu.

— On rzeczywiście był dobrym lotnikiem, Paul — powiedział. —

Wylądował w następujący sposób. Silnik wysiadł i samolot schodził lotem ślizgowym z prędkością stu kilometrów na godzinę. Księżyc znajdował się nisko i nagle zasłoniły go skały, więc Billson musiał coś błyskawicznie zrobić. Zadarł

dziób samolotu do góry tak, że niemal równocześnie wytracił szybkość i siłę nośną i niemal pionowo spadł z nieba. Określił to jako lądowanie plackiem.

Nigdy nie słyszałem, aby tak je nazywano. Píše: „Staruszek pięknie

splackował, lecz obawiam się, że obydwa amortyzatory olejowo—powietrzne rozwały się, jeden na amen. Nie ma to jednak znaczenia, bo stąd i tak nie wystartowałyby”.

Przeczytałem pamiętnik. Wytrzymał dwanaście dni na dwóch i pół galonie wody. Początkowo pewny i zdecydowany charakter pisma pod koniec przeszedł

w bazgroły. W ciągu ostatnich kilku dni najwyraźniej gorączkował i miewał

halucynacje, łączące się z ludźmi wymalowanymi na skałach jaskini. Ostatniego zapisu dokonano zaskakująco pewną ręką. Prosił o opiekę nad żoną i synem.

Myśl o stu tysiącach funtów, stanowiących jego ubezpieczenie na wypadek śmierci, zdawała się go bardzo uspokajać.

Byrne chrząknął i powstał.

— Taki facet zasługuje na coś lepszego niż sterta kamieni. Potrzebny mu nagrobek. — Szybkim krokiem podszedł do Flyaway i wskoczył na skrzydło samolotu. Wspiął się po kadłubie i usiadł okrakiem na pokrywie dużego silnika gwiazdzistego. Rozległ się stukot i zobaczyłem, że zdejmuje śmigło.

Podsunęło mi to pomysł. Znalazłem kawałek aluminium, który wycięliśmy z boku kadłuba i posługując się przecinakiem oraz małym młotkiem zacząłem ryc litery. Paul podszedł zobaczyć co robię i został, aby pomóc. Kiedy uznałem, że skończyliśmy, powiedziałem:

— Tyle wystarczy, Paul.

— Nie, chciałbym jeszcze coś dodać.

Prowadził ostrze przecinaka, gdy ja uderzałem młotkiem i dodaliśmy czwartą linijkę tak, że nasza prosta plakieta brzmiała:

PETER BILLSON

LOTNIK

1903—1936

Odleć , Peter

Ta pozornie niewielka praca zajęła nam więcej czasu niż sądziłem i kiedy skończyliśmy, słońce już zachodziło. Zjedliśmy wieczorny posiłek i wcześniej poszliśmy spać. O świcie następnego dnia razem z Paulem pomogliśmy

Byrne'owi wyjąć dwa ostatnie sworznie przytrzymujące śmigło na wale.

Opuściliśmy je na ziemię używając liny wykonanej z kawałków osłej uprzęży.

Byrne i ja zanieśliśmy je do grobu w jaskini, a Paul przyniósł w tym czasie plakietę. Ustawiliśmy śmigło pionowo obok grobu, a Byrne przytwierdził

plakietę do piasty za pomocą drutu, który znalazł we „Flyaway”.

Staliśmy tam przez chwilę, nic nie robiąc. Byrne odezwał się:

— Wydaje mi się, że Billson zobaczył te obrazki jako pierwszy facet od kilku tysięcy lat. Może to śmigło oraz inskrypcja wciąż będą tu za tysiąc lat.

Aluminium nie rdzewieje, a zmiany na pustyni zachodzą powoli. To dobry nagrobek.

Chwilę później odeszliśmy, pozostawiając Paula z jego własnymi myślami.

Mimo spętania, osły odeszły spory kawałek w poszukiwaniu paszy. Chwilę zajęło nam odszukanie ich i upłynęła godzina, nim sprowadziliśmy je z powrotem do obozu. Paul wrócił ponury i pomógł nam objuczyć je. Czas było ruszać.

Rzuciliśmy ostatnie, długie spojrzenie na „Flyaway” i rozpoczęliśmy

kłopotliwe przeciąganie osłów przez wąską szczelinę w skale. Kiedy je przeprowadziliśmy, Byrne powiedział:

— Dobra, wracamy do Tamrit. Może trzy dni.

— Czy moglibyście zaczekać minutkę? — powiedział Paul. — Nie zabawię długo. Chcę tylko... — przełknął konwulsyjnie i spojrzał na mnie. — Nie zrobiłeś zdjęcia plakietki. Chciałbym je mieć.

Zerknąłem na Byrne'a, który odparł:

— W porządku, Paul, ale nie więcej jak piętnaście minut. Uwiąż te osły porządnie na postronku. My wolno pójdziemy naprzód. — Wskazał ręką. —

Idziemy w tym kierunku.

Odwiązałem torbę i wyjąłem aparat.

— Mam pójść z tobą, czy potrafisz sam zrobić zdjęcia?

— Potrafię — odrzekł. — Dałem mu więc aparat i wróciłem z powrotem przez szczelinę.

— Krew z krwi i kość z kości, zabawna rzecz — powiedział Byrne. — Nigdy nie przypuszczałbyś, że okaże się tak czułym w stosunku do człowieka, którego prawie nie znał. — Pociągnął osła za lejce. — Chodźmy, dogoni nas.

Ruszyliśmy spokojnym krokiem, posuwając się wśród skał przez jakiś kilometr. Obejrzałem się i powiedziałem:

— Może lepiej zaczekajmy na Paula.

— Hę? — odparł Byrne z roztargnieniem. Wpatrywał się w ziemię. —

Przechodziły tędy wielbłądy.

Przyjrzałem się potężnym odciskom racic na piasku.

— Mówiłeś, że są tu dzikie wielbłądy.

Byrne opadł na kolano.

— Tak, wiem, że mówiłem, ale dzikie wielbłądy nie reperują sobie racic —

wskazał linię na jednym ze śladów. — Ten przeciął sobie nogę i ktoś nałożył mu na nią skórzaną łątę.

Zmarszczyłem brwi.

— Czy to się da zrobić?

— Jasne. Właśnie o tym mówiłem, no nie? — wstał i rozejrzał się. — A oto i on.

Obejrzałem się, z tyłu podjeżdżał do nas człowiek na wielbłądzie — Arab, który towarzyszył Kissackowi. Gwizdnął przenikliwie, a z przodu dobiegła taka sama odpowiedź. W sumie było ich pięciu: Kissack i ten Arab, oraz Lash ze swoimi goryłami. Wszyscy siedzieli na wielbłądach i mieli co najmniej sześć zwierząt jucznych. Nie widziałem żadnej broni, ale to nic nie znaczyło.

Lash spojrzał na nas z wyżyn wielbłądziego siodła.

— Pan Byrne — rzekł miłym głosem. — I pan Stafford. Jak miło, że się spotykamy. Nie spodziewałem się znaleźć was tutaj. Zapewne szukacie

fresków?

— Jesteś daleko od Kano, Stafford — rzekł Kissack. — Zmyliłeś drogę.

— Kogoś brakuje — Lash pstryknął palcami. — Jakżesz on się nazywał?

Ach tak, Billson. Gdzie jest pan Billson? — Jeden ze stojących za nim mężczyzn coś mruknął, a Lash dodał: — I ci Tuaregowie, którzy byli z wami.

Byrne upuścił wodze swojego osła i przydeptał je nogą.

— Paul rozchorował się, więc zabrali go z powrotem do Djanet — dobrze zaimprovizował kłamstwo.

— Dziwne, że go nie spotkaliśmy — zauważył Lash. Skinieniem ręki

przywołał Araba i rzucił mu lejce wielbłąda. Arab sprawił, że wielbłąd opadł na kolana, a Lash zsiadł niezdarnie. Nie jechał na sposób tuareski, trzymając stopy na szyi wielbłąda, lecz miał strzemiona. Skrzywił się. — Cholernie niewygodne bydlęta.

— Jeśli się nie chce, nie trzeba na nich jeździć — odparł Byrne. — Lepiej byłoby na tuareskim siodle, zamiast tej uprzęży Chaamba. — Wskazał głową Araba. — Jak przypuszczam, to jego.

— Prawidłowe przypuszczenie. — Lash machnął ręką i wszyscy zsiadli, a wielbłądy chrząkały niezadowolone. — Cóż to, zamurowało pana, panie

Stafford?

— Jak na razie nie miałem nic ciekawego do powiedzenia.

— Ależ będzie pan miał — zapewnił mnie. — Jestem tego pewien. Obaj

panowie spotkaliście Kissacka, więc nie ma potrzeby go przedstawiać. Jeśli zaś chodzi o resztę moich przyjaciół, to nie znają angielskiego.

— Przyjaciół? — powiedziałem. — A nie przewodników?

Lash uśmiechnął się lekko.

— Bliskość rodzi przyjaźń. Z kierunku, który obraliście, wnoszę, że wracacie do Tamrit. Czy mam rozumieć, że znaleźliście to, czego szukaliście?

— Tak, znaleźliśmy trochę malowideł — odparł Byrne. — I jak sędzę

nowych, jeszcze dotychczas nie oglądanych.

— Nie szukaliście fresków — rzekł Lash bezbarwnym głosem. — Skończmy tę zabawę w kotka i w myszkę, dobra? Szukaliście samolotu. Czy znaleźliście go?

— Nie sądzę, aby to był twój interes — powiedziałem.

Lash spojrział na mnie bez uśmiechu.

— Ani twój. Nie chciałeś posłuchać ostrzeżenia w Londynie. Musiałeś grać głupiego bohatera i mieszać się w sprawy, które cię nie dotyczą.

A więc zostało to powiedziane wprost, Lash odpowiadał za pobicie mnie.

— Kto ci płaci? — zapytałem.

— Wciąż się wtrącasz? Niebezpieczna sprawa. No więc, gdzie Billson?

— Słyszałeś przed chwilą— powiedziałem. — Trzy dni temu wrócił do Djanet. Miał zapalenie rany — dotknąłem swego ramienia. — O, tutaj — starałem się przy tym nie patrzeć na Kissacka.

Interesująco zmieniał się wyraz twarzy Lasha, gdyż to, co właśnie powiedziałem, mogło się przypadkowo zgadzać. Chwilowo zostawił Billsona w spokoju.

— A ten samolot, gdzie on jest?

— Jaki samolot? — zapytał Byrne.

Lash westchnął.

— Słuchaj Byrne, nie igraj ze mną. To po prostu głupota — odwrócił się i cicho powiedział coś do Araba. Ten ponownie dosiadł wielbłąda, zmusił go do powstania i skierował się naszym śladem tam, skąd przyszliśmy. Jadąc

dostatecznie daleko znalazłby osły, które Paul uwiązał przed szczeliną w skale.

Mógł nawet odnaleźć Paula.

Lash odwrócił się w naszą stronę.

— Gdzie jest ten samolot? I nie pytajcie, jaki samolot. Chodzi o Northropa „Gamma 2—D”, zbudowanego w 1934 i nazwanego „Flyaway”. W 1936 Peter Billson rozbił go w tej okolicy. — Kiedy Byrne otwierał usta, Lash uniósł rękę.

— Nie mów mi tylko, że nie wiesz o czym mówię. Popełniłbyś duży błąd.

Nim Byrne zdołał odpowiedzieć, odezwał się Kissack.



— Panie Lash, traci pan tylko czas. Niech mi pan pozwoli spróbować.

— Zamknij się — odparł Lash chłodno.

— Nie wiem o czym mówisz — powiedział Byrne.

— No dobra — rzekł Lash zmęczonym głosem. — Spróbujemy po twojemu, Kissack.

Nagle w ręce Kissacka znalazł się pistolet. Zbliżył się i przyjrzał się nam z namysłem.

— Sądzę, że ten stary przyk zna się lepiej na pustyni niż Stafford, więc będzie lepszym przewodnikiem. — Spojrzałem na uniesiony pistolet. Miał lufę

skierowaną dokładnie między moje oczy i wiedziałem, że byłem bliski śmierci.

— Jeśli nam nie powiesz, Stafford padnie trupem.

Wydawało się, że upłynęła wieczność, nim Byrne powiedział:

— W porządku. Jest jakieś dziesięć kilometrów za nami.

Lash mruknął z zadowoleniem, a Kissack powiedział:

— Czy mam go mimo wszystko zabić, panie Lash?

— Nie — odparł Lash. — Możemy go jeszcze potrzebować do tego samego celu. Przeszukać ich.

Oczywiście znaleźli nasze pistolety. Kissack sprawdził ładunek trzech osłów.

— Mielicie strzelbę, gdzie ona jest?

Uświadomiłem sobie, że została zapakowana na jednym z osłów Paula.

— Zostawiliśmy ją w Tenere — powiedział Byrne. — Za dużo tu piasku i mechanizm się zaciął. Tylko z tego powodu jeszcze żyjesz, Kissack.

Twarz Kissacka pobladła. Ponownie uniósł pistolet i skierował go w Byrne'a.

— Na miłość boską, czy to ty załatwiłeś Bailly'ego?

— Dosyć — rozkazał Lash. — Tracimy czas. Pomóż mi wleźć na tego

przekłętą wielbłąda. — Wszyscy ponownie znaleźli się w siodłach. Każdy trzymał broń, z wyjątkiem Lash'a, pozornie nie uzbrojonego. — W tył zwrot —

rozkazał. — A teraz zaprowadź nas do tego samolotu, Byrne. Tylko bez żadnych sztuczek, bo z miejsca dostaniesz kulkę w plecy.

Tak więc zaczęliśmy się cofać po własnych śladach. Zerknąłem w bok na Byrne'a, którego nos bardziej niż kiedykolwiek przypominał dziób. Nie spojrzał

na mnie, tylko patrzył przed siebie z posępnym wyrazem twarzy. Wszystko, co zyskał, to czas. Czas przebycia dziesięciu kilometrów, powiedzmy jakieś cztery, lub pięć godzin. A wtedy wszystko zacznie się od nowa.

Pomyślałem o Paulu. Byrne dał mu piętnaście minut, więc powinien już

przyjść. Błagałem Boga, aby potwierdził swoją reputację. Bądź nebbishem Paul, myślałem. Bądź niewidzialny.

Szedłem ciężko, świadom pistoletów wycelowanych w moje plecy, a w

głowie tłukł mi się obłąkańczy wierszyk:

Kiedy wchodziłem po schodach na górę,

Spotkałem nieobecną figurę.

Dzisiaj nie było jej tam znów.

A idźże sobie do wszystkich diabłów!

Nie szliśmy długo, gdy zjawił się Arab i podjechał do Lasha. Przez chwilę szeptali coś do siebie, po czym Lash zawołał:

— Stać! — zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Lash rzekł jedwabistym głosem: — Znów jakieś sztuczki, Byrne? Ostrzegałem cię. Idźcie za Zayidem.

Arab wjechał przed nas i skręcił na lewo, kursem prowadzącym wprost do miejsca, gdzie zostawiliśmy Paula. Byrne mruknął coś i niedostrzegalnie wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że Zayid był dobrym tropicielem, wystarczająco dobrym, aby odkryć bluff Byrne'a.

Doszliśmy do szczeliny w skale. Nie znaleźliśmy tam ani osłów, ani śladu Paula. Jeśli był nebbishem, miał również właściwości zjawy, gdyż jak widmo

„nagle, cichutko zniknął”. Byrne spojrzał na mnie i uniósł brwi. Pokręciłem przecząco głową, dając znak, że też nie wiem. Nieobecna figura rzeczywiście sobie poszła.

Chwilę trwała dyskusja po francusku. Zayid pokazywał odciski oślich kopyt na piasku, wyraźnie wskazujących, że zwierzęta przeszły przez szczelinę. Lash powiedział:

— Kissack, złaź, przejdź tędy i powiedz mi, co widzisz. Kissack zsiadł i z wyciągniętą bronią

zagłębił się w szczelinę.

Zniknął nam z oczu, gdyż w połowie drogi znajdował się zakręt. Nastąpiła cisza przerywana tylko parskaniem stojącego za mną wielbłąda. Nagle rozległ się krzyk bez związku i słów, który odbił się echem od kolumn skalnych. Kissack wrócił krzycząc podniecony.

— Jest tam, panie Lash! Ten przeklęty samolot tam jest!

— Doprawdy? — Lash zdawał się nieporuszony. — Zayid! — Arab pomógł

mu zsiąść. — Chodźmy więc wszyscy popatrzeć na samolot, który dziwnym sposobem według obliczeń pana Byrne'a znajduje się o dziesięć kilometrów stąd.

Nie mieliśmy wyboru — poszliśmy. Wielbłądy były zbyt duże, aby przejść przez szczelinę, więc Zayid spętał je i zostawił na zewnątrz, ale osły wprowadzili do środka. „Flyaway” stał tak, jak go zostawiliśmy. Zayid i zbiry wynajęte przez Lasha w Algierze nie interesowali się nim specjalnie, w przeciwieństwie do Lasha i Kissacka. Podeszli do samolotu, Lash równym krokiem, Kissack praktycznie cały w płasach.

— Czy to ten, panie Lash? — zapytał podnieconym głosem. — Czy to

właśnie ten?

Lash wyjął z kieszeni papier i rozłożył go. Przyglądał mu się badawczo, porównując z tym, co miał przed sobą. Spojrzał na bok kadłuba i powiedział:

— Tak Kissack, mój chłopcze, rzeczywiście to ten.

— Chryste! — rzekł Kissack podskakując. — Pięć tysięcy funciaków! Pięć kawałków!

— Zamknij swój cholerny dziób — powiedział Lash. — Za dużo gadasz —

odwrócił się na pięcie i spojrzał na nas. — Hej wy, chodźcie tutaj! — Razem z Byrne'm zostaliśmy popchnięci do przodu, a Lash wskazał na wycięty przez nas otwór. — Czy to wy zrobiliście?

— Tak — odparł Byrne. — Dlaczego?

— Odnaleźliśmy ciało Billsona. Chcieliśmy oznaczyć grób — skinął głową w stronę silnika. — Dlatego też zabraliśmy śmigło.

— Zakopaliście ciało?

— Jego pozostałości. Grunt jest bardzo twardy. Usypaliśmy na nim kopiec.

Lash odsłonił zęby w ponurym uśmiechu.

— A więc, tak zrobiliście. W takim razie nie wszystko stracone.

— Nie wiedziałem, co chciałem przez to powiedzieć.

— Gdzie jest ciało?

Byrne powiedział mu.

— Przynieś to śmigło, Kissack — rozkazał Lash. — Weź ze sobą Zayida.

Ale najpierw skrępuj tych dwóch, ręce na plecach i stopy podwiązane.

Zostaliśmy więc związani i położeni pod skalną ścianą parowu. Kissack i Zayid poszli odszukać grób, a Lash z pozostałą dwójką zniknęli w szczelinie.

Dokąd poszli, nie miałem pojęcia.

— Przykro mi, że cię w to wplątałem, Luke — powiedziałem.

Mruknął jedynie i zaczął się kręcić. W trakcie mocowania z więzami zatoczył

się na mnie i wywrócił. Upadłem ciężko, a kamień wbił mi się w mostek. Kiedy wróciłem do pozycji siedzącej, dyszałem.

— Nic z tego — rzekł. — Wiedzą jak związać faceta. Zacznie się szarpać, to więzy jeszcze mocniej się zacisną.

— Tak. Jak sądzisz, co on zamierza zrobić?

— Jeśli chodzi o samolot, nie wiem. Lecz jeżeli nie przesłyszałeś się w Bilmie, jest najzupełniej pewne, że nas zabije. Nie wiem, dlaczego dotąd tego nie zrobił.

Spojrzałem na piasek w miejscu, gdzie upadłem, lecz nie było tam kamienia. I wówczas go poczułem.

— Luke! Pamiętasz tę główkę kamiennej siekiery, którą znalazłeś na Col des Chandeliers? Mam ją w kieszeni gandoury. Myślisz, że uda ci się ją wydostać?

Przewróciłem się na bok, a on wykręcił plecami do mnie, skrępowanymi

rękami obmacując mi klatkę piersiową. Było to groteskowe, lecz w końcu udało mu się włożyć rękę do kieszeni i zbadać ją dookoła.

— Jest na samym dnie.

— Mam ją! — Wolno podsunął mi rękę pod nos. Zobaczyłem, że między

palcami ścisnął mały przedmiot. Nie miał więcej niż dwa centymetry długości i był to raczej skrobak niż główka siekiery. Krawędź miał jednak dość ostrą.

— Próbuje się uwolnić — odezwał się z tyłu za nami rozbawiony głos.

Byrne puścił skrobak, który upadł na piasek a ja przetoczyłem się na niego. —

Trzeba mieć silne zęby, żeby przegryźć skórzane rzemienie — powiedział Lash.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na niego.

— Masz mi za złe, że próbuję?

— Oczywiście, że nie, pułkowniku Stafford. Próba ucieczki jest

obowiązkiem każdego oficera, nieprawdaż? — Przykucnął na piętach. — Ale wam się nie uda, chyba o tym wiecie.

— Znikaj — powiedziałem cierpko.

— Nie, wy znikniecie. Jeżeli kiedykolwiek odnajdą wasze ciała,

przypuszczam że będą wyglądały podobnie jak ciało Billsona. Lecz nie odnajdą ich w pobliżu. Co to, to nie, moi drodzy! Nie możemy sobie pozwolić na taki zbieg okoliczności.

Odwrocił się, słysząc brzęk metalu o skałę. Spojrzałem w tę samą stronę i zobaczyłem jego ludzi wychodzących przez szczelinę. Każdy niósł dwa

kanistry. Postawili je obok „Flyaway” i znów odeszli. Lash ponownie skierował

na nas uwagę. Odezwał się do Byrne'a:

— Przemyślałem sobie jeszcze raz wszystko, co mi powiedziałaś od chwili, gdy spotkaliśmy się dziś rano i doszedłem do pewnego wniosku, Byrne. Jesteś przeklętym kłamcą!

Byrne lekko się uśmiechnął.

— Nie powiedziałbyś tego, gdybym miał ręce wolne.

— Tak, praktycznie wszystko było kłamstwem, pozycja samolotu, szukanie fresków. Dlaczego więc nie miałbyś kłamać na temat Billsona? To pasowałoby do twojego modelu. Gdzie on jest?

— Opuścił nas trzy dni temu! — powiedział Byrne. — Z jego ramieniem

było kiepsko i stan się pogarszał. Tam właśnie postrzelił go Kissack. W Tenere przeżył ciężkie chwile. Rana znów się otworzyła, a jako że jest ostatnim głupcem, nic o tym nie powiedział, bo chciał znaleźć samolot tatusia.

— A więc wiecie o tym — Lash zerknął na mnie. — Obaj.

— Kiedy zobaczyłem, w jakim stanie jest jego ramię, zacząłem obawiać się gangreny — powiedział Byrne. — Odesłałem go więc z Atitelem i Hamim.

Sądzę, że jedzie wolno, więc powinien teraz zjeżdżać z Tamrit.

— Chciałbym móc ci wierzyć.

— Nic mnie nie obchodzi, czy mi uwierzysz, czy nie.

Ludzie Lasha wrócili niosąc kolejne cztery kanistry, postawili je razem z tamtymi. Obserwowałem jak wracają przez szczelinę. Lash lekko klasnął w dłonie.

— A więc twierdzisz, że Billson tu nie doszedł.

— Skoro zawrócił trzy dni temu, to nie.

— A zresztą, nieważne — rzekł Lash i wstał. — Nie zamierzam ryzykować.

Billson nie wyjedzie z Północnej Afryki. Jest trupem, takim jak wy.

Odszedł, a Byrne powiedział:

— Naprawdę wesoły gość.

— Zastanawiam się, gdzie jest Paul? — odparłem półgłosem.

— Nie wiem, ale nie zamierzam zdawać się na kogoś takiego jak on. Pomoc z jego strony jest równie prawdopodobna, jak śnieżycy na Tassili. Gdzie ten cholerny przecinak?

Przez całe pięć minut szukałem po omacku, przesiewając piasek.

— Mam!

— To trzymaj i nie wypuść. Może będziemy jeszcze mieli szansę.

Kissack i Zayid wrócili niosąc śmigło. Kissack pokazał plakiętę Lashowi, a ten się roześmiał. Nie wyrzucił jej, lecz podszedł do czekających cierpliwie osłów i starannie schował. Potem wdrapał się na skrzydło „Flyaway” i zajrzał do kabiny.

— Zauważy brak kompasu — mruknąłem.

— Może nie — odparł Byrne.

Lash dokonał tylko pobieżnego przeglądu kabiny, następnie wspiął się na kadłub i otworzył luk ładunkowy. Zajrzał do środka i powiedział coś do stojącego niżej Kissacka. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Przesunął się po kadłubie w stronę silnika i usiadł okrakiem na jego pokrywie, tak samo jak przedtem Byrne. Wziął coś do ręki, przyjrzał się temu i znów się roześmiał.

Zrzucił to Kissackowi i wskazał na nas.

Kissack zbliżył się. Stał nad nami, trzymając coś w palcach.

— Gdzie jest klucz do tego? — była to jedna ze śrub mocujących śmigło do wału silnika.

— Znajdź go sobie sam — odparł Byrne.

Kissack kopnął go w żebra. Szybko powiedziałem:

— Jest zapakowany w skrzynce narzędziowej na osle, tym stojącym w środku.

Kissack uśmiechnął się do mnie szeroko i odszedł.

— Nie ma potrzeby jeszcze im pomagać, Max — odezwał się Byrne.

— Nie pomagam. Ale nie chcę, żeby przeszukali wszystkie juki. Kompas jest zapakowany w mojej torbie. — Spojrzałem w stronę Lasha. — Czy zostawiłeś tam wszystkie śruby?

— Tak, ułożone równym rzędkiem na pokrywie silnika. Jestem prawdziwym pedantem. — W jego głosie brzmiała gorycz.

Ludzie Lasha przeszli przez szczelinę niosąc kolejne cztery kanistry. Dawało to w sumie dwanaście i najwyraźniej wrócili jeszcze po następne. Zwykle pojemność kanistra wynosi cztery galony, właściwie nieco więcej. Na piasku stało więc pięćdziesiąt galonów.

— Na co im u diabła tyle wody? — powiedziałem.

— Dlaczego sądzisz, że to woda?

Zamrugalem oczami ze zdumienia.

— Myślisz, że benzyna?

— Zakładają z powrotem śmigło, prawda?

— Oszaleli — powiedziałem. — Nie wystartują nim stąd.

— Nie mają zamiaru — odparł Byrne. — Pamiętasz Land—Rover Paula?

Myślę, że chcą go spalić.

Zniszczyć dowód czego? Obserwowałem jak zakładają śmigło. Mozolili się z tym bardziej niż my przy zdejmowaniu. W pewnym momencie cała piątka

została zaangażowana do pracy. Wtedy właśnie zaryzykowałem przecięcie więzów na rękach Byrne'a. Trzymałem wypolerowane i zastrzone kamienne ostrze i ciąłem skórę nie widząc co robię, gdyż byliśmy z Byrne'm zwrócenii plecami do siebie.

— Dość! — powiedział nagle. — Skończyli. — Ukryłem ostrze w dłoni i

ponownie wykręciłem się, aby spojrzeć na „Flyaway”. Kissack i Zayid podawali kanistry stojącemu na skrzydle Lashowi. Ten zaś wlewał benzynę do zbiornika zapasowego. Pozostała dwójka wciąż była zajęta dostarczaniem kolejnych kanistrów. Lash wlał do środka pięćdziesiąt galonów i miał do dyspozycji następne pięćdziesiąt, gdyż naliczyłem w sumie dwadzieścia cztery kanistry.

— Ładunek trzech wielbłądów — rzekł Byrne. — Zastanawiała mnie taka ilość zwierząt jucznych.

Lash z Kissackiem podeszli do nas. Byrne uniósł na nich wzrok.

— Mówiłem już Wilburowi i mówiłem Orville'owi : „To nigdy nie oderwie się od ziemi.”

— Bardzo zabawne — powiedział Lash. — Kissack wysunął pewną sugestię.

Uważa, że powinniśmy jednego z was umieścić w kabinie. — Przyglądnął się nam z uwagą, a następnie odwrócił się do Kissacka i rzekł chłodno: — Byrne odpada, jest za stary i mogłoby to być widoczne. Jeśli już ktoś, to Stafford.

Kissack wzruszył ramionami.

— Mnie tam wszystko jedno.

Lash spojrzał na mnie.

— Czy ja wiem — zastanowił się. — Ubiór jest nie ten.

— On się spali.

— Hmm. Są jeszcze zęby. Kiedyś ten samolot zostanie odnaleziony, Kissack, i ktoś może zdecydować się na przeprowadzenie gruntownego dochodzenia.

Gdyby w kabinie odkryli nie tego człowieka, co trzeba, zaczęto by zadawać cholernie dużo pytań.

— Po więcej niż czterdziestu latach!

— Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Nie, zważywszy wszystko, uważam, że zostawimy go tak, jak jest. Mamy ciało Billsona, więc dajmy temu spokój.

Będzie wyglądało, jakby wy dostał się z kabiny nim samolot eksplodował. —

Lash spojrzał na mnie. — Nie daj się ponieść nadziejom, Stafford. To tylko odroczenie.

— Jesteś zimnokrwistym bydlakiem — powiedziałem.

Kissack kopnął mnie w żebra, a Lash złapał go za ramię.

— Nie rób tego. Nie cierpię bezzasadnej przemocy.



— Jakiej przemocy? — zapytał Kissack.

— Chcę powiedzieć, że nie rozdaję kopniaków ot tak sobie, jak ty. — Lash odwrócił się i spojrzał na „Flyaway”. — On nie wygląda jakby się rozbił —

użalił się. — Ani nie wypali się zupełnie. Trzeba będzie unieść ogon i postawić cały samolot na silniku.

— Do diabła, on jest ciężki!

— Nie taki ciężki jak całość, a nas jest pięciu. Musimy tylko unieść ogon i podłożyć kamienie. Kiedy ta sterta kamieni będzie dość wysoka, sam przechyli się do przodu jak huśtawka. Ale jak sądzę, najpierw trochę benzyny.

Odeszli w stronę „Flyaway” i Lash ponownie wdrapał się na skrzydło.

Kissack podał mu pełny kanister, a Lash wlał go do kabiny. Drugi opróżnił do pomieszczenia bagażowego. Następnie powtórzył wszystko jeszcze raz z dwoma kolejnymi kanistrami. Ujrzałem nad samolotem migoczącą mgiełkę parującej benzyny. Wystarczyłaby jedna iskra, aby ta bomba eksplodowała.

Cała piątka zgromadziła się przy ogonie. Podczas gdy czterech go unosiło, piąty układał pod spodem kamienie. Stopniowo ogon unosił się wyżej i wyżej.

Podczas gdy wszystkie spojrzenia odwróciły się ode mnie, kamiennym ostrzem zająłem się nadgarstkami Byrne'a. Nie widziałem, jak „Flyaway” poleciał w przód, ale gdy spojrzałem na niego, kadłub miał uniesiony pod kątem

czterdziestu pięciu stopni, a ogon wskazywał niebo. Rozległ się przeszywający dźwięk, gdy śmigło pod wpływem ciężaru silnika grzmotnęło w ziemię i

wygięło się.

Nalali do samolotu jeszcze trochę benzyny, a ostatnią bańkę Kissack zużył

wyznaczając ślad na piasku. Nie miał zamiaru znaleźć się zbyt blisko w chwili podłożenia ognia. Znał się na podpalaniu. Lash stojąc w pobliżu nas wyjął z kieszeni papier. Myślę, że ten sam, którego użył do zidentyfikowania

„Flyaway”.

— Już mi się nie przyda — zagadnął i podpalił rożek zapalniczką. Uniósł go w górę, aby upewnić się, że płonie i rzucił go na przesączony benzyną piach.

Początkowo nic sienie stało. W jasnym blasku słońca niemożliwe było

dostrzeżenie płomieni biegnących w stronę „Flyaway”. Lecz po chwili samolot eksplodował ogniem.

Płomienie buchnęły z kabiny, hucząc jak gdyby pod wpływem ciągu w kominie. Pobiegły do ogona i steru, aż spowiły samolot zupełnie.

Osły ryczały i szarpały się przerażone. Lash krzyknął:

— Zabierzcie stąd te przeklęte osły! — Nie sądzę, aby do tej chwili zdawał

sobie sprawę, ile ciepła wytworzy taka ilość benzyny. Zabrali osły i przepchnęli je przez szczelinę, następnie wyszli sami, zostawiając nas leżących tam.

Wykorzystałem tę okazję, aby ponownie spróbować przeciąć więzy na przegubach Byrne'a, ale wyrwał się.

— Na miłość boską — powiedział. — Przetocz się do ściany i trzymaj nisko głowę. Ten cholerny zbiornik zapasowy wyleci lada chwila.

Przetoczyliśmy się, zwalając się bezładnie pod skałą. Odwróciliśmy twarze od płonącego samolotu. O siedemdziesiąt metrów od nas zbiornik zapasowy eksplodował jak bomba. Poczulem falę palącego gorąca. Rozległ się huk i coś uderzyło mnie w krzyż. Kiedy ponownie spojrzałem na „Flyaway”, był rozerwany na połowy, a ogon i ster leżały w pewnej odległości od przedniej części. Oderwało się również jedno skrzydło.

A ja zgubiłem kamienne ostrze.

Wkrótce po tym płomienie przygasły i Lash wrócił. Spojrzał na nas kpiąco.

— Przypaliło was troszkę? Nie ma znaczenia, to dobrze robi na porost włosów.

— Idź do diabła — odparł Byrne.

Lash zignorował go i spojrzał na wrak „Flyaway”.

— Porządna robota — rzekł z satysfakcją. — Zastanawiałem się, czy nie użyć amatołu, ale mogłoby to niedobrze wyglądać. Tak jest zupełnie naturalnie.

Każdy, kto chodzi do kina wie, że rozbity samolot dobrze się pali — skinął na Kissacka. — Postaw tych dwóch na nogi i ruszamy. Odwiedzimy grób.

Kissack pochylił się i przeciął mi więzy w kostkach. Nie zrobił tego zbyt starannie, bo mnie zaciął. Z trudem stanąłem na nogi, gdyż ręce wciąż miałem związane na plecach i straciłem równowagę. Lash i Zayid prowadzili, my z Byrne'm szliśmy za nimi, a z tyłu Kissack z pistoletem w ręce. Pozostała dwójka deptała mu po piętach.

Nagrobek z kamieni został rozrzucony i widać było czaszkę Billsona. Lash spojrzał na nią obojętnie.

— Mamy więc ciało, ale nie możemy go tak zostawić, prawda? Chodzi o to, że człowiek nie mógłby umrzeć i odpowiednio się pochować.

Wydał po francusku rozkazy i jego ludzie zaczęli rozbierać nagrobek.

— Skąd wiedziałeś, że trzeba będzie spalić samolot? — spytałem. Lash wzruszył ramionami.

— Nie wiedziałem. Gdyby się spalił czterdzieści lat temu, zaoszczędziłoby mi to sporo kłopotów. Wolałem jednak nie ryzykować. Nigdy nie ryzykuję.

Przygotowałem się na każdą ewentualność.

Spojrzał jak odkrywano zaszuszone ciało.

— Kissack chciał, abyśmy je włożyli do kabiny przed spaleniem samolotu, ale jak już z pewnością zdążyliście się zorientować, Kissack jest durniem. Gdy tylko powiedział mi, że brakuje ramienia, odrzuciłem tę sugestię. Wszystko musi nie tylko porządnie wyglądać, ale musi być w porządku. Ja nigdy nie ryzykuję.

Wkrótce ciało zostało całkowicie odkryte. Lash spojrzał na nie.

— Czy tak je odnaleźliście?

— Tak.

— Nie wierzę wam. Musiał zostawić jakąś wiadomość, swoje papiery —

uniósł głowę i przypatrywał się nam z uwagą. — Gdzie one są?

— Może je właśnie spaliłeś — powiedział Byrne. Nie przeszukałeś samolotu zbyt dokładnie.

— Ale wy to zrobiliście — odparł Lash. Odwrócił się do Kissacka i dodał

szorstko: — Kiedy wrócimy na dół, chcę żeby te osły rozjuczono i wszystko przeszukano.

— Dobra — powiedział Kissack. W ręce niedbale trzymał pistolet, lufą skierowany w dół.

Nie martwiłem się o papiery Billsona, gdyż miał je Paul, gdziekolwiek się znajdował, w tej chwili zapewne daleko poza horyzontem. Gdyby jednak

przeszukali nasze bagaże, odnaleźliby kompas. Czemu się tym u diabła

przejmowałem, doprawdy nie wiem. Powinno to być ostatnim z moich

zmartwień.

— Kissack! — powiedziałem.

— Co?

— Czy przeszukałeś Land—Rover Billsona zanim go spaliłeś?

— Cóż u diabła? Nie, nie przeszukałem. A co ci do tego?

— Nic. Za tę robotę dostajesz pięć tysięcy funtów, prawda? Założę się, że Lash dostaje dziesięć razy tyle.

Oczy Lasha drgnęły.

— Pan Stafford przesadza.

Wpatrywałem się w Kissacka.

— Czy Lash nie powiedział ci?

— Czego, na miłość boską? Co ma wspólnego Land—Rover Billsona z moimi pięcioma tysiącami funtów?

Wzruszyłem ramionami.

— Tylko tyle, że Billson miał ze sobą sporo gotówki. Więcej niż pięć tysięcy, dużo więcej. Nie mogę uwierzyć, że Lash ci nie powiedział.

— O ile więcej? — ochryple spytał Kissack.

— Pięćdziesiąt sześć tysięcy w walucie brytyjskiej. Były w walizce z tyłu Land—Rovera.

Oczy Kissacka rozszerzyły się i raptownie odwrócił się w stronę Lasha.

— Czy to prawda?

— Skąd miałbym wiedzieć? — rzekł Lash znudzonym głosem. —

Człowieku, zachowaj zimną krew. Stafford próbuje cię tylko podpuścić.

— Czy aby na pewno? Kto wie?

Lash przestał być znudzony.

— Do licha, czy sądzisz, że gdybym wiedział, nie powiedziałbym ci o tym?

Czy myślisz, że stałbym i pozwolił ci palić pieniądze? Nie jestem takim...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż w bardzo bliskiej odległości rozległ

się okropnie głośny huk i górna część głowy Kissacka rozleciała się, bryzgając wokół szarymi kawałkami mózgu. Kolana ugięły się pod nim i upadł na ziemię, wypuszczając przy tym pistolet.

Paul Billson zawsze miał skłonności do przesady.

Karabin wojskowy, nawet z lat pierwszej wojny światowej, jest przeznaczony do zabijania ludzi z odległości tysiąca metrów lub więcej, a średnio dobry snajper uważa go za dobre narzędzie na dystansie czterystu metrów. Paul Billson nie był przeciętnym snajperem, prawdę mówiąc, w ogóle nie był

snajperem. Później wyznał nam, że strzelał wtedy po raz pierwszy w życiu, czy to w gniewie, czy w ogóle. Trudno jednak, aby nie zabił Kissacka z odległości pięciu metrów.

Według jego relacji poszedł do grobu i zrobił zdjęcia, a kolejnych kilka minut spędził na kontemplacji. Następnie wrócił, zabrał swoje dwa osły i udał się trasą wskazaną przez Byrne'a. Dostrzegł nas otoczonych przez ludzi Lash'a na wielbłądach, więc przezornie usunął się na bok. Na szczęście dla siebie — i dla nas — szedł po skale, w przeciwnym wypadku Zayid mógłby dostrzec jego ślady. Obserwował jak wzięto nas do niewoli i zastanawiał się, co z tym począć.

Nie powiedział tego, lecz sądzę, że jego pierwszym odruchem była chęć ucieczki, choć może go nie doceniam. Tak czy owak, dokąd miałby uciec? Od Tamrit dzieliły go trzy dni marszu i musiał sobie zdawać sprawę, że sam nigdy nie odnajdzie drogi. Co by jednak nie myślał, zdecydował się zostać. Odkrył też Lee—Enfielda Byrne'a, zapakowanego na jednym z osłów.

Wyszukał załom wśród skał i spętał osły. Jeden z nich miał skłonności do ryczenia, co przstraszyło Paula. Obawiał się, że tamci mogą usłyszeć i zacząć go szukać. Zrobił jednak właściwą rzecz. Rozjuczył osły, spętał je tak, jak podpatrzył u Byrne'a i puścił wolno. Wówczas obejrzał sobie karabin.

Widział karabin z daleka, lecz nigdy nie miał żadnego w rękach. Nie jest to czymś niezwykłym, jak na Anglika w jego wieku, który nie odbył służby wojskowej z powodu niesprawności fizycznej. Po Luton nie pałęta się aż tyle broni. Bawił się nim uważając, aby nie dotknąć spustu, ryglował zamek, starając się odkryć zasadę jego działania. W końcu raczej przypadkowo nacisnął zatrzask i magazynek wypadł mu do ręki. Był pusty, dlatego też naboje nie zostały wprowadzone do komory naboju.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym i wkrótce doszedł do wniosku, że amunicja nie powinna się znajdować daleko od broni. Wiedział, że Byrne miał

zwyczaj trzymać pełny magazynek w woreczku na szyi, lecz z pewnością gdzieś musiało być więcej naboji. Zdjął z osłów juki i zaczął je przeszukiwać. W końcu znalazł i otworzył paczkę zawierającą jedenaście naboji.

Kiedy spróbował włożyć naboje do magazynka, nie pasowały. Spróbował z drugiej strony i wtedy weszły gładko, wciskając donośnik. Zorientował się, że mieści się w nim pięć naboji. Wepchnął magazynek do karabinu i wolno

zarepetował. Został nagrodzony widokiem naboju wpychanego pewnie i gładko do komory. Teraz miał karabin naładowany.

Wiedział, że istnieje coś takiego jak bezpiecznik i wkrótce znalazł małą, podobną do przełącznika dźwignię z boku karabinu. Przykrywała ona, lub odsłaniała czerwoną kropkę. Jego problem polegał na tym, że nie wiedział, kiedy był on włączony, a kiedy wyłączony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, aby wyciągnąć magazynek, wyjąć nabój z komory i wówczas sprawdzić pustą broń. W końcu doszedł do wniosku, że czerwony kolor oznacza

niebezpieczeństwo, więc kiedy widać czerwoną kropkę, karabin jest

odbezpieczony. Zakrył czerwoną plamkę i wstał, trzymając karabin.

Paul był nie tyle człowiekiem akcji, co reakcji. Mógł zostać popchnięty do działania przez ludzi lub okoliczności, tak jak popchnął go English, ten dziennikarz. Lecz nie miał w zwyczaju sam inicjować jakiejś akcji. Stał więc niezdecydowany, zastanawiając się, co najlepiej zrobić. Zdecydował, że pójście do Lasha i jego towarzyszy drogą wiodącą przez szczelinę w skałach byłoby kiepskim pomysłem. Stała się ona bowiem ogólnodostępną autostradą do

„Flyaway”. Zamiast tego spróbował podejść z drugiej strony. To był dobry pomysł.

Znalazł manierkę i napełnił ją wodą. Pozostałe sześć naboń włożył do kieszeni i udał się na rekonesans. Karabin niósł nieco ostrożnie, jak gdyby miał

ekspłodować z własnej woli. Wiedział, w jakim kierunku znajduje się szczelina, ruszył więc w prawo, tak aby obejść podstawę kolumny skalnej. Dla kogoś znającego Paula musiałby to być nieprawdopodobny widok.

Przebytą odległość mierzył licząc kroki i kiedy doszedł do dwustu

podwójnych kroków, skręcił idąc dalej w lewo. Po pięciu minutach stanął w miejscu, gdyż usłyszał głosy. Ostrożnie wyjrzał zza skały i zobaczył Kissacka z Zayidem przechodzących o krok od niego. Nieśli śmigło.

Dzięki temu zlokalizował swoje położenie. Znajdował się gdzieś niedaleko grobu ojca. Odczekał chwilę i udał się w tym samym kierunku co oni.

Natychmiast zorientował się, gdzie jest, poszedł jeszcze trochę dalej, aż do jaskini, gdzie został pochowany jego ojciec. Skały tworzące nagrobek zostały brutalnie odwalone na bok, tak że zobaczył białą kość czaszki ojca. Rozzłościło go to do tego stopnia, że cały trząsał się z gniewu.

W pierwszym odruchu chciał pójść do „Flyaway” i zastrzelić Kissacka, ale wziął się w garść. Nie miał złudzeń co do swoich wyczynów z karabinem, poważnie wątpił, czy gdyby został przyciśnięty umiałby zabić Kissacka — nie w bezpośredniej strzelaninie. A przecież byli jeszcze inni. Raczej wątpił, czy położenie moje i Byrne'a przyszło mu wówczas do głowy.

Stanął nad mogiłą i uniósł głaz, mając zamiar odbudować nagrobek. Zastygł

jednak z głazem w rękach i zastanowił się nad tym. Logiczne myślenie nie stanowiło czegoś naturalnego dla Paula Billsona. Jak już powiedziałem, był

człowiekiem reagującym na bodźce. Teraz jednak pomyślał i starannie odłożył

głaz tam, gdzie go znalazł. Następnie wyszedł i usiadł za skałą tak, że nie można go było zobaczyć z jaskini, aby opracować jakiś plan.

W jakiś czas potem zobaczył unoszący się w górę dym, a następnie doszedł

go głuchy, odbijający się echem łoskot, kiedy eksplodował dodatkowy zbiornik paliwa „Flyaway”. Doszedł do słusznego wniosku, że „Flyaway” został

zniszczony. Nie wiedział dlaczego, ale wówczas niewielu ludzi to wiedziało.

Wstał i, znów niezdecydowany, spoglądał w stronę źródła dymu. Odwrócił się i spojrzął przez szczelinę w skałach w stronę grobu. Paul nie wiedział o tym, lecz znajdował się w miejscu, które strzelec uznałby za doskonałe stanowisko. Dwa głazy stojące na trzecim a między nimi około piętnastocentymetrowa szczelina.

Jej głębokość wynosiła niemal trzy stopy i z miejsca, gdzie stał, widział grób w odległości jakichś dwudziestu stóp. Były tam nawet dwie płaskie półki, na których mógł ułożyć łokcie zyskując podporę do celowania.

Przypadek, okoliczności i dziwne ścieżki, po których wędrował umysł Paula sprawiły, że znalazł się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Wkrótce usłyszał głosy.

Nieco później wystrzelił.

Huk wystrzału karabinu wojskowego odpalonego z bliskiej odległości może nieźle przestraszyć. Weźmy standardowy pluton egzekucyjny złożony z ośmiu, ludzi, nawet gdyby wszyscy chybili, podejrzewam, że ofiara i tak umarłaby na skutek szoku. Ten pojedynczy strzał przyszedł niespodziewanie i zmroził

wszystkich w żywy obraz, gdy Kissack padł bez życia na ziemię.

Kula, która strzaskała tył głowy Kissacka przeszła przez niego, jak gdyby jego tam w ogóle nie było. Wpadła do jaskini, odbiła się rykoszetem od ścian i strasząc Zayida wyleciała z głośnym gwizdem. Lecz nie to złamało żywy obraz.

Dokonał tego suchy, metaliczny szczęk, dochodzący nie wiadomo skąd, gdy Paul odryglował karabin, aby wprowadzić kolejny nabój do komory.

Lash nie wiadomo skąd wyciągnął pistolet dokładnie w chwili, gdy Byrne skoczył w stronę upuszczonej przez Kissacka broni. Trudno wykonać na

przeciwniku chwyt rugbyisty mając ręce związane na plecach. Zrobiłem jednak co mogłem i rzuciłem się na nogi Lasha. Jego pistolet wypalił. Poczulem druzgocące uderzenie w lewe ramię i zwałem się na bok. Powaliłem go jednak na ziemię.



Później kule zaczęły bzykać nade mną jak pszczoły, gdy Byrne zaczął strzelać do kogoś znajdującego się za mną. Kątem oka dostrzegłem jak Zayid pada niczym rzucony tłumok. Paul dołożył do tej awantury jeszcze jeden huk wystrzału, w chwili kiedy Lash doszedł do siebie na tyle, aby unieść broń zamierzając strzelić do Byrne'a. Odwróciłem się do niego nogami i kopnąłem butem w nadgarstek, tuż zanim Byrne go trafił. Strzelał na sposób policyjny, zwrócony wprost na cel, w rozkroku, z rękami wyciągniętymi do przodu, trzymając kolbę pistoletu w obu dłoniach. Wpakował w Lasha trzy kule, a ten rzucił się konwulsyjnie, po czym padł ciężko na ziemię i zaczął krzyczeć.

Paul wystrzelił znowu, a kula poszła rykoszetem od ściany do ściany. Byrne ryknął, przekrzykując wrzaski Lasha:

— Paul, na miłość boską przestań strzelać! Pozabijasz nas wszystkich.

Spróbowałem się unieść, lecz posłużyłem się złym ramieniem i aż skręciło mnie z bólu. Kiedy nareszcie usiadłem i rozejrzałem się dokoła, zobaczyłem ciała Zayida, Kissacka i Lasha, który wrzeszczał, tak samo jak Bailly w Tenere.

Dwaj pozostali zniknęli. Wszystko rozegrało się w ciągu może dwudziestu sekund.

Byrne ryknął ponownie:

— Wyjdź Paul. Pokaż się.

Paul wyszedł zza skały. Twarz miał białą jak papier, a ręce trzęsły mu się bezwiednie. Byrne podszedł i chwycił padający karabin.

— Załadowałeś magazynek?

Paul bez słowa skinął głową.

— Masz jeszcze amunicję?

Paul pogrzebał w kieszeniach i dał mu naboje. Spojrzał na Lasha i przyłożył

dłonie do uszu, żeby odciąć się od tego nie kończącego się krzyku. Chciałem zrobić to samo, ale nie potrafiłem unieść lewej ręki. W filmach, kiedy zostaje zabity człowiek, układa się dostojnie, mając na tyle przyzwoitości, by umrzeć cicho. W prawdziwym życiu bywa inaczej.

Byrne odryglował zamek karabinu i wyskoczyła z niego mosiężna łuska. Z

trzaskiem zarepetował karabin, a następnie bez żadnego ostrzeżenia podszedł do Lasha, przyłożył mu lufę do skroni i pociągnął za spust.

Rozległ się huk wystrzału, a gdy umilkły jego echa, zapadła przerażająca cisza. Byrne spojrział na mnie, twarz miał zapadłą i wymęczoną.

— Ja za to odpowiadam — rzekł ochryple. — Trzy kule, jedna w brzuch. Nie przeżyłby. Tak jest

najlepiej.

— W porządku, Luke — odparłem cicho. Tak zginął człowiek, który mówił, że nie cierpi niepotrzebnego okrucieństwa, lecz zabijał na zimno, według planu.

W moich księgach Lash zapisał się jeszcze gorzej niż Kissack.

Byrne ponownie ładował karabin.

— Jesteś ranny?

— Dostałem w ramię, latam na jednym skrzydle.

Mruknął coś.

— Zaczekajcie tu obaj — powiedział i wyszedł bez słowa.

Paul zbliżył się i spojrzał na Lasha.

— Tak szybko — wyszeptał. Nie wiedziałem, czy miał na myśli to, co zrobił

Byrne, czy całą akcję. Odwrócił głowę. — Nic ci nie jest?

— Pomóż mi wstać — ramię zaczynało mnie porządnie boleć. Miałem

uczucie, jak gdyby w regularnych odstępach czasu aplikowano mi

elektrowstrząsy. Kiedy podniósł mnie na nogi, powiedziałem: — Dobrze się spisałeś, Paul. Bardzo dobrze.

— Naprawdę? — zapytał bezbarwnym głosem.

— Te dranie poważnie rozważały spalenie mnie w samolocie —

powiedziałem. — O ile wiem, Kissack chciał mnie żywcem spalić, tak jak i Lash, gdyby uważał, że przysporzy to całości realizmu — zamilkłem na chwilę.

Czekałem na odgłos wystrzałów, lecz wszędzie panowała cisza.

Paul zwrócił na mnie pełną zdumienia twarz.

— O co w tym wszystkim chodziło, Max?

— Nie wiem — odrzekłem. — Ale się dowiem. A teraz, na miłość boską,

czy zechciałbyś przeciąć mi więzy? Ale uważaj na moją rękę.

Byrne wrócił pół godziny później. Karabin miał przewieszony przez ramię i prowadził dwa juczne

wielbłądy. Oparł karabin o ścianę i powiedział:

— Nie ma problemu — wyciągnął przed siebie nadgarstki. — Nie pamiętam, kiedy się uwolniłem — jakoś samo wyszło. Dobrze się spisałeś z tym

kamiennym toporkiem.

— A co z tymi dwoma?

Wskazał Lasha.

— Pracodawca nie żyje. Nie ma wypłaty, więc nie ma walki. Hołota z

Maghrebu. Dałem im trzy wielbłądy, wodę i powiedziałem, żeby się stąd wynosili do diabła. Nie będą nas niepokoić. — Rzucił wodze Paulowi i odwiązał

skrzynkę z juk przy siodle. — Zobaczymy twoje ramię.

Oświadczył, że jest złamane, o czym wiedziałem już wcześniej. Nastawił je jako tako i umieścił na zaimprovizowanym temblaku.

— Lepiej byśmy przywrócili cię cywilizacji — powiedział. Przedtem jednak mieliśmy wiele do zrobienia. Paul pomógł mu załadować trzy ciała na wielbłądy i odeszli. Nie wiem dokąd poszli, ale wrócili dwie godziny później bez ciał. Do tego czasu skończyłem odbudowywać nagrobek nad ciałem Billsona. Byrne położył na wierzchu aluminiową plakietę.

— Bez śmigła — rzekł kwaśno. — Nie da rady ponownie go odkręcić.

Wysprzątaaliśmy jaskinię, pozbieraliśmy zużyte łuski po nabojach oraz inne dowody i wróciliśmy do „Flyaway”. Paul spojrział na poczerniały wrak i pokręcił głową.

— Dlaczego? — spytał ponownie. Nikt mu nie odpowiedział.

— Ruszamy jutro o świcie — powiedział Byrne. — Ale tym razem jedziemy wierzchem.

Tak też zrobiliśmy, a Byrne nieustannie narzekał na idiotyczny sposób, w jaki Chaambowie siodłali wielbłądy dojazdy.

Jak mógłby to ująć Edward FitzGerald, „ponad wszelką wątpliwość Djanet było Rajem”. Cztery dni później Byrne umieścił mnie w wygodnym pokoju hotelowym. Następnie wyszedł, zapewne aby zobaczyć się z Atitelem i

powiedzieć mu, że mimo wszystko jego złamana noga była warta dziesięciu wielbłądów. Miały zostać dostarczone do Bilmy na początku przyszłego sezonu.

Zastanawiałem się, ile wynosiła wartość złamanego ramienia.

Kiedy wrócił, okazało się, że zrobił nawet więcej. Poszedł również do biura agencji telegraficznej i przesłał Hesther Raulier depeszę. Nie wiem dokładnie, co w niej napisał, ale wystarczyło, aby Hesther obiecała, że przyśle do Djanet samolot czarterowy mający zabrać Paula i mnie do Algieru.

— Chciałbym, aby nastawiono ci ramię — powiedział. — Ale nie tutaj.

Hesther zna w Algierze odpowiednich ludzi, da się to przeprowadzić po cichu.

Skinąłem głową.

— W takim razie, mamy parę spraw do załatwienia — powiedziałem. — Czy jest w Djanet ktoś taki jak rejent?

— Hę?

— Amerykanin nazwałby go notariuszem.

Czoło mu się rozpogodziło.

— Jasne, że jest. A dlaczego?

— Chcę mieć na piśmie wszystkie nieprawidłowości, jakie odkryliśmy we

„Flyaway”. Wszystko na temat kompasu i tego osadu na dnie głównego

zbiornika paliwa. Chcę, żebyś to podpisał w obecności świadków. Ja też podpiszę, ale Paula nie będziemy w to wciągać. Jak sądzisz, czy mógłbyś gdzieś znaleźć maszynę do pisania?

— Jest jedna w biurze hotelowym — powiedział. — Pożyczę ją.

Tak więc pół dnia spędziłem pisząc oświadczenie, wielokrotnie powołując się na Byrne'a, celem wyjaśnienia bardziej technicznych ustępów. Zrobiłem to jedną ręką, co nie stanowiło specjalnego utrudnienia, gdyż i tak stukałem jednym palcem. Następnego ranka poszliśmy do notariusza i obaj podpisaliśmy każdą stronę, noszącą również pieczęć notariusza. Nie miało żadnego znaczenia, że nie rozumiał treści. Był tylko świadkiem składania przez nas podpisów.

Następnie wyjąłem swój plastikowy pojemnik na mydło do golenia. Został

włożony do koperty i zabezpieczony, a Byrne i ja złożyliśmy podpisy w poprzek sklejenia. Obserwowałem jak Byrne mozolnie pisze swoje nazwisko nieforemnymi literami. Język wystawał mu z kącika ust, jak u małego ucznia.

Wyszło jednak wyraźnie — Lucas Byrne.

— Masz jakieś pomysły? — zapytał, kiedy wyszliśmy z biura urzędnika.

— Kilka, ale są bardzo dziwne.

— Zgadza się. Nie może być inaczej. Jeżeli znajdziesz jakieś odpowiedzi, daj mi znać.

— Dobrze — odparłem.

We trójkę zjedliśmy lunch w restauracji i wchłonęliśmy kilka piw. Później Byrne odwiózł nas do hotelu, żebyśmy zabrali swoje bagaże. Stamtąd zaś kilka kilometrów do In Debiren, gdzie znajdował się pas startowy. Oczekiwał nas tam Piper Comanche. Paul, który kiedyś nie zdobył się, aby komukolwiek za coś podziękować, wprawił w miłe zakłopotanie Byrne'a, który przyjął postawę w stylu: „E tam, nie ma o czym gadać”.

— Paul, wsiadaj do samolotu — powiedziałem. — Chcę jeszcze zamienić

kilka ostatnich słów z Luke'iem. — Kiedy nie mógł już usłyszeć, powiedziałem:

— Wiesz, on ma rację, podziękowanie nie wystarczy.

— W Bogu pokładam nadzieję, że masz rację — Byrne uśmiechnął się.

Wyjął zaklejoną kopertę z moim nazwiskiem. Dla ciebie. Mówiłem, że cię podsumuję. Możesz to załatwić z Hesther.

Uśmiechnąłem się i wetknąłem kopertę w kieszeń gandoury, nie otwierając jej.

— Co teraz zrobisz?

— Wrócę do Air, do moich spraw, do spokojnego życia. Przekaż

pozdrowienia Hesther.

— Przekażę jej wyrazy miłości — odparłem.

— Tylko to zrób, a zaśmieje się jak hiena — ujął moją dłoń. — Uważaj teraz na siebie. Z tego co słyszę, wielkie miasta mogą być bardziej niebezpieczne niż pustynia.

— Zapamiętam to sobie — obiecałem i wsiadłem do Comanche'a.

Ruszyliśmy więc, a kiedy samolot kołował na pas, zobaczyłem, że Byrne nie czekał. Toyota wlokła za sobą chmurę pyłu, kierując się na południe do Bilmy, a stamtąd do Air.

Początkowo, w trakcie lotu na północ, byłem zaabsorbowany własnymi

myślami i niewidzącymi oczami wpatrywałem się w olbrzymie połacie wydm przepływające w dole. Zbyt wiele było niepowiązanych wątków i nie

wiedziałem od czego zacząć.

Wyciągnąłem kopertę Byrne'a i wręczyłem ją Paulowi.

— Czy możesz mi ją otworzyć?

— Oczywiście — oddał brzeg, wytrząsnął zawartość i oddał mi. Zgodnie z obietnicą Byrne wystawił mi rachunek. Wszystko zostało w nim jasno

wyszczególnione, płatne w funtach szterlingach. Swoje własne usługi jako przewodnika wycenił na 30 funtów dziennie. Za trzydzieści dni wychodziło 990

funtów. Dalej były zakupy benzyny — tyle litrów po tyle i tyle, olej i nowe opony, wynajem wielbłądów i zakup pięciu wielbłądów po sto funtów każdy.

Dodał również połowę kosztu nowej Toyoty Land Cruiser, co wydawało się bardzo wygórowane, dopóki nie przypomniałem sobie, jak Kissack podziurawił

wóz Byrne'a w Tenere. W sumie rachunek przekroczył nieco 5.000 funtów.

Nie znalazła się w nim opłata za uratowanie życia. Byrne był piekielnym gościem.

Kiedy odłożyłem rachunek, Paul uszczęśliwiony powiedział:

— Nie mogę się doczekać, żeby znów zobaczyć twarz tego redaktora.

— Hmm... Paul, zrób coś dla mnie. Nie wyskocz mi z czymś, gdy tylko przyjedziesz do Londynu. Nie chcę, żebyś cokolwiek komuś powiedział, dopóki nie dam ci znać. Proszę cię!

— Dlaczego?

Westchnąłem.

— Nie mogę ci teraz powiedzieć. Czy jednak uwierzysz, jeśli ci powiem, że chodzi o twoje własne dobro? W każdym razie nie możesz nic mówić o Lashu i Kissacku.

— Dlaczego? — zapytał ponownie.

— Jezu! Paul, zabiłeś człowieka! Odstrzeliłeś mu czubek głowy. Chyba nie chcesz otworzyć tej

puszki z robakami. Słuchaj, możesz powiedzieć gazetom o znalezieniu „Flyaway” i ciała twego ojca, ale daj mi trochę czasu, żebym się czegoś dowiedział. Zgoda? Chcę dojść, o co w tym wszystkim chodziło.

— Dobrze. Nic nie powiem, dopóki mi nie zezwolisz.

— I nic nie zrobisz. Przyrzekasz?

— Przyrzekam. — Przez chwilę milczał, po czym dodał: — Nie bardzo przypominam sobie ojca. Wiesz, miałem dopiero dwa lata, kiedy zginął.

— Wiem.

— Jedyne co pamiętam to chwile, kiedy huśtał mnie na kolanie i śpiewał dziecięcą piosenkę. Wiesz, tę która idzie: „Peter i Paul siedzą na murze”, uważałem to za wspaniały żart. — Paul roztań policzek. — Ale ojczyma nie lubiłem zbytnio.

Spojrzałem na niego.

— Aarvika? Co z nim było nie tak?

— Nie, nie Aarvika, on przyszedł później. Myślę o tym drugim.

— Chcesz powiedzieć, że twoja matka trzykrotnie wyszła za mąż?

— Zgadza się. Nie wiedziałeś?

— Nie — odparłem zamyślony. — Jak się nazywał?

— Nie pamiętam. Nie bywał zbyt często w domu, a ja byłem ledwie dzieckiem. Kiedy miałem jakieś cztery lata, w ogóle przestał bywać. To wszystko jest takie odległe.

— Rzeczywiście, Paul, rzeczywiście!

Po ogłoszeniu tej rewelacji niewiele już mówił, ja również. Umilkliśmy, a kiedy wylądowaliśmy w Algierze, wciąż nad tym rozmyślałem.

Duży Mercedes z arabskim szoferem czekał już obok hangaru, kiedy

Comanche podkołował. Wkrótce pędziliśmy w komfortowych warunkach na

wzgórze Bouzarea wznoszące się ponad Algierem. Jeżeli szofer był zaskoczony, że wiózł Targui, nie okazał tego. Zatrzymaliśmy się przy małej furtce w murze, która otwierała się równie cicho i tajemniczo jak przedtem, a Paul i ja udaliśmy się w stronę domu. Hesther Raulier wciąż leżała na szezlongu i gdyby nie inny strój, można by sądzić, że się z niego nie ruszyła. Kiedy podeszliśmy

bliżej, odłożyła cygaro i wstała.

Nagle jej małpio złośliwą twarz wykrzywił szeroki uśmiech i roześmiała się ochryple.

— Jezu, Stafford! Cóż u diabła wyprawiasz? Idziesz na próbę „Pieśni pustyni”?

Szybko wpakowała mnie do łóżka i wezwała lekarza, który najwyraźniej zjawiał się natychmiast na każde żądanie.

— Luke umieścił w depeszy kilka słów oznaczających coś złego —

powiedziała — Rzeczy, których nie słyszałam od czasów Rewolucji. Wzięłam więc Fahkri'ego. Przywykł do ran postrzałowych i umie trzymać język za zębami.

Dr Fahkri obejrzał moje ramię, zapytał kiedy się to stało i powiedział mi, że kula wciąż jest w środku. Znieczulił ramię, rozciął je, wyjął kulę, ponownie zaszył i wstawił w przyzwoitą szynę. Powiedziałem do Hester:

— Lepiej żeby obejrzał Paula. Jakiś miesiąc temu dostał kulę w ramię.

Powiedziała coś do Fahkri'ego po arabsku, ten skinął głową i wyszedł, a ona zwróciła się do mnie.

— Co się tam wydarzyło?

— Kissack — powiedziałem. — On, człowiek nazwiskiem Lash i jeszcze czterech innych. — Przedstawiłem jej zredagowaną wersję tego co zaszło.

Zakończyłem mówiąc:

— Nie wiem co byśmy zrobili bez Luke'a Byrne.

— Luke jest dobrym człowiekiem — stwierdziła prosto. — Ale o co w tym wszystkim chodziło?

— Cokolwiek to wywołało, znajdowało się w Anglii. Przypuszczam, że Paul rzeczywiście puścił całą maszynę w ruch. Spowodował też odpalenie czegoś, swego rodzaju bomby z opóźnionym zapłonem, która leżała przez czterdzieści dwa lata. Muszę zadać kilka pytań. Jeżeli uzyskam odpowiedzi, dam ci znać.

— Koniecznie — wstała. — Nie możesz pojechać do Anglii ubrany jak

Targui.

Wzruszyłem ramionami.



— Czemu nie? W Londynie jest teraz pełno Arabów, a nikt tego nie odróżni.

— Nonsens. Jutro wezwę krawca i na pojutrze będziesz miał ubranie. Ty i Paul też.

Zostaliśmy w Algierze przez cztery dni, dzięki temu mogłem dojść do siebie po operacji Fakhri'ego. Leniuchowałem i czytałem angielskie gazety, które kupiła mi Hesther, tak żebym mógł uaktualnić swoje wiadomości. Jak zawsze wszystko leciało na wózku do piekła.

Pewnego razu, mówiąc o Paulu, powiedziała:

— Ten facet się zmienił, bardzo się zmienił. Jest spokojniejszy i nie tak nerwowy.

— Bóg wie dlaczego — wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. — To, co mu się

przytrafiło, wystarczyło każdemu, aby zaczął ryczeć i chodzić po ścianach.

Czwartego dnia wyruszyliśmy lotem Air Algerie na Orły. Wnętrze samolotu ozdobiono gustownym odcieniem szmaragdowej zieleni. Może zieleń jest

kolorem Arabów, lecz ten samolot był obwieszony zdjęciami lekkich dwukółek i widokami z Killarney, gdyż został kupiony z drugiej ręki od Aer Lingus. Tak czy owak dowiózł nas całych na Orły i przesiedliśmy się na samolot do Londynu.

W godzinę później byliśmy na Heathrow. Padał deszcz i wyglądało, jakby nie przestawał od mojego wyjazdu.

Z Orły zadzwoniłem na Heathrow, żeby czekał tam samochód z kierowcą,

jako że nie mogłem prowadzić ze złamaną ręką. Zawiózł nas niedaleko, do Post House Hotel. Powiedziałem mu, żeby poczekał, aż się zamelduję. Mieliśmy z Paulem zarezerwowane miejsca w sąsiadujących pokojach. Weszliśmy na górę i zainstalowałem go.

Paul oczywiście był zupełnie splukany, nie miał ani pensa. Odpowiadało mi to, bo chciałem go unieruchomić. Nie dałem mu żadnych pieniędzy, tylko powiedziałem:

— Paul, zostań tutaj, dopóki nie wrócę. Jeżeli czegoś chcesz, możesz zamówić na mój koszt. Ale nie opuszczaj hotelu.

— Dokąd idziesz?

— Mam parę spraw do załatwienia — odparłem wymijająco.

Zszedłem do holu, zamieniłem na gotówkę plik czeków podróźnych, wziąłem kierowcę i podałem mu adres w Marlow. Opuszczając usiane hotelami okolice Heathrow, uświadomiłem sobie, że Post House stanowił idealny, anonimowy karawanseraj do ukrycia Paula. Nie chciałem, aby wiadano już o jego obecności w Anglii, o mojej też nie.

Samochód zatrzymał się przed domem Jacka Ellisa, wszedłem i zadzwoniłem.

Otworzyła Judy Ellis, przyjrzała mi się niepewnie i pytająco powiedziała:

— Słucham?

Żonę Jacka spotkałem tylko trzy lub cztery razy. Stafford Security

Consultants Ltd. nie należało do firm wciągających żony w orbitę interesów.

Mieliśmy inne sposoby zapewnienia sobie lojalności względem firmy, takie jak dobra płaca.

— Czy zastałem Jacka? — spytałem. — Jestem Max Stafford.

— Och, nie poznałam pana. Tak, właśnie wrócił. Proszę wejść — otworzyła szeroko drzwi i wpuściła mnie do holu, jednocześnie usprawiedliwiając się tak, jak to czynią żony, gdy szef wpada z nieoczekiwaną wizytą. — Jack! —

zawołała. — Jest tutaj pan Stafford.

Kiedy stanąłem w drzwiach salonu, Ellis uniósł się z fotela, odkładając na bok gazetę. Spojrzał na mnie pytająco.

— Max?

Nagle zdałem sobie sprawę z brody, teraz równo przystrzyżonej przez

fryzjera, którego sprowadziła Hesther, jasnego ubrania o zdecydowanym cudzoziemskim kroju i czarnego, jedwabnego temblaka podtrzymującego moje lewe ramię. Przypuszczam, że dla Jacka było to przebranie.

— Cześć, Jack.

— Na miłość boską! Wejdz! — Mój widok najwyraźniej sprawił mu przyjemność.

Zdawałem sobie sprawę, że Judy niepewnie kręci się gdzieś z tyłu.

— Eee... słuchaj Jack, nie przyszedłem z wizytą towarzyską. Chcę z tobą pomówić.

— No, mam taką nadzieję — odrzekł. — Ja też chcę z tobą mówić. Gdzie byłeś? Chodź do mojego gabinetu.

Wypchnął mnie z pokoju. Wychodząc uśmiechnąłem się miło do Judy. W gabinecie podał mi krzesło.

— Co ci się stało w ramię?

— Złamanie — uśmiechnąłem się. — Boli tylko gdy się śmieję.

— Boże, miło cię widzieć. Po prostu zniknąłeś i nie wiedziałem, gdzie cię szukać. Rozpętało się istne piekło.

— Nie było mnie trochę ponad miesiąc, to nie tak długo — powiedziałem łagodnie. — Wszystko wymknęło ci się z rąk w tak krótkim czasie?

— Jeśli chcesz to tak ująć, sądzę, że tak. — Głos miał ponury. — Trzeba jednak od razu powiedzieć, że nigdy tego dobrze nie trzymałem, prawda?

Widziałem jednak, że coś go dręczy, więc powiedziałem:

— Daj jakiegoś drinka, usiądź i opowiedz mi o tym.

Wziął głęboki oddech.

— Przepraszam — powiedział. Wyszedł z pokoju i wrócił z tacą pełną

butelek i szklanek. — Może być szkocka? — Skinąłem głową. Nalewając drinki rzekł: — Gdy tylko wyjechałeś, charakter całego przedsięwzięcia uległ

zmianie.

— W jaki sposób?

— Taki drobny przykład, spuszczaemy teraz psy bez opieki. — Podał mi szklanę.

— Zaczynając od Electromics — zasugerowałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Skąd o tym wiesz?

— Mniejsza o to. Mów dalej.

Usiadł i spojrzał w zamyśleniu na szklanę, którą obejmował dłońmi.

— Rzecz w tym, że siedzimy obecnie po szyję w szpiegostwie przemysłowym. Nie było cię przez sześć tygodni i już prowadzę trzy operacje penetracyjne.

— Na Boga, doprawdy? Na czyje polecenie?

— Charlie Malleson przyparł mnie do muru.

Wpatrywałem się w niego.

— Jack, ty nie masz prawa przyjmować poleceń od Charliego. Jest tylko cholernym księgowym od żonglowania cyframi. Twoim zadaniem jest

zastępować mnie i prowadzić stronę operacyjną, co nie oznacza operacji penetracyjnych. Pracujemy w ochronie, takie jest właśnie znaczenie nazwy firmy. Powiedz mi teraz, w jaki sposób Charlie przyparł cię do muru?

— Po prostu powiedział, żebym to zrobił.

— Nie podniosłeś wrzasku?

— Oczywiście, że podniosłem cholerny wrzask. — Gniew w nim narastał

coraz bardziej. — Ale cóż u diabła mogłem zrobić? Nie jestem udziałowcem, a on sprowadził Brintona, żeby go poparł. Kiedy szefowie mówią „zrób to”, to robisz. Max, w ubiegłym tygodniu byłem bliski wymówienia, ale trzymałem się, mając nadzieję, że wrócisz. — Wyciągnął palec w moją stronę. — Lada moment otrzymam instrukcję spenetrowania któregoś z naszych klientów. To dopiero będzie heca, no nie? Grać na dwie strony. Ale przecież nie dlatego wstąpiłem do tej firmy.

— Niezbyt to etyczne — przyznałem. — Uspokój się, Jack, załatwimy się z tym. Mówisz, że Charlie sprowadził Lorda Brintona?

— Ten stary drań łązi teraz tam i z powrotem — Jack zreflektował się. —

Przepraszam. Zapomniałem, że jest twoim przyjacielem.

— Niespecjalnie. Mówisz, że przychodzi stale do biura?

— Dwa, albo trzy razy w tygodniu. Przyjeżdża swoim Rolls—Roycem, aż dwie przecznice.

— Ma dostęp do akt?

Jack wzruszył ramionami.

— Nie przeze mnie. Nie wiem jak z Charliem.

— No, tak nie będzie. — Zastanawiałem się przez chwilę, po czym

powiedziałem: — Zostało uzgodnione, że gdybyś dał sobie radę na moim

stanowisku, zostaniesz dyrektorem zarządzającym. Dawałoby ci to prawo do posiadania pakietu akcji, gdyż w ten sposób pracujemy. Miałem rozpocząć operacje w Europie, międzynarodowe. Charlie nic ci na ten temat nie mówił?

— Ani słowa.

— Rozumiem. — Wypiłem łyk szkockiej. — Rozwój wydarzeń jest

zaskakujący, lecz nie dlatego przyszedłem się z tobą zobaczyć. Pamiętasz, co robiliśmy tuż przed moim wyjazdem?

Skinął głową.

— Szukaliśmy półgłówka nazwiskiem Billson.

— No więc odnalazłem go, co z kolei doprowadziło do innych rzeczy. Chcę, żebyś ponownie otworzył konta Michelmora'a, Yeasa'a i Tempeltona. Zrób to jednak dyskretnie. Nie wciągaj tego do ewidencji, a szczególnie strzeż przed niepożądanymi oczami.

— Tak samo jak przedtem?

— Dokładnie tak samo. Nikt nie może tego zobaczyć, szczególnie Charlie i Brinton. A teraz posłuchaj co masz zrobić — w miarę, jak przedstawiałem swoje wymagania, oczy Jacka stawały się coraz większe. Zakończyłem mówiąc: —

Acha, ten chemik analityk musi być biegłym sądowym, tak aby w czasie

rozprawy mógł świadczyć jako ekspert.

Uniósł wzrok znad notesu, w którym wszystko pospiesznie zapisywał.

— Niezły pakiet.

— Tak. Słuchaj, nie martw się tym, co dzieje się z firmą. Zostaw to mnie, uporam się z tym. Postępuj tak, jak dotychczas. I jeszcze jedno, Jack, nie ma mnie w Anglii. Nie widziałeś mnie dziś wieczorem. Pewnego dnia zjawię się w biurze niespodziewanie. Dobra?

Uśmiechnął się szeroko.

— Łapiąc ich na gorącym uczynku?

— Coś w tym rodzaju.

Wyszedłem, zostawiając Jacka w o wiele lepszym nastroju, niż go zastałem.

Podąłem kierowcy adres Alix Aarvik w Kensington i usiadłem na tylnym

siedzeniu, zastanawiając się, jak ta para kramarskich drani mogła spodziewać się, że jej to ujdzie na sucho. Było to zdumiewające, gdyż posiadałem większość udziałów.

Zastałem Alix Aarvik w domu. Ucieszyła się na mój widok. Gdy prowadziła mnie do salonu, powiedziała:

— O, zranił się pan.

— Nic, co byłoby nieodwracalne. Jak się pani miewa?

— W porządku. Napije się pan kawy?

— Tak, dziękuję.

Przez kilka minut krzątała się po mieszkaniu, a później powiedziała:

— Podoba mi się pańska broda, pasuje do pana. — Nagle zarumieniła się, gdyż powiedziała coś osobistego obcej osobie.

— Dziękuję. Przy takiej rekomendacji zachowam ją. — Umilkłem na chwilę.

— Panno Aarvik, odnalazłem pani brata. — Uniosłem rękę. — Jest zdrow i cały, i wrócił do Anglii.

Usiadła ciężko.

— Dzięki Bogu!

— Raczej dzięki człowiekowi nazwiskiem Byrne. Wyciągnął Paula z

większości dołków, w które się wpakował. Paul opowie pani o tym.

— Gdzie on był?

Pomyślałem o Koudii, Atakorze i Tassili.

— W Afryce Północnej. Odnalazł swego ojca, panno Aarvik. — Szybko zakryła usta dłonią. — Przypuszczam, że wkrótce ta historia ukaże się w prasie.

Całkowita rehabilitacja za wszystkie te nedorzeczne, złośliwe spekulacje.

— Och, tak się cieszę! — powiedziała. — Ale gdzie jest Paul teraz?

Zastanawiałem się, czy wtajemniczyć ją we wszystko co wiedziałem. Była dużo bardziej zrównoważona niż Paul, ale w końcu zdecydowałem się tego nie robić. Prawda, jeśli kiedyś wyszłaby na jaw, byłaby takim dynamitem, że im mniej osób ją znało, tym lepiej. Nie może się też znaleźć droga, aby Paul tę prawdę poznał.

— Dziennikarz działający w pośpiechu może dopuścić się wielu nieścisłości

— powiedziałem ostrożnie. — Za kilka dni zorganizujemy konferencję prasową, a Paul i ja doszlifujemy nasze oświadczenia i upewnimy się, że są dobre.

Wolałbym, aby mu do tego czasu nie przeszkadzano.

Ze zrozumieniem skinęła głową.

— Tak — powiedziała. — Znam Paula. Tak będzie lepiej.

— Musi pani wiedzieć, że Paul się zmienił — powiedziałem. — Jest inny.

— Jaki?

Wzruszyłem ramionami.

— Jak sędzę, uzna pani, że jest lepszym człowiekiem niż kiedyś.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, ale nic nie mogła wywnioskować.

— Czy był pan z Paulem, kiedy znaleźliście... ciało?

— Tak, Byrne też. Pomogliśmy Paulowi je pochować. — Nie zdecydowałem się powiedzieć, że pomagaliśmy mu dwukrotnie.

— Kim jest Byrne?

Uśmiechnąłem się.

— Trudno określić tego człowieka. Można go nazwać białym Targui, z tym że wielu Tuaregów jest

równie białych jak my. On twierdzi, że jest

Amerykaninem. Bardzo dobry człowiek. Pani brat wiele mu zawdzięcza.

— I pan też.

Zmieniłem temat.

— Czy wciąż jest pani sekretarką Andrew McGoverna?

— Tak.

— Chciałbym, aby mi pani wyświadczyła przysługę. Pragnę się z nim spotkać.

— Można to zorganizować — powiedziała.

— Tak jak ja bym to widział, nie pójdzie zbyt łatwo. Nie chcę spotkać się z nim w jego biurze i nie chcę, żeby wiedział kim jestem. Chodzi o pewną dyskrecję.

— Coś takiego będzie trudne — powiedziała i zamyśliła się. — Jego obiady są zwykle związane ze sprawami służbowymi. Nie może się pan zobaczyć z nim w domu?

— Raczej nie. Wolę w domu nie zawracać ludziom głowy interesami. —

Biorąc pod uwagę, że niedawno wpakowałem się do Jacka Ellisa, a teraz przebywałem tu, w mieszkaniu Alix Aarvik, twierdzenie takie nie miało racji bytu. Nie zwróciła jednak na to uwagi.

— Pojutrze nie ma umówionego obiadu — powiedziała. — W takich

przypadkach prawie wcale nie je, a jeśli jest ładnie, zwykle wybiera się na spacer do ogrodów Lincoln's Inn. Jeżeli nie będzie padało, zapewne tam pójdzie.

Czy potrafi go pan rozpoznać?

— O tak.

Rozłożyła ręce.

— No więc, załatwione.

Zacząłem się zbierać do wyjścia.

— Kiedy zobaczę się z Paulem? — spytała.

— O, niedługo. Może za tydzień, nie później niż za dziesięć dni. —



Pomyślałem, że jeśli nie zdobędę tego co chciałem w ciągu dziesięciu dni, to zapewne nie zdobędę tego wcale.

Nie zostawiłem całej pracy Ellisowi. Spędziłem na przykład interesujący ranek w Archiwum Państwowym, a w drodze na spotkanie z McGovernem

wstąpiłem do Hatcharda i przewertowałem bieżące wydanie „Whitaker's

Almanack”. Chociaż dowiedziałem się z niego, czego chciałem, kupiłem go jako część dossier.

W osiem dni później miałem już wszystko, czego potrzebowałem.

Powiadomiłem Ellisa, żeby dał mi znać, kiedy Lord Brinton ponownie odwiedzi biuro, a następnie zasiadłem przy telefonie czekając.

Nacisnąłem guzik w windzie i wjechałem na piętro, na którym mieściły się biura Stafford Security Consultants Ltd. Dziewczyna, która jechała ze mną na górę, była jedną z naszych młodszych maszynistek. Zapewne ktoś wysłał ją, żeby kupiła paczkę papierosów, tabliczkę czekolady lub coś równie

niedozwolonego. Spojrzała na mnie i odwróciła się, jeszcze raz spojrzała na mnie, jak gdybym był kimś, kogo powinna rozpoznać. Wszystkiemu winna była broda.

Wszedłem na znany mi korytarz, wszedłem do recepcji i prosto przez nią skierowałem się do mojego biura. Barbara, recepcjonistka szybko powiedziała:

— Halo, nie może pan...

Odwróciłem się i uśmiechnąłem do niej.

— Nie poznajesz własnego szefa?

Ruszyłem dalej słysząc „Och, pan Stafford!”.

Wszedłem do biura i zastałem Joyce bębniącą na maszynie.

— Cześć Joyce, pan Ellis jest u siebie?

— Zranił się pan w rękę.

— I jestem zarośnięty. Wiem. Jest u siebie?

— Tak.

Wszedłem do Ellisa.

— Dzień dobry, Jack. Masz resztę informacji?

— Tak. — Otworzył szufladę biurka. — Raport chemika i akt małżeństwa.

Odbyło się w 1937, a nie w 36.

Skinąłem głową.

— Oczywiście, musiał być okres żałoby.

— O co tu chodzi, Max?

Jedną ręką otworzyłem teczkę, a on wrzucił do niej papiery.

— Lepiej żebyś nie wiedział. Jest tu Brinton?

— Jego wysokość jest z Charlie'em.

— Dobra, przygotuj się na fajerwerki.

Wszedłem do Charlie'ego chłodno, bez zapowiedzi, ignorując trajkotanie jego sekretarki. Siedział za biurkiem, a Brinton w fotelu obok niego. Fotel był nowy, ale Brintona znano z troski o własny komfort życiowy. Jeśli Charlie uważał za stosowne ustawić fotel, oznaczało to, że Brinton był stałym gościem.

Charlie uniósł na mnie zmieszany wzrok, w końcu jednak zaskoczył.

— Max!

— Cześć Charlie — skinąłem głową Brintonowi. — Dzień dobry lordzie.

— A niech mnie diabli! — powiedział Brinton. — Skąd wyskoczyłeś?

Widzę, że zraniłeś się w ramię. Jak to się stało?

— Narciarstwo bywa niebezpieczne. — Najzupełniej prawdziwe

stwierdzenie, choć może nie stanowiące odpowiedzi na pytanie. Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem i postawiłem aktówkę na podłodze.

— Gdzie byłeś? W Gstaad? — Brinton zachował swój jowialny sposób

bycia, natomiast Charlie jakby oniemiał i wyglądał na zaszczutego.

— Doszły mnie cholernie dziwne historie na temat firmy, więc wróciłem.

Oczy Charliego ześliznęły się na Brintona, który zdawał się tego nie

zauważać. Wciąż uśmiechał się mówiąc:

— Jak przypuszczam, od Ellisa. Tak, zgadza się. Zrobiliśmy parę zmian, aby poprawić rentowność.

— Bez mojej wiedzy — odparłem zimno. — Lub przyzwolenia.

— Co z tobą, Max — rzekł Brinton. — Nie lubisz pieniędzy?

— Tak samo jak każdy, ale szczególnie interesuje mnie sposób, w jaki je zarabiam. — Zwróciłem się do Charliego: — Nie usunąłeś tej klauzuli z kontraktu Electonomics. Więc te krętactwa ciągną się od tak dawna. Co cię u diabła opętało? — Nie odpowiedział, więc ciągnąłem dalej: — W porządku, znów wracamy do punktu wyjścia.

W głosie Brintona brzmiała niemal skrucha, gdy powiedział:

— Obawiam się, że nic z tego, Max. Nie masz już tyle do powiedzenia.

Spojrzałem na niego. Wciąż miał na twarzy ten szeroki uśmiech, lecz nie sięgał on zimnych jak lód oczu.

— Co ty u diabła opowiadasz? Jestem właścicielem pięćdziesięciu jeden procent udziałów, a to zapewnia kontrolę.

Pokręcił przecząco głową.

— Byłeś. Już nie jesteś. Popełniłeś błąd, podstawowy błąd zakochanego człowieka. Zaufałeś komuś.

Wówczas zorientowałem się.

— Gloria!

— Tak, Gloria. Wyjechałeś w pośpiechu i zapomniałeś o

siedmioprocentowym udziale w firmie, który jej dałeś. Odkupiłem jej udziały.

— Pokiwał głową. — Większą wagę powinieneś przywiązywać do przysłów,

jest w nich wiele prawdy. Piekło nie może się równać z wściekłością odtrąconej kobiety. Rozumiesz co mam na myśli?

— Siedem plus dwadzieścia pięć, to razem trzydzieści dwa. Wciąż nie daje to kontroli.

Jego uśmiech stał się gadzi.

— Daje, jeżeli Charlie będzie głosował ze mną, a tak się stanie. Ostatnio chyba nieco się martwił, bo w jego sprawach finansowych zapanował pewien nieład. Tak więc, w jego interesie leży podnoszenie dochodowości firmy.

Wypadało mi zwrócić uwagę na ten prosty fakt.

— Nie przypuszczam, abyś miał coś wspólnego z jego bałaganem

finansowym — powiedziałem kwaśno.

Uśmiech Brintona stał się jeszcze szerszy, gdy zwróciłem się do Charliego i zapytałem cicho: — Będziesz głosował razem z nim?

Przełknął ślinę.

— Muszę!

— Na Boga! Jesteście niezłą parką. Spodziewałem się, że jego lordowska mość coś wykręci, ale nie posądzałem o to ciebie, Charlie. — Poczerwieniał. —

Przyszedłeś zobaczyć się ze mną w klubie tuż przed wyjazdem. Wydawało mi się wówczas, że czegoś chciałeś, ale nie mogłem dojść, czego. Teraz już wiem.

Chciałeś się dowiedzieć, czy jadę na urlop, mimo że opuściłem Glorię. —

Kciukiem wskazałem Brintona. — On cię wysłał, żebyś się dowiedział. Nic dziwnego, że obaj przynaglaliście mnie do wyjazdu. Podsuwaliście fałszywe wymówki tak, żeby Brinton mógł dorwać się do udziałów Glorii.

Brinton zdusił uśmiech.

— W zasadzie pomysł był jej. Przyszła i zaoferowała mi je sama. Max, jesteś głuptasem. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym wszystkim wartościowym

informacjom znajdującym się w twoich aktach pójść na marne. Z tym, co masz tutaj, człowiek może zrobić miliony.

— Pozwoliłeś, abym zbudował reputację firmy, a teraz masz zamiar ją zniszczyć. Czy tak?

— Coś w tym rodzaju — odparł niedbale. — Lecz legalnie, zawsze legalnie.

— Brinton, mam coś przeznaczonego tylko dla twoich uszu — powiedziałem. — Nie sądzę, abys chciał, żeby Charlie o tym wiedział.

— Nie ma nic takiego, o czym nie mógłbym rozmawiać z tobą przy wszystkich. Jeżeli coś ci stanęło w gardle, wypluj to.

— W porządku — odparłem. — Kissack nie wróci.

— O czym ty u diabła mówisz? — dopytywał się. — Kissack? Kim on u diabła jest?

Tym zagraniam nie zdobyłem punktu. Oczywiście mógł nie wiedzieć o Kissacku, znajdującym się bardzo nisko na palu totemowym, był bowiem najemnikiem. Spróbowałem ponownie:

— Lash też nie wróci.

To do niego dotarło! Powiedziały mi o tym minimalne zmiany w jego twarzy.

Dobrze jednak grał swoją rolę.

— A kim jest Lash?

— Lash jest człowiekiem, który wynajął ludzi, aby mnie pobili — odparłem spokojnie — Lash jest człowiekiem, który wynajął Kissacka, żeby z...

Brinton gwałtownie uniósł rękę.

— Nie mogę tu zostać przez cały dzień. Mam do załatwienia parę spraw u siebie. Możesz pójść ze mną i tam przedstawić ten nonsens. — Uniósł się ze skrzypieniem fotela.

Wewnętrznie podniosłem się na duchu. Trzymałem starego drania za sierść i wiedział o tym. Ruszył przodem, a ja zatrzymałem się na chwilę w drzwiach i odwróciłem do Charliego.

— Ty gnido! — powiedziałem. — Rozprawię się z tobą później.

Zjechałem z Brintonem do piwnicy, skąd uroczyście przejechaliśmy dwie przecznice do piwnicy innego gmachu. Stamtąd zaś windą do luksusowej

dobudówki na dachu, gdzie ogień palił się wesoło. Przez cały czas nie odezwał

się, lecz gdy tylko znalazł się na swoim gruncie, rzekł:

— Lepiej uważaj, co mówisz, Stafford, albo wyrwę ci jaja!

Uśmiechnąłem się szeroko, przeszedłem obok niego, usiadłem w fotelu przy ogniu i odłożyłem aktówkę. Nie przypadło mu to do gustu, nie lubił sytuacji, których nie kontrolował, a to oznaczało, że musiał pójść w moje ślady. Opadł na stojące naprzeciwko krzesło.

— No więc o co chodzi?

— Chciałbym ci opowiedzieć historię o bystrym, ambitnym młodym

inżynierze. Poślubił on kobietę, która właśnie doszła do pieniędzy. Nie wygrała żadnej puli, czy coś w tym guście, ale życie jej męża zostało ubezpieczone na sto tysięcy funtów. Miało to miejsce w 1937, więc jest to dużo więcej pieniędzy niż teraz. Może jakieś pół miliona funtów w naszych czasach.

Zamilkłem, lecz Brinton nie skomentował tego. Wpatrywał się tylko we mnie zimnymi oczami.

— Kobieta nie wiedziała jednak, że ten bystry, młody inżynier, będący przypadkowo tak jak i ty Kanadyjczykiem, zamordował jej męża. Nazywał się John Granville Anderson, lecz był powszechnie znany jako Jock. Urodził się w 1898 roku, co kolejnym zbiegiem okoliczności sprawia, że jest w tym samym wieku co ty.

Brinton wyszeptał:

— Jeżeli powtórzysz te słowa publicznie, postawię cię przed sądem i obedrę do naga. '

— Nazwisko mnie zwiodło — powiedziałem. — Mieliśmy sporo

kanadyjskich parów, lecz żaden z nich nie próbował się ukryć za nazwiskiem.

Beaverbrook nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do swego kanadyjskiego pochodzenia. Thomson of Fleet nie tylko zatrzymał nazwisko, lecz rozgłaszał

swoje dziennikarskie powiązania. Ale Brinton nie mówi nic ani tutaj, ani w Kanadzie. W Norfolk jest mała miejscowość o nazwie Brinton, ale z tego co wiem, nie byłeś nawet w jej pobliżu.

Schyliłem się i otworzyłem aktówkę.

— Dowód rzeczowy numer jeden, fotokopia strony z „Whitaker's Almanack”

— przeczytałem stosowny werset: „Kreowany w 1947, Brinton (pierwszy) John Grenville Anderson, urodzony w 1898”. Niezwykle anonimowy tytuł, nie

uważasz?

— Ciągnij dalej tę niedorzeczną bzdurę.

— Dowód rzeczowy numer dwa, kopia aktu małżeństwa z Helen Billson na początku 1937. Nie wytrzymałeś z nią zbyt długo, co Jock? Tylko tyle, ile potrzebowałeś na pozbawienie jej pieniędzy. Sto tysięcy funtów, tyle właśnie potrzebował człowiek twojego pokroju, żeby założyć małą firmę inżynierską.

Później przyszła wojna i na Boga, jak forsa zaczęła płynąć! Oczywiście zająłeś się produkcją samolotów, dopóki twój rodak Beaverbrook nie położył temu kresu. Lecz w końcu wojny podniosłeś zawiązek swego kapitału do kilku milionów, plus wdzięczne podziękowania władcy, który nadał ci szlachectwo za ofiarowanie funduszy dla właściwej partii politycznej. W dodatku nie jakiś wyswiechtany tytuł para, jak nieraz się zdarza obecnie. Nie odgrywało to jednak większego znaczenia, nie miałeś bowiem legalnych potomków.

Zacisnął usta.

— Jestem bardzo cierpliwy.

— No i dobrze. Powinieneś mnie wywalić na łeb, na szyję. Dlaczego tego nie zrobisz?

Zamrugnął oczami.

— Bawisz mnie. Chciałbym usłyszeć zakończenie tej opowiadki.

— Nikt nie może mi zarzucić braku uczynności — powiedziałem. — No

dobrze. W 1946 dopiero zacząłeś. Odkryłeś w sobie zmysł finansowy. W

okresie ożywienia gospodarczego lat pięćdziesiątych zrobiłeś miliony. Wciąż robisz miliony, gdyż pieniądz robi pieniądz. A wszystko zaczęło się od morderstwa Petera Billsona, z wdową po którym ożeniłeś się.

— A jak niby miałbym zamordować Billsona?

— Byłeś jego mechanikiem podczas wyścigu lotniczego Londyn—Kapsztad w 1936. W Algierze tak opóźniłeś odlot, żeby do Kano musiał lecieć nocą.

Potem zepsułeś kompas, aby zboczył z kursu.

— Nie możesz tego udowodnić. Zapuszczasz się na niebezpieczne wody,

Stafford.

— Dowód rzeczowy numer trzy, kolorowa fotografia osiem na dziesięć cali przedstawiająca „Flyaway”, samolot Billsona. Wykonałem ją osobiście niecałe dwa tygodnie temu. Zauważ jak dobrze się zachował. Dowód rzeczowy numer cztery, oświadczenie pod przysięgą potwierdzone notarialnie, a podpisane przeze mnie i człowieka, który wymontował kompas i przetestował go.

Brinton obejrzał fotografie, a następnie przeczytał dokument.

— A przy okazji, jest to fotokopia, jak wszystkie te papiery —

powiedziałem. — Te, które są materiałami dowodowymi, znajdują się w

odpowiednich miejscach, a pozostałe w sejfie mojego banku. Mój adwokat wie, co z nimi zrobić w przypadku, gdyby mi się coś stało.

— Kim jest Lucas Byrne? — mruknął.

— Inżynierem lotniczym — odparłem lekko przesadzając. — Zauważ, że

wspomina substancję znaną w głównym zbiorniku paliwa. Oto raport chemika, który dokonał jej analizy. Pisze, że znalazł głównie węglowodany, pochodne benzyny.

— Naturalnie — parsknął Brinton.

— Powiedziałem, głównie — zaznaczyłem. — Odkrył również inne

węglowodany, dwucukry: D—glukopiranozę, D—fruktopiranozę i inne.

Przetłumaczone na angielski oznacza to, że do zbiornika paliwa nasypałeś cukru. Kiedy więc Billson przełączył zasilanie ze zbiornika dodatkowego na główny, silnik zatarł się. — Rozparłem się w fotelu. — Przejdźmy jednak do czasów współczesnych.

Brinton wyciągnął rękę i upuścił oświadczenie Byrne'a w ogień. Roześmiałem się.



— Tam, skąd to przyszło jest jeszcze tego cała masa.

— A co z czasami współczesnymi?

— Paul Billson zaczął cię poważnie martwić, kiedy zorientowałeś się, że jest praktycznie obłąkany na punkcie swojego ojca, prawda? Był jedynym

człowiekiem mającym powód, aby ruszyć na poszukiwanie „Flyaway”, w celu oczyszczenia nazwiska ojca. Nie przejmowałeś się tak bardzo Alix Aarvik, ale Paula rzeczywiście zakotwiczyłeś. Odbyłem wczoraj długą rozmowę na ten temat z Andrew McGovernem.

Brinton gwałtownie uniósł głowę.

— Widziałeś się z McGovernem?

— Tak, a co, nie powiedział ci? Przypuszczam, że musiałem go trochę

wystraszyć. Nie miał obiekcji, żeby zatrudnić Paula, ponieważ ty płaciłeś całą jego rozdętą pensję. Doszedł do naturalnego wniosku, że Paul był jednym z twoich bękartów, pamiątką po błędach młodości, o którego dyskretnie się troszczyłeś. Tym sposobem trzymałeś Paula na postronku przez piętnaście lat, dając mu pensję, na którą, jak sam wiedział, nie zasługiwał. Ironią jest, że ty sfinansowałeś jego podróż na Saharę, kiedy mu odbiło. Śmiem twierdzić, że da się odszukać wpłaty, które dokonałeś przez Whensley Group.

Wykrzywił usta. ,

— Wątpię.

— McGovern powiedział mi coś jeszcze. On nie chciał usunąć Stafford

Security z Whensley Group, to twój pomysł. Ty go do tego zmusiłeś. Nie wiem, jakiego haka masz na McGoverna, tak czy owak, użyłeś go. Miało to

powstrzymać mnie od prowadzenia dalszego śledztwa w sprawie Paula Billsona.

Nakłoniłeś też McGoverna, żeby wysłał Alix Aarvik do Kanady, ale nie zdało to egzaminu. Dotarłem do niej wcześniej. Kazałeś więc Lashowi mnie obić. Nie sądzę, aby McGovern cię jeszcze lubił. Właśnie to, jak sądzę, jest przyczyną, że nie zameldował o spotkaniu ze mną. Nie bez znaczenia jest też fakt, że doradziłem mu, aby trzymał się z dala od tego. Brinton zbył McGoverna machnięciem ręki.

— Powiedziałaś, że Lash nie wróci. Co się z nim stało?

— Dwie kule w płuca, jedna w brzuch i jeszcze jedna w głowę z bliskiej odległości, tyle przytrafiło się Lashowi. Trzech ludzi nie żyje, a jeden ma amputowaną stopę, a wszystko przez ciebie, Jock. Dlatego, że tak bardzo obawiałeś się tego, co Paul Billson może znaleźć, wystawiłeś kontrakt na niego.

— Klepnałem się po rękę na temblaku. — To nie Gstaad, Jock, tylko Tassili.

Jesteś mi za to coś winien.

— Nic ci nie jestem winien — rzekł pogardliwie.

— Z kolei dochodzimy do człowieka nazwiskiem Torstein Aarvik, który poślubił Helen Billson — wyciągnąłem z aktówki fotokopię aktu małżeństwa.

— Doznałem wstrząsu, kiedy to zobaczyłem, gdyż prawnie nazywała się

Anderson, czyż nie tak? Helen straciła cię z oczu, więc zaryzykowała. Wyszła za Aarvika jako wdowa po Billsonie, bez rozwodu z tobą. Trwała wojna, więc było to dużo swobodniejsze i łatwe, a poza tym nie należała do najbystrzejszych.

Mam na to słowo Alix Aarvik. Ale ty wiedziałeś gdzie jest, bo miałeś ją na oku.

Nie wiem w jaki sposób pozbawiłeś ją pieniędzy, ale bigamiczne małżeństwo wykorzystałeś, aby zamknąć jej usta do końca życia. Nie mogła z tobą walczyć, prawda? Może nie należała do najbystrzejszych, miała jednak na tyle

przyzwoitości, aby nie dopuścić do Alix wiadomości, że jest bękartem. Powiedz mi no, kto tu jest bękartem, ty sukinsynu!

— Nie uda ci się przylepić mi tego — odparł. — Nie po czterdziestu dwóch latach.

— Myślę, że mi się uda, ty zresztą też. Inaczej nie przejmowałbyś się tak strasznie Paulem Billsonem. Nie ma przedawnienia na morderstwo, Jock.

— Przestań nazywać mnie Jock — zirytował się.

— Jesteś starym człowiekiem — powiedziałem. — Masz osiemdziesiąt lat.

Wkrótce umrzesz. Jutro, w przyszłym roku, za pięć, za dziesięć lat, będziesz równie martwy jak Lash. Ale nie ma teraz kary głównej, więc

najprawdopodobniej umrzesz w szpitalu więziennym. Chyba...

Nagle się ożywił, wężąc interes, umowę.

— Chyba że co?

— Jaki sens ma pakowanie cię do więzienia? Nie żyłbyś tak luksusowo jak teraz, ale jakoś byś sobie radził. Są teraz nieco pobłażliwsi dla morderców w starszym wieku. Mnie by to nie zadowoliło, ani nie pomogło ludziom, których oszukiwałeś przez wszystkie te lata.

Włożyłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem kalkulator. Nacisnąłem kilka

przycisków i napisałem cyfrę na skrawku papieru. Tworzyła ładną, choć nie okrągłą sumę 1.714.425,68 funtów. Rzuciłem ją.

— To jest sto tysięcy powiększone o nominalne siedem procent przez

czterdzieści dwa lata — powiedziałem. — Nawet jeżeli Scotland Yard ani Prokurator Generalny nie podejmą działań, prasa będzie zachwycona. Ekipa z Sunday Times pożywi się na tym. Pomyśl o tych soczystych nagłówkach: „Lady Brinton umierała na raka w ubóstwie, podczas gdy jej mąż żył sobie dostatnio”.

Twoje nazwisko zacznie śmierdzieć nawet w City, gdzie mają mocne żołądki.

Czy sądzisz, że jakiś przyzwoity lub nawet średnio nieprzyzwoity człowiek chciałby mieć z tobą coś wspólnego?

Podsunałem mu palec pod nos.

— I jeszcze jedno, Paul Billson nic o tym nie wie. Ale mogę go wprowadzić w sprawę i skierować na ciebie jak pistolet. Zabiłby cię, nie miałbyś nawet cienia szansy. Lepiej wyciągnij książeczkę czekową.

Zawahał się, ale spróbował jeszcze raz.

— Ta kwota jest niemożliwa. Nie sądzisz chyba, że jestem tak nadziany?

— Nie próbuj mnie nabrać, stary draniu — powiedziałem. — Każdy bank w City pożyczy ci tę kwotę, jeśli tylko zadzwonisz i poprosisz. Rób to!

Uniósł się.

— Twardy z ciebie człowiek.

— Miałem dobrego nauczyciela. Wypisz dwa czeki, jeden dla fundacji

imienia Petera Billsona, na półtora miliona. Reszta dla mnie. To moja prowizja wysokości dwunastu i pół procent. Miałem wysokie koszty własne. Otrzymam też udziały Glorii, a ty wysprzedasz się ze Stafford Security. Nie interesuje mnie komu odsprzedasz swoje akcje, byle nie Charlie Mallesonowi.

— Jaką mam pewność, że nie odstąpisz od umowy? Chcę dostać wszystkie papiery, które masz.

— Ani mi się śni! One są moją polisą ubezpieczeniową. Nie chcę, aby w moim życiu pojawił się kolejny Lash.

Usiadł i wypisał czek. , Tego popołudnia długo chodziłem po ulicach Londynu, mając w kieszeni

czeki na sumę większą niż kiedykolwiek nosiłem. Alix Aarvik i Paul Billson zostali teraz zabezpieczeni na resztę życia. Oddałem pieniądze w zarząd powierniczy, bo nie chciałem, aby Paul dostał je w swoje ręce. Nie zasługiwał

na to. Jednak ten niezbyt bystry syn, niezbyt bystrej matki, zostanie otoczony opieką.

Jeśli o mnie chodzi, uważałem, że 12,5 procent stanowi rozsądne honorarium.

Pozwoli mi ono wykupić Charlie Mallesona, co stanowiło godną pożałowania konieczność, gdyż dłużej nie mogłem już z nim pracować. Jack Ellis zostanie, żeby zająć wysoko, dostanie swój udział w firmie, a księgowego wynajmiemy i będziemy mu dobrze płacić. Natomiast Byrne otrzyma coś niespodziewanie wyższego niż śmieszne honorarium, które ustalił za to, że uratował istnienia ludzkie i strzelano do niego.

Na myśl o Byrne'ie zatrzymałem się nagle i rozejrzałem dookoła.

Znajdowałem się na Piccadilly Circus, a w zapadającym zmierzchu otaczały mnie światła i tłumy ludzi. To serce miasta w sercu świata nie było

rzeczywistością. Rzeczywistość leżała w Atakorze, Koudii, Air, Tenere, na Tassili.

Owładnęło mną uczucie utraty czegoś. Zapragnąłem znaleźć się z Byrne'm, Mokhtarem i Hamiadą, oraz wesołym człowiekiem, który dlatego, że nazywał

się Konti, był mordercą. Chciałem znów przywitać się z żyrafą w Agadez, usiąść przy małym ognisku wieczornego obozowiska i patrzeć na gwiazdy, poczuć znów swobodę Targui.

Stałem i dumiałem tak pośród tłumu spieszących się londyńczyków i

zdecydowałem, że honorarium oddam Byrne'owi osobiście. Poza tym miałbym okazję do zamienienia paru sprośnych historyjek z Hesther Raulier.

KONIEC

(ang.) — odlatywać.

(łac.) — Tak przemija chwała tego świata.

Nieprzetłumaczalna gra słów: desert — pustynia, desert — zdezerterować.

1 galon USA = 3,8l; 1 galon brytyjski = 4,5 l

Gra słów: sand (ang.) — piasek.

(franc.) — Przełęcz Kandelabrow.

(ang.) — Fly away.

Bracia Wright.